



Steffen  
**JACOBSEN**

Odwet

Steffen Jacobsen

# Odwet

Thriller

Rozerwane ciało męczennika pachnie piżmem.  
DOWÓDCA HAMASU, GAZA

Saga

Odwet  
Tłumaczenie Edyta Stępkowska  
Tytuł oryginału Gengældelsen  
Język oryginału duński  
Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2014, 2022 Steffen Jacobsen i SAGA Egmont  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
ISBN: 9788726916812

# Prolog

17 września

Rok 1434 kalendarza księżycowego

Nabil widział matkę tak wyraźnie, jakby siedziała tam z nimi, w tym obcym pokoju. Poprosił ją o zgodę na to, co musiał zrobić, ale wykrzyczała mu w twarz, że powinien się kierować ludzkim miłosierdziem i nie wchodzić do domu wojny. Że wystarczy już ofiar.

Po tych słowach zwątpił w słuszność swoich racji, aż Fadr potrząsnął nim i go obudził.

– Z kim rozmawiasz? – spytał.

Przyjaciół zapuścił cienkiego wąsa, żeby ukryć źle zszytą zajęczą wargę.

– Z nikim – odparł Nabil.

Matka była tylko złudzeniem. Od kilku tygodni nie dojadła, uprzedzali ich, że mogą się pojawić halucynacje.

Osobiście zakopał w ogródku ciała rodziców i sióstr: Basimy i Farah, pod ruinami ich domu w Damaszku. Atak artyleryjski zmiotł z powierzchni ziemi połowę ulicy, na której dorastał. Wspólnie z imamem Sufjanem obmyli ich, okryli całunami i zmówili *Salat al-Janazah*, modlitwę za zmarłych.

Zaraz potem Nabil przystał do bojowników. Dziesiątki tysięcy jego rodaków zamordowano, miliony straciły dach nad głową, a UE, NATO i Stany Zjednoczone wciąż upierały się, żeby nie przekraczać czerwonej linii i broń świętego prawa weta w radzie bezpieczeństwa ONZ. Ropa, gaz i ego Putina były ważniejsze od życia Syryjczyków i za to Nabil nienawidził ich wszystkich.

Dwudziestoczteroletni Samir był najstarszy z ich trójki. Opuścił punkt obserwacyjny przy oknie mieszkania w Nørrebro i w półmroku pokoju uklęknął między Nabilem a Fadrem. Otwarte dłonie uniósł ku niebu.

– Nabilu, obmyj duszę z wszystkiego, co nieczyste. Zapomnij o tym, co nazywamy światem i życiem ziemskim, bo czas, jaki cię dzieli od zaślubin

w niebie, jest już bardzo krótki – oznajmił uroczyście.

– *Subhan Allah*, chwała niech będzie Bogu – wymamrotali chórem Nabil i Fadr.

Fadr wsunął Nabilowi w ręce jakiś przedmiot. Ten spojrzął na niego i rozwinął czarną szarfę ze złotym napisem. Pot kapał z jego krótkich włosów i zostawiał na niej małe plamki.

– *Rajat al-ukab*, flaga orła Saladyna – powiedział podniosłym tonem Fadr. – Mohammed al-Amir Atta miał ją przy sobie podczas ataku na dwie wieże w Nowym Jorku.

– To dla mnie zaszczyt ją nosić. *Inshallah*, jeśli Bóg da.

Nabil z namaszczeniem zwinął szarfę.

– Powinienem się umyć – postanowił.

Łazienka pachniała kobietą. Z szacunku dla domu nieznanym i jej gościnności nie otworzyli w mieszkaniu żadnej szafki ani szuflady. W salonie nie było ozdób poza plakatem z czarnym kotem pijącym absynt z wysokiej szklanki i atlasem świata. Jediną wskazówką, że mieszkanka należała do ich organizacji, był oprawiony w czerwoną skórę Koran leżący na nocnej szafce. Skóra dotykana przez niezliczone pary rąk zrobiła się tak miękka, że można by z niej uszyć rękawiczki.

Lodówka była w pełni zaopatrzona, kiedy weszli do tego mieszkania. Od tamtej pory go nie opuszczali, poza jednym razem, kiedy Fadr poszedł po papierosy do kiosku naprzeciwko.

Nabil umył twarz i wytarł ją ręcznikiem, który również pachniał mieszkającą tu kobietą. Potem zgasił światło, otworzył okno od podwórza, czyli od wschodu, i spojrzął w niebo ponad dachami.

– *Aldebaran, alnath, alhena* – wymamrotał.

Te same gwiazdy oglądał z pokładu polskiego statku, którym przez Sund dotarli do tego małego kraju. Kiedy kabotażowiec rzucił kotwicę, Samir zapłacił kapitanowi grubym plikiem euro i przerzuconą przez reling drabinką zeszli do ciemnozielonego pontonu, czekającego na czarnej spokojnej tafli. Samir i Fadr wiosłowali przy świetle kieszonkowej latarki, a Nabil siedział na rufie, trzymając między kolanami walizkę z materiałem wybuchowym i detonatorami. Przy brzegu fale wypchnęły ponton na plażę, a potem mężczyźni z powrotem zepchnęli go na wodę i ruszyli ze swoim pakunkiem po mokrym piasku w stronę postaci, która spomiędzy drzew wyszła im na spotkanie.

Samir zamienił z nieznajomą kilka słów. Może nawet pośpiesznie się objęli, zanim gęsiego zaczęli się wspinać po stromej skarpie. Postać stąpała miękko i pewnie, Nabil pomyślał, że to musiała być kobieta. Zaprowadziła ich do białej furgonetki stojącej samotnie na parkingu. Samir usiadł za kierownicą, a pozostali dwaj z walizkami i plecakami usadowili się na podłodze na pace samochodu.

Usłyszał, jak w salonie zapiknął telefon. Gdy do nich dołączył, Fadr i Samir mieli bardzo poważne miny. Fadr schował urządzenie do kieszeni, a Nabil poczuł, jak uginają się pod nim kolana.

– Bądź silny, szahidzie – upomniał go Samir, jakby poczuł to samo co on.  
– Ci, którzy giną w imię Allaha, nie umierają, lecz żyją wśród nas jako niewidoczne dla nas cienie.

Telefon w kieszeni Fadra znów zawibrował. Mężczyzna wyjął go i odczytał wiadomość.

– Samochód czeka na dole – poinformował pozostałych.

\* \* \*

Było chłodno. Siedzieli we trzech na pace i przechylali się na boki, gdy furgonetka brała ostre zakręty.

Samir wyjął termos, odkręcił go i zaciągnął się aromatem, zanim podał napar kolegom.

– Herbaty?

Nabil potrząsnął głową. W szarym świetle poranka patrzył na białą gwieździstą bliznę na skroni Samira, ukrytą częściowo pod długimi czarnymi włosami. Przyjaciel co jakiś czas jej dotykał, gdy był w afekcie albo się nad czymś zamyślał. Nigdy nie powiedział, skąd się wzięła. Zapytany, odpowiadał po prostu, że to cud. Blizna przypominała ranę postrzałową, ale nie da się chyba przeżyć postrzału w skroń?

Poznali się trzy miesiące wcześniej na obozie treningowym w Iranie i Fadr oraz Samir szybko stali się dla Nabila niemal jak rodzina, którą stracił. Utało się, że wierzący męczennik, szahid, nagrywał przed kamerą pozdrowienie albo odczytywał przesłanie. Jego rodzina mogła je potem pokazywać przyjaciołom i sąsiadom i udostępnić w sieci. Choć misja, którą miał do wykonania, stanowiła mocny cios wymierzony w ten wojowniczy, bluźnierczy kraj, rodzina Nabila była przy nim w tej chwili, więc nie miał do kamery nic do powiedzenia.

Nie zdziwił się, gdy został wybrany. Od dzieciństwa lgnął do Boga, wydawało mu się to naturalne i konieczne. Po wojnie domowej Sufjan, imam, wziął go pod swoje skrzydła i swój dach, i polecił go jako kandydata muftiemu Ibrahimowi Safarowi Khanowi i jego organizacji, zaświadczać o jego pobożności i ręcząc za niego.

Samochód wreszcie się zatrzymał, zaciągnięto hamulec ręczny i wyłączono silnik. Drzwi szoferki otworzyły się i zaraz zamknęły z głośnym hukiem. Usłyszeli, jak ktoś oddała się lekkim krokiem, a potem nastąpiła cisza.

Przysnęli na kilka godzin, a w tym czasie świat na zewnątrz pojaśniał. Słyszeli głosy w różnych językach, pośpieszne kroki przechodniów, dzieci, rowery, samochody i niskie wycie silników autobusów, stukanie skrzyń biegów i pisk opon.

Herbata nie pomogła Nabilowi pozbyć się suchości w gardle. Było mu zimno, a jednocześnie się pocił, jak wtedy, gdy ma się gorączkę. Otępiałym wzrokiem śledził na opalonym nadgarstku Fadra sekundnik, który szybko, o wiele za szybko, przesuwiał się po tarczy zegarka.

Dokładnie o wpół do jedenastej Fadr i Samir ocknęli się i usiedli prosto. Nabil ukrył twarz w dłoniach. Kilka sekund wpatrywał się w podłogę paki, zanim kucnął i wyciągnął przed siebie rękę.

Pas samobójcy miał formę kamizelki i był ciężki jak grzechy ludzkości. W czterech rzędach na piersi i plecach, w płóciennych kieszeniach, zaszyte były podłużne prostokątne bloki plastycznego materiału wybuchowego, semteksu. Najcięższy element stanowiły płaskie plastikowe worki z łożyskami kulkowymi, którymi oklejono bloki. W momencie wybuchu kilkadziesiąt tysięcy metalowych kulek miało zmienić ciało Nabila w chmurę śmierci. W przewieszanej przez ramię torbie miał dodatkową porcję materiału wybuchowego.

Samir przywiązał kamizelkę do talii Nabila grubym rzemieniem, drutem i dodatkowo zabezpieczył wszystko kłódką, aby żaden bohaterski ochroniarz czy policjant, nabrawszy podejrzeń, nie mógł jej zdjąć, nie detonując ładunków. Fadr tymczasem sprawdził detonatory, baterie i przewody na plecach Nabila.

Potem Samir pomógł mu założyć obszerną jasną wiatrówkę i zapiął ją pod samą szyję. Nabil drżącymi dłońmi naciągnął na głowę niebieską czapkę z daszkiem. Miał krótkie włosy i zgoloną brodę. Na nogach pomarańczowe najki i sprane levisy. Wyglądał jak tysiące młodych kopenhazan.

Wszyscy trzej objęli się po raz ostatni.

– *Salam alejkum* – powiedzieli równocześnie Sami i Fadr.

– *Wa'alejkum salam* – Nabil odwzajemnił prastare powitanie.

– Jestem dumny i zazdroszczę ci – wyznał Samir. – Jeśli Bóg da, następnym razem to ja albo Fadr wbijemy nóż w plecy temu albo innemu państwu, który z nami wojuje i morduje naszych ludzi i braci.

– *Inszallah* – przytaknął cicho Nabil.

– Masz mapę parku? – spytał Fadr.

Nabil pokiwał głową i poklepał wewnętrzną kieszeń kurtki. Chociaż mapa nie była mu potrzebna. Cel był łatwy do odnalezienia, wystarczyło lekko odchylić głowę.

Nabil wysiadł i odwrócił się do pozostałych.

– I ona mnie wpuści? – upewnił się.

Samir potwierdził skinieniem.

– *Ma'assalam, fi aman Allah*, idź z Bogiem – wymamrotał. – Kobieta tam będzie. My też tam będziemy. Nie jesteś sam.

Nabil wyprostował plecy i ruszył szybkim krokiem, wbijając wzrok w płyty chodnikowe. Nagle poczuł się lekko. Wkrótce będzie po wszystkim. Miał wrażenie, że patrzy na siebie z góry, widzi, jak przechodzi po skosie przez szeroką ruchliwą ulicę i kieruje się w stronę wschodniego krańcaesołego miasteczka.

Kiedy się zbliżył do wąskich zakratowanych drzwi, rękawem wytarł pot z czoła i nasunął daszek czapki mocniej na oczy. Słońce stało wysoko, było bardzo ciepło i jasno, przez co cień pod drzewami wydawał się chłodniejszy i głębszy. Nabil zobaczył za ogrodzeniem sylwetkę kobiety i usłyszał chrzęst zamka. Wślizgnął się do środka i stanął w wąskim przejściu między restauracją a salonem gier, poza zasięgiem kamer monitoringu. Zapach jedzenia docierający z restauracji wywołał mdłości w jego pustym żołądku. Przy mijanych śmietnikach brzęczały roje much. Za to kobieta pachniała świeżo. Domyślał się, że była w jego wieku. Miała na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami, czarne spodnie i długi czarny fartuch zawiązany wokół wąskiej talii. Na lewej piersi zieloną nitką wyszyta była nazwa restauracji. Nie nosiła biżuterii i nie zasłoniła włosów. Były upięte w kok na karku przytrzymywany dwoma skrzyżowanymi żółtymi ołówkami. Nabil czuł się zawstydzony jej wyglądem, chociaż rozumiał, że nie mogła inaczej. Może należała do organizacji, a może nie, ale zrobiła to, co do niej należało: otworzyła przed nim drzwi do raju.



Zastanawiał się, czy to również ona odebrała ich z wybrzeża i czy to w jej mieszkaniu spędzili ostatnich parę dni. Czy to ona przywiozła ich na miejsce? Była znajomą Samira? Poczł ukłucie zazdrości, ale natychmiast ją w sobie stłumił. Zazdrość przynależała do tego świata.

– Mam na imię Ain – przedstawiła się po arabsku.

Nabil kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział. Kobieta bezceremonialnie wzięła go za rękę i okleiła mu wokół nadgarstka papierowy pasek. Był zbyt oszołomiony, żeby się wzbraniać przed dotykiem jej chłodnych palców. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz dotykała go kobieta.

– To bilet całoninowy – wyjaśniła. – Możesz z nim korzystać z wszystkich atrakcji bez kupowania pojedynczych biletów. Wystarczy, że pokażesz im tę opaskę.

– Jakich atrakcji?

Uśmiechnęła się.

– Sam zobaczysz. To miejsce jest fenomenalne.

– A ty zostaniesz tu, w restauracji? – spytał poważnym głosem. – W sensie, dosłownie tutaj? W pracy?

– Tak.

– Okej. To zostań tu. Nigdzie się stąd nie ruszaj.

– Tak zrobię – obiecała i odnalazła jego oczy pod daszkiem czapki. – Ale dlaczego to takie ważne?

– Bo pracę trzeba szanować i wykonywać ją sumiennie – odparł jak ktoś znacznie starszy i mądrzejszy od niej.

Dziewczyna założyła kosmyk włosów za ucho i poprawiła kok. Jej piersi napięły białą tkaninę koszuli i Nabil spuścił wzrok.

– No dobrze. Skoro to takie ważne, to lepiej, żebyś już wracała. – Pokiwała głową i dodała z uśmiechem: – Słuchaj, czy tobie jest zimno?

– Co?

– Nie lepiej zdjąć tę kurtkę?

– Przyjechałem z pustyni. Moim zdaniem w twoim kraju jest bardzo zimno. – Wzdrygnął się, jakby rzeczywiście marzył.

– Z jakiej pustyni?

– Po prostu z pustyni, okej? Piach, węże i ziemia. Słońce.

– W porządku. Ale jeśli zgłodniejesz, wróć tutaj i zapukaj do tamtych drzwi. Mogę ci coś wynieść. Nie musisz płacić.

Patrzył przez nią, jakby była przeźroczysta.

– Tak zrobię, siostrze. *Wa'alejkum salam*, Ain. – W jego głosie i postawie musiało być coś, czego nie był w stanie opanować, i co sprawiło, że uśmiech na jej ustach zastygł. Po chwili odwróciła się na pięcie i weszła do restauracji.

Nabil westchnął. Jego nozdrza się rozszerzyły. Ten zapach. Ulotny i nieuchwytny, ale był pewien, że rozpoznał w nim zapach z mieszkania. Podeszedł do drzwi i je otworzył. Ubrani na biało kucharze krzatali się między metalowymi stołami, które aż się ugięły pod ciężarem parujących garnków i półmisek pełnych mięsa, owoców i chleba. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Dziewczyna ustawiała szklanki na tacy, ale odwróciła się, gdy ją zawołał. Znów założyła włosy za ucho i podeszła do niego, miękko nawigując między stolikami.

Nabil włożył rękę do ciężkiej torby na ramię i wyjął szarfę ze świętymi znakami. Cofając się, wyszedł na zewnątrz, a ona przytrzymała mu drzwi.

– Ain...

– Tak? A ty jak właściwie masz na imię? Bo jakoś chyba masz, prawda?

– Nijak. Nie mam imienia. Chyba że Nabil.

Włożył jej do ręki zwiniętą szarfę.

– Dziękuję – wyznał. – Bardzo dziękuję.

– Za co?

Wskazał na opaskę na swojej ręce.

– Za atrakcje.

Chciała rozwinąć tkaninę, zobaczyć, co jej wręczył, ale złapał jej chłodne dłonie.

– Nie teraz – poprosił. – I zostań tu, w restauracji, dobrze?

– Dobrze, zostanę, ale...

– Żegnaj.

\* \* \*

Powolnie sunący ludzki strumień porwał ze sobą Nabila. Powiedzieli mu, że do tego parku przychodzi każdy, kto latem odwiedza Kopenhagę.

Ruszył na północny wschód. Nie patrz ludziom w oczy, nie patrz na ich twarze, mówili. Oni są niczym. Są cieniami, które wędrują po dolinie śmierci, tylko o tym nie wiedzą. Są *kufr*, poganami. Nieludźmi, Nabilu.

Powietrze było ciężkie od zapachu budek ze słodyczami, watą cukrową i lodami. Czuł niemal, jak cukier zgrzyta mu między zębami, i z odrazą patrzył na rozpieszczonych, grubych ludzi wokoło.

Trzymał się na obrzeżach tłumu, wiedział, że za trzysta kroków znajdzie się dokładnie pod swoim celem: osiemdziesięciometrową stalową konstrukcją, celnie nazwaną Statkiem do Nieba, najwyższą karuzelą łańcuchową w północnej Europie.

Jednorazowo mogły na nią wsiąść dwadzieścia cztery osoby, które za pomocą potężnych pomp pneumatycznych wciągano ku niebu i przez parę minut okręcano w kółko na krzeselkach zawieszonych na długich łańcuchach.

Nabil zastanawiał się, czy ciała tych ludzi zostaną rozrzucone po ulicach przylegających do parku. Pakistański inżynier, który pokazał im plany konstrukcji, zdjęcia technicznych detali i model obiektu jako cel wskazał kolumnę od strony północnej, która była elementem nośnym. Powiedział, że gdy zawali się ta część konstrukcji, w polu upadku znajdą się sala koncertowa oraz kilka restauracji i salonów gier.

Zaczekał przed ogrodzeniem, aż jedna tura ludzi zejdzie z podestu i kolejna grupa zajmie miejsca na krzeselkach. Pompy zagwizdały i duża platforma zaczęła się powoli podnosić. Nabil rzucił okiem na młodą blondynkę w szklanej budce, z której obsługiwano pompy. Dziewczyna obserwowała platformę, a jej ręce pracowicie krzątały się przy przyciskach i dźwigniach. Potem przeskoczył niską barierkę, odepchnął kilkoro dzieci i przeskoczył kolejną.

Ktoś próbował go zatrzymać, ale się wyrwał i pobiegł pod konstrukcję. Przyłożył policzek do zimnego metalu betonowego potwora, objął kolumnę i słuchał pisków nad swoją głową, kiedy Statek do Nieba dotarł na szczyt swojej wędrówki i okręcał pasażerów po błękitnym niebie nad Kopenhagą. Stal wibrowała na jego skórze.

Zobaczył, jak biegną do niego dwaj kontrolerzy i jak komicznie się cofają, gdy rozpina kurtkę, odsłaniając kamizelkę, żółte przewody i bloki ładunków wybuchowych.

Uśmiechnął się jeszcze do blondynki za szybą. Przyciskała do ucha krótkofalówkę. Pomyślał o swojej matce, swoich siostrach i o dziewczynie o imieniu Ain. Miał nadzieję, że naprawdę została w restauracji.

Chwycił detonator w kieszeni kurtki i zamknął oczy na widok ludzkich twarzy, a uszy na ich krzyki.

– *Allahu Akbar*, Bóg jest wielki – wyszeptał i wcisnął guzik.

# I

Audytorium w gmachu Komendy Głównej pękało w szwach. Ludzie siedzieli na podłodze wzdłuż ścian i przy boksie, w którym znajdował się jeden z informatyków ze swoimi projektorami i komputerami.

Lene Jensen załapała się na jedno z krzeseł na środku sali. Jako komisarz policji zawsze miała zagwarantowane miejsce siedzące, nawet jeśli ostatnio spadła w hierarchii o kilka oczek.

Siedziała między pozostałymi pracownikami Komendy Głównej, Sił Reagowania, Służb ratowniczych, ministerstw, Policyjnej Służby Wywiadowczej PET i Wywiadu Wojskowego. Te grupy, które cokolwiek znaczyły pod względem pensji i pełnionej służby, siedziały w pierwszym rzędzie.

Amerykanin na podium był ostatnim z ekspertów od walki z terroryzmem, których zaproszono do Kopenhagi, żeby wyjaśnili odpowiednim służbom i urzędnikom, co się wydarzyło w Tivoli tamtego wrześniowego dnia zeszłego roku. Naturalnie z perspektywy historycznej i naukowej.

Był opalony, wysoki i żylasty. Miał ramiona oficera. Ubrany był w stonowany granatowy garnitur z ostrymi kantami na spodniach, czarne błyszczące buty, białą koszulę i dyskretny krawat w szare prążki. Wyglądał jednak, jakby znacznie lepiej się czuł w spranym, luźnym mundurze pustynnym.

Mikrofon zapiszczał i mężczyzna odsunął go dalej od ust.

– Trzeba sobie jasno powiedzieć, że w tej chwili nie ma już na Bliskim Wschodzie nikogo, kto by chciał albo mógł przerwać ten krąg. Reakcją na każdą przemoc jest jeszcze więcej przemocy. W efekcie rośnie grupa osieroconych dzieci z głęboko zakorzenioną nienawiścią do Zachodu i Izraela. Wystarczy przypomnieć masakry w palestyńskich obozach dla uchodźców w Sabrze i Szatili w Bejrucie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. W nocy z piętnastego na szesnastego września chrześcijańscy falangiści i oddziały libańskiej armii wkroczyli do obozów i przez dwie doby mordowali kobiety, dzieci i starców.

Za jego plecami przeskakiwały stare zdjęcia prasowe stosów splątanych ciał dzieci, złane krwią ruiny budynków, płonące namioty i chaty z blachy falistej. Ziemia między chatami była czerwona, podobnie kałuże, jakie się potworzyły w koleinach.

– Po zajęciu Libanu to na Izraelu spoczywała formalna odpowiedzialność wojskowa i międzynarodowa za bezpieczeństwo obozów, ale armia Izraela nie próbowała zatrzymać masakry ani chronić uchodźców. Przeciwnie, wypuszczali nad obozy rakiety świetlne, żeby napastnicy mogli działać również w nocy. I nikt, absolutnie nikt nie mógł się wydostać.

Twarz eksperta była pozbawiona wyrazu. Wypił łyk wody i mówił dalej:

– Wszyscy wiedzieli, że Jasir Arafat miesiąc wcześniej został ewakuowany do Tunezji razem ze swoimi młodymi bojownikami z Organizacji Wyzwolenia Palestyny i częścią swoich dzieci oraz że w Sabrze i Szatili nie było już żadnych uzbrojonych „terrorystów”. W obozach nie przebywali młodzi gniewni mężczyźni z kałasznikowami, ale to nie miało znaczenia. Ta rzeź stanowiła komunikat wysłany do Arafata przez Eliego Hobeikę, szefa wywiadu libańskiej armii, i Ariela Szarona, izraelskiego ministra obrony. – Amerykanin przesunął wzrokiem po pierwszych kilku rządach, a na ekranie pojawiły się portrety Szarona i Hobeiki.

– Między szesnastym a osiemnastym września falangiści zamordowali około trzech i pół tysiąca ludzi. Mniej więcej tyle osób zginęło w atakach na World Trade Center i Pentagon w dwa tysiące pierwszym roku. Zbieżność dat zeszłorocznego ataku w Tivoli i tamtej masakry oczywiście już rzuciła się państwu w oczy.

Oczywiście, że tak, pomyślała Lene. Tylko pytanie, czy tę zbieżność można uznać za przypadek. Nikt jak dotąd nie wziął odpowiedzialności za zamach w Tivoli, co było nietypowe. Wszyscy się spodziewali, że zaraz organizacje od Al-Kaidy aż po Ansar al-Islam ogłoszą zwycięstwo, tymczasem międzynarodowe agencje prasowe nie dostały żadnego listu ani nagrania wideo. Również na YouTube nie pojawił się żaden film z północnozachodnich terytoriów Pakistanu albo Jemenu, który by nawiązywał do zamachu.

Zdjęcia zniknęły, ekran zrobił się szary, a amerykański ekspert ciągnął dalej:

– Po Sabrze i Szatili zaatakowano amerykańską ambasadę w Bejrucie. Zginęło sześćdziesięcioro troje młodych ludzi. Następnie zbombardowano koszary amerykańskich marines, mordując kolejnych dwustu czterdziestu

jeden młodych Amerykanów. Środkowy Wschód to epicentrum nieustających politycznych trzęsień ziemi. Zwierzę, które pożera własne i cudze dzieci. Ktoś, panie i panowie, musi przerwać ten schemat. W przeciwnym razie historia osądzi nas wszystkich z najwyższą surowością. Jakież pytania?

Umieśniony mężczyzna siedzący w tym samym rządzie co Lene, tylko z brzegu, podniósł rękę i podano mu mikrofon. Lene go nie знаła, ale wyglądał jak typowy pracownik PET: tuż po czterdziestce, wysportowany, w dżinsach i czarnej koszulce, której rękawy zawijały się na imponujących bicepsach. Twarz miał jednak wychudzoną i zmęczoną, oczy – przekrwione i zapadnięte, a włosy – krótkie i posiwiałe. Żyła na jego szyi pulsowała powoli.

– Nadinspektor Kim Thomsen, PET – przedstawił się. – Jeśli my lub ktokolwiek inny ma przerwać krąg przemocy, to musimy ten atak umieścić we właściwym kontekście, jakkolwiek wynaturzony może się on wydawać w naszej optyce. To jednak jest dość trudne w sytuacji, w której nikt nie wziął odpowiedzialności.

Pytający kontrolował swoją mowę ciała, ale pewne napięcie w jego głosie zdradzało, że był osobiście poruszony.

Jak niemal wszyscy w Danii, pomyślała Lene. Każdy znał, był spokrewniony albo słyszał o kimś, kto był w Tivoli siedemnastego września. Dla kraju, z którym historia dotąd obchodziła się wyjątkowo łaskawie, atak bombowy stanowił nokaut. Nie byli przygotowani na taką tragedię, nigdy jeszcze nie spotkało ich coś podobnego i kompletnie nie mieli pojęcia, co robić.

Komórka zawibrowała w kieszeni na jej udzie. Lene zmieniła pozycję i zignorowała telefon. Powieki same jej się zamykały. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz zasnęła bez pomocy tabletek, czerwonego wina albo wódki – albo wszystkiego naraz.

Amerykanin pokiwał głową.

– Jestem przekonany, że wszyscy znawcy Bliskiego Wschodu przypisują odpowiedzialność za zamach w Tivoli którejś z komórek dżihadystów. To, że żadna nie przyznała się do zamachu, również stanowi rodzaj sygnatury. Al-Salim z Teheranu i szejk Ibrahim Safar Khan z... czort wie skąd, ale prawdopodobnie z Ammanu, uczynili swoim znakiem rozpoznawczym brak oficjalnego brania odpowiedzialności za swoje działania. Obaj dysponują

niewielkimi, ale świetnie zorganizowanymi jednostkami oddanych młodych mężczyzn i kobiet.

Widząc, że agent PET, który trzymał mikrofon, nie zamierza w żaden sposób skomentować tej odpowiedzi, Amerykanin mówił dalej:

– Są świetnie wykształceni, a przede wszystkim cierpliwi. Walczą o ogólnoświatowy kalifat i uważają, że niewierni muszą się nawrócić albo wygnać, innej drogi nie ma. Jednocześnie ci mężczyźni i kobiety, być może zwłaszcza one, pod pewnymi względami żyją w średniowieczu. Podczas gdy my, w zachodnich służbach wywiadowczych i policyjnych z naszymi satelitami, dronami, stacjami nasłuchowymi i komputerami należymy do świata przyszłości. – Ręką zatoczył po sali. – Dla nich wszyscy państwo są istotami z kosmosu. Żyjemy w równoległych rzeczywistościach, dwóch odrębnych epokach. I cholernie trudno jest przeskoczyć tę przepaść, odnaleźć ich... i zniszczyć. My na Zachodzie jesteśmy niesłychanie podatni na ciosy, nikt z nas bowiem nie umie się obronić przed zdeterminowanym człowiekiem z innej epoki gotową złożyć w ofierze własne życie. To nam się nie mieści w głowach, bo przecież nikt z nas nie chce umierać, a już na pewno nie „za sprawę”.

Mężczyzna, który przedstawił się jako Kim Thomsen, wyglądał na nieco skołowanego, ale ekspert posłał mu krzepiący uśmiech.

– Zwykle nie korzystają z komórek, a jeśli już, to z telefonów na kartę, mówią parę słów albo wysyłają pojedynczego esemesa i niszczą aparat. Wiedzą, jak każdy z nich wygląda, znają swoje klany, rodziny, dialekty i akcenty i każdy z nich udowodnił swoją wierność ideałom organizacji. Uczynił to, ostrzeliwując autobus wiozący szyitów na lokalne targowisko, wysadzając w powietrze szkołę dla dziewcząt, oślepiając kobietę, która twierdziła, że została zgwałcona, albo odrąbując głowę homoseksualiście. Nie jesteśmy w stanie infiltrować tego środowiska, bo nie możemy poprosić naszych agentów, żeby okaleczali albo mordowali małe dziewczynki. Dżihadysty przestali już przyznawać się do swoich akcji i pozować na celebrytów, jak to miał w zwyczaju na przykład Ilich Ramírez Sánchez aka Szakal. – Mówca zapatrzył się przed siebie. – Ideologiczny trzon organizacji mogą dziś stanowić młode, wykształcone kobiety, co dodatkowo wszystko komplikuje. Nie potrzebują bowiem specjalnego przeszkolenia: są dyskretne, świetnie kłamią i z reguły lepiej od mężczyzn potrafią dotrzymać tajemnicy.

Jak można się było spodziewać, wśród damskiej części widowni rozległ się szmer oburzenia. Amerykanin cierpliwie czekał, aż ucichnie, i kontynu-

ował niezrażony:

– To przecież faceci zapominają się wylogować z Facebooka, wyrzucić stringi, które ukryli w kieszeni, zetrzeć szminkę z kołnierzyka, zdjąć z marynarki długi jasny włos albo wykasować płomienne esemesy z komórki po spotkaniu z kochanką. Kobiety do działania motywuje osobista tragedia. Może nią być utrata męża, braci, sióstr, dzieci albo rodziców, albo własnego kraju i dziedzictwa. Odpowiedzialnością za tę stratę obarczają Zachód i Izrael. Te kobiety nie chodzą w burkach czy nikabach albo zawsze dwanaście kroków za mężczyzną. Ona pali papierosy, mają prawo jazdy, piją mojito, uprawiają seks przed ślubem i słuchają Rihanny. Islamiści się na to godzą, ponieważ to im pomaga w osiągnięciu celu nadrzędnego, jakim jest destabilizacja Zachodu.

Lene pomyślała, że gość w sumie miał rację.

– Ale dlaczego akurat teraz? I dlaczego Dania? – dociekał agent PET.

Amerykanin wzruszył ramionami i kciukiem oraz palcem wskazującym ścisnął skórę przy nasadzie nosa.

– *Well...* Nie zdradzę chyba żadnej tajemnicy, gdy powiem, że nas jako waszych sojuszników dziwiła nonszalancja, z jaką Dania w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych udzielała azylu politycznego wszystkim jak leci, również znanym muzułmańskim fundamentalistom i demagogom. Przyjmowaliście ich w przekonaniu, że ci ludzie byli prześladowani przez autorytarny reżim w Egipcie. Było wam ich żal, a przecież planując zabójstwo głowy państwa, musieli się liczyć z ryzykiem prześladowań. Do tego mamy rysunki Mahometa, których wciąż wam nie zapomniano i które są przywoływane za każdym razem, gdy mułłowie chcą wyciągnąć ludzi na ulice. I wreszcie Dania należy do koalicji walczącej w Afganistanie i Iraku niczym współcześni krzyżowcy. Mogą być także inne przyczyny, o których nie wiemy.

W kraju mogła na przykład powstać komórka islamistyczna, która dojrzała do tego, aby ją przetestować.

– Czyli pańskim zdaniem sami jesteście sobie winni – stwierdził ze złością mężczyzna.

Amerykanin popatrzył na niego pustym wzrokiem i po chwili zapewnił:

– Oczywiście, że nie. Tak naprawdę nie mam żadnych mocnych faktów, na podstawie których mógłbym dać panu konkretną odpowiedź. Może po prostu przyszła wasza kolej albo byliście łatwą ofiarą. Z całą pewnością możemy stwierdzić, że zamach w Tivoli został przeprowadzony wyjątkowo



sprawnie. I jeśli chcecie uniknąć powtórek, musicie zmienić sposób myślenia i działania. Po Tivoli wasz kraj obudził się w zupełnie innej rzeczywistości. Pytanie, czy jesteście gotowi zwiększyć intensywność inwigilacji osób prywatnych, podsłuchów, aresztowań bez zarzutów, stosować wzmocnione techniki przesłuchań, presję fizyczną, serum prawdy, wykrywacze kłamstw czy ekstradycje bez wyroku sądu. Czy pozwolicie, aby wasz kraj stał się państwem policyjnym, żeby zapobiec powtórcze?

Ludzie zaczęli się niespokojnie wiercić na krzesłach. Powtórcze?! Sama myśl o tym była nie do zniesienia.

Lene popatrzyła na swoją szefową, komendant Charlotte Falster, która w tym momencie wstała i zgromiła wzrokiem agenta PET, aż ten speszony usiadł na swoim krześle. Potem weszła na podium i uśmiechając się serdecznie, podziękowała amerykańskiemu ekspertowi za wykład. Stali przodem do publiczności i obecny na sali fotograf zrobił zdjęcie ich uścisku dłoni. Ta szczupła kobieta z nienagannym siwym bobem była mistrzynią detalu.

Lene znów zaczęły się zamykać powieki, ale powstrzymała ten odruch, ponieważ to, co usłyszała od swojej przełożonej, poruszyło w niej czułą strunę.

Charlotte przedstawiła właśnie następną mówczynię, używając takich słów jak lekarka medycyny, studia bliskowschodnie, podręczniki, Harvard i Oxford, specjalna doradczyni PET.

Lekarka psychiatrii Irene Adler.

Wszystkie głowy na sali odwróciły się, jakby były nawleczone na jeden sznurek. Lene pomyślała, że Irene Adler tak właśnie działa na ludzi. Jeśli ktoś nie wiedział, czym jest naturalna charyzma, to powinien ją poznać. Długie złote włosy miała splecione w warkocz gruby jak męskie przedramię i sięgający wysadzanego nitami paska czarnych opiętych dżinsów. Warkocz omiatał rytmicznie dół jej pleców, jakby samo stawianie jednej stopy przed drugą sprawiało jej przyjemność. Wyglądała jak modelka na wybiegu.

Jedyną osobą, która zdawała się w ogóle nie odnotować jej efektownego wejścia, był siedzący z brzegu agent PET. Wsparł przedramiona na kolanach i patrzył w podłogę.

Charlotte Falster zaczęła coś mówić o rekrutacji terrorystów, formowaniu ich psychiki i społecznym pochodzeniu zamachowców samobójców, lecz Lene nie była w stanie słuchać. Mdłości wywołane widokiem Irene Adler

postawiły ją na nogi. Przecisnęła się między rzędami krzeseł, mamrocząc słowa przeprosin, i szybkim krokiem ruszyła do drzwi.

Przez całą drogę czuła na karku wzrok lekarki.

\* \* \*

Lene powoli przemierzała słynny, wyłożony płytkami okrągły dziedziniec komendy z rękami wciśniętymi w kieszenie skórzanej kurtki. Cieszyła się, że stamtąd wyszła. To było za wcześnie. Źle tolerowała tak duży tłum tak blisko siebie. Miała wrażenie, że inni ludzie rozcieńczają jej granice, wlewają się w nią. Odwróciła się, gdy usłyszała za sobą pośpieszne kroki. To był ten ponury agent PET. Kim... Thomsen? Najwyraźniej jej nie zauważył. Stawiając długie kroki, przeszedł przez plac przed komendą i wsiadł za kierownicę granatowego forda mondeo. Odjechał od krawężnika z piskiem opon, a przed pierwszą przecznicą włączył niebieski kogut na dachu.

Lene natomiast okrążyła kompleks zabudowań i ruszyła dalej w górę Otto Mønstedts Gade. Miała ochotę zatrzymać się w Gliptotece i w tamtejszej cukierni napić się kawy. O tej godzinie powinno tam być spokojnie. Może w ogóle powinna poświęcić resztę dnia na przechadzanie się po chłodnych salach? Na coś sensownego, coś, co robią normalni ludzie.

Niebo nad Tivoli było pocięte żółtymi żurawiami. Na terenie parku wciąż trwały prace porządkowe.

Znów zawibrował jej telefon. Lene aż się bała sprawdzać, ile wiadomości dostała. Wyjęła komórkę i spojrzała na ekran.

– *Fuuuck...* – wymamrotała.

Ain.

Zamrugła szybko. Jako wolontariuszka Linii Życia, telefonu zaufania dla osób zagrożonych samobójstwem, Lene rozmawiała kilkakrotnie z tą młodą Arabką, ale od ostatniego razu minęły ze dwa miesiące. Lene nie miała pojęcia, czy to było prawdziwe imię dziewczyny ani tym bardziej skąd miała jej prywatny numer. Widziała natomiast, że dziewczyna przysłała jej cztery esemesy i dwukrotnie dzwoniła, nagrywając jej się na skrzynkę. Druga wiadomość brzmiała jeszcze bardziej desperacko i nieskładnie niż pierwsza.

Postanowiła oddzwonić od razu.

Dziewczyna wydawała się zdyszana, a hałas w tle niemal całkiem ją zagłuszał.

– Ain?

– Lene? Lene... dziękuję! Musisz mi pomóc. Przepraszam.

Ton głosu w słuchawce sprawił, że Lene automatycznie przyśpieszyła i truchtem pobiegła do swojego samochodu zaparkowanego przed Gliptoteką.

– Skąd masz mój numer? Zresztą nieważne... Ain, ledwie cię słyszę. Gdzie ty jesteś? Nie możesz znaleźć jakiegoś cichszego miejsca...? Co się dzieje? Co się stało?

– Chyba ktoś mnie śledzi. Nie, *na pewno*... Zaczekaj...

– Gdzie teraz jesteś?

– Na stacji Nørreport.

Połączenie zostało przerwane. Lene z frustracją tupiała w chodnik. Szarpnęła drzwi samochodu, telefon upadł jej na podłogę. Drżącymi rękami wyłowiała go spomiędzy pedałów. Nim zdążyła oddzwonić, ekran znów się zaświecił.

Dziewczyna płakała.

– Chcą mnie złapać, Lene!

Lene wciągnęła głęboko powietrze i starała się mówić spokojnie. Jak w telefonie zaufania.

– Nikt nie chce cię złapać, Ain. I nikt za tobą nie chodzi. Spróbuj się uspokoić... Masz jakąś pa... – W ostatniej chwili powstrzymała się przed oskarżeniem jej o paranoję. Usłyszała w tle metaliczny dźwięk komunikatu przez megafon i szum dużej grupy stłoczonych ludzi, dudniący szmer głosów.

– Nie jestem paranoiczką. Naprawdę nie. Ja nie oszalałam!

– Ain, oczywiście, że nie. Wiem, że nie jesteś chora. Powiedz, kto cię śledzi?

Głos w słuchawce w jednej chwili stał się osobliwie spokojny, co było jeszcze gorsze niż panika przed chwilą. W niewytłumaczalny sposób w piekielnym zgiełku Lene słyszała nagle tylko głos Ain i włosy na jej przedramionach się podniosły, gdy po chwili usłyszała dziecinny szloch młodej kobiety.

– Sama jestem sobie winna. Zasłużyłam na to. Lene, ja zrobiłam coś potwornego, coś naprawdę strasznego. To ja pozwoliłam... A teraz jeszcze wciągnęłam w to ciebie.

– Co próbujesz mi powiedzieć? Na co zasłużyłaś? Posłuchaj, przyjadę po ciebie i znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy mogły porozmawiać,

okej? Ain?

Lene odpaliła silnik starego citroena i wcisnęła gaz do dechy. Mężczyzna z psem odskoczyli, kiedy na H.C. Andersens Boulevard przejechała na czerwonym, a rowerzysta uderzył pięścią w dach jej samochodu, bo zepchnęła go na chodnik.

– Ain, odezwij się!

Słyszała pośpieszne kroki dziewczyny, stukanie wysokich obcasów o posadzkę peronu, jakby szła z telefonem w opuszczonej ręce.

– Lene...? Naprawdę po mnie jedziesz? Ja go widzę. Jest tutaj, na dole.

– Będę za dwie minuty.

– Dziękuję...

Widziała przed sobą budynek stacji, ale gęsty ruch uliczny ją blokował. Jedną ręką przyciskała telefon do ucha, a drugą prowadziła samochód. Znów usłyszała przez megafon komunikat o nadjeżdżającym pociągu. Ain nic nie mówiła, ale Lene słyszała jej poszarpany oddech.

– Lene, to na nic. Ja...

Lene usłyszała, jak dziewczyna z głośnym świtem wciąga powietrze i sekundę później czyjś krzyk. Głośne, wysokie krzyki kobiece.

– Ain!

Łoskot w słuchawce prawie ją ogłuszył, kiedy telefon upadł na peron. I zaraz głośny huk i po nim dźwięk biegnących stóp. Pisk hamulców pociągu Lene usłyszała z tak przerażającej bliskości, że pociemniało jej w oczach.

Zatrzymała się przed przejściem dla pieszych i patrzyła, jak ulica zapełnia się ludźmi wylewającymi się z głębi stacji.

Przez megafony nadano lakoniczny komunikat o potrąceniu człowieka.

Potem usłyszała powolne kroki. Ktoś podniósł telefon i spokojny męski głos powiedział kilkakrotnie „halo”, zanim się rozłączył.

\* \* \*

Maszynista siedział oparty o chłodną ścianę. Kilku jego kolegów klęczało przy nim i próbowało go uspokoić. Łokcie opierał na kolanach, głowę miał spuszczone i dłońmi mechanicznie pocierał bladą, apatyczną twarz. Wzrok wbijał w podłogę, a między jego nogami leżała kałuża wymiocin.

Mijając go, Lene odruchowo pomyślała, że ten człowiek w sile wieku właśnie został rencistą. Nørreport okazało się jego ostatnią stacją.

Pociąg stał pusty i oświetlony, wszystkie drzwi były otwarte. Dziwnie opuszczony i porzucony na długim, równie pustym peronie, zupełnie jakby cały gatunek ludzki został ewakuowany na inną planetę. Jedyńm dźwiękiem było niespokojne świschczenie hamulców pneumatycznych.

Podeszła do grupki policjantów i ratowników medycznych, którzy stali przy zakrytych noszach. Z bliska słyszała skrzeczące głosy w policyjnych radiach. Dwaj ratownicy szli wzdłuż szyn z żółtymi plastikowymi workami. Jeden z nich podniósł coś i wrzucił do worka. Wydawało się, że było to coś ciężkiego.

Na noszach pod białym prześcieradłem widać było zarys bezkształtnej masy, w której z trudem można było rozpoznać ludzką sylwetkę. W miejscu, gdzie powinna być głowa, krew zdążyła już przeciągnąć przez tkaninę. Postać była nienaturalnie krótka. Chwilę zajęło, nim Lene zrozumiała, że ma odcięte nogi.

Wylegitymowała się najbliższemu stojącemu policjantom.

– Myślę, że ją znałam – zwróciła się do młodej brunetki z kucykiem, która wyglądała, jakby wolała być teraz gdziekolwiek indziej niż tutaj.

– Znamy nazwisko i znaleźliśmy to – pokazała portfel. W drugiej ręce trzymała nieforemną torbę na ramię. Skóra była porwana i sztywna od zaschniętej krwi.

– Ma na imię Ain? – upewniła się Lene i zerknęła na białe kamery monitoringu pod sufitem.

Policjantka pokiwała głową.

– Ain Ghazzawi Rasmussen. To jej prawo jazdy.

– Jakiś list?

– To znaczy?

– List pożegnalny. Albo coś innego, jakieś wyjaśnienie?

– Nic. – Funkcjonariuszka popatrzyła na nosze i dodała: – Choć oczywiście trudno powiedzieć, czy to naprawdę ona. Jest w fatalnym stanie.

Lene spojrziała na prawo jazdy. Nieśmiały uśmiech, ciemne włosy. Ain Ghazzawi Rasmussen przeżyła tylko dwadzieścia trzy lata. Miała apaszkę na szyi, ładne usta, wysokie kości policzkowe, ciemne, lekko skośne oczy. Bardzo bliskowschodnia uroda. Prawo jazdy wystawiła stołeczna komenda przed czterema laty.

Dwaj ratownicy skończyli przeszukiwanie torów i wspięli się na peron. Na pytanie kierującego akcją potrząsnęli głowami.

– Nic więcej tam nie ma – zapewnił jeden z nich.

Lene poderwała głowę na dźwięk kolejnych syren. Niebieskie światło koguta odbijało się od ścian przy najbliższym wyjściu na ulicę.

Oddała policjantce prawo jazdy.

– Znałaś ją? – spytała kobieta.

– Niezupełnie – wyznała Lene. – Nie.

Otworzyła portfel Ain. Były w niej karty: – ubezpieczeniowa i kredytowa oraz dwa banknoty. Żadnych zdjęć. Pod żółtą kartą ubezpieczeniową znajdowała się wizytówka restauracji w Østerbro: Le Crocodile Vert.

Lene zwróciła policjantce portfel.

– Na peronie znaleźliśmy jeszcze to. – Kobieta pokazała Lene białego smartfona.

– Sprawdzalas, co w nim jest?

– Jeszcze nie.

Lene obejrzała telefon z każdej strony. Wydawało się, że działał, ale klawiatura była zablokowana.

Ratownicy ruszyli z noszami w stronę schodów. Jeden z pozostałych policjantów położył rękę na ramieniu rozmówczyni Lene i cicho coś do niej powiedział.

– Jedziemy z nią – wyjaśniła policjantka. – Nie wiem, czy chcesz... – Popatrzyła na Lene błagalnie. Pewnie by się ucieszyła, gdyby pani komisarz zaoferowała się, że jej potowarzyszy w Zakładzie Medycyny Sądowej i może jeszcze powiadomi bliskich samobójczyni. Bo rzeczywiście, Lene miała spore doświadczenie w takich sytuacjach.

Zawahała się nawet, jednak poczuła się tym wszystkim przytłoczona. Nie miała siły dźwigać ciężaru kolejnej śmierci.

– Poradzisz sobie – zapewniła młodszą koleżankę. – Z czasem będzie łatwiej.

– Naprawdę?

– Nie.

\* \* \*

Potem, gdy Lene szukała kluczyka do skrzynki na listy, okazało się, że cały czas miała w kieszeni kurtki telefon Ain. Wspinając się na czwarte piętro, całą drogę przeklinała się w myślach. Zamieszkała przy tej spokojnej ulicy we Frederiksbergu po tym, jak rozwiodła się z ojcem Josefine. Miała wtedy

trzydzieści dziewięć lat. Od tamtej chwili minęło prawie pięć lat i teraz uważała, że ludzie żyją za długo.

Poranną gazetę położyła na stole, jak zwykle weszła do salonu i odsunęła zasłony. Otworzyła okna, za którymi popołudniowe niebo było jasne i bezchmurne. Przewiesiła kołdrę przez poręcz balkonu. W łazience długo patrzyła na przepełniony kosz na brudy, ale nie miała siły nastawiać prania. Potem zajrzała do dawnego pokoju Josefine. Pokój stał pusty, odkąd córka postanowiła zamieszkać z koleżanką ze szkoły fizjoterapii, ale z jakiegoś powodu Lene musiała codziennie tu zajrzeć.

Potem zrobiła sobie kubek nescafé i usiadła na kanapie, by poczytać. Od dnia katastrofy gazeta drukowana była z wąskim paskiem żałobnym na pierwszej stronie. Ów pasek miał pozostać na okładce przez 1241 dni. Każdy dzień upamiętniał kolejną ofiarę zamachu.

Tamten dzień był dla duńskich mediów jak mroźne otrzeźwienie. Zniknęły niezliczone programy o gotowaniu i najwyraźniej nikt za nimi nie tęsknił. Prowadzący i prezenterzy spowaznieli, mówili ściszymi głosami i rzeczowym tonem. Meteorolodzy, zapowiadając dni bezchmurne i słoneczne, na twarzach mieli wymalowane poczucie winy. Nawet kanały komercyjne skończyły z odmóżdżającymi reality shows i pokazywały pouczające programy historyczne i filmy ze złotej ery duńskiej telewizji. Połowa politycznie poprawnej lewicy zamilkła po zderzeniu z rzeczywistością, o której pewnie słyszała, ale w którą tak naprawdę nie wierzyła. Druga połowa, przepełniona wypaczonym poczuciem satysfakcji, uważała, że Dania sama była sobie winna i trzeba spojrzeć na sprawę również z perspektywy terrorystów. Że ta tragedia była skutkiem neoimperialistycznej polityki zagranicznej kraju, zwłaszcza tej prowadzonej przez rządy burżuazyjne. Że do Kosowa i Iraku należało wysłać zeszyty, leśników i policjantów kierujących ruchem ulicznym, a w Afganistanie zbudować ścieżki rowerowe, z których Duńczycy są tacy dumni i które robią lepiej niż ktokolwiek na świecie.

Natomiast jako społeczeństwo Duńczycy przeszli radykalną przemianę. Kościół po raz pierwszy odnotował wzrost liczby członków, a każdy, kto zaliczył weekendowy kurs w terapii Gestalt albo mindfulness oraz był w stanie założyć stronę internetową, zarabiał teraz krocie na przepracowywaniu traum i rozterek innych ludzi. Premierka zatrudniła utalentowanego autora przemówień i zwolniła dotychczasowych spin doktorów. Po ataku wygłosiła mowę, którą CNN nadało w całości i którą cytowały media całego świata. Mówiła głosem o oktawę niższym niż normalnie i po raz pierwszy

od wygranych wyborów sprawiała wrażenie, jakby żyła w tej samej rzeczywistości co jej rodacy. Sondáže przewidywały reelekcję.

Ale oczywiście zamach ożywił na nowo środowiska neonazistów, islamofobów i rasistów, którym zwykle przewodzili zdziwaczali starzy mężczyźni. Tureccy oraz libańscy sklepikarze i restauratorzy zastawiali wybite okna w swoich firmach i rasistowskie wyzwiska na swoich wozach dostawczych. W przejściu podziemnym w jednym z gett w Vestegnen napadnięto i zgwałcono czternastoletnią Jordankę. Domniemanymi sprawcami byli neonaziści.

Wszystko to było do przewidzenia, ale jednocześnie z każdej strony – zarówno ze strony związków mniejszości etnicznych, jak i stowarzyszeń lokatorów – nawoływano do opamiętania. W dzielnicach zmienionych w getta wolontariusze patrolowali ulice w dzień i w noc.

Lene przerzucała strony gazety, ale nie była w stanie przeczytać od początku do końca żadnego artykułu. Co chwila zerkała na białego smartfona leżącego na stoliku, ale go nie tknęła.

Ile razy rozmawiała z Ain? Pięć? Osiem? Ich pierwsze interakcje były nieśmiałe i ogólne, jak zwykle, gdy ktoś zbierał się na odwagę, żeby zadzwonić na Linie Życia. Młoda kobieta w słuchawce mówiła w miarę składnie. Rozmowy, które Lene prowadziła z użytkownikami, rzadko trwały dłużej niż kwadrans i z reguły kończyły się w tonie konstruktywnym i optymistycznym.

Ain nie zdradziła zbyt wielu informacji o sobie. O swoich problemach opowiadała naokoło, co również było normalne. W dzieciństwie jako palestyńska sierota trafiła do obozu dla uchodźców w Tunezji, gdzie ją znalazło i adoptowało małżeństwo duńskich medyków pracujących dla Lekarzy bez Granic. Do Danii przywieźli ją, gdy miała osiem lat. Mówiła bez akcentu i zdawała się żyć jak każda Dunka w jej wieku. Nigdy nie wspomniała o problemach z mobbingiem, odrzuceniem czy dyskryminacją. Mówiła za to o swoich lękach i samotności. Lene poradziła jej rozmowę z psychiatrą albo psychologiem. W Linii Życia znajdowała się lista lekarzy i psychologów, którzy byli w stanie przyjmować pacjentów niemal od ręki, jeśli operator uznał, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że osoba dzwoniąca targnie się na swoje życie. Lene skierowała Ain do jednej z tych osób, ale nie wiedziała, czy dziewczyna posłuchała jej rady.

Zdarzało się, że przez pięć albo sześć tygodni Ain się nie odzywała. Lene miała wówczas nadzieję, że dziewczyna zaczęła terapię albo po prostu zro-



biło jej się lżej na duszy. Że się zakochała, awansowała w pracy, może wyjechała z kraju. Albo wręcz, że to rozmowa z Lene jej pomogła.

Któregoś wieczoru w siedzibie fundacji jeden z wolontariuszy rozwiął te nadzieje, gdy jej powiedział, że Ain znów jest na linii.

Dziewczyna mówiła zdyszonym, zalęknionym głosem. Robiła długie przerwy, w których słycać było statyczny szum, po czym nagle rzucała jedno albo dwa zdania. Mówiła nieskładnie, trudno było ją zrozumieć. Lene docisnęła słuchawki dłońmi i pochyliła głowę w głębokim skupieniu. Chciała jak najdokładniej wyczuć nastroj rozmówczynie. Dowiedziała się, że dziewczyna zrobiła coś potwornego. Sama tak się wyraziła. Coś, czego nigdy, przenigdy nie da się wybaczyć. Płakała cicho, jej głos stał się bełkotliwy, mówiła przez zaciśnięte gardło. Zaczęła chodzić nocą po mieście. Nie wytrzymywała w domu, nie była w stanie przebywać w żadnym z miejsc, które znała. Spacerowała po błoniach albo wzdłuż plaż na północy miasta.

Słuchając jej, Lene patrzyła w mrok za oknami biura. Wyobrażała sobie samotną dziewczynę, która błąka się po opustoszałych parkach albo plażach, i skręcało ją w środku. Dobrze pamiętała, jak się czuła, gdy Josefine wychodziła na miasto, a ona nie wiedziała, gdzie jest. W dodatku jej córka jak na złość często zapominała zabrać komórkę.

Przez następną godzinę Lene szukała w ich rozmowie jakiegoś punktu zaczepienia, czegoś pewnego i zwyczajnego. Czy Ain chodziła na terapię? Czy płaciła rachunki? Czy miała co jeść? Chodziła do pracy? Widywała się z rodziną? Starła się uratować tonącą dziewczynę, wciągnąć ją na brzeg małej wyspy wspólnej rzeczywistości.

Ale nie była w stanie do niej dotrzeć. Ain paraliżował strach przed czymś nienazwanym, czymś pozbawionym formy i kształtu. Przed czymś złym i wszechmocnym. Powiedziała, że ktoś ją zmanipulował. Twierdziła, że ktoś był w jej mieszkaniu, gdy ona była w pracy albo na którejś ze swoich samotnych przechadzek. Że ktoś słuchał tego, co mówiła, i widział wszystko, co robiła.

– Rozumiem, Ain, ale kto to jest? – Lene na koniec straciła cierpliwość i znad ścianek działowych niczym korki z butelek powyskakiwały głowy pozostałych wolontariuszy. Opanowała się więc i ściszyła głos, chociaż i tak wiedziała, że na następnym dyżurze będzie miała przyjacielską wizytację i zestaw ostrzejszych, przygotowanych specjalnie dla niej procedur. Operatorzy telefonu zaufania co do zasady mieli wsłuchiwać się w to, co mówi

dzwoniący i okazywać empatię. W żadnym razie nie powinni się wydierać na ludzi nękanych myślami samobójczymi.

– Ain, powiedz mi, *kto?* – powtórzyła szeptem.

Nie odpowiedziała. W słuchawce brzmiał tylko monotony, cichy płacz. Lene zdawało się, że słyszy kliknięcie, przez chwilę jakąś muzykę, a potem niski męski głos, który powiedział w tle kilka słów, zanim znów jedynym dźwiękiem dobiegającym komisarz był płacz dziewczyny.

– Zasłużyłam na śmierć – powiedziała po pewnym czasie.

– Oczywiście, że nie zasłużyłaś. Nikt nie zasłużył na śmierć, Ain.

– Właśnie, że tak! Ja zasłużyłam. I to nie raz, ale więcej niż tysiąc razy – powiedziała stanowczo. I się rozłączyła.

Lene podeszła do okna w salonie i wyjrzała na ulicę. Kiedy miała miejsce tamta fatalna rozmowa? Z kilka miesięcy temu. Potem zadzwoniła tylko jeden, jedyny raz, ale mówiła mniej więcej to samo. Zaczęła brać leki, ale powiedziała, że nie pomagają. Było coraz gorzej. Ludzie dziwnie na nią patrzyli, obgadywali ją za plecami. Z domu wychodziła tylko do pracy i zaraz potem wracała. Czy Lene nie mogłaby przyjść do niej do domu?

Odparła, że to niemożliwe. Absolutnie wykluczone. Niestety. Takie były zasady. Dziewczyna wpadła w rozpacz, a Lene już wiedziała, że to był jej ostatni wieczór w Linii Życia. Rozłączyła się, nie czekając, aż Ain przestanie płakać. Założyła kurtkę, zarzuciła na ramię torebkę i wyszła z pokoju pod ostrzałem spojrzeń pozostałych wolontariuszy.

Chryste!

Poszła do kuchni i poszukała wina, które powinno gdzieś tam być. Czy mogła się bardziej postarać? Zrobić dla tamtej dziewczyny coś więcej? Przed oczami stanęła jej groteskowo krótka sylwetka pod białym przesiąkniętym krwią prześcieradłem. Drżącymi rękami zrywała folię z szyjki butelki. Potem trzy razy walczyła z korkociągiem, zanim napełniła kieliszek po brzeg. Wypiła duszkiem i naląła następny.

Z winem w ręce wróciła do pokoju, usiadła na kanapie i wbiła wzrok w milczący biały telefon. W końcu nakryła go gazetą. Spojrzała na własny, ale ekran był pusty. Żadnych esemesów ani połączeń. Najwyraźniej nikt za nią nie tęsknił. Nawet telemarketer.

Zasnęła na pół godziny, aż zbudziła się raptem przy dźwiękach komunikatu z megafonu i pisku pociągowych hamulców. Otworzyła oczy zdyszana.

Wstała, podeszła do regału i podniosła wieko starego pudełka. Wsunęła kasetę VHS do odtwarzacza.

Film trwał dwie minuty. Nagrał go jej były mąż Niels podczas akademii z okazji zakończenia sezonu w szkole baletowej Svenningsen. Josefine była czwarta od lewej w równym rzędku chudych, stremowanych dwunasto- i trzynastoletnich baletnic. Była wyprostowana jak struna, podobnie jak pozostałe dziewczynki. Długie jasne włosy miała zaczesane gładko do góry i upięte w ciasny kok na czubku głowy. Madame Svenningsen uważała, że taka fryzura optycznie wydłuża szyję. Kiedy przyszła pora na solową partię Josefine, kamera zrobiła nieudolne zbliżenie. Lene usłyszała samą siebie strofującą Nielsa. Ich córka na czubkach palców kręciła na scenie piruety. Miała długie i szczupłe ramiona i nogi, kości wyraźnie sterczały pod skórą. Wykonała skok i na jej twarzy lśnił uśmiech, gdy w powietrzu wygięła ciało w łuk, tak że kok na jej głowie niemal dotykał podniesionej do tyłu stopy. Sztywne tutu otaczało jej talię jak dysk, a ręce płynnie i miękko uniosły się do wysoko nad głowę.

Kiedy jej córka tanecznym krokiem opuszczała scenę, Lene zaczęła kłaskać trochę za głośno i trochę za blisko mikrofonu kamery.

\* \* \*

Potem przez dłuższy czas po prostu leżała i patrzyła, jak niebo nad dachami domów po drugiej stronie ulicy robi się coraz bardziej granatowe. Za dwie godziny słońce zajdzie w odmęcie rozproszonych pomarańczowych, czerwonych i fioletowych chmur.

Kiedy właściwie Josefine przestała chodzić na balet? W liceum? Lene od początku namawiała ją na taekwondo albo kickboxing. Uważała, że balet jest zbyt dziewczynski, ale Josefine go uwielbiała. Mówiła, że taekwondo jest pozbawione wdzięku.

I bez przerwy powtarzała, że balet jest ulotną formą sztuki.

Butelka była prawie pusta, gdy Lene wstała, poszła do łazienki i połknęła dwie tabletki nasenne, chociaż była dopiero dziewiętnasta. Wieczorem najlepiej było zasnąć i nie śnić. A do wieczora udawało jej się dotrwać dzięki trzem tabletkom relanium, które pozwalały przebrnąć przez dzień, nawet go nie zauważając.

A przecież zawsze była w świetnej kondycji fizycznej. Dbała o to. Odkąd skończyła dwadzieścia lat, nie przytyła ani kilograma, jej tyłek wciąż był na

tej samej wysokości, co wtedy, gdy miała siedemnaście lat, i od zawsze intensywnie uprawiała lekkoatletykę albo inne sporty. W ostatnich latach regularnie trenowała boks w Policyjnym Klubie Sportowym. A teraz nie była w stanie bez zadyszki wejść na czwarte piętro. Jej zielone oczy nadal były bystre i wciąż nie potrzebowały wsparcia, chociaż zmienił się ich wyraz. Za to rude włosy i mlecznobiała skóra zrobiły się matowe i zaniedbane.

Umyła zęby i wróciła na kanapę, skąd otepiałym wzrokiem oglądała wiadomości, a tabletki nasenne powoli pomagały jej poczuć spokój i zubożenie. Przełączyła na wiadomości w telewizji publicznej. Głównym tematem był powrót do kraju dwóch duńskich marynarzy przetrzymywanych przez ponad trzy lata przez somalijskich piratów w zapomnianym przez boga Rogu Afryki.

Armator przez trzy lata prowadził twarde negocjacje w sprawie zwolnienia zakładników, twierdząc, że nie stać go na spełnienie żądań porywaczy. Jedna z porannych gazet przez 1333 dni publikowała na pierwszej stronie zdjęcie kapitana i marynarza, aż minister obrony w bardzo nieduńskim stylu stracił cierpliwość i wykazując się sporą dozą odwagi cywilnej, podjął długo odwlekaną decyzję: zapłacił angielskim i amerykańskim służbom wywiadowczym działającym w tamtym obszarze, a one błyskawicznie zlokalizowały i odbiły schorowanych i osamotnionych Duńczyków.

Dwa amerykańskie śmigłowce Blackhawk zrzuciły pluton Korpusu Łowców kilka kilometrów od miejsca, w którym przetrzymywano zakładników. Śmigłowce czekały, aż komandosi pokonają dość symboliczny opór i uwolnią dwóch marynarzy i trzy niemieckie zakonnice.

Akcja przebiegła gładko i premierka witała właśnie na lotnisku Kastrup marynarza i kapitana, którym trzeba było pomóc zejść po trapie należącego do marynarki wojennej herculesa. Mężczyźni byli w pomarańczowych kombinezonach i niepewnym krokiem stąpali po czerwonym dywanie w stronę komitetu powitalnego i wyciągniętych ku nim mikrofonom. Obaj mieli duże ciemne okulary, chociaż słońce już zachodziło.

Premierka tryskała radością. Wiatr targał jej długie jasne włosy, a wielkie niebieskie oczy błyszczały z ekscytacji.

Lene patrzyła na to wszystko, niczego tak naprawdę nie widząc. Powieki powoli jej się zamykały, gdy coś kazało jej ponownie je otworzyć i podejść bliżej telewizora. Uwolnieni zakładnicy szli powoli pasem startowym, premierka czekała, niebieska sukienka przyklejała się do jej długich nóg, jakiś oficer w mundurze pustynnym i bordowym berecie Korpusu Łowców na

krótko ostrzyżonej głowie pochylił się do niej i coś jej powiedział. Ona się uśmiechnęła i pokiwała głową. Kamera pokazała z bliska wychudzone twarze zakładników otoczone długimi skołtunionymi włosami. W tle stała grupa urzędników w garniturach. Lene domyślała się, że to przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Jej uwagę przykuła jednak samotna postać widoczna za zakładnikami. Mężczyzna zeskoczył z krótkiego trapu i szedł asfaltem po skosie, rozmawiając z jednym z pilotów. Był po czterdziestce, miał krótkie czarne włosy z przedziałkiem na bok, szedł wyprostowany, ruchy miał szybkie i oszczędne. Był nieco ponad przeciętnego wzrostu, atletycznie zbudowany. Na chwilę odwrócił szeroką twarz w stronę komitetu powitalnego i stłoczonych za premierką reporterów. Omiótł obojętnym wzrokiem politycznych statystów, z kieszeni na piersi wyjął ciemne okulary, założył je i wrócił do rozmowy z pilotem.

Michael Sander.

Lene wcisnęła pauzę na pilocie i odtworzyła tę krótką sekwencję z twardego dysku dekodera. Nie było żadnych wątpliwości. To był *on*, tajemniczy, drogi i unikający rozgłosu prywatny detektyw czy też „doradca do spraw bezpieczeństwa”, jak sam wolał siebie nazywać. Lene obejrzała resztę materiału. Michael rozstał się z pilotem i teraz stał zamyślony pod ogromnymi skrzydłami wojskowego transportowca.

Nie widziała się z nim ani z nim nie rozmawiała od ponad dwóch lat, ale przez kilka krótkich, choć intensywnych dni zbliżyli się do siebie bardziej niż niejedno wieloletnie małżeństwo.

Lene prowadziła wówczas śledztwo w sprawie domniemanego samobójstwa byłego żołnierza, a uroczy, choć cyniczny Michael Sander został wynajęty przez jedną z najbogatszych Dunek, żeby znaleźć i ukarać myśliwych, z którymi polował jej zmarły ojciec. Banda szaleńców w poszukiwaniu mocnych wrażeń organizowała śmiertelne łowy na młodych ludzi w odludnych miejscach globu. Śledztwa jej i Sanderą splotły się, a oni sami stali się celem polowania, które niemal zakończyło się dla nich tragicznie.

Michael potem wielokrotnie do niej dzwonił, ale nigdy nie odebrała ani nie oddzwoniła.

A teraz widziała go, jak żywego, obok wojskowego samolotu, którym komandosi polecili zapewne do zaprzyjaźnionego Dżibuti, skąd transport plutonu przejęli Amerykanie.

Premierka mówiła w nieskończoność, z empatią trzymając rękę na przedramieniu wychudzonego zakładnika. Mężczyzna chwiał się na nogach – z ulgi, zmęczenia albo głodu. A może z tych wszystkich powodów naraz. W tle Michael Sander wyjął telefon i dokądś dzwonił.

W tej samej chwili zadzwonił telefon Lene. Gwałtownie poderwała głowę, gorączkowo poszukała aparatu między poduszkami kanapy i odebrała.

– Halo?

– Lene?

– Tak, kto mówi?

– Michael. Michael Sander. Co słyhać?

W telewizorze widziała, jak pochyła głowę, gdy na pierwszym planie premierka nie przestaje gratulować i życzyć marynarzom wszystkiego dobrego. To jakiś surrealizm.

– Widzę cię – wymamrotała.

– Co? Przekłęty szajs! – Oderwał telefon od ucha i popatrzył na niego ze złością. Potem wyszedł spod skrzydła i zachodzące słońce otoczyło złotą aureolą jego ciemną sylwetkę. Lene pomyślała, że wyglądało to pięknie i dramatycznie. W Hollywood nie zrobiliby tego lepiej.

– Widzę cię w telewizji! – wykrzyczała i w idiotycznym odruchu chciała mu pomachać.

Michael się odwrócił, wolną ręką zasłonił oczy, a kiedy wypatrzył reporterów z kamerami, uśmiechnął się szeroko i pomachał ręką jak szaleniec.

Lene nie mogła dłużej się opierać. Podniosła rękę i pomachała do telewizora.

Z jakiegoś powodu łzy stanęły jej w oczach.

– Jak ty się czujesz?

– Dobrze. Wszystko w porządku – odparła.

– Kłamiesz.

– Tak, kłamię.

– Zostaję na parę dni w Kopenhadze! – krzyknął. – Może chcesz się spotkać... pogadać?

Nie odpowiedziała. Telefon w jej ręce robił się coraz cięższy.

Michael znów zaczął coś mówić, ale jego głos zagłuszył silnik samolotu.

– Wracaj do domu, Michael – powiedziała wreszcie. – Wracaj do żony i dzieci, słyszysz? Oni cię potrzebują.

– ...co?

– Wracaj do domu, do diabła!

Zakładników eskortowano teraz z czerwonego dywanu. Premierka ruszyła w stronę czarnego audi, którego drzwi przytrzymał ochroniarz. Po raz ostatni po królewsku pomachała ręką rodakom i wsunęła się na tylną kanapę.

W telefonie Lene słyszała tylko statyczny szum.

Michael potrząsnął telefonem i schował go do kieszeni. Z poważną miną spojrzał w stronę kamer telewizyjnych, aż materiał się skończył i na ekranie pojawiła się siedząca w studiu prezenterka. Lene wyłączyła telewizor.

Pilot wysunął jej się z dłoni, a jej ostatnia świadoma myśl dotyczyła mężczyzny na lotnisku. Pomyślała mianowicie, że chyba mimowolnie się uśmiechała. I że to Michael tak na nią działał.

Nietrudno było się domyślić, co robił tam, na lotnisku, pomyślała jeszcze. Do zadań delikatnych, w których należało działać dyskretnie, a stawką były wielkie pieniądze i renoma wpływowych ludzi, zwykle angażowano kogoś takiego jak Michael Sander, kto miał pewne szczególne kompetencje. Sam był kiedyś żołnierzem, kapitanem żandarmerii wojskowej jednego z pułków, a potem policjantem i wreszcie konsultantem jednej z największych międzynarodowych agencji ochroniarskich, Shepherd & Wilkins, mającej siedzibę w Londynie. Miał ponadto imponującą sieć kontaktów w tajnym świecie służb specjalnych. Być może armator zaoferował nagrodę za informacje, gdzie terroryści z Asz-Szabab trzymają zakładników... Może...

Lene zasnęła, ale ze słabym płomykiem nadziei, że może nie była na tym świecie tak rozpaczliwie samotna jak jeszcze dwie godziny wcześniej.

\* \* \*

Dotarcie do białych biurów Komendy Głównej w Glostrup, skąd prowadzono śledztwo w sprawie zamachu w Tivoli, było nie lada wyczynem. Zgodnie z nowymi zasadami bezpieczeństwa najbliższy parking odsunięto na pięćdziesiąt metrów od głównego wejścia, a plac przed nim zabarykadowano betonowymi blokami i metalowymi słupkami.

Personel miał wprawdzie dostęp do ogrodzonego parkingu, ale każdorazowo, bez względu na pogodę trzeba było wysiąść z samochodu i poczekać, aż zaśliniony, specjalnie przeszkolony labrador obwącha kabinę, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej materiałów wybuchowych, a strażnik z bronią

nie skontroluje podwozia i bagażnika lusterkiem i kamerą na długim aluminiowym kijku.

Wewnątrz stało się w kolejce, gdzie wszystkim prześwietlano i przetrząsano torby, a ludzie musieli przechodzić przez wykrywacze metalu, wsuwać karty czipowe do czytnika i na koniec ustawiać się do skanera tęczówki, który niestety rzadko działał poprawnie, za to często uruchamiał ogłuszający alarm, jakby roztopiał się reaktor jądrowy.

Lene była wykończona, zanim dotarła do Sali Mozaikowej na drugim piętrze, gdzie grupa kilkunastu niezłomnych mężczyzn i kobiet, w większości emerytowanych policjantów, od miesięcy przeglądała setki tysięcy zdjęć i filmów z tabletów, aparatów i smartfonów, z których korzystano w Tivoli 17 września zeszłego roku.

Komenda Główna Policji założyła w tym celu specjalny portal, na który ludzie z całego świata przesyłali swoje materiały. Wszystko było formatowane, oznaczane według godziny i umieszczane w ogromnej trójwymiarowej scenografii kopenhaskiego parku rozrywki. Była to praca żmudna i heroiczna, największa w swej kategorii w całej historii kryminalistyki. Liczono, oczywiście, że uda się znaleźć nagranie zamachowca bądź zamachowczynie oraz jego lub jej współwinnych. Że na którymś z tych nagrań wśród tysięcy twarzy znajdzie się ta jedna, pasująca do którejś z katalogu znanych i domniemyanych terrorystów.

Lene omiotła wzrokiem długie stoły z komputerami, drukarkami i podświetlanymi ekranami. Na niektórych stołach ustawiono makiety Tivoli. Na ścianach wisiały zdjęcia twarzy i rysunki architektoniczne. Niektóre twarze były powiększone i oznaczone czerwonym krzyżykiem jako należące do którejś z 1241 ofiar. Czasem twarz była spokojna, beztroska, czasem sfotografowana od dołu, z góry albo z boku. Niektóre zdjęcia były poruszone. Inne wykonane w tej samej sekundzie, w której fotograf zmienił się w żywą pochodnię eksplodujących gazów, rozerwany siłą fali uderzeniowej, ostrzelany metalowymi kulkami z kamizelki samobójcy albo zmiażdżony wałącymi się powyginanymi stalowymi dźwigarami karuzeli.

W okolicy punktu zero, czyli bezpośrednio pod Statkiem do Nieba, znaleziono sporo telefonów i kamer. Większość była oczywiście zgnieciona albo spalona, ale o dziwo informatykom udało się z wielu z nich uzyskać nienaruszone obrazy.

O ile Lene się orientowała, nie zidentyfikowano jeszcze zamachowca, z drugiej strony nie brała udziału w głównym śledztwie. Powodem odsunię-



cia jej od centrum wydarzeń było jej ogólne wyczerpanie psychiczne. Straciła zapał do pracy, którą przez osiemnaście lat uwielbiała. Zgasła w niej iskra i Lene nie umiała jej ponownie wskrzesić. Zawsze była pracowita, energiczna i pełna zapału. Zawsze dawała z siebie wszystko. Ale to było dawniej. Dziś Lene obserwowała u siebie wszystkie klasyczne oznaki wypalenia: potrzebę izolacji, przestała rozmawiać nawet z najbliższymi przyjaciółkami, irytowało ją wszystko i wszyscy, miała trudności z zasypianiem i nadużywała alkoholu. A przede wszystkim nie opuszczało jej obezwładniająca poczucie bezsensu. Starła się z nim walczyć, między innymi poprzez wolontariat w Linii Życia, ale nie miała do tego serca.

Przez swoją marną kondycję psychiczną Lene została odsunięta od tętniącego życiem pola między PET a Komendą Główną, przez które przebiegała główna oś śledztwa, na boczny tor zarośnięty chwastami.

Przeszła przez salę i weszła do małego biura, które jej udostępniono w ramach podgrupy o nazwie Przejścia graniczne i drogi dostępu. Szefowała obecnie tylko jednej osobie, otyłemu informatykowi o imieniu Bjarne, którego największymi pasjami były Orkiestra Dęta Marynarki Wojennej i składowanie modeli samolotów. Do zadań ich podgrupy należało wyjaśnienie, w jaki sposób zamachowiec dostał się do Danii. Oczywiście o ile po prostu tu nie mieszkał.

We dwoje całymi dniami ślęczeli nad raportami z Urzędu Bezpieczeństwa Morskiego, Krajowego Urzędu do spraw Żeglugi, właścicieli żaglówek, służb celnych, systemu monitoringu ruchu na duńskich wodach wewnętrznych jak BELTREP i SUNDREP, systemów rezerwacji biletów lotniczych, kolejowych, wynajmu samochodów, przeglądali plany rejsów samolotów prywatnych i raporty drogówki, sprawdzali całą bazę noclegową od pól namiotowych po hotele w okresie od lipca do września ubiegłego roku. Była to praca w gruncie rzeczy całkowicie bezcelowa. Po wejściu do strefy Schengen granice Danii stały otworem. Do kraju można było bez przeszkód wjechać od strony Niemiec albo przy płynąć promem z Helsingborga do Helsingøru, przejechać mostem nad Sundem albo przylecieć z Bornholmu. Bez żadnej kontroli i śladu przekroczenia granicy.

Ich biuro zostało na szybko wydzielone w rogu Sali Mozaikowej przy pomocy tymczasowych gipsowych ścian. Słyszając głośnie buczenie, odruchowo schyliła głowę, zanim zderzył się z nią zdalnie sterowany helikopter.

– Wyłącz to, Bjarne – powiedziała spokojnie.

Helikopter wykonał perfekcyjne trzypunktowe lądowanie na biurku jej kolegi i jego silnik zgasł.

– Przepraszam – wymamrotał Bjarne. – Kawy?

– Tak, poproszę. – Powiesiła skórzaną kurtkę na oparciu krzesła, torebkę postawiła na podłodze i usiadła za biurkiem.

Bjarne zaaranżował w ich minibiurze kącik z ekspresem do kawy, czajnikiem elektrycznym, małą lodówką i kuchenką mikrofalową. Nigdy nie korzystał ze stołówki. Wycisnął do kubka Lene trójkątny kartonik mleka i usiadł na wprost niej. Komisarz Jensen podmuchała parującą kawę i wypła łyk.

– Coś nowego?

– Dziś jest zebranie wydziału – oznajmił i podsunął jej cienką teczkę. – Napisałem raport o naszych postępach.

– Nie wiedziałam, że jakieś poczyniliśmy.

– Raport zajmuje tylko pół strony.

– Super.

Lene omiotła wzrokiem treść krótką jak zwrotka psalmu.

– Co to za polski kabotażowiec?

Technik pokiwał wolno głową. Jego palce pogrzebały nerwowo w gąszczu elektronicznych gadżetów, kabli, włączników, woltomierzy, rozsypanych chrupek serowych i wybebeszonych wnętrzości z najróżniejszych modeli telefonów komórkowych. Gość miał wszechstronny i naturalny talent do elektroniki.

– Kazimierz Pułaski, zarejestrowany w Gdańsku – wyjaśnił. – Kupa złomu o nośności dwa tysiące trzysta ton rejestrowych brutto. Dwunastego września wypłynął z Kaliningradu z ładunkiem grafitu do Oslo.

– I?

Bjarne wytarł czoło chusteczką, na której mama wyszyła mu ładny, zakręcany monogram, jakby Bjarne miał szlacheckie korzenie. W sumie spisywał się nieźle, pod warunkiem że się go nie stresowało ani nie mówiło do niego zbyt ostrym tonem. Nigdy natomiast nie udało się Lene nawiązać z nim kontaktu wzrokowego. Jakby raz na zawsze nauczył się, że po reszcie ludzkości nie należy się spodziewać niczego dobrego.

– Według SUNDREP w nocy z trzynastego na czternastego września rzućli kotwicę przy Vedbæku. Na kanale szesnastym zgłosili problemy z silnikiem, ale powiedzieli, że sami sobie poradzą.

– I co z tego? Takie rzeczy chyba się zdarzają.

Lene zamknęła teczkę i odsunęła na bok. Nic. Jak zwykle.

– Pół godziny później popłynęli dalej – wyjaśnił oschle. – Moim zdaniem to dość szybko.

– Dlaczego? Może to nie była poważna awaria. Coś jeszcze?

– Zostało nam do sprawdzenia kilka ostatnich pól namiotowych i wygląda na to, że będziemy mieli wszystko.

– Świetnie.

Na popołudniowej naradzie Charlotte Falster jak zwykle będzie ją przewiercać wzrokiem z tym ulotnym oskarżycielskim uśmiechem na wąskich ustach, jakby Lene była retrieverem, który przestał aportować.

Wyjęła z kieszeni biały telefon Ain i położyła go na biurku. Obracała go w palcach, gdy Bjarne poczłapał do aneksu kuchennego, żeby zaparzyć sobie kolejną herbatę z cytryną. Mimo postury poruszał się bezdźwięcznie w chińskich tenisówkach.

– Bjarne?

– Mmm.

– Znalazłam telefon w autobusie, ale klawiatura jest zablokowana. Myślisz, że dałbyś radę go otworzyć?

– Jasne.

Krzesło biurowe ugięło się pod ciężarem jego ciała. Wziął od niej telefon, wsunął do niego wtyczkę i otworzył na swoim komputerze jakiś program. Lene patrzyła na szybko zmieniające się grupy zielonych cyfr. Po kilku sekundach ekran telefonu zaświecił i Bjarne oddał jej aparat.

– Dwa, dwa, cztery, sześć. Pewnie ostatnie cyfry numeru CPR właściciela. Ludzie zwykle tak robią.

W tym przypadku akurat pudło, pomyślała Lene, bo pamiętała CPR Ain.

– Dzięki.

\* \* \*

Bjarne odwrócił się do niej plecami i studiował listy gości na polach namiotowych Zelandii.

W telefonie Ain zapisane były tylko pojedyncze esemesy. Kilka „co sły chać, skarbie?” od „mamy”. I kilka utrzymanych w podobnym tonie od zaniepokojonego „taty”. Parę przypomnień o urodzinach jakiejś „Laury”, próśb, żeby wpadła do domu i porozmawiała z rodzicami, pytania o jej wa-

kacyjne plany i czy ma ochotę pojechać z nimi do domku letniskowego. Bo tęsknią.

Lene przeczytała też odpowiedzi Ain, ogólnikowe, niezdecydowane, chwilami wręcz opryskliwe. Znała ten ton do bólu z wiadomości, które pisała do niej Josefine. Uśmiechnęła się cierpko na tę myśl. Ain i Josefine mogłyby być bliźniaczkami. Obie między wierszami pisały mniej więcej to samo: „nie wtrącaj się, mamó” albo „zostaw mnie w spokoju”, albo zniecierpliwione „weź się zajmij własnym życiem!”.

Z listy połączeń przychodzących i wychodzących wynikało, że dzień przed śmiercią Ain wielokrotnie bez powodzenia próbowała się dodzwonić do niejkiej Nazeery. Ostatni raz wykonała do niej telefon pół godziny przed tym, jak zadzwoniła do Lene ze stacji Nørreport.

Lene otworzyła galerię. Zdjęć też było niewiele. Kilka ujęć pustej plaży w popołudniowym świetle. Słońce wisi nisko nad czarną wodą z pojedynczymi krami. Były zdjęcia kąpieliska w zimowej odsłonie, z długimi sopłami wiszącymi z barierek i trampolin. I jedno selfie, na którym Ain uśmiecha się beztrosko. Lene rozpoznała ją ze zdjęcia w prawie jazdy. Drugim ramieniem obejmowała jakąś kobietę. Miały identyczne białe koszule, czarne spodnie i długie czarne fartuchy. Stały przed popularną duńską siecią restauracji, która miała lokal w Tivoli. W tle widać było fragment drzewa z jasnozielonymi młodymi liśćmi na cienkich gałęziach. Zdjęcie wiosenne. Kobieta wyglądała na starszą od Ain. Mogła być po trzydziestce. Była o jakieś dziesięć centymetrów wyższa, piękna jak modelka Playboya i miała bliskowschodnią urodę. Jej jasne, zielone oczy miały podobny odcień do oczu Lene. Zmysłowe usta lekko się uśmiechały, a na bladej twarzy widać było dyskretny makijaż. Miała włosy czarne jak Ain i była równie szczupła jak ona. Lene powiększyła plakietki z imionami na ich piersiach. Ain i Nazeera.

Z ich wspólnego zdjęcia były przyjaźń i beztroska. Ain miała tak samo szczerą i ufny uśmiech jak Josefine.

Lene poczuła pieczenie pod powiekami. *Wszystko* kojarzyło jej się z Josefine. Bjarne poruszył się niespokojnie, chociaż był odwrócony plecami. Jak każdy, kto od najmłodszych lat był narażony na intensywny mobbing, wykształcił w sobie sejsmograf wyczulony na najdrobniejsze drgania otaczającego go powietrza.

Przy ostatnich zdjęciach zmarszczyła czoło i poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy do stóp, czy gdzie tam spływa ta przeklęta krew w sytuacji na-

głego i silnego zaskoczenia. Otóż aparat telefonu uchwycił kobietę po czterdziestce, która wychodzi ze sklepu. W obu rękach taszczy żółte reklamówki, widać wyraźnie, że są wypchane butelkami. Lene pomyślała o promocji tygodnia na sześć butelek czerwonego wina chilijskiego albo australijskiego. Kobieta patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Na chodniku stał młody mężczyzna z wózkiem dziecięcym. Obok niego stało dziecko w niebieskim kombinezonie i ręką w czerwonej rękawiczce ścisnęło rurkę wózka. Dziecko patrzyło z powagą na kobietę, która zdawała się nie widzieć niczego wokół.

Następne ujęcie przedstawia tę samą kobietę wysiadającą z małego niebieskiego samochodu, a trzecie, ostatnie wybierając pieniądze z bankomatu na Strøgecie. Na koniec była cała seria ostrych zdjęć dobrze oświetlonego kościoła we Frederiksbergu.

Lene odłożyła telefon i zamknęła oczy. Znała tę kobietę. Jej twarz była pierwszym, co widziała co rano w lustrze, i często zaglądała do przypadkowych kościołów o przypadkowych godzinach, żeby przez pół godziny posłuchać ciszy albo trwającej akurat próby organowej albo chóru.

– Kurwa... *kurwa mać!*

Bjarne się odwrócił.

– Co jest?

– Nic. Nic takiego, Bjarne.

– Na pewno?

– Tak.

Od jak dawna Ain ją śledziła? I jak to możliwe, że tego nie zauważyła? Lene uważała się za osobę racjonalną, ale po osiemnastu latach pracy w policji rozwinął się w niej jednak szósty albo siódmy zmysł. Zawsze na przykład wiedziała, kiedy ktoś kłamał.

I zawsze, ale to zawsze, bez pudła wiedziała, gdy ktoś ją śledził! Czuła wtedy charakterystyczny ucisk w karku, dyskomfort nie do pomylenia z niczym innym.

I naprawdę jeszcze nigdy się nie pomyliła. To oznaczało, że było z nią gorzej, niż sądziła. Lene postanowiła natychmiast coś z tym zrobić. Na przykład przestać pić.

Sprawdziła listę kontaktów i wśród kilkunastu innych odnalazła własne imię i adres. Był tam też Jesper Horn, jego numer i adres przy Grønnegade. Horn był jednym z psychiatrów, do których wolontariusze Linii Życia mogli kierować osoby pilnie potrzebujące pomocy.

Wykasowała z telefonu Ain swoje nazwisko i zdjęcia, które Ain jej zrobiła.

– Nie zapomnij o zebraniu – przypomniał jej Bjarne.

– Jasne – wymamrotała Lene mechanicznie.

– Tak w ogóle telefon jest na podsłuchu – powiedział równie cicho jej kolega, też jakby do siebie.

Lene wpatrywała się w telefon, a jej świadomość powoli przetwarzała tę informację.

– Zaraz, co powiedziałaś?

Wskazał na swoim monitorze listę numerów, które były na podsłuchu. Listę, która po zamachu w Tivoli gwałtownie się wydłużyła.

– Numer jest oznaczony. Sąd zatwierdził podsłuch trzy miesiące temu na wniosek prokuratury w Kopenhadze.

Bjarne odruchowo się odsunął, gdy Lene wstała i czytała mu przez ramię.

– Kto u licha o to poprosił? – zastanawiała się.

– O to musisz spytać w prokuraturze. Albo w centrali w Bellahøj, chociaż oni ci nic nie powiedzą. Nie wolno im.

Lene wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersi. Spojrzała na telefon na swoim biurku. Wyglądał tak niewinnie w tej bieli, taki milczący i wyłączony. Słyszeli ją? Słyszeli, że rozmawiała z Ain, tuż zanim dziewczyna rzuciła się pod pociąg? Nagrali ich rozmowy w telefonie zaufania?

– Jaki jest status podsłuchu? – Bardzo się postarała mówić spokojnie.

Bjarne poklikał w menu.

– Wniosek o zakończenie wpłynął wczoraj o dwudziestej trzydzieści dwie.

Oczywiście, pomyślała. Ain nie żyła. Komu by się chciało podsłuchiwać telefon zmarłej?

Małe biuro zrobiło się jeszcze mniejsze, a ściany nie przestawały się do siebie zbliżać. Lene zaczęła się dusić. Porwała kurtkę z krzesła, podniosła torbę z podłogi, a telefon Ain schowała do kieszeni.

– Nie zapomnij o tym zebraniu – powiedział błagalnym głosem Bjarne.

– Tak, pamiętam. Na razie.

Lene zabrała jeszcze jego raport i już miała mu położyć rękę na ramieniu, żeby się nie martwił, ale w ostatniej chwili przypomniała sobie, że tego nie lubił.

Stawiała długie kroki, przechodząc przez Salę Mozaikową, ale gdy dotarła do schodów, jednak się zawahała. Powinna pójść piętro wyżej i po-

słusznie zająć miejsce na końcu stołu konferencyjnego, lecz zamiast to zrobić, zbiegła na dół, wyszła z budynku i przecięła parking w poprzek. Usiadła za kierownicą i jeszcze przez chwilę nie zamykała drzwi. Obok jej lewej stopy była studzienka ściekowa. Telefon mógł do niej wpaść i zniknąć bez śladu. Bjarnego mogła poprosić, żeby przysiągł, że nic nie wie o żadnym telefonie. Był bezgranicznie lojalny.

Wyjęła telefon z kieszeni spodni, trzymała go w dwóch palcach, rozejrzała się po pustym parkingu i pochyliła bliżej studzienki.

I nagle pomyślała o dwóch młodych kobietach pod dębem przed restauracją. O woli życia. Prostej, niezmaconej woli życia. Bezchmurne niebo. Wiosna.

Nim się zorientowała, co robi, wcisnęła opcję ponownego wybierania pod zdjęciem pięknej brunetki o zielonych oczach.

\* \* \*

– Kto mówi?

Lene słyszała w tle szum rozmów, brzęk sztućców i stukanie porcelany i szkła. Odchrząknęła.

– Ain? To ty?

Kobięcy głos był mroczny i spięty.

– Mam na imię Lene Jensen. Dzwonię z Komendy Głównej. Czy rozmawiam z Nazeerą?

– Kto mówi?

– Lene Jensen, Komenda Główna Policji. Ain ma cię w kontaktach. Wczoraj wielokrotnie próbowała się do ciebie dodzwonić.

– Tak – mówi Nazeera. – Ale dlaczego... Co się stało? Coś z Ain? I mówi pani, że kim jest?

Lene słyszała w słuchawce przyspieszony oddech. Kobieta szła przez duże hałaśliwe pomieszczenie i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Czy Ain coś się stało? – spytała, gdy szum w tle gwałtownie ucichł. Prawie nie miała akcentu.

– Jesteście spokrewnione? – Lene odpowiedziała pytaniem.

– Nie, ale to moja bliska przyjaciółka. Najbliższa. Co się stało?

– Pracujecie razem?

– Tak! Powie pani wreszcie, co się stało? Błagam, niech mi pani powie.

– Nazeero, Ain niestety nie żyje. Bardzo mi przykro. Zmarła wczoraj.

– Jak to?

– O tym właśnie chciałabym z tobą porozmawiać. – Lene zaskoczyły własne słowa.

Wyobrażała sobie, jak wszyscy właśnie zasiadają w sali konferencyjnej na trzecim piętrze, a komendant główna policji Charlotte Falster pochyla się i mówi coś do osoby obok.

– Czy jej rodzice wiedzą...

– Na pewno – zapewniła ją Lene.

– Nie pojmuję tego... Jak mogła umrzeć? Dlaczego?

– Możemy się spotkać? Teraz?

– Oczywiście... Muszę tylko dać komuś znać. Ale na pewno możemy. Ja po prostu nic z tego nie rozumiem.

Lene zamknęła drzwi samochodu i uruchomiła silnik. Czowała przenikliwie zimno i włączyła ogrzewanie.

– Nazeero, myślę, że powinniśmy o tym porozmawiać w cztery oczy, dobrze? Obiecuję, że wszystko ci wyjaśnię.

– Dobrze...

– Jesteś teraz w pracy?

– Tak.

Kobieta podała Lene adres w Østerbro: restauracja Le Crocodile Vert przy Marskensgade.

– Będę za pół godziny.

\* \* \*

Kontakt wzrokowy nawiązały od razu. Szczupła ciemnowłosa dziewczyna stała za barem w ruchliwej restauracji przypominającej bistro. Wytarła ręce w fartuch i ręką przywołała do siebie Lene.

Zaprowadziła ją wąskim korytarzem przez chaotyczną i hałaśliwą kuchnię. Ciągnęła za sobą niewidzialną smugę ciemnego, zmysłowego zapachu. Wreszcie otworzyła drzwi małego kantorka. Stało tu zawałone papierami biurko i staroświecki komputer z bzyńczącym monitorem. Zdjęła z krzesła stos segregatorów, żeby Lene miała gdzie usiąść. Chwilę stała z tymi segregatorami i się rozglądała, w końcu upuściła je na podłogę.

– Duży ruch – bardziej stwierdziła, niż zapytała Lene i wyciągnęła rękę.  
– Lene.

Kobieta pokiwała głową i ścisnęła czubki palców pani komisarz.



– Nazeera. W zeszłym tygodniu dostaliśmy pięć gwiazdek. Staliśmy się modni. W recenzji chwalili autentyczny paryski klimat, chociaż nikt z nas nie mówi słowa po francusku.

– Gratuluję.

Kobieta usiadła za biurkiem i założyła za uszy lśniące czarne włosy. Popatrzyła na swoje dłonie splecione na kolanach. Miała ładne, owalne paznokcie perfekcyjnie pomalowane ciemnoczerwonym lakierem. Lene spojrzała na własne obgryzione niemal do mięsa i schowała ręce do kieszeni kurtki. Michael Sander wyznał jej kiedyś, że nowo poznanych ludzi zawsze dzieli na ludzi umysłu lub ciała. Podobno można to poznać po tym, jak ktoś się porusza. Czy ma suche, czy dobrze naoliwione stawy. Twierdził, że kluczowe są tu biodra i miednica. Lene w biodrach i miednicy Nazeery nie dopatrzyła się żadnych, najmniejszych nawet zgrzytów. Kobieta emanowała nieskrępowaną, zwierzęcą zmysłowością, tak intensywną, że można ją było kroić nożem.

– Czyli Ain nie żyje – przeszła do rzeczy i popatrzyła na Lene. – Jak to się stało?

– Rzuciła się pod pociąg na stacji Nørreport. Wczoraj przed południem. Tuż przed tym zadzwoniła do mnie. Właściwie zrobiła to w trakcie naszej rozmowy.

– Dlaczego?

– Dlaczego co, Nazeero? Dlaczego to zrobiła? Nie wiem. Powiedziała, że na to zasłużyła, że ją śledzono. Ty mi powiedz, czy rzeczywiście ktoś za nią chodził i czy na to zasłużyła.

Kobieta ze złością przesuwiała między palcami sznur małych białych koralików i patrzyła na Lene nieobecny wzrokiem. Wreszcie prychnęła urażona.

– Ona miałyby zasłużyć? Ain? Gdybyś ją znała, nie musiałabyś zadawać takich pytań. Była niewinna jak niemowlę. Dlaczego z tobą rozmawiała?

Dziewczyna patrzyła jej teraz prosto w oczy i Lene zorientowała się, że ma do czynienia z osobą silną i zdecydowaną. Głos kobiety był mocny jak skała. Jednocześnie Lene wyczuwała w Nazeerze naturalną podejrzliwość jak u kogoś, kto wielokrotnie musiał rozmawiać z policją i innymi przedstawicielami władz i zawsze czuł się po tym rozmowach rozczarowany. Ale nie zastraszonej.

– Przez kilka miesięcy byłam wolontariuszką w Linii Życia – wyjaśniła Lene. – To taka...

– Wiem, co to jest.

Lene zamilkła i zamrugała kilkakrotnie. Zdecydowanie wyszła z wprawy, a przecież swego czasu uchodziła za jedną z najzdolniejszych śledczych w Komendzie Głównej. Dość tego, weź się w garść i przejmij inicjatywę, upomniała się w myślach.

– Okej, Nazeero. Zatem Ain była smutna... Nie wiem dokładnie, z jakiego powodu, ale z tego, co zrozumiałam, dorastała w obozie dla uchodźców, nie znała swoich biologicznych rodziców i ogólnie miała ciężkie dzieciństwo.

Nazeera zmrużonymi oczami wyglądała przez brudne wąskie okienko na szare podwórko, jakby się zastanawiała, czy woli tę szybę umyć czy ją stłuc. Wreszcie wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A kto nie miał pojebanego dzieciństwa?”

– Oczywiście nie zawsze musi istnieć jakiś uświadomiony powód, żeby czuć się przygnębnym albo zrozpaczonym – dodała cicho Lene. – Nazeero, skąd ją znałeś?

– Nie musisz w każdym zdaniu powtarzać mojego imienia. Wiem, jak się nazywam.

– Wybacz.

Kobieta wyjęła z kieszeni fartucha paczkę papierosów, zapaliła jednego i patrzyła na Lene przez cieką strużkę jasnoszarego dymu, która powoli płynęła spomiędzy jej czerwonych warg. Zwróciła twarz w stronę chłodnego światła na podwórzu. Miała harmonijny profil z wysokim, zdradzającym inteligencję czołem. Od skroni w dół do uszu wiły się delikatne cienkie włoski. Wzdłuż całej małżowiny miała szereg małych srebrnych kolczyków, a w nosie srebrny piercing w kształcie małej jaszczurki. Nie zapytała Lene, czy będzie jej przeszkadzało, jeśli zapali. Albo czy na przykład dym nie wywoła u niej ataku astmy. Przygryzała tylko lekko jeden ze swoich nieskazitelnie wymanikiurowanych paznokci i patrzyła w stół.

– Wydaje mi się, że wiele osób, które były tamtego dnia w Tivoli i wyszły z tego cało, ma dziś wyrzuty sumienia – powiedziała po chwili. – Wszyscy zastanawiamy się, czy mogliśmy zrobić cokolwiek, żeby to powstrzymać, szukamy odpowiedzi, dlaczego my przeżyliśmy, gdy tak wielu innych porządnych ludzi zginęło. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Lene pokiwała głową. „Zasłużyłam, żeby umrzeć, nie raz, ale ponad tysiąc razy”. Tak powiedziała Ain.

– Więc byliście wtedy w Tivoli?

– Pracowałyśmy razem w Restaurant Picasso i siedemnastego września byłyśmy w pracy. Statek do Nieba znajdował się po drugiej stronie parku. U nas w restauracji nic się nie stało. Oczywiście wybiło wszystkie okna i zapalił się ogień we frytownicy, bo ktoś się przestraszył. Ale poza nikomu nic się nie stało.

Lene zmarszczyła brwi.

– Co niby mogłyście zrobić? – spytała zaskoczona.

Kobieta wzruszyła ramionami, jakby uważała, że aby to zrozumieć, trzeba było tam być.

– Nic – potwierdziła. – Zostawiła jakiś list? Jakąś wiadomość dla mnie?

– Nie wydaje mi się. Zauważyłaś u niej jakąś zmianę po Tivoli?

– Tak! Nie! Co mam ci powiedzieć? Może się zmieniła. Bardzo możliwe. Była Arabką, ale duńską. Jej rodzice adopcyjni to mili ludzie. Duńczycy, co nie zmienia faktu, że Ain była Arabką. Palestynką. Myślisz, że to łatwe? Otóż nie, żadnemu z nas nie jest łatwo. Nie wiemy, komu co jesteśmy winni. Ain próbowała się dowiedzieć, kim była, rozumiesz? Wszyscy w pewnym momencie stajemy przed takim dylematem. Zastanawiała się, czy wierzy w Boga czy Allaha. Czy powinna wyjść za Araba czy Duńczyka. Czy może mieć psa, zjeść schabowego, a w piątek się zalać w trupa, czy raczej powinna nosić chustkę, stać się niewidzialna i pokorna i czytając Koran, czekać na kuzyna z ojczyzny, żeby mu urodzić mu szóstkę dzieci. Czy powinna pojechać do Syrii i zostać wojowniczką.

– Ty nie nosisz chustki – zauważyła Lene.

Nazeera się uśmiechnęła. Różowy czubek języka wysunął się spomiędzy równych białych zębów, zwilżył górną wargę i wrócił do jamy ustnej, a Lene poczuła w ciele delikatny niepokój. Pomyślała, że gdyby była mężczyzną, nie umiałyby się oprzeć kobiecie takiej jak Nazeera, o dużych piersiach, długich nogach, wąskiej talii i złocistej szyi bez jednej zmarszczki.

– Jestem grzesznicą – wyznała. – Nie jestem taka jak Ain.

– Ale blisko się przyjaźniłyście?

– Jestem od niej osiem lat starsza. Ja już wiem, skąd jestem. I wiem, kim jestem, okej? Jestem z Jordanii, mój ojciec jest Jordańczykiem, brat, siostra, wujkowie i ciotki: wszyscy są Jordańczykami. Moi rodzice przyjechali do Danii, gdy miałam czternaście lat. Ojciec jest profesorem na Uniwersytecie Kopenhaskim, a mama chemiką w Novo. Nie uciekali przed wojną, to duński rząd ich tu zaprosił, ponieważ sądzono, że ojciec może kiedyś dostać Nobla albo coś w tym stylu. Potrafi coś, czego nie umie nikt inny. Rodzice

nie wierzą ani w Boga, ani w Allaha, wierzą w pierwiastki chemiczne, w chemię organiczną, Darwina, zbiegi okoliczności i teorię wielkiego wybuchu. Są wyluzowani.

– A ty w co wierzysz?

– W wolność i pieniądze.

– A w Allaha nie?

– To moja sprawa, okej? Ale nawet jeśli, to od rodziców się tego nie nauczyłam.

– Ain próbowała cię naśladować?

Nazeera zamrugła zaskoczona.

– Tak, ale jej nie pozwalałam. Była kimś znacznie wartościowszym niż ja. Powinna być sobą, nikiem innym. Musiała tylko zrozumieć, że bycie Ain oznaczało o wiele więcej, niż po prostu bycie w porządku.

– Gdzie ją spotkałaś?

Zgasiała papierosa w przepelnionej popielniczce i skrzyżowała ręce na piersi.

– I ty, i ja jesteśmy bohaterkami. Ja próbuję pomagać muzułmańskim dziewczynom, a ty starasz się wspierać samobójców.

– Już nie – sprostowała Lene.

– Aha. Ja w każdym razie nadal to robię. Jestem wolontariuszką w świetlicy dla młodych muzułmanek przy Møllegade w Nørrebro. Dziewczyny przychodzą tam, żeby porozmawiać, napić się kawy i zdjąć te okropne szmaty z głów. Mogą tam oglądać telewizję, tańczyć albo ćwiczyć aerobik i żaden brat ani ojciec czy wujek nie będą na nie krzyżeć ani ich pilnować. A chłopcy z dzielnicy wyzywają je od dziwek, bo nie noszą hidżabów.

– Ciebie też nazywają dziwką?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

– Rozumiem. Zatem Ain przychodziła do świetlicy?

Nazeera spojrzała na zegarek, męski rolex z metalową bransoletą. Na nogach miała masywne martensy i stanowiła szczególne połączenie młodej Moniki Bellucci z Larą Croft.

– Tak, jakieś dwa, może trzy lata temu zaczęła tam przychodzić z koleżanką. Polubiłam ją. Dużo rozmawiałyśmy. Pojechałyśmy razem do Wenecji. My... byłyśmy ze sobą... – Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec.

Boże, pomyślała Lene. Ain i Nazeera były parą.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

Kobieta patrzyła jej prosto w twarz, potem pokiwała głową i przełknęła ślinę. Oczy jej się zaszklily.

– Muszę wracać do pracy – powiedziała wreszcie.

– Oczywiście.

Lene wstała i wyjrzała przez wąskie okno. Za restauracją było coś w rodzaju podwórza z ogródkiem. Na środku trawnika, na szeroko rozstawionych nogach stało zwierzę wielkości cielaka i patrzyło na nią bez mrugania. Zwierzę miało na szyi szeroką czarną skórzaną obrozę wysadzaną nitami.

– Czy to... pies? – wskazała zdumiona.

Nazeera uśmiechnęła się promiennie.

– Rudy. Rudolf. Pół rottweiler, a pół bandzior. Pilnuje tu wszystkiego. Mnie na przykład.

– Jest twój?

Wzruszyła ramionami.

– Należy głównie do samego siebie. Ale to ja go karmię. I tylko ja.

– Wygląda na śmiertelnie groźnego – zauważyła Lene.

– Bo jest śmiertelnie groźny. Pytałaś, czy frajerzy z getta wyzywają mnie od dziwek. No więc nie, nie robią tego, gdy jest ze mną Rudy.

– Tak, to zrozumiałe – wymamrotała Lene.

Pies gapił się na nią jeszcze kilka sekund, jakby chciał sobie zapamiętać jej wygląd na przyszły użytek. A potem odwrócił potężne cielsko i schował się do cienia pod ławką.

Lene poszła za Nazeerą z powrotem do restauracji. Gruby mężczyzna w białej koszuli stał przy kasie i nabijał na niej jakieś cyfry. Wyglądał na zmęczonego życiem i miał sine worki pod oczami. Popatrzył na Nazeerę ze smutkiem, a potem zniecierpliwionym gestem wskazał na pękającą w szwach restaurację.

Nazeera zarzuciła głową i odparła:

– Tomasz, wróciłam przecież. Wyluzuj! – A do Lene dodała szeptem: – Dupek. Nie znam zbyt dobrze jej rodziców, ale bardzo bym chciała przyjść na pogrzeb Ain. Dasz mi znać, jeśli się czegoś dowiesz? Na przykład jeśli Ain zostawiła jakiś list?

– Zadzwoń, jeśli będę wiedziała więcej – obiecała Lene.

– Dziękuję.

Nagle przestała być cyniczna i twarda. Na pożegnanie dotknęła lekko ramienia Lene, uśmiechnęła się ciepło i odwróciła do grubego właściciela.

– Jak bardzo w lesie jesteście?

Mężczyzna przewrócił oczami.

– Bardzo! Ludzie czekają pół godziny na przystawki – odparł z silnym środkowoeuropejskim akcentem.

– I dobrze, nie musimy się śpieszyć. Nie zapominaj, że tutaj jesteście Francuzami. Im dłużej czekają, tym lepsze wyda im się to, co dostaną. – Znów uśmiechnęła się do Lene, a ta odpowiedziała tym samym.

\* \* \*

Młoda kobieta, która szukała swojej tożsamości, ostatecznie poddała się i rzuciła pod pociąg. I była w związku ze starszą i bardziej doświadczoną Nazeerą, która Lene skojarzyła się z przebiegłym kotem o pazurach niczym czerwone brzytwy. Okej, i co z tego?

Nie draż tego, do cholery, powtarzała w myślach, jadąc wolno w gęstym ruchu na Østerbrogade, i doskonale wiedziała, że nie będzie w stanie tak tego zostawić. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuła, że jej życie ma jakiś cel. Że jest prawie żywa. A w każdym razie nie jest nieprzytomna. Spojrzała na zegarek. Odprawa w Glostrup już się skończyła. Nie miała wyrzutów sumienia. Bjarnemu do niczego nie była potrzebna.

Polski kabotażowiec... Wow...

Lene zatrzymała się na czerwonym na Dag Hammarskjöld Allé i zaparkowała w telefon Ain leżący na fotelu pasażera, aż stojąca za nią furgonetka klaksonem dała jej znać, że światło się zmieniło. Lene w lusterku wstecznym pokazała kierowcy środkowy palec i wykonała niedozwolony nawrót z powrotem w Østerbrogade. Furgonetka jeszcze długo trąbiła wściekle i przeciągle.

Lene się uśmiechnęła. A potem zobaczyła w lusterku granatowy samochód osobowy, który skopiował jej brawurowy manewr. Przez chaotyczną rozbudowę metra ruch uliczny w centrum Kopenhagi przypominał ten w Bangkoku, również pod względem lekceważenia przepisów ruchu przez kierowców i rowerzystów.

Włączyła radio, żeby wyłączyć myślenie, i śpiewała z radiem refren piosenki Abby, popuszczając wodze podświadomości. Skręciła w lewo w Øster Allé, minęła błonia Fælledparken i popatrzyła na wysoką bryłę Rigshospitalet i otaczające ją niższe budynki szpitalne. To tam mieścił się zakład medycyny sądowej, gdzie na metalowym stole za masywnymi drzwiami chłodni

leżały okaleczone zwłoki Ain Ghazzawi Rasmussen i czekały na pochówek. Skoczyła czy ktoś ją popchnął? Lene uważała, że już zna odpowiedź.

Zwolniła przy Jagtvej sto dwa, zatrzymała się pod sklepem całodobowym i popatrzyła w okna na czwartym piętrze po lewej, gdzie mieszkała Ain. Mieszkanie miało francuski balkon z pustymi donicami na zioła. Białe zasłony były rozsunięte. Lene wysiadła, weszła do sklepu i kupiła dwa snickersy, paczkę gumy do żucia i wodę.

Z okna sklepu patrzyła, jak otwierają się czerwone drzwi kamienicy i wychodzi para w średnim wieku.

– Trzydzieści pięć pięćdziesiąt – oznajmiła dziewczyna za ladą.

Lene podniosła rękę.

– Chwileczkę.

Mężczyzna był wysoki, szczupły, miał rozczochrane siwe włosy, krzaczaste brwi, krótką kokię i okulary bez oprawek. Kobieta była niższa, szczupła, dobrze ubrana – i zrozpaczona. Wydmuchała nos i patrzyła w asfalt, nie zważając na świat wokoło. Miała czerwone zapłakane oczy. Mężczyzna podparł ją, kiedy szli w stronę srebrnego volvo starszego modelu. Kobieta, zanim wsiadła, odwróciła się i spojrzała na fasadę budynku. Mężczyzna przytrzymał jej drzwi i również popatrzył na okna na ostatnim piętrze. W końcu zamknął drzwi i obszedł samochód, żeby usiąść za kierownicą.

– Coś jeszcze? – niecierpliwiła się dziewczyna.

– Przymknij się na chwilę – warknęła do niej Lene.

Volvo odjechało w stronę Tagensvej.

Z zaplecza wyszedł młody mężczyzna. Wyglądał na Hindusa albo Pakińczyka.

Z miną waźniaka zwrócił się do Lene.

– Przepraszam bardzo... – zaczął.

– Co?!

Przez chwilę wszyscy troje mierzyli się wzrokiem, aż Lene popatrzyła w podłogę i wymamrotała coś niewyraźnie. Położyła na ladzie pięćdziesiąt koron, zabrała swoje zakupy i wyszła. Na chodniku zerwała papierek i w dwóch kęsach zjadła baton. Kiedy spadał jej cukier, robiła się rozdrażniona i agresywna. Na następnych światłach kierowca volvo wrzucił lewy kierunkowskaz, a Lene znów popatrzyła w okna Ain. Czy to byli jej rodzice adopcyjni? Lene rozpoznała zgaszone spojrzenie kobiety. Wiek się zgadzał. A

ich wzrok skierowany na okna na czwartym piętrze wyrażał więcej niż tysiąc słów. Mężczyzna pod pachą niósł kartonowe pudełko.

Lene zapamiętała numer rejestracyjny samochodu i zadzwoniła do wydziału komunikacji. Helge Rasmussen, Violvej, Værløse. Lekarz internista. Wsiadła do samochodu i zamyślona piła wodę małymi powolnymi łykami.

Czuła się jak podglądaczka. Ktoś obcy, kto nieproszony grzebie w osobistych sprawach i tragediach innych ludzi. Po raz co najmniej dziesiąty tego dnia poddała surowej ocenie własne motywacje. Zasadniczo nie miała powodu, żeby to ciągnąć. Poza lekkim wyrzutem sumienia, że nie udało jej się uratować tej dziewczyny, odwieść od powziętego planu. Że się z nią nie spotkała, kiedy ta o to poprosiła. Wszystko to, plus fakt, że Ain przez telefon nie brzmiała jak ktoś, kto za chwilę rzuci się pod pociąg. Zdecydowanie nie. Obiecała zaczekać na Lene i wydawało się, że naprawdę miała taki zamiar.

Odezwały się też jej instynkty, zmuszając ją do podejrzliwości. Tak długo pozostawały uśpione, że Lene niemal zapomniała o ich istnieniu. Ale teraz były pobudzone i iskrzyły ponagłająco. Popatrzyła przed siebie. Hen, daleko Jagtvej rozplywała się w niebieskiej chmurze spalin.

Tam był Frederiksberg, Kong Georgs Vej, jej dom. Dom, czyli co? Butelki, pustka, tabletki, poczucie bezsensu i stare nagrania z Josefine?

Lene zaklęła i szarpnęła kierownicę.

Nagle coś kazało jej spojrzeć w bok. Para sprzedawców ze sklepu uważnie jej się przyglądała. Lene uśmiechnęła się do nich słabo i przekręciła kluczyk.

Jedna, ostatnia sprawa, pomyślała. I potem zapomni o Ain, wymaże ze świadomości jej istnienie. Wyrzuci przeklęty telefon do śmieci i wróci do domu. Tak naprawdę chodziło o jeden drobny szczegół. Rozmowę. Nic wielkiego.

Z telefonu dziewczyny zadzwoniła do psychiatry Jespera Horna. Przez dwie minuty musiała się kłócić z upartą sekretarką, zanim ta zgodziła się ją połączyć. Od razu powiedział, że nie może teraz rozmawiać. Ma mnóstwo pracy. Ale może poświęcić pani komisarz kwadrans. Z jej powodu nie zje lanczu.

Lene rozłączyła się i włożyła telefon Ain do schowka. Bjarne powiedział wprawdzie, że podsłuch w telefonie dziewczyny był wyłączony, ale Lene i tak była na siebie zła, że nie zadzwoniła z własnego aparatu.



\* \* \*

Psychiatra był młodszy, niż Lene się spodziewała. Szczupły i wysportowany. Miał na sobie jasną lnianą koszulę ze stójką i opięte dżinsy. Nosił kolczyki w obojgu uszu, a umięśnione przedramiona pokrywały tatuaże. Na pierwszy rzut oka Lene oceniła go jako popularnego uzdrowiciela dusz młodych kobiet z dużego miasta, których dolegliwości mają charakter lekkich zaburzeń natury neurotycznej. W każdym razie nie umiała sobie w tym jasnym przestronnym gabinecie wyobrazić ludzi w depresji, mrocznych i złamanych przez życie albo schizofreników wymachujących rękami i wykrzywiających twarze. Umebłowanie stanowiły trzy lekkie włoskie krzesła, francuskie rolety oraz szklany blat nieskażony papierami ani plamami, w którym odbijał się srebrny macbook. Za zgrabną opaloną głową lekarza wisiał duży obraz przedstawiający odludny nadmorski krajobraz. Podpis na obrazie: Maria Horn. Lene pomyślała, że to pewnie artystycznie usposobiona małżonka doktora, która nie pracowała, lecz zajmowała się dziećmi i domem. Lene widziała to bardzo wyraźnie.

Jesper Horn zza szklanego blatu wskazał jej miejsce na krześle naprzeciwko. Splótł ręce i uśmiechnął się do niej promiennie.

– Jesteś z policji?

– Tak. A ty prowadziłeś Ain Ghazzawi Rasmussen. Bo rozumiem, że tu przychodziła?

Psychiatra przyłożył pace do górnej wargi i uśmiech zamarł na jego ustach.

– Masz jakąś legitymację?

Lene położyła ją na blacie. Mężczyzna dokładnie obejrzał dokument, zanim zwrócił go Lene.

– Jesteś kimś bliskim? – spytał.

– Nie w sensie formalnym. Ale wielokrotnie z nią rozmawiałam w Linii Życia, gdy byłam tam wolontariuszką. To ja ją do ciebie skierowałam. Byłeś na naszej liście.

– Ponieważ miała myśli samobójcze?

– Nie wyrażała ich wprost. Czowała się winna. Nie wiem czego. Powiedziała, że zasłużyła na śmierć, ale nie wiem, czy można to traktować jako zagrożenie samobójstwem.

Lekarz pokiwał głową.

– Masz rację. Rozmawiałem z nią kilka razy w listopadzie i grudniu. Na co drugie spotkanie nie przychodziła, za to zjawiała się w inne dni i czekała po prostu, aż skończę z pozostałymi pacjentami. – Spojrzał na monitor. – Ostatni raz widziałem ją dwudziestego pierwszego grudnia. To nie była udana sesja, na koniec poprosiła, żebym ją skierował do innego lekarza.

– Kim ona była? – spytała Lene.

– Jak to była?

– Wczoraj skoczyła pod pociąg na dworcu Nørreport. Nie żyje.

Lekarz odsunął krzesło i wstał. Podeszedł do okien, odsunął zasłony i długo stał z palcami zahaczonymi o pasek z tyłu pleców. Jego sylwetka odbijała się w lśniącej podłodze, jakby miał podwodnego sobowtóra. Z drugiej strony nic chyba nie jest w stanie tak wstrząsnąć psychiatrą i jego wiarą we własne kompetencje jak samobójstwo pacjenta. Lene uznała, że reakcja lekarza była w pełni zrozumiała.

– Czy to oficjalne dochodzenie? – spytał wreszcie.

– W żadnym razie. Jestem tu prywatnie. Chyba czuję się...

– Winna?

– Tak.

– Niepotrzebnie.

– Okej. W takim razie już przestaję. Rozmawiałam z nią przez telefon, kiedy to się stało. Potem, na peronie przypadkiem schowałam do kieszeni jej telefon, a w nim znalazłam twój numer.

Odwrócił się i uśmiechnął:

– Przypadkiem? Czy dlatego, że jesteś gliną?

Lene stwierdziła, że miał ładny uśmiech. Taki, który obejmuje również oczy.

Tymczasem Jesper Horn usiadł i patrzył na nią nieobecny wzrokiem. Nagle wyglądał na starszego. W ostrym słonecznym świetle okazało się, że jego zarost jest siwy. Pomyliła się w ocenie jego wieku o co najmniej pięć lat. W rzeczywistości był jej rówieśnikiem, może trochę starszy.

– Dlaczego zdecydowałaś się na ten wolontariat? A w ogóle policja podsłuchuje te rozmowy?

Lene zmarszczyła brwi i patrzyła na niego zaskoczona. Czy paranoja mogła być zakaźna?

– Nie jestem paranoikiem, nawet jeśli w tej chwili tak właśnie pomyślałaś – wyjaśnił. – Ale nie masz pojęcia, ile pracy nam przybyło po Tivoli. To szaleństwo, dosłownie. Po zamachach na World Trade Center, w Madrycie i

Londynie odnotowano nagły wzrost liczby samobójstw, prób samobójczych i hospitalizacji psychiatrycznych.

I w Danii obserwujemy to samo. Myślę, że zamachy terrorystyczne wpływają na stan umysłu osób psychicznie niestabilnych silniej, niż nam się wydaje. Wystarczy jedna sekunda w niewłaściwym miejscu i czasie, a twoje życie zostaje zdmuchnięte jak świeczka. To oczywiste, że takie zdarzenie wstrząsa człowiekiem w sposób najbardziej fundamentalny. Dosłownie wszystko nagle staje się względne, prawda? Każdy czasem chodzi do Tivoli, dlatego tak łatwo nam się utożsamiać z ludźmi, którzy zginęli tamtego dnia. Bo byli dokładnie tacy jak my.

– Racja.

– Niektórzy z nas odwiedzali ten park wielokrotnie. Większość Duńczyków ma mnóstwo wspomnień związanych z tym miejscem. To nasz skarb narodowy i symbol wszystkiego, co duńskie, niewinne i nostalgiczne. Moja córka każdego lata występowała w balecie wystawianym w Teatrze Pantomimy. Siedemnastego września też miała tańczyć, ale skręciła kostkę. Zginęło sześć jej koleżanek. Wszystkie miały po trzynaście lat. Dziś robi jej się niedobrze, gdy widzi puenty albo słyszy muzykę baletową. Dosłownie ją od tego mdli. Zaczęła grać w piłkę ręczną.

– Mówisz, że tańczyła w balecie?

– Tak... a co?

– Nic. Ain pracowała w jednej z restauracji w Tivoli – wyjaśniła Lene. – Rozmawiałam z jej koleżanką, która także była tamtego dnia w parku. Powiedziała o czymś w rodzaju poczucia winy u tych, którzy przeżyli.

Przystojny psychiatra pokiwał głową.

– Otóż to. Jak mówię, katastrofa, która pociągnęła taką liczbę ofiar, to trudny test dla społeczeństwa. Zwłaszcza duńskiego, bo my nigdy nie przeżyliśmy czegoś podobnego. Dla niektórych to zdarzenie stanie się impulsem, aby bardziej cenić życie, cieszyć się chwilą. U innych pozostawi w świadomości tylko przytłaczające przekonanie o śmiertelności i bezsensie wszystkiego. Widać to chociażby po wzroście popularności niektórych subkultur, nagle sale pękają w szwach na koncertach death i goth metalu. Może to rodzaj przetwarzania traumy.

– Domyślam się, że Ain należała do tej drugiej kategorii osób. Tych, których zdominowało poczucie bezsensu – oświadczyła Lene i ze zdumieniem stwierdziła, że rzeczywiście na ulicach pojawiło się wiele młodych osób wyglądem przypominających punków z lat osiemdziesiątych. Sama nosiła

kiedyś zielonego irokeza, używała czarnej szminki i słuchała The Cure, Dead Kennedys i Sex Pistols. Jako jedyna w Vordingborgu.

Mężczyzna pochylił się ku niej i pokręcił głową.

– I tak, i nie. Nie cierpiała na żadną psychozę, czyli nie była psychicznie chora. Stanowiła za to niemal kompletny katalog wszystkich innych problemów psychicznych. Gdyby ktoś chciał napisać podręcznik o problemach tożsamościowych młodych ludzi, to Ain byłaby doskonałym studium przypadku.

– O jakich na przykład problemach mówimy?

– O wszystkich!

Najwyraźniej zakładał, że Lene posiadała taką samą wiedzę jak on.

– Ain była nieśmiała i miała niskie poczucie własnej wartości – wyjaśnił zaraz, jakby się zreflektował. – Kiedy ją przywieziono do Danii z obozu dla uchodźców w Tunezji, nie była już całkiem mała. A w obozie znalazła się przecież jako uchodźczyni z Palestyny, z jednego z okupowanych terytoriów w Izraelu, na Zachodnim Brzegu albo w Gazie. W jej życiu zatem już na samym początku nastąpiło sporo wstrząsów, a to w sposób naturalny budzi w człowieku poczucie bezsilności. Taka osoba nabiera przekonania, że nie ma żadnego wpływu na swój los, że jest przedmiotem arbitralnie przenoszonym z miejsca na miejsce, i wydaje mi się, że Ain chyba nigdzie nie czuła się u siebie. Poza tym szargały nią wątpliwości, czy była muzułmanką czy chrześcijanką. Oraz czy była hetero-, bi- czy homoseksualna. Sporo eksperymentowała z tą częścią swojej osobowości. – Psychiatra rozłożył bezradnie ręce. – Każde z pytań, których ona bez ustanku zadawała sobie mnóstwo o siebie samą, swoją przeszłość i swoje otoczenie, byłoby trudne do zniesienia dla przeciętnego człowieka.

– Czyli łatwo padała ofiarą manipulacji?

– Łatwo padała ofiarą każdego, kto okazał jej odrobinę życzliwości. Na przykład idąc z nią do łóżka. Pod względem seksualnym zdecydowanie nie była niewiniątkiem. Jej promiskuityzm, to, że nie bała się eksperymentować, wręcz napawał ją dumą, choć w mojej ocenie w żadnym razie nie były to doświadczenia wyzwalające. U wielu osób z Bliskiego Wschodu obserwujemy pęknięcia osobowości. Te szczeliny można zapełnić na przykład wypaczoną ideologią, jeśli osoba zostanie zmanipulowana przez fundamentalistów. Ideologia staje się wówczas rodzajem spoiwa dla ich wyobrażenia o świecie. Młodzi ludzie, pozbawieni korzeni i rodziców dostają to, czego im brakowało: cel. Indoktrynacja i przygotowanie ludzi do terroryzmu sa-

mobójczego odbywa się w sposób systematyczny i konsekwentny w szkołach koranicznych i meczetach. Młodzież dostrzega sens i otrzymuje zadanie, które polega na przykład wysadzeniu kawiarni w Jerozolimie albo autobusu na Zachodnim Brzegu. Napijesz się kawy?

– Słucham?

– Kawy? Ale mam tylko nescafé.

– Tak, chętnie.

Jesper Horn wyszedł z gabinetu odprowadzany wzrokiem Lene. Był najszybciej i najbardziej żywiołowo wysławiającym się człowiekiem, jakiego spotkała.

Wrócił dwie minuty później z dwoma kubkami i miseczką angielskich herbatników.

Jeden z kubków postawił przed Lene.

– Odwołałem sesję z następnym pacjentem – oznajmił i poczęstował się kilkoma ciastkami naraz.

– Nie chciałam mieszać ci w grafiku.

Machnął ręką na jej przeprosiny i przeżuwał w milczeniu.

– Nie szkodzi. Teraz to właściwie bardziej stary znajomy niż pacjent. Tak naprawdę ja mówię więcej niż on. W ogóle za dużo mówię, wiem. To niezbyt pożądana cecha u psychiatry.

Lene uśmiechnęła się i wypila łyk kawy.

– Zatem wyzdrowiał?

Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.

– Pani komisarz, „zdrowy” to stan na wskroś nienaukowy i zupełnie nieudokumentowany. Oraz kompletnie niewart, aby do niego dążyć. Wystarczy, że znajduje się w fazie korzystnej i stabilnej... i że ta faza trwa już od ładnych kilku lat.

– Czy Ain wyrażała radykalne poglądy polityczne? – zaciekawiała się Lene.

– O nie, w żadnym razie. Była zbyt skupiona na sobie, żeby oburzać się na rzeczywistość albo wykształcić jakąkolwiek postawę wobec niej. Ain miała osobowość wybitnie narcystyczną. Przy czym mówiąc o skupieniu na sobie i narcyzmie niekoniecznie mam na myśli coś negatywnego. Po prostu większość czasu i siłę poświęcała na to, żeby chronić się przed chaosem.

– Czyli nie leczył jej pan farmakologicznie?

– Dlaczego miałbym to robić? Nie miała napadów paniki ani klinicznej depresji. Nie cierpiała na urojenia ani fobie utrudniające życie. Zresztą

żadne leki by jej nie pomogły.

– Kiedyś, w styczniu, powiedziała, że dostała jakieś leki – zauważyła Lene. – Ale nie działały i czuła się po nich jeszcze gorzej.

– Ode mnie ich nie dostała i sam pomysł wydaje mi się lekkomyślny. – Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby nagle poczuł się nieswojo. Odchrząknął, otworzył usta, ale znów je zamknął. Wziął dwa ciastka i wyciągnął miseczkę do Lene, która pokręciła głową.

– Zastanawiam się, dlaczego pomyślałeś, że policja mogłaby podsłuchiwać telefon zaufania – drążyła Lene.

– *Fuck...* – Jesper Horn wstał i zaczął niespokojnie chodzić po gabinecie tam i z powrotem. – Może jednak mam lekką paranoję – wyznał wreszcie. – Ale jakieś trzy miesiące po Tivoli zaproponowano nam, psychiatrom i psychologom prowadzącym prywatne praktyki, żebyśmy pacjentów z oznakami stresu pourazowego w wyniku zamachu kierowali do nowej jednostki przy Rigshospitalet. Mieli do wykorzystania ogromne środki i zamysł był taki, żeby całą wiedzę zebrać w jednym miejscu. – Uśmiechnął się blado. – Siłą rzeczy resort interesowali przede wszystkim Duńczycy pochodzenia bliskowschodniego z pierwszego, drugiego albo trzeciego pokolenia. Czy na przykład doświadczali mobbingu albo dyskryminacji ze strony osób w taki czy inny sposób obwiniających ich o zamach.

– I skierowałeś do nich Ain?

– Nie. Uważałem, że to jej w niczym nie pomoże. Kwestia pochodzenia etnicznego była tylko jednym z jej problemów i to nie najważniejszym. Cała inicjatywa wydała mi się kuriozalna i nie mogłem się wyzbyć podejrzenia, że w rzeczywistości chodziło o prześwietlanie pacjentów albo ich bliskich pod kątem postaw radykalnych. Że próbowano namierzyć ludzi, którymi mogłyby się zainteresować organizacje terrorystyczne, planując kolejne ataki.

Lene spuściła wzrok.

– Masz jakieś dowody, że tak mogło być? – spytała, patrząc w głąb kubka. – Że ta nowa klinika nie jest tym, za co się podaje?

– Nie. Ale podczas naszego ostatniego spotkania Ain pokazała mi ich broszurę. Ładne, przyjemne kolory. Ludzie o miłej prezencji, pewnie modele. W każdym razie wszyscy z fantastycznym uzębieniem. Lekarze obiecywali klientom terapię grupową, troskę, zrozumienie i wsparcie wspólnoty młodych ludzi o podobnym pochodzeniu, tenis stołowy i piątkowe spotkania przy kawie. To była oferta skierowana bezpośrednio do kogoś takiego

jak Ain. Nic dziwnego, że nie umiała się jej oprzeć, mimo że usilnie próbowałam ją od tego odwieść. Z wściekłością wykrzyczała mi, że jestem uprzedzony do tego projektu.

– Dlaczego?

– Dlatego że gdyby zdolni lekarze z Rigshospital uczynili jej pochodzenie jej głównym problemem, wówczas wszystko stałoby się cudownie proste, nieprawdaż? Jej osobiste nieszczęście stałoby się problemem społecznym. Konfliktem nadrzędnym, z którym nie da się nic zrobić, i który zwalniałby Ain od odpowiedzialności za własne życie.

– Rozumiem. Brzmi rozsądnie. – W kieszeni jej kurtki zadzwonił telefon.

– Przepraszam. – Zobaczyła kto to. Komendant Charlotte Falster. Lene spodziewała się tego telefonu i dziwiła się tylko, że dzwoni dopiero teraz. Od rzuciła połączenie, wyciszyła dźwięk i z powrotem schowała aparat.

– Jest coś jeszcze – powiedział lekarz, ścisząc głos.

– Co takiego?

– Inicjatorką przedsięwzięcia jest Irene Adler, za którą nie przepadam, chociaż jest poważana w środowisku i zrobiła wielką karierę. I nie, nie jestem zazdrosny.

– Oczywiście, że nie – Lene pokiwała głową.

– Ona zna odpowiednich ludzi – mówił dalej. – Otrzymała wszystkie możliwe nagrody i odznaczenia i prowadzi bardzo rozległe badania. Ale jest również specjalną konsultantką PET. Interesuje się terrorystami. Wręcz ich uwielbia! Hodowałyby ich w terrariach, gdyby jej na to pozwolono. Dość wcześnie dostała stypendium w Stanach i wtedy, zdaje się, podjęła badania nad terroryzmem samobójczym. Jej pierwsze artykuły na temat profilu psychicznego terrorystów publikował jeden z uniwersytetów na Wschodnim Wybrzeżu. Złośliwi twierdzą, że część jej badań tak naprawdę finansowała CIA.

– CIA? No przecież...

– Wiem, że to brzmi jak teoria spiskowa, ale jestem pewien, że Irene ma przeszkolenie w zakresie psychologii wojskowej. To widać i słyhać.

– I czego konkretnie się nauczyła?

– Mieszać ludziom w głowach. Dowiedziała się, jak sprawić, żeby ktoś uważał, że białe jest czarne, a czarne – białe. Mamy zresztą precedens u nas w kraju. Eksperymenty z LSD w szpitalu we Frederiksbergu w latach siedemdziesiątych sfinansowała CIA, licząc, że znajdzie cudowny środek pozwalający kontrolować ludzkie zachowanie i myśli. Wiele z osób uczestni-

czących w eksperymentach doznało trwałych szkód psychicznych, a niektórzy popełnili samobójstwo. Nigdy nie wydostali się ze stanu, w jaki zostali wprowadzeni. Pozostali uwięzieni w swego rodzaju surowej podświadomości.

– A ona w ogóle jest mężatką? – zamyśliła się Lene.

– Irene? Małżeństwo jest dla niej pewnie zbyt konwencjonalne. Chociaż szczerze mówiąc, w ogóle nie chce mi się myśleć o jej prywatnym życiu – rzucił pod nosem i zaraz dodał: – Przepraszam, wiem, że to, co mówię, jest cholernie niekoleżeńskie, ale jest w tej kobiecie coś, co w sposób zupełnie nienaukowy przyprawia mnie o ciarki.

Lene uważniej mu się przyjrzała. Było jasne, że to mu nie daje spokoju. Z jednej strony współpraca Irene Adler z PET, a z drugiej to, jak się potoczyły losy Ain. Może nawet się ucieszył, że w końcu ma okazję wyrzucić to z siebie, porozmawiać z kimś takim jak ona. Kiedy ktoś stale ustawia się w pozycji słuchającego, jako na przykład ksiądz czy psychiatra, to czasem pewnie ma ochotę samemu się przed kimś otworzyć.

Jesper Horn mówił dalej:

– Krążyły plotki, że sama nawróciła się na islam. Domyślałem się, że po to, by bardziej się zbliżyć do badanych osób, ale kto wie, może rzeczywiście przekonały ją te nauki.

– Naprawdę to zrobiła?

– Nie mam pojęcia. Po arabsku mówi jak native, pracowała na uniwersytetach w Egipcie i Jerozolimie. Bez przerwy lata na Bliski Wschód.

– To kiedy śpi?

– Pewnie w samolocie.

– Okej. Wracając do Ain. Z tego, co mówisz, wydaje się, że miała nieźle namieszane w głowie, że się posłużę twoim własnym stwierdzeniem.

– Mówię to wszystko, żeby odpowiedzieć na twoje wcześniejsze pytanie. Otóż ja nie przepisywałem jej leków. Mógł to zrobić jedynie jej lekarz rodzinny, w co szczerze wątpię, ponieważ w jej przypadku byłoby to zdecydowanie zadanie dla specjalisty. Zatem inny psychiatra.

– Na przykład Irene?

– Na przykład. Znasz ją?

– Dlaczego tak myślisz?

– Chodzi o to, jak wymawiasz jej imię. Twój wyraz twarzy.

Lene zmieszana skrzyżowała ręce na piersi i wbiła wzrok w gładką podłogę. Czy to było aż tak widoczne?



– To nic takiego. Zupełnie nic.

Przechylił głowę na bok i się uśmiechnął.

– Wiesz, że obowiązuje mnie klauzula poufności – przypomniał jej. – Możesz mówić bez obaw. O ile masz ochotę.

Lene zamknęła oczy i energicznie pokiwała głową.

– Niech będzie. – Przełknęła ślinę i nie otwierając oczu, zaczęła: – Irene leczyła moją córkę Josefine z ciężkiej depresji – mówiła głośno i wyraźnie. – Josefine przez pół roku leżała na zamkniętym oddziale psychiatrycznym w Rigshospitalet. Irene skierowała ją do opieki ambulatoryjnej, chociaż ja uważałam, że o wiele za wcześnie. Nie była jeszcze gotowa. I tydzień później wróciła do domu i strzeliła sobie w głowę z mojej służbowej broni. Najpierw owinęła głowę ręcznikiem. Tak jak po umyciu włosów w dawnych cza... Była bardzo roztropna, moja piękna, prześliczna córka. Miała dwadzieścia trzy lata. Ja ją znalazłam.

\* \* \*

Czy to naprawdę ona mówiła? Tak spokojnym, niewymuszonym tonem?

Jesper Horn milczał. Słońce wpadało przez rolety i rzucało na niego pasiasty tygrysi wzorek.

Lene splotła ręce na kolanach, żeby powstrzymać ich drżenie.

– Naturalnie Irene nie była jedyną osobą odpowiedzialną za leczenie Josefine. Ale z nią zupełnie się nie zgadzałam. Uważałam, że Josefine nie czuje się dość dobrze, żeby mogła wyjść. Nienawidziłam Irene. Wczoraj przypadkiem ją zobaczyłam. Żyje sobie jakby nigdy nic. Podczas gdy moja córka...

– Umarła – dokończył psychiatra. – Był to zatem błąd w ocenie. Choć może nie błąd jako taki. Dostrzegasz różnicę?

– Tak.

– Twoja córka była hospitalizowana po raz pierwszy?

– Tak. Parę lat temu została porwana i skatowana przez bandytów, których ścigałam. Zrobili to, żeby mnie powstrzymać. Była w bardzo złym stanie, kiedy ją uwolniono, ale sądziłam, że sobie poradzi. Nie miałam wątpliwości, że z tego wyjdzie. Miała pogodną naturę i była silna. Bardzo zdrowa.

Lene spróbowała przełknąć coś, czego przełknąć się nie dało. Coś dużego i ciepłego rozrastało się w jej piersi. Spróbowała raz jeszcze. W końcu

się poddała i zaczęła płakać, choć prawie nigdy tego nie robiła.

A gdy już zaczęła, to nie umiała przestać.

W chwili otrzeźwienia pomyślała, że jej rozmówca przywykł oczywiście do oglądania ludzi w rozpacz. I zaraz zalała ją kolejna fala bezgranicznego smutku.

Jesper podsunął jej pudełko chusteczek po szklanym blacie, ale Lene jeszcze długo nie mogła z nich skorzystać. Wreszcie wydmuchała nos i spróbowała uspokoić oddech. Odchyliła głowę do tyłu i patrząc w sufit, zasłochała jeszcze parę razy i dopiero wtedy wszystko się uspokoiło.

Nie czuła ulgi. W ogóle nic nie czuła.

Psychiatra się uśmiechnął. Następnie wstał, obszedł stół i lekko położył jej dłoń na ramieniu, zanim ponownie przeniósł się w swoje ulubione miejsce przy oknie.

– Już lepiej? – spytał.

– Możliwe. Dziękuję.

– Ain to córka innych ludzi, Lene. Ona nie jest Josefine. A ty nie mogłaś przewidzieć tego, co spotkało twoją córkę.

– Wiem. Naprawdę to wiem.

– Domyślam się, że to dlatego pracowałaś dla Linii Życia.

– Oczywiście.

– Dziwne, że ci pozwolili – powiedział cicho.

– Długo musiałam ich przekonywać. Z początku nie chcieli o tym słyszeć. To był błąd, nie powinnam była się do nich zwracać. Owszem, w jakiś sposób pozwalało mi to zająć myśli czymś innym, ale było niezdrowe i nie przywróciło mi Josefine. Nie nadawałam się do tej pracy.

– Czyli zostawisz tę sprawę? Ain?

Lene popatrzyła na zegar nad drzwiami. Było znacznie później, niż sądziła. Jesper Horn musiał w jakiś sposób dać znać sekretarce w recepcji, żeby im nie przeszkadzano.

– Chyba nie potrafię.

– Dlaczego?

Uważnie przyglądała się zdartym czubkom swoich butów.

– To nie było samobójstwo – oświadczyła. – To było zabójstwo, a wyjaśnianie zagadek kryminalnych to jedyne, w czym jestem dobra. Naprawdę dobra.

– Jesteś pewna?

– Tak. Ain chciała się ze mną spotkać. Nie pożegnała się... Żadnego: do zobaczenia po drugiej stronie albo uważaj na siebie, albo pozdrów moich rodziców. W żadnym razie nie brzmiała jak ktoś, kto w połowie następnego zdania rzuci się pod pociąg. Nie zostawiła listu. Nic nie zostawiła.

– Może tego nie planowała – zastanawiał się lekarz. – Może to był impuls. Zobaczyła pociąg i poczuła, że już nie ma siły. Mogła być w niebezpiecznym, chwiejnym nastroju.

– Możliwe. Ale ja w to nie wierzę.

– Czyli chcesz to drążyć dalej? Dla niej czy dla siebie?

– Uważam, że jestem jej to winna.

– Czyli dla siebie.

– Tak.

Lene wstała i ruszyła w stronę drzwi. Jesper Horn powiedział coś jeszcze, ale tego nie wyłapała. W drzwiach odwróciła się i popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Co powiedziałaś?

– Że chciałbym cię jeszcze zobaczyć.

– Tutaj...? – zaśmiała się nerwowo. – Moja szefowa już próbowała wysłać mnie do różnych... specjalistów. Psychologów. Coachów. I chyba każdego z nich udało mi się wykończyć. Doprowadzić do obłędu. – Spróbowała wejść w lżejszy ton: – Słyszałam, że ostatni z nich jeździ teraz na tak-sówce.

– Nie tutaj i zdecydowanie nie w charakterze pacjentki – powiedział poważnym głosem.

Lene popatrzyła na niego zaskoczona. Przesunęła ręką po włosach. Kucyk miała potargany, a łzy i tusz do rzęs pewnie namalowały jej na policzkach czarne smugi. Czy on się dobrze czuł? Kręciły go beznadziejne przypadki czy co?

– Chodziło mi o randkę – wyjaśnił.

– O coś w rodzaju randki? Ale dlaczego?

– Nie coś w rodzaju, tylko o zwykłą randkę. Cholera, kawę albo nie wiem... lampkę wina. Albo możesz też użyć mnie jako worka treningowego.

Spojrzała na obraz za jego fotelem. Kolory stały się ciemniejsze i jakby zlewały się ze sobą. Lene pomyślała, że może to wcale nie był nadmorski pejzaż.

Jesper Horn podążył za jej wzrokiem.

– Moja siostra Maria. To rodzaj patronatu. Ja kupuję większość obrazów, a nasi rodzice nabywają pozostałe. Ojciec używa ich do izolacji strychu, choć, naturalnie, w tajemnicy przed Marią. Jest niestety bardzo płodną malarzką. To prawdziwy dramat, kiedy ktoś ma artystyczną duszę, lecz brak mu talentu, prawda? Córkę wychowuję sam. Żona zmarła siedem lat temu na raka piersi.

– Przykro mi – wymamrotała Lene. – Ale mówisz poważnie?

– Oczywiście, że tak.

Podszedł do niej, a ona się cofnęła, jakby był wypchanym tygrysem bengalskim, który nagle ożył. Usłyszała, że w recepcji dzwonił telefon. Szare oczy Jespera Horna zaciemiały wyraziste brwi. Był szczupły i wysoki. Lene raz jeszcze popatrzyła na jego kolczyki i tatuaże. Kompletnie nie był w jej typie.

Z tylnej kieszeni wyjął wytarty portfel, a z niego wizytówkę.

– Na odwrocie jest moja komórka – oznajmił. – Pomyśl o tym.

Lene już trzymała dłoń z tyłu i po omacku szukała klamki.

– Pomyślę. Dziękuję.

Skinął głową, sięgnął ręką za jej plecy i otworzył drzwi.

Lene pośpiesznie minęła recepcję, czując na karku wzrok sekretarki. Otworzyła drzwi na klatkę schodową i obejrzała się za siebie. Mężczyzna uśmiechał się do niej, stojąc obok biurka sekretarki, i Lene prawie się potknęła o próg.

\* \* \*

Oddychać zaczęła, dopiero gdy siedziała bezpieczna w samochodzie. Obracała i przesuwiała między palcami grubą wizytówkę w kolorze kości słoniowej. Potem opuściła osłonę przeciwsłoneczną i obejrzała w lusterku swoją twarz. Było gorzej, niż sądziła. Naprawdę musiał być nienormalny.

Energicznie złożyła osłonę i w kontaktach w swoim telefonie odnalazła numer do oddziału psychiatrycznego w Rigshospitalet.

Sekretarka poinformowała ją, że doktor Adler jest w tej chwili na popołudniowej naradzie wydziału. Lene pamiętała ją jako chudą i oschłą. Irene Adler pewnie specjalnie ją zatrudniła, aby na jej tle błyszczeć jeszcze bardziej.

– Zaczekam – oznajmiła.

– Może pani powtórzyć, kim pani jest?

– Komisarz Lene Jensen. Moja córka była u państwa kiedyś hospitalizowana, ale nie w tej sprawie chcę się spotkać z doktor Adler.

– Rozumiem. Ale jak mówię, pani doktor nie ma czasu.

– A po naradzie?

– Po naradzie ma kolejne spotkanie. Jest obecnie bardzo zajęta. Dlatego obawiam się...

Oznaczało to, że prędzej piekło zamarznie, niż Irene Adler znajdzie czas na rozmowę z komisarz Jensen.

– Tak się składa, że nie może odmówić mi tej rozmowy – Lene nie miała do tego cierpliwości. – To czynności policyjne, więc albo wpiszesz mnie do jej grafika dziś, teraz, albo za dziesięć minut zjawiam się w waszej zasranej sali konferencyjnej i ją aresztuję za utrudnianie policyjnego śledztwa. Wiem, gdzie jest ta sala.

Połączenie zostało przerwane.

Lene z niedowierzaniem patrzyła na telefon.

Zadzwoiła ponownie.

Zajęte.

Co za pizda!

Spróbowała jeszcze kilkakrotnie, aż wreszcie się dodzwoniła.

– Halo! – wrzasnęła.

– Sekretariat Irene Adler...

Lene wciągnęła głęboko powietrze.

– To znowu ja. Nie wiem, czy pięć minut temu wyraziłam się dostatecznie jasno: muszę porozmawiać z Irene Adler.

– Owszem, dostatecznie jasno się pani wyraziła.

– I?

W głosie kobiety pojawiła się niepewność.

– Pani komisarz Jensen. Naprawdę próbowałam. Poszłam na górę, żeby ją zapytać, ale powiedziano mi, że pani doktor wyszła z budynku.

– I gdzie teraz jest ta jeb... Gdzie zatem zastanę doktor Adler?

– Nie mam pojęcia. Naprawdę. Wydaje mi się, że dziś wyjeżdża.

– Dokąd?

– Nie wiem! Proszę wybaczyć, ale ona mi nie mówi, dokąd jeździ. Bez przerwy gdzieś znika.

Lene zamknęła oczy. Pod powiekami zobaczyła okaleczoną, nieruchomą sylwetkę Ain pod białym, ale już przesiąkniętym krwią prześcieradłem.

Marnowała czas, wyzywając się na Bogu ducha winnej sekretarce, która robiła tylko to, co jej kazano.

– To ja przepraszam – powiedziała cicho. – Proszę o tym zapomnieć. Nic się nie stało. Coś wymyślę.

– Naprawdę chciałam pomóc – powtórzyła sekretarka pojednawczo. – Pamiętam Josefine... twoją córkę...

– Do widzenia. – Lene się rozłączyła.

\* \* \*

Choć raz wyglądało na to, że są z Irene Adler na równych pozycjach. Kiedy czarne audi TT lekarki mijalo progi zwalniające na wąskiej uliczce w Østerbro, Lene zsunęła się jeszcze niżej na przednim siedzeniu swojego citroena. Adler była właścicielką jednego z rustykalnych szeregowców w Kartoffelrækkerne.

Wysoka elegancka postać wyłoniła się z niskiego samochodu, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła w stronę swojej furgonki.

Lene pomasowała skronie i podjęła nieudolną próbę poprawy swojego wyglądu przy pomocy szczotki do włosów, gumki i wilgotnej chusteczki. Nie pomogło. Odczekała pięć minut, a potem wysiadła, przeszła mały ogródek przed domem i trzykrotnie mocno zastukała kołatką w mosiężną płytkę.

Z bliska twarz Irene wydawała się dziwnie naga i bezbronna. Nie miała makijażu i próbowała zatrzasnąć przed Lene drzwi, ale ta zablokowała je ramieniem. Kobieta odpuściła i rozłożyła ręce.

– Zatem wejdź.

– Dziękuję.

– Lene, uważam, że już dawno powinnyśmy były odbyć tę rozmowę o Josefine. Nie rozumiem tylko, dlaczego właśnie teraz. I dlaczego sterroryzowałaś moją sekretarkę.

– Nie chodzi o moją córkę – wyjaśniła Lene. – Przyszłam tu służbowo.

Na ścianach wisiły drewniane arabskie ozdoby, a na podłodze leżał antyczny perski dywan.

Lene dostrzegła spakowaną torbę podróżną i bilet lotniczy wystający z bocznej kieszeni.

– Wyjeżdżasz?

Irene podążyła za jej wzrokiem.

– Imponująca dedukcja, pani detektyw. Taksówka będzie za pół godziny. Naprawdę się śpieszę.

– Dokąd jedziesz? – spytała Lene jakby od niechcienia i rozglądała się z zaciekawieniem.

– Czego chcesz?

– Będziemy tak stać w korytarzu?

Kobieta wydała z siebie coś między westchnieniem a jęknieniem i otworzyła pomalowane na białą drzwi do pokoju.

Salon był umeblowany jak beduiński namiot. Stały tu niskie stoliki kawowe z młotkowanego mosiądzu, skórzane poduchy i fajka wodna, a na ścianach wisiały antyczne dywany i jeszcze więcej drewnianego rękodzieła.

– A wielbłądy gdzie? – spytała Lene.

– Czego chcesz?

Lene nie odpowiedziała. Przechadzała się nieśpiesznie po salonie, ponieważ wiedziała, że Irene doprowadza to do szału. Pod oknem wychodzącym na małe podwórze za domem stało eleganckie biurko. Z podkładki do pisania Lene podniosła długą, lekko wygiętą i wygrawerowaną srebrną igłę. Jeden koniec był gwintowany i pasował do antycznej szklanej strzykawki. Szpic igły był nadal ostry.

– Co to jest?

– Igła do balsamowania. Używa się jej do wstrzykiwania formaldehydu albo innego płynu balsamującego w żyły zmarłego. Mnie służy do otwierania listów. Odłóż ją, proszę. Jest dość cenna.

Lene odłożyła igłę na biurko i powoli kontynuowała inspekcję.

Pod jedną ze ścian stał zabytkowy sekretarzyk. Z bliska okazało się, że piękny mahoniowy mebel był w rzeczywistości podświetloną szklaną gablotką, idealnie nadającą się do eksponowania zabytkowego egzemplarza Koranu. Święta księga była otwarta i Lene mogła podziwiać staranną, ręczną kaligrafię arabską. Strony, cienkie jak skrzydła motyla i usiane ręcznie zdobionymi ilustracjami, już pożółkły. Księga musiała być niesamowicie stara i zapewne bezcenna.

– Skończyłaś już? – niecierpliwiła się lekarka.

– Piękne – pochwaliła Lene.

– Dziękuję. Dla mnie oznacza niezliczone godziny pracy i mnóstwo prawdy.

– Nie wątpię – przyznała cicho Lene, choć nie do końca rozumiała, co tamta chciała przez to powiedzieć.

Kobieta wskazała jedną z marokańskich puf i Lene usiadła przy akompaniamencie serii strzałów w kręgach łądzwiowych. Irene Adler bezdźwięcznie i z gracją opadła na poduchę najbardziej oddaloną od Lene i położyła na udach splecione ręce.

– Ain Ghazzawi Rasmussen – zaczęła Lene.

– Kto to taki?

– Młoda osierocona kobieta pochodząca z Palestyny, która zwróciła się po pomoc do twojego fantastycznego nowego ośrodka.

– Czyli pacjentka.

– Tak.

– Lene, wiesz, że nie mogę się wypowiadać na temat pacjentów. Nie marnujmy nawzajem swojego czasu. Musisz mieć postanowienie sądu. Zatem: czy *masz* postanowienie sądu?

– Dziewczyna nie żyje. Wczoraj wskoczyła pod pociąg na stacji Nørreport. Powiedziała, że dostawała leki, ale nie pomagały. Była przestraszona, osamotniona i uważała, że ktoś ją śledził. Miała dwadzieścia trzy lata. Ain Ghazzawi. Nic ci to nie mówi?

Psychiatrka podciągnęła kolano do brody i objęła dłońmi kostkę. Była spokojna i opanowana jak posąg.

– To oczywiście straszne – przyznała. – Ale dlaczego uważasz, że to my ją prowadziliśmy?

– Chodziła na psychoterapię do pewnego psychiatry w centrum, Jespera Horna, ale pod koniec grudnia przerwała terapię i zażądała, aby ją skierował do was. Pokazała mu waszą broszurę.

Irene Adler wzruszyła ramionami.

– Nazwiska sobie nie przypominam. Mamy w ośrodku wiele dziewcząt z wieloma problemami. Do nas nie potrzeba skierowania. Można przyjść z ulicy. Poza tym wielu naszych pacjentów woli zachować anonimowość, a my, naturalnie, szanujemy ich życzenie.

– Ona pracowała w restauracji na terenie Tivoli siedemnastego września zeszłego roku – dodała Lene.

– Podobnie jak kilkadziesiąt innych młodych osób innego pochodzenia etnicznego. Niektóre z nich się przez to rozchorowały. Ale nie znam ich wszystkich osobiście.

Lene pokiwała głową i wyjęła telefon Ain. Odszukała wiosenne zdjęcie Ain i Nazeery i pokazała je kobiecie.

– Chodzi o tę po prawej.



Irene Adler nie wzięła telefonu do ręki. Jej dłonie pozostały splecione na kostce. Twarz była nieruchoma i tylko źrenice wolno się powiększały. Lene bacznie ją obserwowała.

– Nigdy jej nie widziałam.

– Tej drugiej też nie? Nazeery?

– Nie.

Kłamała. Lene była tego pewna.

Poczuła przemożne pragnienie, aby wstać i z całej siły przywalić jej w twarz. Zburzyć tę opanowaną, perfekcyjną fasadę. Zamiast tego zerknęła na sufit, bo jedna z belek właśnie skrzywnęła.

– Jesteś sama?

– To nie twoja sprawa, ale tak. Lubię być sama. – To powiedziawszy, pani domu rozprostowała swoje długie ciało i wstała, a Lene ostentacyjnie nie ruszyła się z miejsca.

– Czyli nie leczyłaś Ain Ghazzawi na przykład lekami? Jakimś gównem, od którego dostała urojeń i wpadła w paranoję?

Kobieta się uśmiechnęła.

– Naprawdę oczekujesz, że odpowiem na to pytanie? Do widzenia, Lene. Muszę zdążyć na samolot. Niesłychanie miło się z tobą rozmawiało, ale myślę, że powinnaś sobie znaleźć jakąś inną sprawę niż samobójstwo i to nią się zająć. Powiedz mi: jesteś tu oficjalnie? Czy na przykład twoja szefowa Charlotte Falster wie, że w godzinach pracy chodzisz po mieście i na przykrzasz się ludziom?

Lene wstała i ruszyła do wyjścia. W korytarzu zatrzymała się i popatrzyła na białe schody prowadzące łukiem na piętro. Zamknęła oczy i mocno pociągnęła nosem. W domu unosił się zapach jeszcze jednej kobiety.

Irene przyglądała jej się z pobłażliwym i nieco zagadkowym uśmiechem, za to po raz pierwszy Lene dostrzegła w jej oczach coś innego niż zimną wyniosłość. Może tylko to sobie wmawiała, ale wydało jej się, że po dnie niebieskich oczu lekarki przesunął się cień niepokoju.

– Nawróciłaś się? – spytała nagle Lene, przystając w drzwiach na ulicę.

– Słucham?

– Nawróciłaś się na islam?

– Nie twoja sprawa. Idź już.

W jej głosie pojawił się nowy, zdradzający przewrażliwienie ton. Lene skwitowała go uśmiechem. Miała wrodzony talent do grania ludziom na nerwach.

Odwróciła się jeszcze na wycieraczkę i popatrzyła na rozmówczynię.

– Jeszcze jedna, ostatnia rzecz. Irene...

– Wynoś się!

– Jeśli się dowiem, że mnie okłamałaś. Jeśli się dowiem, że Ain była twoją pacjentką i że we współpracy z PET testowaliście na niej leki albo zepchnęliście ją z krawędzi peronu, to nie spocznę, dopóki za to nie odpowiecie. Bez względu na to, jak wysoko w twoim mniemaniu sięgają twoje kontakty i ile dostałaś nagród. Potraktuj to jak obietnicę. – Uśmiechnęła się życzliwie. – Zrozumiano?

Drzwi zatrzasnęły się z takim hukiem, że w ogródku sąsiadów drozdy odfrunęły z karmnika.

Lene spojrzała w okna na pierwszym piętrze i odniosła wrażenie, że za zasłonami zobaczyła jakiś cień, który zaraz zniknął.

Zastanawiała się, czy poprosić Bjarnego o sprawdzenie list pasażerów lotów z Kastrup, ale dała sobie spokój. Irene leciała pewnie na jakiś kongres do Brazylii albo innego Tobago. W jakieś miejsce, gdzie były plaże i palmy. Czy nie tym głównie zajmowali się lekarze?

\* \* \*

Siedziała w kawiarni na Kongens Nytorv i patrzyła pustym wzrokiem na kanapkę z szynką i indykiem. Wyglądała jak przedziwna skamielina.

Kiedyś uwielbiała gotować dla Josefine i nawet uważała się za całkiem niezłą w kuchni, ale teraz jedzenie stało się dla niej wyłącznie paliwem. Miała właśnie zamówić do tego lampkę czerwonego wina, ale na szczęście w porę sobie przypomniała, że kilka godzin wcześniej postanowiła na zawsze odstawić alkohol.

Odkroiła kawałek kanapki i gdy widelec znajdował się w połowie drogi do ust, zadzwonił jej telefon. Odebrała.

– Halo? – odezwał się kobiecy głos w słuchawce.

Lene przeżuła, przełknęła i popiła łykiem wody, zanim odpowiedziała:

– Cześć, Charlotte.

– Jesz coś? – spytała szefowa wyraźnie oburzona.

– Mhm. Jem. Pokarm. Odżywianie.

– Nie było cię na naradzie.

– Bjarne nie przyszedł?

– Owszem, przyszedł. Wielkie dzięki, Lene. On bełkocze coś pod nosem, poci się i co chwila gubi watek, chociaż żadnego wątku nie ma. Polski kabotażowiec z awarią?

Co to ma być? Naprawdę tylko na tyle was stać?

Charlotte powinna kiedyś posiedzieć z Bjarnem w jednym pokoju przez osiem godzin. Prognoza dla alergików potrafi być bardziej inspirująca od niego.

– Na razie tak – potwierdziła Lene. – Przykro mi.

– Ale co ty właściwie robisz? Poza tym, że się odżywasz?

Lene już ją sobie wyobrażała. Za idealnie uporządkowanym biurkiem, na którym w potrójnej srebrnej ramce stały zdjęcia małżonka, szefa departamentu oraz dwójki jakże udanych dzieci – córki, adwokatkę i syna, weterynarza.

Od pierwszej sekundy za sobą nie przepadały i obie doskonale zdawały sobie z tego sprawę. To była natychmiastowa, chemiczna reakcja. Lene uważała swoją szefową za oschłą służbistkę bez serca, natomiast Charlotte Falster miała Lene za nieobliczalną indywidualistkę, relikwiarz przeszłości w dzisiejszych czasach, w których liczyła się praca zespołowa, LEAN, organizacja, konsensus, przejrzysta dokumentacja i niekończące się zebrania. Mimo tych niemałych różnic nauczyły się z czasem wzajemnie szanować, a podczas śledztwa w sprawie ludzkich łowów nawet się do siebie zbliżyły.

Charlotte i jej mąż przyszli na pogrzeb Josefine i od tamtej pory szefowa, o nic nie pytając, pozwalała Lene brać tyle wolnego, ile było jej potrzebne. Jednak ich relacje zarówno zawodowe, jak i prywatne ochłodziły się i ich temperatura oscylowała w okolicach zera absolutnego. Lene przestała się starać i mieć wyniki. A po zamachu w Tivoli presja na Charlotte Falster jako komendant główną policji była ogromna. Wyników domagali się wszyscy, politycy, prasa i opinia publiczna. I to nie dziś ani jutro, to było zadanie na wczoraj. W przeciwnym razie ją ukrzyżują. Usunięcie jej ze stanowiska było kwestią czasu. Chyba że wkrótce wydarzy się coś, co zadowoli potrzebę oddania sprawiedliwości ofiarom wyrażaną zarówno przez bliskich, jak i ogół społeczeństwa. W kręgach politycznych nazywano to syndromem Palmego. Po zabójstwie szwedzkiego premiera kolejni prowadzący śledztwo byli bowiem wymieniani, ośmieszani albo oskarżani o niekompetencje lub korupcję. Często miało to dla poszczególnych osób tragiczne konsekwencje, a jednocześnie w żaden sposób nie pomogło wyjaśnić sprawy.

– Spróbujemy z Bjarnem przykładać się trochę bardziej – wymamrotała.  
– Mam taką nadzieję. Naprawdę. Dla twojego własnego dobra. I mam również nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, jakie to ważne. Ważniejsze na przykład od poświęcania czasu na prywatne śledztwa.

Lene odłożyła sztućce.

– O czym ty mówisz? – spytała cicho.

– Dworzec Nørreport. Ain Ghazzawi Rasmussen. Co tam robiłaś? Albo raczej, co twoim zdaniem tam robiłaś?

Lene czuła narastający gniew.

– Posłuchaj, Charlotte. Nie bardzo rozumiem, dlaczego mam ci się tłumaczyć z czegoś, co robię w wolnym czasie. I na pewno nie będę ci opowiadać o ludziach, z którymi się zadaję, żywych ani martwych, jasne? A poza tym skąd o tym wiesz?

– Przecież to nie jest twój czas wolny! To twoje godziny pracy, w których powinnaś się skupić na wyjaśnianiu, w jaki sposób zamachowiec samobójca i jego wspólnicy przekroczyli granicę państwa, kogo tutaj znają, jak są zorganizowani, kto zapłacił za sprowadzenie ich do kraju drogą morską, lądową albo powietrzną. To powinnaś teraz robić! – Głos w słuchawce był podniesiony.

Lene odsunęła telefon od ucha i popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Charlotte Falster była najbardziej wyważoną i opanowaną osobą, jaką Lene kiedykolwiek spotkała. Nigdy, ale to nigdy nie puszczały jej nerwy.

– Ta dziewczyna zamierzała sobie odebrać życie! – Lene broniła się, krzycząc w słuchawkę. – Co więcej, ona to zrobiła albo ktoś ją wepchnął pod ten przeklęty pociąg. Szczerze mówiąc, bardziej jestem skłonna wierzyć w to drugie. Charlotte, ona do mnie zadzwoniła! Byłam ostatnią osobą na tym padole, z którą chciała porozmawiać, i ostatnią, która jej słuchała... jesteś w stanie to pojąć? *To jest rzeczywistość!* Mogłabyś czasem wyjść z tego cholernego biura z klimatyzacją! Co twoim zdaniem miałam zrobić, co? Rozłączyć się? Powiedzieć, że muszę niestety pójść na kolejny wykład o terroryzmie salafickim i będzie musiała zadzwonić z centrali Świętego, kurwa, Piotra? A może żeby zaczekała z tym skokiem na następny pociąg? Co ty byś zrobiła, no, powiedz? Miała dwadzieścia trzy lata. Tyle co... co...

W słuchawce zapadła cisza i słowa Lene zastygły na jej wargach. W kawiarni też wszyscy zamilkli i Lene zdała sobie sprawę, że chyba krzyczała za głośno. Dała znać kelnerowi, że chce zapłacić, i dziesięć sekund później

był przy jej stoliku z rachunkiem. Lene położyła na srebrnej tacy swoją kartę i wtedy ponownie usłyszała przyspieszony oddech przełożonej.

Ciekawe, czy teraz mnie zwolni, pomyślała i ze zdumieniem stwierdziła, że ta myśl wywołała w niej niewymowną ulgę.

– Nie zamierzam cię zwolnić, jeśli na to liczysz – powiedziała kometant. – Tak się składa, że jesteś mi potrzebna, chociaż wolałabym, żeby było inaczej. A teraz do rzeczy. Jak to popchnął? Co chcesz przez to powiedzieć? I czy jesteś pewna?

– Nie – przyznała zmęczonym głosem. – W tej chwili niczego nie jestem pewna. Jestem rozpieprzona, ale ogarnę się, naprawdę. Jutro będę na posterunku razem z Bjarnem. Obiecuję.

– To dobrze. A jeśli masz w pobliżu telewizor, to radzę ci go włączyć. NATO i nasz rząd właśnie potwierdzili, że Dania, Francja i Holandia wysłały oddziały bojowe do Mali i Nigru. Parlament to przyklepał. Dwie eskadry F-16, Straż Królewska i kompania zwiadowcza. A ostatni instruktorzy jeszcze nie wrócili z Afganistanu.

Lene zamrugała. Afriganistan, jak duńska prasa ochrzciła nowy front w globalnej wojnie z terroryzmem, który otworzył się w przedpiekle Afryki Zachodniej. Ekstra.

Charlotte ciągnęła dalej:

– Pierwsze duńskie wozy bojowe właśnie dotarły do Mali. Pod naszą ambasadą w Kairze już jest gorąco. Tłum rzuca przez ogrodzenie koktajle Molotowa i pali flagę. Domyślam się, że wiesz, co to oznacza, prawda?

– Zwiększył się poziom zagrożenia.

– Nie zwiększył. Stał w płomieniach.

– Rozumiem.

– Więc jak, pomożesz?

– Oczywiście.

– Zatem do jutra. Aha, jeszcze jedno. Trzymaj się z dala od Irene. Złożyła skargę.

I nie zamierza na tym poprzestać. Minister sprawiedliwości to jej kolega z liceum.

– Co?! Przecież nic...

– Twierdzi, że dziś zadzwoniłaś do niej cztery razy, zastraszyłaś jej sekretarkę, przez co kobieta dostała migreny, a na koniec pojawiłaś się w jej własnym domu i jej groziłaś.

Zaraz, czy jej groziła? Lene musiała się zastanowić. Chyba nie... Choć może trochę, pod koniec. Okej, może i była wrogo nastawiona, ale do diabła, jest tylko człowiekiem.

– Nie sądzę, abym jej groziła – powiedziała do słuchawki. – W żadnym razie. To znaczy... może odrobinę, ociupineczkę. Ta kobieta jest... tak cholernie...

– Lene, nieważne, jaka ona jest. I chociaż całkiem prywatnie i tylko między nami jestem skłonna się z tobą zgodzić, to nie wolno ci się do niej zbliżać. To rozkaz, nie żartuję. Wszyscy wiedzą, że zaskarżyłaś jej decyzję w sprawie leczenia Josefine. Być może słusznie, nie mam kompetencji, aby się na ten temat wypowiadać, ale obecnie ta kobieta pełni ważną funkcję w naszym śledztwie, czy ci się to podoba czy nie. I ma naprawdę mocną sieć kontaktów.

– Jasne, kurwa. Dobra, obiecuję. Będę się trzymać z dala od tej pizdy.

Kelner zwrócił Lene kartę. Wstała od stolika, a idąc powoli do wyjścia, zastanawiała się nad dwiema kwestiami. Kto powiedział Charlotte o Ain oraz dlaczego szefowa nie zapytała jej, kim była ta dziewczyna ani dlaczego chciała o niej rozmawiać z Irene Adler.

Podeszła do swojego samochodu, zza wycieraczki wyjęła mandat za nieprawidłowe parkowanie i podarła go na małe kawałeczki, które wrzuciła do studzienki odpływowej.

\* \* \*

Tymczasem w Glostrup komendant główna Charlotte Falster odłożyła telefon na swoim biurku. Zamyśliła się głęboko, a po paru minutach zrobiła coś, o co nigdy by siebie nie podejrzewała. Podpisała wniosek do prokuratury o wydanie postanowienia, które pozwoli legalnie podsłuchiwać telefon komisarz Lene Jensen oraz objąć ją obserwacją. Następnie faksem przesłała poufny dokument do prokuratora, który prowadził sprawę.

W rogu telewizor pokazywał zamieszki na placu Tahrir w Kairze oraz demonstrację pod duńską ambasadą przy ulicy Hassana Sabriego. Pod bramą podpalano właśnie pełnowymiarową kukłę przypominającą duńskiego sekretarza generalnego NATO.

Charlotte wyłączyła telewizor, zanim po raz drugi tego dnia zrobiła coś, co jeszcze niedawno uznałaby za nieprawdopodobne.

Wybrała w telefonie długi, międzynarodowy numer.

\* \* \*

Lene szczerze nienawidziła tego miejsca.

Było jej niedobrze i bolała ją głowa, ale nie wiedziała, czy to przez zapach formaldehydu czy zespół abstynencyjny. Poprzedniego wieczoru piła tylko herbatę. Oraz jak zwykle wzięła dwie tabletki nasenne. A teraz drżały jej ręce.

Bjarne był dziś bardziej milczący i markotny niż zwykle. Lene pomyślała, że może Charlotte z nim rozmawiała. Umiała to sobie nawet wyobrazić. Jego, onieśmielonego i przestępującego z nogi na nogę, podczas gdy zimna i władcza pani komendant bierze go w krzyżowy ogień pytań na jej temat. Może poprosiła go, żeby miał ją na oku i zdawał jej raporty? Coś mogło być na rzeczy, bo nawet gdy szła do toalety, podnosił głowę i pytał, dokąd idzie. Dokładnie o wpół do czwartej wzięła torebkę, kurtkę i wyszła bez pożegnania, chociaż wiedziała, że go tym pognębi.

A teraz stała w chłodni przy jednym z prosektoriów Zakładu Medycyny Sądowej w towarzystwie młodej lekarki z uroczą diastemą. Znały się dobrze z poprzednich spraw. Czekały, aż kwadratowy kosmaty pracownik kostnicy o imieniu Jesus znajdzie właściwą komorę. Otworzył drzwi i wysunął metalową tacę na podnośnik elektryczny na kółkach. Bezgłośnie wjechał z podnośnikiem do prosektorium i zsunął tacę z Aina na stół do sekcji. Na podkładzie zostały brązowe plamy.

– Poradzicie sobie? – spytał.

– W razie czego zadzwonię – zapewniła go patolożka.

Mężczyzna wyszedł z pomieszczenia. Stawiał szeroko nogi i miał w uszach duże złote kolczyki. Lene uważała, że wyglądał jak z filmu o piratach. Po drodze włożył sobie do uszu białe słuchawki od iPod'a.

– Jezu – jęknęła Lene.

Lekarka tylko się uśmiechnęła. Następnie spojrzała na stół i jej uśmiech zniknął.

– Jesteś pewna? – spytała.

– Tak. Niestety – potwierdziła Lene.

– W porządku. To zaczynamy.

Lekarka odsunęła prześcieradło i Lene mimowolnie cofnęła się o krok. Zapowietrzyła się i objęła twarz dłońmi.

– O Boże...

– Wiem. – Patolożka pokiwała głową. – Nie jest to ładny widok. Obstawiam, że głową upadła na jedną szynę, a kolana spadły w okolicach drugiej. To jest ona?

– Tak myślę... Tak, to ona. Błagam, zasłoń ją – poprosiła Lene zdławionym głosem i odwróciła się plecami.

– Może przejdziemy do biura?

\* \* \*

W biurze patolożki stały dwie tablice. Na jednej wisiało mnóstwo zdjęć okaleczonych ciał, ran kłutych z naniesionymi liniami i strzałkami, ran obronnych na przedramionach i dłoniach oraz nieruchomych, milczących twarzy zmarłych. Drugą tablicę pokrywały rysunki autorstwa trójki dzieci lekarki. Lene nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ta sympatyczna kobieta wybrała sobie akurat taki zawód. Gdy kiedyś zapytała ją o to wprost, odparła coś o tym, że sprawca każdej zbrodni musi zostać ukarany. Że to ważne.

– Kawy? – zaproponowała.

– Nie, dziękuję. – Lene czuła się słabo.

Lekarka usiadła za biurkiem i popatrzyła na Lene.

– Pogrzeb Ain odbędzie się pojutrze w kościele w Værløse – powiedziała.

– Dziękuję.

– Lene. Powiedz: o co tu chodzi? Toczy się jakieś śledztwo? Nie dostałam informacji, że policja się nią interesuje. Muszę wiedzieć, czy będę miała kłopoty.

– W jakim sensie?

– Myślę, że wiesz w jakim. Takim, że niełatwo mi wyjaśnić, dlaczego wczoraj wieczorem zadzwoniłaś na mój prywatny numer i poprosiłaś o pełną analizę farmakologiczną dziewczyny, która wskoczyła pod pociąg na stacji Nørreport i którą najwyraźniej nikt inny się nie interesuje.

Pochyliła się w przód i położyła zgrabne palce na biurku. Palce owinęły się wokół rzeźbionego przycisku do papieru z kości słoniowej i przeniosły go w inne miejsce, obok kubka z napisem „Mama”, w którym patolożka trzymała ołówki i długopisy. Lene w milczeniu obserwowała eleganckie ruchy jej dłoni.

– Dlatego też tego nie zrobiłam – dodała lekarka.

– Czego nie zrobiłaś?



– Nikomu tego nie wyjaśniałam.

– Dziękuję.

– Zatem kim jest ta dziewczyna? Powiedz wreszcie.

– Pracowałam jako wolontariuszka w telefonie zaufania dla osób w kryzysie samobójczym – zaczęła Lene. – Rozmawiałam z nią kilka razy. Była smutna... z powodów, których nie sposób wyliczyć, jak się dowiedziałam. Ale przede wszystkim miała poczucie, że ktoś ją śledzi. Mówiła również o poczuciu winy, choć nie chciała mi powiedzieć z jakiego powodu. Przez krótki czas chodziła na coś w rodzaju psychoterapii do pewnego psychiatry, Jespera Horna. Może go znasz?

– Nie znam.

– W każdym razie przerwała terapię, ponieważ uznała, że bardziej jej pomogą w Rigshospitalet, gdzie powstał nowy ośrodek zajmujący się w sposób szczególny problemami imigrantów po Tivoli. Dyskryminacją, przestępstwami z nienawiści... et cetera.

– Tak, o tym słyszałam.

– Rozmawiałam z Ain tuż przed tym, jak zginęła. Słyszałam, jak to się stało.

Kobieta pokiwała nieznacznie głową.

– Słuchaj, mówisz, że była przygnębiona. Była Arabką. Dzieckiem adoptowanym, prawda? Czuli się prześladowana. I winna. I nadjechał pociąg... Co tu jest do wyjaśniania?

Lene rozłożyła ręce.

– Przez telefon w ogóle nie brzmiała, jakby była gotowa to zrobić. Cholera, dziewczyna miała dwadzieścia trzy lata, a ja jechałam, żeby się z nią spotkać. Gdyby zaczekała pięć minut, znalazłybyśmy jakieś wyjście. – Lene przyjrzała się lekarce uważnie. – Nie wierzysz mi, prawda? Myślisz, że myślę ją z kimś innym. Myślisz, że...

– Że oszalałaś?

– Tak – przyznała Lene szeptem i popatrzyła na swoje dłonie, które nadal się trzęsły na jej kolanach, chociaż tak usilnie próbowała je uspokoić. I chyba nabawiła się tiku pod prawym okiem. Bez przerwy czuła drgający pod skórą nerw. Wiedziała, że przez to cały czas mruga wesoło jak idiotka, chociaż nie było jej ani trochę do śmiechu.

Lekarka wydawała się zafascynowana chaotyczną twarzą Lene. Studiowała ją uważnie, a potem, kręcąc głową, przekierowała wzrok na monitor komputera przed sobą. Poklikała chwilę i wyznała:

– Zdajesz sobie sprawę, że na moje polecenie dwaj laboranci siedzieli całą noc nad próbkami krwi i tkanek Ain Ghazzawi Rasmussen? I że za tych osiem nadgodzin przysługują im teraz jakieś trzy miesiące urlopu? I że wystawiłam męża, chociaż mieliśmy iść na randkę do kina tylko we dwoje po raz pierwszy, odkąd skończyliśmy dwadzieścia jeden lat, co było w minionym stuleciu? A nawet tysiącletniu?

– Wybacz. – Lene miała nadzieję, że zabrzmiało to wystarczająco szczerze.

– Nie, oczywiście, nie mogłaś tego wiedzieć – mruknęła lekarka pod nosem i śledziła wzrokiem wykresy, które pojawiły się na ekranie. – No dobrze. Ale w każdym razie nie uważam, że oszalałaś. O ile to jakaś pociecha.

– Nawet nie masz pojęcia, jak wielka. A dlaczego?

– Dlatego, że tu rzeczywiście coś nie gra. Zobacz sama.

Pokazała jedną z krzywych. Grzbiet łagodnie wygiętego wykresu był poszarpany.

– Co to jest?

– Pierwszy raz coś takiego widzę i w sumie to prawdziwe odkrycie. Znaleźliśmy we krwi Ain rodzaj dietyloamidu kwasu D-lizergowego, czyli LSD. Bez wątpienia nowy syntetyczny narkotyk.

– Ale jak to LSD?

– Nowa udoskonalona wersja – wyjaśniła lekarka. – Do cząsteczki aktywnej wprowadzono grupy siarki. Zapewne po to, aby przyśpieszyć, wydłużyć i wzmocnić działanie narkotyku. Oraz bez wątpienia jest to substancja silnie uzależniająca. Bardzo silnie.

Lene nie była w stanie usiedzieć na miejscu. Podeszła do okna i rozsunęła plastikowe żaluzje. Okno wychodziło na niskie budynki oddziału psychiatrycznego Rigshospitalet.

– Jak to się zażywa?

– Dziewczyna nie miała śladów po wkłuciach. Ale można to przyjmować również w postaci tabletek, wciągać nosem albo zażywać w formie płynnej, rozpuszczając narkotyk na kostce cukru. Tak naprawdę to bez znaczenia. Substancja wchłania się doskonale zarówno z układu pokarmowego, jak i dróg oddechowych.

– A jak działa?

– Otwiera im drzwi do podświadomości i zostawia je otwarte. Zmienia i wzmacnia postrzeganie kolorów. Przedmioty codziennego użytku wyglą-

dają dziwnie albo groźnie. To najsilniejsza znana substancja halucynogenna. Niektórzy nigdy się po tym nie otrząsają.

– A paranoja?

– Zdecydowanie. To praktycznie ten sam alkaloid, który występuje w sporyszu i bieluniu. Wiemy, że wyrocznia delficka była w rzeczywistości kapłanką, która mówiła językami po tym, jak się nawdychała oparów z podpalonego bielunia. Można od tego dostać choroby psychicznej. Oraz oczywiście paranoi.

Lene odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersi.

– Z tego, co mówisz, to gównem było ostatnim, czego potrzebowała Ain – oznajmiła.

– Mogła nie wiedzieć, że to przyjmuje.

– Jak to?

– Substancja jest pozbawiona smaku i zapachu. Można to komuś wrzucić do coli. Albo wmówić mu, że to coś innego. Jeśli się ma odpowiedni autorytet. Bo na przykład jest się lekarzem.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Ale dlaczego ktoś miałby robić coś takiego? – nie rozumiała Lene.

Lekarka zamyśliła się na chwilę.

– Nie jestem ekspertką – zaczęła – ale po tym, jak w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym jeden z chemików w szwajcarskim laboratorium Sandoz przypadkiem zsyntetyzował LSD, w latach pięćdziesiątych substancją poważnie zainteresowała się CIA. Amerykanie uważali, że można ją stosować jako rodzaj serum prawdy. Podczas zimnej wojny między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim trwał również swoisty chemiczny wyścig zbrojeń. Rosjanie posłużyli się narkotykami podczas pokazowych procesów przeciwko dysydemom na Węgrzech po pięćdziesiątym szóstym i w Czechosłowacji po sześćdziesiątym ósmym roku. Na filmach widać, jak ci inteligentni, niezłomni politycy i uczeni zachowują się jak zombie. Jakby zduszono w nich poczucie godności i wolę walki. Do wszystkiego się przyznają, wyrzekają swoich najgłębszych przekonań i donoszą KGB na swoich przyjaciół i własne dzieci.

– Myślisz, że teraz się do tego wraca? – zastanawiała się Lene. – W ramach wojny z terroryzmem na przykład?

– Nie mam pojęcia. Zastanawiające jest to, że oryginalny alkaloid wzbogacono o grupy siarki. Tego się nie da zrobić domowymi sposobami. Wy-

gląda na to, że ktoś nadal z tym eksperymentuje. Powiedz mi zatem, kim ona była?

– Wiesz, chyba jednak napiłabym się kawy – odparła Lene. – I może masz jakieś papierosy?

– Nie wiedziałam, że palisz.

Lene potrząsnęła głową.

– Rzuciłam, gdy miałam dwadzieścia pięć lat. Ale czasem cholernie żałuję.

– Rozumiem. Mnie to akurat ominęło.

Patolożka nastawiła czajnik i do dwóch plastikowych kubków nasypała nescafé.

– Słodzisz?

– Tak, dwie łyżeczki.

– Nie mam cukru. Zapytałam z uprzejmości.

– Spoko.

Lene wypila łyk kawy.

– Moim zdaniem Ain nie była nikim szczególnym – zaczęła. – Może była ponadprzeciętnie zagubiona i wrażliwa. Myślę, że niewiele rzeczy przychodziło jej naturalnie, i chyba nie można oczekiwać, żeby było inaczej od kogoś, kto się wychował w obozie dla uchodźców. Testy wykazały coś jeszcze?

– Nie.

– Słyszałaś coś o tym? To znaczy, w ostatnim czasie? O LSD?

– W mojej branży oczywiście czasem coś się człowiekowi obije o uszy. Jesteśmy ludźmi nauki, ale i tak najciekawszych rzeczy podczas tych wszystkich konferencji można się dowiedzieć z rozmów w kularach i podczas przerw na kawę. Substancje toksyczne zawsze mnie fascynowały. Z jakiegoś powodu trucizny wydają mi się romantyczne.

Lene popatrzyła na nią pustym wzrokiem i kobieta się spłoniła.

– No wiesz. Małe zielone buteleczki z trupią czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami. Nie sądzisz?

Lene bez przekonania pokiwała głową. Pomyślała, że w rzeczywistości chyba nigdy nikogo nie da się poznać zbyt dobrze. Na głos przyznała:

– Chyba coś w tym jest. To o czym twoi koledzy rozmawiają podczas tych przerw?

– O tym, że administracja Obamy nie patrzy już przychylnym okiem na waterboarding, czyli symulację topienia podejrzanych o terroryzm. Po do-

niesieniach z Abu Ghraib w Iraku, Bagram w Afganistanie i Guantánamo uznano takie metody za problematyczne.

– Szukają więc alternatywy dla katowania ludzi niemal na śmierć oraz ich podtapiania? – spytała gorzko Lene.

– Dokładnie. Bo wciąż rozpaczliwie potrzebujemy informacji. A teraz jeszcze ponoć wkraczamy do Mali. Zatem moi koledzy rozmawiają o serum prawdy. Niewykluczone, że ludzie potem nie wiedzą, co mówili, i kto wie, czy w rzeczywistości to właśnie nie jest najbardziej przerażające.

Lene wskazała na pawilony za oknem.

– Znasz Irene Adler?

– To gwiazda. Dysponuje jednym z największych budżetów w Rigshospitalet. Jest czarująca i wspaniale się prezentuje na bankietach i galach. A ty ją znasz?

– Leczyła moją córkę. Wiesz, czym się teraz zajmuje?

– Zobaczymy.

Lekarka weszła na pubmed.com, największą internetową bazę opublikowanych artykułów z dziedziny nauk medycznych. I zaraz odchyliła się w fotelu.

– Dwieście trzydzieści sześć pozycji! – wymamrotała zdumiona. – Niepojęte... „Clinical Psychology”, „Journal of Terrorism Research”, „Nature”... lista się ciągnie... i ciągnie... – Nagle urwała i spojrzała na Lene. – Tytuły publikacji sugerują, że stara się wyodrębnić fundamentalne cechy charakteru ludzi, którzy decydują się zostać terrorystami, a w szczególności zamachowcami samobójcami. I ma imponujący dorobek. Pierwsze publikacje ma jeszcze z czasów studenckich.

– Uważasz, że ktoś decyduje się zostać terrorystą?

– No tak, decyduje jak decyduje. Masz rację. Czy cokolwiek w życiu jest naszą świadomą decyzją?

– Kto ją finansuje?

– Z tego co wiem, zatrudnia na cały etat co najmniej dwóch fundraiserów, którzy zajmują się wyłącznie pisaniem wniosków. A gdy pojawią się pierwsze granty, działa efekt kuli śniegowej. Jej badania są atrakcyjne, aktualne i nowoczesne.

– Ale myślisz, że Stany Zjednoczone?

– Oczywiście. Stany, Unia Europejska, prywatne fundacje. Rozmawiałaś z nią?

– Próbowałam. Nie najlepiej to wyszło, mówiąc delikatnie. Adler zadzwoniła do mojej szefowej i powiedziała, że jej groziłam.

– A groziłaś?

– Niby czym? Że zburzę jej fryzurę albo ukradnę torebkę Gucci? Zresztą, nie pamiętam. Ostatnio nic nie pamiętam.

Lene dopiła kawę i wrzuciła kubek do kosza na papiery. Założyła skórzaną kurtkę i podniosła torebkę z podłogi.

– Będiesz miała problemy? – spytała jeszcze.

– Nie, jeśli ty się nie wygadasz.

– O to możesz być spokojna. Ale proszę cię, żebyś zapisała te pliki w jakimś bezpiecznym miejscu. Na przykład na USB przyczepionym do psiej obroży.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Jasne. A w ogóle obejrzałaś już nagrania? Zresztą po co pytam, wiadomo, że tak.

– Nie. Jakie nagrania?

– Nørreport jest naszpikowane kamerami – wyjaśniła lekarka. – Wiesz, o co chodzi. Bierne bezpieczeństwo dla dziewczyn, które nocą wracają do domu. Chociaż nie ma pewności, czy w ogóle są włączone.

– Cholera. – W głosie Lene słychać było rezygnację. – Kiedy tam byłam, pomyślałam o tym samym. To takie oczywiste. Kurde, to ty powinnaś przejąć moją pracę.

Lekarka się wzdrygnęła.

– Nie, dziękuję.

\* \* \*

Dwaj mężczyźni w niepozornym granatowym samochodzie widzieli, jak komisarz po skosie przeszła przez parking na tyłach Zakładu Medycyny Sądowej i wsiadła do swojego samochodu. Włączyła silnik i światła, ale samochód stał w miejscu.

– Co ona tam robi? – zastanawiał się młodszy, z kucykiem.

– Rozmyśla albo zasnęła – odparł drugi.

Długowłosey zerknął na starszego kolegę siedzącego za kierownicą. Nadinspektora Kima Thomsena. To Kim się uparł, żeby jeszcze ich nie zmieniano. Żeby kontynuowali obserwację. Od czterdziestu ośmiu godzin spali i jedli w samochodzie, który pachniał teraz jak szkolny autobus. Długowłosey

stwierdził, że Lene Jensen i jego wiecznie przybity cierpiący na bezsenność partner z patrolu są do siebie podobni. Dwoje fanatyków. Nie zważający na nikogo poza sobą i celem, któremu wszyscy muszą się poświęcić. Słumił ziewnięcie. Ale pewnie tak odnaleziono źródła Nilu, Amerykę i grób Tutenchamona. Niech ich wszystkich diabli. Przeklęte ultrasy!

Lene Jensen stanowiła niewyraźny kształt w swoim małym citroenie pięćdziesiąt metrów dalej.

W urządzeniu podłączonym do iPada na jego kolanach zamigła zielona lampka LED i mężczyzna nałożył słuchawki.

– Dzwoni gdzieś – mruknął.

– Do kogo?

– Chwila... Nazeera. Znowu.

Poczuł na sobie wzrok kolegi i usłyszał skrzypienie plastiku, gdy ten mocniej ścisnął kierownicę.

– Piąty raz dzisiaj.

– Co najmniej.

– Odbiera?

– Jasne, że nie. Cały czas to samo: „Cześć, tu Nazeera. Powiedz mi coś ważnego albo miłego...”.

– A ona co mówi?

– Nazeera, zadzwoń do mnie, to ważne. Mówi Lene Jensen. Chodzi o Ain – powiedział cicho długowłosey, który w papierach nazywał się Christian Erichsen. – I podała numer telefonu, który się przecież, kurwa, wyświetlił.

Zdjął słuchawki i spojrzał w okna gabinetu patolożki. Kobieta właśnie przeszła obok okna, założyła czarną czapkę na krótkie jasne włosy i zgasła lampkę na biurku.

– Czego się dowiedziały? – spytał.

– Niczego – powiedział Kim bez wahania.

– Ale da się to wykryć?

– Jasne, że nie.

Kim włączył silnik, gdy samochód komisarz wycofał się z zatoczki i wjechał na płytę parkingu, chociaż sztuka zawodowa nakazywała chwilę odczekać.

Christian westchnął.

Jechali za nią aż do Østerbrogade, gdzie Lene zaparkowała, wysiadła i przeszła przez ulicę wyraźnie zamyślona. Niemal potrafiła ją taksówka.

Obaj wstrzymali oddech. Taksówkarz trąbił przeciągle jeszcze dwieście metrów dalej. Musiał być przerażony. A komisarz stała na środku jezdni i odprowadzała taksówkę roztargnionym wzrokiem. Potem ruszyła dalej i weszła do McDonalda.

– Kurwa – wymamrotał Kim.

– Ja pierdołę, mało brakowało – przytaknął Christian. – *Fuuuck*, stary!

– Chodziło mi o to, że szkoda, że jej nie stuknął.

Kim spuścił wzrok i na zmianę prostował i zginał palce. Oddychał głęboko, a Christian zamknął oczy. Wiedział, co teraz nastąpi. Kolejna motywująca gadka. Dziś to będzie już trzecia. Z upływem czasu Kim najwyraźniej czuł coraz silniejszą potrzebę przekonywania go – a może przede wszystkim samego siebie – o wadze ich misji.

– Christian, wiesz, że to jest ten moment, że teraz wszystko się rozstrzyga, prawda? – zaczął. – Dosłownie teraz, w tej chwili. Nie jutro, nie w przyszłym tygodniu. Teraz. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Christian patrzył przed siebie. O tym, że Thomsen nie ma za grosz poczucia humoru, wiedział od zawsze, ale odkąd zaczęli obserwować komisarz Jensen, stał się bardziej czerstwy niż kiedykolwiek.

A teraz ciągnął dalej tym samym, monotonnym głosem:

– Ktoś w tej chwili ryzykuje dla nas swoim życiem. Dla nas wszystkich. Dla kraju. Jest ktoś, kto właśnie teraz robi wszystko, aby nigdy nie było powtórki z Tivoli.

Przełknął ślinę, a Christian poruszył się zniecierpliwiony. „Dobra, przestań już. Błagam”, myślał.

– Przecież wiem! – powiedział głośno i szorstko.

Tamten przez chwilę milczał.

– Okej. W takim razie wiesz również, że nigdy, ale to nigdy nie pozwolę, żeby ta jebnięta, psychicznie niezrównoważona baba wszystko zepsuła.

– I co zamierzasz zrobić? Przecież nie możesz jej po prostu odstrzelić. Wiesz chyba, że ona jest po twojej stronie.

– Nie. Ona nie jest po mojej stronie.

– Daj spokój.

Kim uśmiechnął się złowieszczo i położył rękę na udzie Christiana. Zostawił ją tam dostatecznie długo, żeby zostawiła ciepły odcisk.

– Ale ty jesteś po mojej stronie, prawda?

– Jasne – potwierdził. I mówił szczerze.



Rzeczywiście nie mogli się wycofać. Umieścili swojego informatora, kreta, dokładnie tam, gdzie zamierzali: tuż przed drzwiami kryjówki muftiego Ibrahima Safara Khana. Uczonego w piśmie masowego mordercy z Aleppo i najprawdopodobniej architekta zamachu w Tivoli oraz kilku innych udanych akcji na Zachodzie. Ten człowiek był numerem dwa na liście celów ataków dronami Baracka Obamy. Kret właśnie miał wykonać ostatni krok i uzyskać dostęp do domu bojownika na Bliskim Wschodzie. Właśnie teraz, kiedy oni siedzieli tu, przy Østerbrogade, wbito łopatę w grób Ibrahima Safara Khana. I była to duńska łopata. Żaden z nich nie śmiał nawet marzyć, że dożyje takiej chwili.

I wszystko to było wyłączną zasługą Kima. Jego upór i ciężka praca zwyciężyły z chronicznie wątpiącymi i myślącymi konwencjonalnie ludźmi z PET.

To Kim wymyślił akcję z informatorką o kryptonimie Zebra. Osobiście ją znalazł. Był wprawnym łowcą talentów. A gdy już wypatrzył, to ją zwerbował, zatroszczył się o nią i ją wyszkolił. Była urodzona do takiej misji, w jej żyłach płynęła lodowata woda. Kim natomiast był niezastąpiony. Niezrównoważony i fanatyczny, owszem, ale niezastąpiony. Zebra nie przyjmowała instrukcji od nikogo innego, z nikim innym się nie kontaktowała ani nie wykonywała niczyich rozkazów, tylko Kima. Na tym etapie sytuacja była zbyt delikatna i niepewna, żeby nawet myśleć o zmianie oficera prowadzącego.

Komisarz Jensen uprzątnęła swoją tackę i szła do wyjścia.

Christian miał gorącą nadzieję, że na dziś dość ma wtykania kija w mrowisko i po prostu pojedzie do domu spać, żeby wszyscy mogli trochę odpocząć. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na długonogą zdecydowaną postać stojącą na chodniku przed restauracją, aby zgasić w nim tę nadzieję. Lene Jensen nagle wydawała się wręcz nienaturalnie pobudzona.

– Gdzie ona jest? – spytał Kim.

– Właśnie przechodzi przez ulicę.

– To widzę, pytam o Zebrę. Christian, do cholery!

– Przepraszam...

Otworzył mapę na iPadzie, zrobił zbliżenie na mały czerwony krzyżyk i przez chwilę na ekranie pokazał się fragment dużego międzynarodowego lotniska.

– Lotnisko imienia królowej Alii w Jordanii. Nie przemieszcza się. Pewnie czeka w kolejce do kontroli paszportowej.

Kim pokiwał głową. Za kilka minut Zebra wynajmie skrytkę bagażową i zdeponuje w niej całą elektronikę i mechanikę, jaką ma przy sobie: zegarek, małe radio z budzikiem, telefon komórkowy, dzięki któremu namierzyli ją w tej chwili na lotnisku na południe od Ammanu, laptop, a nawet karty kredytowe, jeśli miały czipy.

Gdyby ochroniarze Ibrahima Safara Khana znaleźli przy niej coś, co choćby w najmniejszym stopniu mogło przypominać nadajnik GPS, najpierw by ją torturowali, potem zgwałcili, na koniec zastrzelili. Miejskowa policja znalazłaby któregoś dnia jej szczątki w spalonym samochodzie albo ktoś zauważyłby jej zwłoki na wysypisku śmieci, kiedy psy zdarłyby z nich plastikowe worki.

– Powodzenia – powiedział cicho Christian, a jego kolega włączył silnik i ruszył za samochodem komisarz.

Dwie minuty zajęło jej wjechanie w Jagtvej, przejechanie przez rondo Vibenshus Runddel i dalej w stronę centrum. Nagle zwolniła i wcisnęła się małym citroenem przed wóz dostawczy stojący przy całodobowym kiosku naprzeciwko numeru 102, pod którym mieszkała Ain Ghazzawi Rasmussen.

Christian bał się spojrzeć na kolegę.

\* \* \*

Podupadająca klinika przy ulicy Omara al-Mokhtara w Ammanie pełniła funkcję recepcji Ibrahima Safara Khana. System był prosty. Albo udało ci się przekonać pracowników kliniki, że masz uczciwe zamiary i zasługujesz na to, aby wyjść z budynku o własnych siłach, albo kończyłaś na tylnym podwórzu zawinięta w płótno i zamknięta w taniej sosnowej trumnie z fałszywym aktem zgonu przybitym do wieka. Zwykle przyczyną śmierci było zatrzymanie akcji serca, co oczywiście nie odbiegało od prawdy, ponieważ taki właśnie efekt dawały dwie kulki w pierś.

Dla Zebry rozbieranie się do naga w dużym wykafelkowanym pomieszczeniu wciąż było niesłychanie upokarzające. Musiała to robić w obecności grubej kobiety w brudnym płaszczu, a ta z wyraźnym rozbawieniem komentowała pod nosem jej przycięte włosy łonowe. Komentarze podłapywali natychmiast młodzi mężczyźni w ciemnych okularach, którzy stale się tu kręcili uzbrojeni w broń maszynową i ubrani w dzinsy i skórzane kurtki, również mieli przy tym świetną zabawę. Potem było jeszcze gorzej, gdy ko-

bieta w rękawiczce wkładała jej palce we wszystkie otwory, a na koniec ka-  
zała się kłaść na brudnej leżance, gdzie prześwietlano ją złowieszczo  
iskrzącym antycznym aparatem rentgenowskim. Zebra nauczyła się zamy-  
kać w sobie i chować w bezpiecznym miejscu podczas całej procedury.

Gruba sadystka jak zwykle była rozczarowana, gdy nie znalazła niczego  
podejrzanego na jej ciele ani w jego wnętrzu. Rzuciła jej ubranie na pod-  
łogę i strażnicy dyskretnie się odwrócili, kiedy Zebra się ubierała. Tym ra-  
zem prawie jej się udało nie spojrzeć na przybite do podłogi ciężkie dREW-  
niane krzesło ze skózanymi pasami na środku pomieszczenia. Od krzesła  
po podłodze ciągnęły się ciemnobrązowe smugi. Zaschnięta krew, której nie  
dało się zmyć.

Mężczyźni wyprowadzili ją na zewnątrz. Zamiast zakurzonej i pełnej  
wgniecień toyoty, która ją odebrała z lotniska, czekał na nią żółty mercedes  
wyglądający, jakby od czasów wielkiego potopu jeździł wyłącznie po pu-  
styni, a jego kierowca mógłby być dziadkiem Noego. Trzej młodzi straż-  
nicy wsiedli do zdezelowanego czarnego dostawczaka za mercedesem.

Zasuszona starcza dłoń pomachała, każąc Zebrze się zbliżyć. Pustą ulicę  
wypełniała wrzaskliwa atonalna arabska muzyka z radia w samochodzie.  
Otworzyła drzwi i rzuciła na tylne siedzenie torbę. Sama usiadła z przodu.  
Starzec z kozią bródką założył jej na nos duże słoneczne okulary ze szklami  
zaklejonymi czarnym filcem.

– Wszystko w porządku, miss?

Jej skromny bagaż został skrzętnie przetrzepany już pod lotniskiem.  
Sprawdzono każdy szew jej ubrań. Piekielnie drogie okulary słoneczne  
Toma Forda wrzucono do rynsztoku i połamano obcasem. Nowe procedury.

Pokiwała głową i zebrała chustkę ciaśniej pod szyją.

– *Period?*

– Możemy rozmawiać po arabsku – zapewniła go.

Mężczyzna pozostał przy swoim łamanym angielskim. Może był z niego  
dumny.

– *Period, miss?*

– *Period?* – wciąż nie rozumiała.

Wyczuła poruszenie w powietrzu. Możliwe, że mężczyzna pokazywał jej  
coś rękoma, co było idiotyczne, bo przecież nic nie widziała.

– *Moon?*

W samochodzie było potwornie gorąco, choć zanim wsiadła, zauważyła  
śmieszny wiatraczek, który pracował zawzięcie na desce rozdzielczej po-

między zwisającymi z lusterka sznurami modlitewnymi. Słońce waliło prosto w żółty blaszany dach.

W końcu zrozumiała, o co mu chodziło. Chciał wiedzieć, czy była w trakcie menstruacji. To by wiele utrudniło, ponieważ mufti, święty szejk Ibrahim Safar Khan nie mógł przebywać w jednym pomieszczeniu z kobietą nieczystą. Trzeba by zmienić cały ceremoniał wizyty.

– *No moon. No period* – wymamrotała.

– *You sure?*

– *Yes! Can we go, please? I have to catch a plane out of here in three hours.*

– *Water?*

– *From a sealed bottle?*

– *Sure.*

Usłyszała, jak odkręca kapsel, i poczuła na wargach zimny plastik. Piła łąpczywie. Zaburczało jej w brzuchu i docisnęła palcami żołądek. Kierowca w końcu uruchomił silnik, który zakrzuszył się, ale ruszył, a dźwignia skrzyni biegów z chrzęstem przeskoczyła na jedynekę.

– *Not far!* – zawołał starszek, przekrzykując muzykę i silnik.

– *Great* – skomentowała cicho.

\* \* \*

Miejsce było zawsze inne, ale zawsze tego samego rodzaju: niski kwadratowy dom z płaskim dachem, ogrodzone podwórko z pobielonymi betonowymi ścianami, na które trzymający tam stale straż młodzi mężczyźni rzucaли czarne cienie. Białe plastikowe krzesła. Czasem szemrząca fontanna. I dzieci. I głosy codziennej kobiecej krzątania dobiegające z pobliskich pokoi, do których nigdy jej nie zaproszono. I jeszcze zapach jedzenia.

Miejsce bardziej niż cokolwiek innego przypominało po prostu dom. Zawsze gdzieś grał telewizor, za to nigdy, przenigdy nie dzwonił telefon. Niebo nad Jordanią aż się roiło od szpiegowskich satelitów i dronów. Jedno nieostrożne słowo wypowiedziane do telefonu komórkowego przez muftiego albo któregoś z jego zaufanych współpracowników uruchomiłoby krótką i nieodwracalną serię zdarzeń: w klimatyzowanym centrum kontroli w Langley w stanie Wirginia oficer dyżurujący przy pomocy zaawansowanego oprogramowania rozpoznałby głos i z nieba nad Ammanem, niczym mała śmiertcionośna metalowa strzała, spadłby dron Raptor. Jego kamery

termowizyjne w kilka sekund zrobiłyby zbliżenie na cel i rakietą hellfire zmiotłaby z powierzchni ziemi Ibrahima Safara Khana wraz z kobietami, dziećmi, doradcami, psami, osłami, sąsiadami i strażnikami, zamykając ich wszystkich w kuli ognia, której centrum miało taką samą temperaturę jak słońce.

Usłyszała, jak wózek inwalidzki zatrzymuje się obok jej głowy. Nie zareagowała.

W skupieniu przyglądała się skomplikowanym czerwono-niebieskim wzorom na perskim dywanie, kiedy zaciągnięto hamulec. Nie ona pierwsza tu klęczała. W miejscu, w którym jej czoło dotykało dywanu, włosie było niemal całkiem wytarte. Schyliła się jeszcze niżej, aż usłyszała nad sobą świszczący głos starca:

– *Salam alejkum*, córko. Wróciłaś. To dobrze. Dobrze, że przyjechałaś się pokazać.

O wiele za rzadko to robisz, ale tym bardziej rad jestem cię widzieć.

– *Wa'alejkum salam*, Uczony Ojciec.

– Niech cię obejrzę – rozkazał i Zebra wiedziała, że w pomieszczeniu nie było innych kobiet.

Usiadła na piętach i odsłoniła twarz. Oczywiście nie patrzyła wprost na niego, czuła za to miętę w jego oddechu.

– Popatrz na mnie.

Zamrugła i podniosła wzrok. Broda Ibrahima Safara Khana sięgała trzeciego guzika jego czerwonej kamizelki. Jakieś dwie szerokości dłoni nad rękojęścią sztyletu wykonaną z rogu nosorożca. Na głowie miał biały haftowany fez jak przystało na pobożnego muzułmanina, a na nosie grube okulary w rogowych oprawkach, zza których ciemne, zimne i stale łzawiące oczy patrzyły na nią w skupieniu. Żółte pasma na brodzie świadczyły o intensywnym używaniu fajki wodnej.

Khan skończył wreszcie studiować jej twarz i pokiwał głową.

– Spocznij, córko.

Wskazał na niski stółek. Móc usiąść w obecności Safara Khana było najwyższym zaszczytem. Uśmiechnęła się i usiadła, ale cały czas pilnowała, żeby z jej twarzy nie schodził wyraz powściągliwości i szacunku.

Mufti splótł spoczywające na kolanach ręce. W rogu jeden z jego adiutantów wwiercał się w nią płomiennym wzrokiem. Był mułłą i pewnie uważał ją za bezwstydną ladacznicę, ponieważ odsłoniła twarz w obecności

mężczyzn, choć zrobiła to na wyraźne polecenie muftiego. Zebra nic sobie z tego nie robiła. Znała takich jak on. Boże, jeszcze jak ich znała.

Przez pozbawione szyb otwory okienne widziała dwóch strażników. Ci patrzyli na nią z kamiennymi twarzami.

Safar Khan pochylił się, żeby odciążyć obolały krzyż.

– Wszystko w porządku?

Zebra potwierdziła skinieniem.

– Tak, Ojcze, wszystko w porządku.

– Nikt niczego nie podejrzewa? Żyjesz jak należy?

– Nikt niczego nie podejrzewa i żyję jak należy. Żyję niczym cień, tak, jak mnie uczyłeś, ale wytrwam, wiem, że to konieczne.

Khan wycelował pilota w plazmowy ekran oparty o ścianę. Jak w większości gospodarstw w Ammanie były tu dwie anteny satelitarne. Jedna skierowana na wschód, druga na zachód. Wcisnął guziki, ale nic się nie działo. Adiutant delikatnie wyjął pilota z rąk starca i znalazł Al Dżazirę, ogólnoarabski kanał telewizyjny.

Zebra popatrzyła na ekran. Duński sekretarz generalny NATO stał przy mównicy w głównej siedzibie organizacji w Brukseli na tle wojowniczej niebieskiej czteroramiennej gwiazdy kompasu. Zdawał relację ze wspólnych działań wojsk sojuszu w Mali i Nigrze wymierzonych w świętych bojowników Al-Kaidy, którzy ponownie nadciągnęli z pustyni i zagrażali rafineriom ropy naftowej i gazu ziemnego znajdującym się na terenie tych słabo zaludnionych, lecz ogromnych pustynnych krajów. I zaraz pokazano materiał filmowy. Zakurzona droga gdzieś w Mali sunęła kolumna wozów opancerzonych i wzbijała tumany kurzu w niebieskie nieruchome niebo. Spoceni żołnierze w kamuflażu siedzieli albo leżeli na pokładach maszyn, a na jednej wysokiej antenie łopotała duńska flaga.

Adiutant zaklął w swą cienką czarną brodę, natomiast mufti siedział nieruchomo. Pokiwał głową i ekran zrobił się szary, a zaraz potem czarny.

Safar Khan odwrócił się do niej.

– Jak widzisz, jeszcze nie skończyliśmy.

– Nie skończyliśmy, ponieważ Duńczycy wciąż się nie nauczyli, czym grozi przelewanie islamskiej krwi – przytaknęła.

– Jakie są nastroje w twoim małym kraju?

Zebra znów pozwoliła sobie na uśmiech.

– Nadal nie mają żadnych tropów. Sprowadzają Amerykanów i Izraelczyków, żeby im tłumaczyli, co mają robić. Tamci ich szkolą, ale to na nic. Oni

mają tylko takie twarze, jakie my im nadajemy, Ojczy, a te twarze niczego nie działają.

Mufti z zadowoleniem pokiwał głową. Dał sygnał młodemu mulle, który wyszedł i zostawił ich samych. Safar Khan zamysłony nalał sobie gęstej jak syrop kawy do małej mosiężnej filiżanki i wypił mały łyk. Skrzywił się i docisnął dłoń do brzucha.

– Nie powinienem pić kawy. Mam wrzody. Nie powinienem też palić tyle słodkiego tytoniu, ale niełatwo na starość zmienić przyzwyczajenia.

Pokiwała głową. Miała wielką ochotę położyć mu dłoń na kolanie z troską, jaką okazałaby córka ojcu, ale oczywiście nie wolno było tego robić.

– Czekamy na kogoś, Wielki Khanie? – spytała.

Spojrzał ponad nią i odwrócił wózek w stronę ogródka. W tej samej chwili do pokoju weszli dwaj młodzi mężczyźni i uklękli na tanich popękanych płytkach. Przycisnęli czoła do podłogi. Adiutant postawił za nimi wyswiechtaną skórzaną torbę i wrócił na swoją pozycję pod ścianą.

Mufti wyciągnął ku nowo przybyłym dłoń w geście błogosławieństwa i pozwolił im się wyprostować, żeby móc zobaczyć ich twarze. Głos starca był melodyjny, jakby ci dwaj byli jego ulubionymi synami wracającymi do domu z o wiele za długiej podróży. Podjechał do nich bliżej, a ci ucałowali jego ręce. Potem sprawnie odwrócił wózek bokiem, żeby jednocześnie widzieć Zebkę.

– Znasz już Samira i Fadra – oznajmił.

Zebra uśmiechnęła się do chłopaków. Starszy, Samir, był przystojny. Miał sięgające ramion czarne włosy, duże złociste oczy otoczone gęstymi rzęsami i regularne, męskie rysy. Jedyłą skazą na jego twarzy była dziwna gwiazdzista blizna na lewej skroni. Martwa i biała na tle ciemnej gładkiej skóry. Zobaczył jej uśmiech i zaraz spuścił wzrok.

– *Salam alejkum* – powiedział niewyraźnie.

– *Wa'alejkum salam*, Samirze. Jak się miewasz?

– Dobrze, siostrze.

Fadr z cienkim wąsem nad zajęczką wargą pokiwał głową i uśmiechnął się. Z nim też przywitała się jak siostra z bratem.

Safar Khan pchnął wózek i ustawił go za dwójką klęczących mężczyzn. Ci nadal patrzyli wprost przed siebie. Adiutant podniósł torbę z podłogi i położył na kolanach muftiego.

Khan popatrzył poważnie na Zebkę ponad głowami mężczyzn.

– Nasz ruch jest mały, lecz śmiercionośny jak nowo narodzona kobra. Jest śmiercionośny dlatego, że znamy się nawzajem i nikt obcy nie narazi nas na niebezpieczeństwo. Jesteśmy silni, ponieważ wierzymy, jesteśmy czysti i ponieważ żyjemy skrycie, schowani w cieniu minionych wieków. Niczego się nie boimy, albowiem uważamy się za istoty nie z tego, lecz następnego świata. Jesteśmy nieskalani i cnotliwi. Niestraszny nam Izrael ani chrześcijańscy krzyżowcy. Jesteśmy bezpieczni jak dzieci kochane przez Boga. – Schylił się i położył dłoń na ramieniu Fadra. Chłopak się wzdrygnął i marszcząc brwi, popatrzył na Zebrę, jakby szukał czegoś w jej twarzy. Ona nieznacznie pokręciła głową, a mufti mówił dalej: – Czystość, Fadrze. Czy ona cokolwiek dla ciebie znaczy?

Chłopak się uśmiechnął.

– Oczywiście, Ojciec.

Mufti otworzył torbę i wysypał stos płyt DVD na podłogę przed młodym mężczyzną. Kolorowe okładki leżały rozrzucone na płytkach i Zebra pochylała się, żeby je obejrzeć. *Rocco Ravages Ibiza, Teen Gangbang, Double Anal Penetration...* mozaika otworów kobiecego ciała rozciągniętych przez olbrzymie, lśniące kutasy.

– Ojciec... – zaczął chłopak.

– MILCZ!

Zebra pomyślała, że to był prawdziwy głos Safara Khana. Nie zachrypnięty czy piskliwy, ale dudniący jak zabytkowy dzwon. Głos szkolony do przebijania się przez spowijające miasto mgły i wzywania wiernych do modlitwy.

Fadr ukrył twarz w dłoniach. Za jego plecami mufti cudownie powstał z wózka inwalidzkiego, sprężysty i nagle odmłodził się. Przez otwór okienny podano coś długiego i lśniącego. Starzec złapał oburącz rękojeść kindżału i podniósł go wysoko nad głowę. Palce Fadra zsunęły się po twarzy w dół i chłopak znów patrzył na Zebrę. Poruszał wargami, ale nie wydobył się spośród nich żaden dźwięk.

Ostrze przecięło powietrze i wbiło się w jego głowę, zatrzymując się w połowie odległości między czubkiem głowy a brwiami. Odgłos rozłupywanej czaszki był najostrzejszym i najbardziej suchym dźwiękiem na świecie. Ręce i nogi Fadra wyprostowały się jak rażone prądem. Chłopak przez chwilę zezował na półmetrowe, wygięte ostrze sterczące mu z czoła i bezgłośnie upadł na twarz. Zebra krzyczała za niego. Krzyczała i nie mogła przestać. Samir uklęknął obok niej i mocno ją objął. Wyrzywała się, ale był



silny i z łatwością ją przytrzymał. Wreszcie się poddała i tylko odtwarzała w głowie ostatnie sekundy.

To nie powinno być możliwe. Zanim Ibrahim Safar Khan został najsukuczniejszym władcą marionetek sterującym zamachowcami samobójcami na Bliskim Wschodzie, był przecież profesorem w Katedrze Studiów Bliskowschodnich Uniwersytetu Londyńskiego. Istniało mnóstwo zdjęć i nagrań z jego wykładów oraz kongresów i konferencji, w których uczestniczył. Poruszał się o własnych siłach do wypadku samochodowego w 1998 roku, ale potem już nigdy. Wszyscy o tym wiedzieli. A ona wiedziała o tym lepiej niż większość.

W chwili, gdy padł ten straszliwy cios, wzrok Zebry przesunął się po twarzy Samira. Mężczyzna nawet nie mrugnął, gdy ostrze wbiło się w czaszkę przyjaciela. Pomyślała, że Samir wiedział. Może to on znalazł te filmy. Może to on zdradził Fadra. Będzie musiała na niego uważać. Samir to nie tylko piękna twarz. Safar Khan traktował go z najprawdziwszym oddaniem, wręcz z szacunkiem.

– Wstań, córko.

Mufti ponownie zasiadł w wózku inwalidzkim, a chude dłonie położył na oparciach. Jeszcze chwilę z ubolewaniem patrzył na podłogę, zanim dał sygnał i młodzi ochroniarze wynieśli Fadra na podwórze, gdzie czekały całkiem nowoczesne nosze szpitalne. Dwaj ratownicy w służbowych uniformach przykleili elektrody do piersi chłopaka, szybko i sprawnie wsunęli mu w do gardła plastikową rurkę i założyli wenflon. Jeden z nich zaczął sztuczne oddychanie przy pomocy czarnego balona, a drugi przyłączał elektrody do monitora.

Cała akcja wydała jej się diaboliczna i zarazem zupełnie odrealniona. Treść żołądkowa podeszła jej do gardła. Teraz przypomniała sobie, że na kilka sekund przed egzekucją rzeczywiście usłyszała w oddali syreny pogotowia. Pojawił się starszy mężczyzna w okularach w złotych oprawkach i czystym białym lekarskim kitlu. Ostrożnie wyjął ostrze z głowy chłopaka. Dziwne, ale krwi było niewiele. Głowę opatrzone ciasnym opatrunkiem z grubymi niebieskimi okładami z gazy. Lekarz poświecił w oboje oczu, a następnie zbliżył się do otworu okiennego. Pokłonił się z nabożeństwem, kładąc dłonie na piersiach i czole.

– *Salam alejkum*, mój szejku. Mistrzowski cios, panie. Chłopiec nie żyje, ale nie umarł.

– Na pewno?

– Jestem tylko człowiekiem, Safarze Khanie, ale taka jest moja ocena. Jego serce bije.

– Dobrze. Zabierz go więc i przygotuj.

Lekarz pokłonił się nisko, a ratownicy wwieźli nosze do czekającej karetki.

Musiła wziąć się w garść. Wiedziała, że obserwują i oceniają jej reakcję.

– Samir, zabierz te filmy – powiedział cicho Khan.

Mężczyzna pozbierał płyty i z powrotem wrzucił do skórzanej torby takim gestem, jakby sam ich dotyk był hańbiący. Torbę postawił na parapecie, skąd zabrały ją czyjeś dłonie.

Safar Khan podrapał się po brodzie i spojrzał na Zebkę. Przepraszającym gestem wskazał na podwórze.

– Cóрко, nie chodziło o te filmy. Jako takie. Filmy potrafię zrozumieć. Są obrzydliwe, ale Fadr jest młody, a świat i męskie pragnienia niestety takie właśnie się dziś stały, nie uważasz?

Gdy przytaknęła, mówił dalej:

– Sam byłem kiedyś młody. Należałem do tego świata. Ale niewybaczalne było to, że Fadr kupił te filmy w Kopenhadze.

– Jak to?

– W kiosku naprzeciwko mieszkania. Samir powiedział, że Fadr jeden, jedyny raz wyszedł z mieszkania.

– Żeby kupić papierosy – dodał Samir.

– Właśnie. Poszedł po papierosy, a przy okazji kupił piętnaście filmów pornograficznych. Uważasz, że to normalne? – spytał Khan. – Nie bardzo. Sprzedawca musiał zwrócić na niego uwagę, możliwe, że kamera w sklepie również. Zgodzisz się ze mną, prawda, cóрко?

– Tak.

Khan uśmiechnął się nieznacznie.

– Jako martwa skrzyńka z bijącym sercem Fadr będzie nieskończenie bardziej użyteczny, niż kiedy był żywy.

Zebra nagle uśmiechnęła się z zachwytem.

– A ty możesz chodzić, wielki Khanie! To cud. Allahowi dzięki i chwała!

W pierwszej chwili pomyślała, że posunęła się za daleko. O wiele za daleko. Młody mułła, który wrócił do pokoju i dalej stał jak słup soli pod najdalejszą ścianą, posłał jej spojrzenie zdolne obrócić ją w proch. Nawet Samir, o wiele mocniej stąpający po ziemi, zmrużył oczy, jakby poczuł fizyczny ból.

Starzec zamrugał zaskoczony. A potem odchylił głowę do tyłu i zarecho-  
tał donośnie, odsłaniając garnitur złotych zębów. Zebra poczuła, że nagle w  
pokoju robi się więcej powietrza, gdy wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Nikomu nie pokazuj, kim jesteś, córko. Ani żywym, ani zmarłym,  
przyjaciołom ani wrogom. Nigdy! Zapamiętaj to sobie. Teraz to dla ciebie  
ważniejsze niż kiedykolwiek.

\* \* \*

Khan zaprosił swoich doradców do stołu. Jakaś kobieta przyniosła świeżą  
kawę, sorbet i owoce. Ponownie wstał z wózka, przeciągnął się i bezgłośnie  
w pantoflach z koziej skóry przechadzał się po pokoju.

– Samirze, czy znalazłeś w Rosji to, o co cię prosiłem?

Samir otworzył czarną sportową torbę i położył na podłodze dwa przed-  
mioty. Kamizelki z naszytymi kieszeniami, ale szerszymi i bardziej płą-  
skimi niż zazwyczaj. Ładunki wybuchowe nie były połączone widocznymi  
przewodami. Kamizelki zostały wykonane z ciemnoszarego materiału przy-  
pominającego neopren.

– Sporo kosztowały. Ale uważam, że są warte swojej ceny. Nowoczesne.  
Przylegają znacznie lepiej niż te z semteksem. Pod kurtką są niewidoczne.  
Materiał wybuchowy to azotan izopropylu. Żaden pies na świecie tego nie  
rozpozna, a detonator jest wbudowany w zwykły telefon komórkowy.

Z kieszeni wyjął płaską przezrystą paczuszkę pełną kulek wielkości  
groszku. Wręczył ją Khanowi, który w zamyśleniu przesuwiał ją między  
palcami.

– Worek jest uzbrojony i niesamowicie mocny – wyjaśnił Samir. – Kulki  
są szklane, ale w promieniu do pięćdziesięciu metrów równie skuteczne co  
ołowiane albo stalowe.

Mufti przekazał torebkę magicznych szklanych kulek ponuremu adiutan-  
towi.

– Bardzo sprytnie – pochwalił. – Czyli kamizelka przejdzie wykrywacz  
metalů?

Samir się uśmiechnął.

– Oczywiście. Jest niewidzialna. Można z nią wejść gdziekolwiek. Ko-  
mory z materiałem wybuchowym są połączone kablami światłowodowymi.  
Nie ma w nich metalu. Tylko krzem, szkło i... światło.

Khan z zachwytem klasnął w dłonie.

– Światło! Och, Samirze, Prorok kocha światło!

Młody mężczyzna uśmiechnął się i skromnie pochylił głowę. Zebra starała się zachować neutralny wyraz twarzy i cały czas patrzeć w podłogę. Wiedziała, że jej oczy płonęły z zazdrości, której w żadnym razie nie wolno jej było ujawniać. Przeczucie jej nie myliło. To Samir został wybranym. Nie ona. Samir wypełni przykazania Khana i stanie się przedłużeniem ręki i mózgu szejka. A ona będzie musiała być mu posłuszna.

Dwukrotnie wciągnęła głęboko powietrze, zanim odważyła się podnieść wzrok. Samir spokojnie spojrzał jej w oczy. Nie dostrzegła w jego twarzy śladu triumfu, ale wiedziała, że on z kolei doskonale wyczuł jej rozczarowanie.

– Pytanie: gdzie i kiedy – oznajmił Khan.

– Być może nasza siostra coś zaproponuje. – Samir życzliwie oddał jej głos.

– Ojczy, mam kilka propozycji. Jeśli pozwolisz?

Z łaską pokiwał głową i Zebra wymieniła możliwe daty, godziny, ochronę, rozgłos medialny i drogi dostępu.

Adiutant postawił obok wózka fajkę wodną i zapalił ją dla Khana. Niskie pomieszczenie szybko wypełnił korzenny zapach tytoniu i jabłek, a mufti wysłuchał jej do końca, ani razu nie przerywając.

Na koniec pokiwał głową zamyślony.

– Tak, córko. Okazji jest dużo, ale niewiele czasu, żeby je wykorzystać, nieprawdaż?

Poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

– Wiem, ojczy. Ale moim zdaniem im szybciej uderzymy, tym lepiej. A dzięki tym nowym kamizelkom...

– Wyjaśnij: dlaczego uważasz taki pośpiech za konieczny?

– Oni się uczą. Niedługo skończą analizę zdjęć z Tivoli. Prędzej czy później wpadną na jakiś trop i wówczas znajdę się w trudnym położeniu. Dlatego uważam, że jeśli to ma być w moim kraju, to musimy zaatakować jak najprędzej. Granice już są lepiej strzeżone i przedostać się do Europy na pewno nie będzie łatwo.

Zamilkła, a woda w fajce zabulgotała.

Khan popatrzył na nią, potem przesunął wzrok na Samira i skinął ledwie dostrzegalnie.

Zebra wiedziała, że jej audiencja dobiegła końca.

– Ojczy, daj mi swe błogosławieństwo.

Klęknęła.

– Masz moje błogosławieństwo. A ja zastanowię się nad tym, co powiedziałeś. – Na sekundę położył dłoń na jej głowie. – Samirze... możesz?

Młody mężczyzna odprowadził ją do czekającej przed domem taksówki. Kierowca wyglądał, jakby spał albo umarł. Samir wsunął rękę przez boczne okno i wcisnął klakson. Staruszek poderwał się i zaklął siarczyście.

Samir przytrzymał jej drzwi.

– Siostrze, twoje pomysły nie są złe – powiedział, kiedy już zamknął drzwi z jej strony. – Absolutnie nie są złe.

– Dziękuję – wymamrotała oschle.

A gdy zamknęła oczy, nadal słyszała dźwięk kindżału wbijanego w czaszkę.

– Spodziewaliśmy się, że będą lepiej strzegli granic. I że następnym razem nie będzie tak łatwo – przyznał.

Uśmiechnął się przy tym odrobinę protekcyjnie, co nieskończenie ją zirykowało. Jej zdaniem wykazała się równie dobrze jak on.

– Coś wymyślimy, *inszallah* – dodał. – Bądź w gotowości. Przedostaniemy się, bez obaw.

Zebra wyciągnęła rękę przez otwarte okno, a Samir chwilę jej się przyglądał, zanim ostrożnie ją uścisnął. Czubkami palców przesunęła po wnętrzu jego dłoni i jednocześnie zwilżyła wargi. Wiedziała, że dostrzegł czubek jej języka.

– Do widzenia, mój bracie – powiedziała cicho, patrząc mu prosto w oczy.

Zaczerwienił się pod jej wzrokiem. Wiedziała, że może mieć każdego. Bez względu na płeć. Naturalnie poza muftim i jego młodym fanatycznym adiutantem. Chociaż... Gdyby mieli jaja i popęd seksualny, to ich też mogłaby mieć.

– *Airport, miss?*

Starzec z trudem odwrócił się w fotelu, żeby na nią popatrzeć. W kąciakach oczu miał żółtą ropę.

Zebra uśmiechnęła się.

– *Yes, please. And turn the music on!*

Otworzyła torebkę i wyjęła lusterko, żeby się przejrzeć. Wydęła lekko policzki i oceniła efekt. Mogłaby lekko wypełnić wargi i trochę poszerzyć nos. Z kolorem włosów nie będzie problemu. Wiedziała dokładnie, który z

celów w Kopenhadze ona sama by wybrała. Reszta to po prostu kwestia przygotowania.

\* \* \*

Nie spodziewała się, że tak jej będzie waliło serce, kiedy stanęła na schodach przed kuchennymi drzwiami mieszkania Ain. Lene musiała sobie po raz kolejny przypomnieć, że miała prawo i obowiązek tam wejść i zrobić to, co zamierzała.

Zamek w drzwiach był staroświecki, a wzdłuż futryny nie było żadnych zamalowanych kabli, które by sugerowały system alarmowy wewnątrz. Za drzwiami mieszkania obok ujadął pies i płakało dziecko, a kobiecy głos próbował uciszyć oboje.

Lene nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Widziała wprawdzie, jak Michael ze swoim zestawem wytrychów przechodził przez drzwi, jakby nie istniały, ale sama nie miała przy sobie żadnych narzędzi i nigdy nie posiadała zdolności ślusarskich. Zaczęła odliczać w myślach, żeby czas szybciej minął, i dotarła do trzydziestu pięciu, zanim w kuchni sąsiadów zapanaowała cisza. Wtedy cofnęła się o krok i mocnym precyzyjnym kopniakiem trafiła miejsce tuż pod klamką. Drzwi się otworzyły z krótkim hukiem pękającego drewna.

Stała nieruchomo i patrzyła na czarno-białe płytki na podłodze w ciemnej kuchni. Nasłuchiwała alarmujących odgłosów z mieszkania sąsiadów, ale słyszała tylko psa i włączony telewizor.

Zamknęła za sobą drzwi, zapaliła światło i się rozejrzała. Lodówka cicho buczała, panował zaduch, a kuchnia była pozbawiona jakichkolwiek osobistych akcentów. Na drzwiach lodówki wisiało kilka magnesów, ale nie przytrzymałyby żadnych zdjęć, karteczek, pocztówek czy rachunków do zapłacenia. Możliwe, że zabrali je rodzice Ain. W zamrażalniku znalazła tackę z kostkami lodu, na oślep otwierała szuflady i szafki, ale wszystko było normalne, porządne i czyste, takie jak w milionach innych domów. Przesunęła palcami wzdłuż krawędzi kredensu i z kieszonkową latarką sprawdziła każdy kąt i zakamarek. Niczego nie znalazła.

Nad jej głową ktoś stąpał ciężko i kaszłał. Pies obok znów się rozszczekał, ale w mieszkaniu Ain było cicho. Na wieszakach w przedpokoju wisiała ciemna wełniana czapka, różowy szal z pashminy i elegancka zamyszowa kurtka. W schowku stał odkurzacz i środki czystości, a obok

schowka wisiało duże lustro. Lene przeszła do sypialni, zimnej i surowej jak klasztorna cela. Wąskie metalowe łóżko, a na nim biała haftowana narzuta. Żadnego zdjęcia czy plakatu. Tylko łóżko, białe ściany, szafka nocna i garderoba.

Wnętrze szafy i wiszące w niej ubrania, niczym rodzaj upragnionej zmysłowej rekompensaty, pachniały świeżymi cytrusowymi perfumami, których Lene nie знаła. Otworzyła jedną z szuflad, a w niej piętrzyły się delikatne jak pajęczyna majtki, staniki i stringi. Asceza Ain miała najwyraźniej pewne granice, pomyślała.

Raz jeszcze spojrzała na wąskie łóżko i bieliznę.

Ta pełna lęków i przygaszona dziewczyna miała widać także inną stronę: pewnej siebie młodej kobiety dumnej ze swojego ciała.

Lene przyklękła przed nocną szafką i otworzyła drzwiczki. Były tam rzeczy, które można by znaleźć w szafce każdej nowoczesnej dziewczyny – poza pięciocentymetrowym paskiem taśmy przyklejonym do tylnej ściany szafki. Był to szczególny rodzaj taśmy 3M, który Lene widziała tysiące razy, ponieważ kryminaliści na całym świecie używali jej do zdejmowania odcisków palców z twardych powierzchni.

Odkleiła pasek, zwinęła go i schowała do kieszeni.

\* \* \*

Stała w salonie i patrzyła na plakat z kotem pijącym zielony absynt, kiedy ktoś szarpnął klamkę drzwi wejściowych.

Potem zakaszłał na klatce schodowej i męski głos powiedział do szpary na listy:

– Ain? – Klapka zatrzaskała się jak gilotyna. – Ain?

Lene wstrzymała oddech.

– Otwieraj, do cholery!

Z sercem w gardle na palcach pobiegła do kuchni, zgasiła światło i wyszła na ciemną tylną klatkę schodową. Natychmiast nadziała się na coś okrągłego i twardego, co z dużą siłą uderzyło ją w dół brzucha. W zanikającym polu widzenia dostrzegła przed sobą wysoką postać. Upadłaby na plecy, ale wielkie ręce ją przytrzymały.

Mężczyzna nie odezwał się ani słowem, a nią zawładnęła niepokohamowana, paląca potrzeba, żeby się skulić wokół ogromnego tępego bólu, który ją wypełniał.

Po upływie wieczności udało jej się wciągnąć odrobinę powietrza w płuca i w tej samej chwili wyczuła za sobą obecność drugiego napastnika. Stojący za nią mężczyzna złapał ją za włosy i boleśnie odgiął jej głowę do tyłu.

– Ale... – wyszeptała z trudem. – Ja... kurwa... słuchaj...

Na głowę naciągnięto jej materiałowy worek i Lene nie przypominała sobie, aby kiedykolwiek czuła się równie ślepa i zdezorientowana. Pod brodą zawiązali jej sznurek. Rozpaczliwie chwytła ostatnie hausty powietrza przekonana, że chcą ją udusić.

Czuła zapach tego z przodu i domyślała się, gdzie stoi. Podjęła ostatnią, desperacką próbę obrony i szybko z całej siły szarpnęła głową do tyłu. Czubkiem głowy uderzyła w coś miękkiego i zarazem twardego i elastycznego... coś, co mogło być na przykład twarzą.

Mężczyzna z tyłu wrzasnął donośnie, ale ręką nadal ścisnął jej szyję, a drugą ręką ciągnął jej głowę do tyłu, aż kręgi szyjne zaczęły trzeszczeć. Lene nie stawiała oporu, ale jednocześnie z całej siły kopnęła tego, który stał przed nią.

Rozległ się zaskoczony ryk, a ona rozpoznała pod podeszwą przypominającą gumę giętką masę męskich genitaliów. Zdarzyło jej się już kopnąć mężczyznę w krocze i zawsze czuła przy tym szczególny rodzaj satysfakcji.

Położyli ją na brzuchu na małym półpiętrze, ręce wygięli do tyłu i poczuli na nadgarstkach zimny plastik zacisków.

Protestowała głośno z absolutnej ciemności worka, ale po silnym kopniaku w kark czas się zatrzymał i otworzyła się czarna otchłań.

\* \* \*

Szef departamentu Otto Jarl Falster nie pamiętał, kiedy ostatni raz przespał całą noc. A przecież nigdy nie miał problemów ze snem. Prowadził regularny tryb życia, jadł zdrowo – o to od dwudziestu ośmiu lat dbała jego żona. Pił sporadycznie, nie palił, unikał biznesowych kolacji i ciągnących się w nieskończoność oficjalnych lanczów, w sezonie co tydzień przechodził trzydzieści sześć dołków na polu golfowym i bez względu na pogodę z domu w Hellerupie do biura w Slotsholmen jeździł rowerem.

Mimo to, odkąd dwa lata temu dostał nową ministkę, a przede wszystkim odkąd jego żonę wyznaczono do koordynowania śledztwa w sprawie zamachu w Tivoli, każdej nocy budziły go niekończące się telefony do żony i



jego własna, przyprawiająca o wrzody żołądka frustracja z powodu nieudolności młodej szefowej resortu.

Nie czarujmy się, kobieta była do niczego. Jej kwalifikacje stanowiły płęć, młody wiek, w miarę fotogeniczna twarz oraz to, że wywodziła się z rodu kulturowych radykalistów, który od wielu pokoleń dostarczał członków duńskiemu parlamentowi. W tym się wyspecjalizowali i teraz nie mogli już robić nic innego. Byli jak rodzina cyrkowców. Jedyne kontakty z życiem zawodowym tej kobiety stanowiło przewodniczenie radzie uczniowskiej w prowincjonalnym liceum oraz trzy semestry politologii.

Dlatego szef departamentu sypiał teraz jak kot Nero: płytko, czujnie, z jednym oknem otwartym. Nasłuchując w ciemności.

Tej nocy komórka żony zadzwoniła o wpół do drugiej. Gdy zapaliła się lampka na jej nocnej szafce, otworzył oczy i wbił wzrok w stiuk na suficie.

Otto Jarl Falster zasłonił oczy ramieniem i rękawem piżamy i westchnął. Wielokrotnie napomykał, żeby przerobili któryś z nieużywanych pokoi dzieci na drugą sypialnię, ale Charlotte nie chciała o tym słyszeć. Wówczas w ogóle nie będziemy się widywali, drogi Ottonie, powtarzała, nawiązując w domyśle do ich aktywnego i bogatego życia seksualnego.

Postanowił, że wróci do tego tematu, kiedy tylko nadarzy się okazja. Bo na pewno nie teraz. Teraz Charlotte wydawała się nienaturalnie poruszona.

– Co?! – zawołała i potem poszła seria pytań jak z pistoletu maszynowego: – Gdzie? Kto? *Teraz?* W jej mieszkaniu? Nic nie róbcie, jasne? Już jadę.

– O ja pierdołę – jęknął i poczuł w przełyku palący kwas żołądkowy.

Kot zeskoczył ze swego stałego miejsca w nogach łóżka i zniknął gdzieś, patrząc na nich z wyrzutem.

Otto zamknął oczy i poczuł, jak materac się odgina, gdy żona wstała. Usłyszał ciche trzaski, kiedy zakładała przez głowę elektryzujący sweter, i krótki zgrzyt suwaka spodni.

– Kto to był? – spytał. Nie dlatego, że jakoś szczególnie go to interesowało. Bardziej, żeby okazać jej coś w rodzaju współczucia.

– Nikt – odburknęła.

– Jak to nikt?

– Śpij, Otto. Mówię poważnie, że nikt.

– Więc wracaj do łóżka.

– Skarbie, wiesz, że nie mogę.

Wkładając buty, mówiła cicho do siebie:

– Co tu się dzieje? Cholera, co się dzieje? Wszyscy powariowali.

Znów pomyślał o swojej ministrze.

– Masz rację – przyznał. – Wyprowadźmy się na Polinezję Francuską.

Pochyliła się i owionął go zapach Cerruti 1881. Uwielbiał tę woń i wyciągnął do niej ręce. Klepnęła go lekko po palcach i pocałowała w czoło.

– Muszę lecieć.

– Naprawdę nie ma nikogo, kto mógłby to ogarnąć? Cholera, Charlotte, jesteś szefową. Wyszadzi w powietrze Christiansborg czy co?

– Jeszcze nie, chociaż tobie by to pasowało, prawda?

Przez chwilę rozmarzył się nad tą myślą. Spłynęła na niego ciepła fala spokoju.

– Mmm, to by było cudowne – wymamrotał. – Oczywiście pod warunkiem, że nikomu nic by się nie stało.

– Oczywiście.

Szef departamentu przewrócił się na bok i odprowadził ją wzrokiem. Choć urodziła dwójkę dzieci, wciąż była szczupła i wyprostowana, a ruchy miała szybkie i sprężyste. Poznali się w klubie szermierczym z tradycjami o nazwie Mahout. On dopiero zaczynał bawić się z floretem, a Charlotte była bezlitosna i tamtego wieczora wrócił do domu z siniakami na całym torsie.

Znów westchnął i przetoczył się na jej stronę łóżka, żeby zgasić lampkę.

\* \* \*

Lene nie wiedziała, jak długo była nieprzytomna, ale najchętniej pozostałaby w takim stanie. Po co miałyby się budzić?

Gdy po raz drugi odzyskała świadomość, odnotowała, że inwentarz celi składał się z czarnego materaca obciążonego gumą, zaś źródło ostrego białego światła stanowiła zakratowana jarzeniówka na suficie, do której nie umiała sięgnąć. W rogu stała muszla klozetowa ze stali nierdzewnej, ale pojemnik na papier był pusty. Pomieszczenie cuchnęło wymiocinami i moczem. Ściany wyłożono kafelkami i oklejono folią zabezpieczającą przed graffiti.

Lene na czworakach podeszła do muszli i wymiotowała.

Powoli i z ociąganiem wstała z podłogi. Spojrzała w dół na siebie. Ktoś uwolnił jej ręce od plastikowych pasków i zdjął z głowy worek. Rozpięła bluzkę i pod ostatnim zębrem zobaczyła duży, wciąż bolący siniak. Pomasażowała kark i jęknęła cicho, gdy dotknęła długiego obrzęku u nasady szyi.

Zaraz też znalazła rozcięcie w dole głowy. Włosy w tym miejscu były zlepione krwią. Przypomniała sobie, że jednego z napastników uderzyła tyłem głowy i że potem któryś z nich kopnął ją w tę samą część ciała.

Drzwi celi były szare i stalowe. Przyłożyła do nich ucho, ale słyszała tylko bicie własnego serca.

– Halo?

– HEJ?!!!

– *FUCK!!!*

Otartymi dłońmi uderzała w drzwi, ale ani drgnęły. Gdy w nie kopała, tylko rozboleły ją palce u stóp. Wreszcie usiadła na materacu, oparta plecami o zimną ścianę, i zasłoniła oczy dłońmi.

Nie wiedziała, co to za miejsce ani która jest godzina.

Wyprostowała nogi, kiedy przypomniała sobie o taśmie daktyloskopijnej. Znalazła lepki pasek na dnie kieszeni spodni i obejrzała pod światło. Przynajmniej ta jedna rzecz nie była urojeniem ani zagadką. Była rzeczywista i Lene wiedziała, skąd się wzięła. Położyła się na boku, trzymając taśmę między palcami, jakby była niosącą pokrzepienie lampką w dużym, ciemnym i groźnym świetle.

Za trzecim razem obudził ją dźwięk kluczy. Drzwi się otworzyły i usłyszała lekkie kroki. Podniosła powieki i przez cienkie szparki zobaczyła tuż przy swojej twarzy czarne kozaki na obcasach. Buty przechodziły w szare wyprasowane nogawki, a jeszcze wyżej Lene ujrzała nieruchomą twarz Charlotte Falster.

– Możesz stać? – spytała.

– Gdzie ja jestem?

– PET. Søborg.

– PET? – Zdziwiła się Lene.

– Tak.

– W sensie Policijna Służba Wywiadowcza?

– Dokładnie. A myślałaś, że gdzie?

Zmęczonym gestem potarła czoło. I się skrzywiła.

– No tak. Gdzie niby miałabym być. To oczywiste.

Komendant policji podała jej rękę i pomogła wstać. Choć była od Lene o głowę niższa i dużo szczuplejsza, miała zaskakująco dużo siły.

Lene złapała się za żebra.

– Au, kurwa...

– Co się stało?

- Liczyłam, że ty to wiesz.
- Pytam o twoje obrażenia.
- Dostałam lanie.
- Chodź.

Wyszły razem na sterylny jasno oświetlony korytarz z szarymi drzwiami. Ich obcasy odbijały się echem od kafelków. Za jednymi drzwiami leciała woda i ktoś śpiewał po arabsku.

– Wpakowałaś się w kłopoty. – Charlotte mówiła, nie odwracając się do niej. – Duże kłopoty.

- Tak, już to wiem.
- Chyba jednak nie wiesz.

Zatrzymała się gwałtownie i Lene prawie wpadła jej na plecy. Uświadomiła sobie, że szefowa kipi z wściekłości. W zmrużonych oczach błyskały pioruny, a mięśnie szyi widoczne nad granatowym kołnierzem marynarki były wydłużone i napięte.

– Prosiłam cię chyba, żebyś się trzymała z dala od Ain, prawda? – syknęła. – Wyraźnie pamiętam, że dałam ci jasny rozkaz, abyś zapomniała o tej dziewczynie i zajęła się swoją pracą. Pamiętam również, że głośno i uroczyście obiecałaś dać sobie z nią spokój i skupić się na granicach i drogach dostępu razem z Bjarnem. Wiesz, ilu ludzi w korpusie uważa cię za niezdolną do pracy? Zdajesz sobie sprawę, że firma sprzątająca znalazła tę małą szafkę, w której myślałaś, że będziesz mogła chować puste butelki po wódce? I że zdaniem wszystkich jesteś moim osobistym, zupełnie niezrozumiałym projektem charytatywnym?

– Przepraszam. Ale... – Lene nie wiedziała, co powiedzieć.

Zauważyła natomiast, że Charlotte miała krzywo nałożoną szminkę na górnej wardze. Musiała być naprawdę wyprowadzona z równowagi.

– To chyba nie upoważnia ich do napadania na mnie – dokończyła cicho.

– W tej chwili są upoważnieni do wszystkiego! PET uważa cię obecnie za bezpośrednie zagrożenie dla ich najbardziej poufnej operacji. Nie znasz sytuacji, za to jesteś na najlepszej drodze, żeby tę sytuację całkowicie pograć.

– Przecież to zwykłe nękanie – zaprotestowała Lene. – I od kiedy policjantom wolno napadać na innych policjantów? Oraz co to niby za arcykomplikowana sytuacja? Oświeć mnie, proszę. Chętnie się dowiem, dlaczego Ain jest tak cholernie ważna, że nie wolno się zbliżać do jej mieszkania pod groźbą pobicia?

– Za chwilę się tego dowiesz, mimo że nie zasłużyłaś na żadne wyjaśnienia, a co do twoich żalów to uświadom sobie, że w tej chwili cel naprawdę uświęca wszelkie możliwe środki. I to dotyczy wszystkich bez wyjątku. Gdybyś choć na chwilę potrafiła zobaczyć coś poza własną tragedią, może byś się zorientowała, że w całym kraju panuje stan wyjątkowy. Że nie ty jedna kogoś straciłaś. Bliscy tysiąca dwustu czterdziestu jeden ofiar zamachu cierpią stratę równie wielką, a niektórzy znacznie większą. Nie wspominając o setkach tych, którzy nigdy już nie będą chodzić. Może powinnaś zadumać się nad tym faktem żalnymi resztkami mózgu, jakie ci jeszcze zostały.

Charlotte wyglądała, jakby miała ochotę pastwić się nad nią jeszcze dłużej, ale ostatecznie odwróciła się na pięcie i ruszyła w górę dudniących metalowych schodów.

\* \* \*

W głównej siedzibie PET panowała cisza i spokój, był środek nocy. Dwie policjantki rozmawiały przy automacie z kawą. Zamilkły, kiedy zobaczyły niesławną komisarz i jej szefową. Charlotte skręciła za rogiem, otworzyła dźwiękoszczelne drzwi i puściła Lene przodem.

Pokój był standardowym pokojem przesłuchań: drewniany stół i cztery plastikowe krzesła, zbyt lekkie, żeby ich użyć jako broni. Z sufitu zwisały dwa mikrofony, w jednej ze ścian wmontowano lustro weneckie, a w każdym rogu była kamera. Na stole cicho chodził otwarty laptop. Obok plastikowej karafki z wodą leżały rzeczy osobiste Lene: portfel, klucze, kieszonkowa latarka i telefon.

Lene pogratulowała sobie w duchu, że telefon Ain schowała w swoim samochodzie pod siedzeniem, i dopiero teraz zorientowała się, że nie były tu same. Na jednym z krzeseł siedział młody mężczyzna z blond kucykiem. Miał plamy krwi na skórzanej kurtce i trzymał worek z lodem przy nosie i żuchwie. Popatrzył na Lene bez cienia uśmiechu. Pod jego lewą pachą zobaczyła zarys kabury i górną część pistoletu.

Pod ścianą natomiast stał umięśniony, przedwcześnie posiwiałły mężczyzna po czterdziestce. Wagę rozkładał równomiernie na obu rozstawionych nogach w sportowych butach. Lene domyślała się, że to jego kopnęła w krocze pod drzwiami mieszkania Ain. Był równie niewzruszony co jego kolega, ale oczy miał inne. Puste, czarne i nieprzejednane.

Rozpoznała w nim agenta PET z wykładu amerykańskiego eksperta. Sie- dzieli w tym samym rządzie i mężczyzna zadał ekspertowi jakieś pytanie, choć nie pamiętała jakie. Potem wyminął ją na parkingu i wszedł do grana- towego forda mondeo.

Charlotte położyła jej dłoń na ramieniu, wskazała na krzesło i sama usia- dła po drugiej stronie stołu.

– Ten młody człowiek to Christian Erichsen z PET – przedstawiła go Charlotte.

Lene skinęła głową, a mężczyzna podniósł rękę.

– Złamałaś mi nos i wybiłaś dwie jedyńki – powiedział niewyraźnie. – Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumna.

– Wybacz, ale może należało mi powiedzieć, kim jesteście, albo wysłu- chać, co miałam do powiedzenia. Nie lubię, gdy mnie ktoś napada na ciem- nych schodach.

– Może należało tak zrobić – przyznał.

Lene pomyślała, że nie był tak zimny jak ten drugi.

– Jest z nami również nadinspektor Kim Thomsen – ciągnęła Charlotte. – Kieruje śledztwem PET w sprawie Tivoli.

– Jechaliście za mną – oznajmiła Lene, której nagle parę rzeczy zaczęło się układać w całość. Przypomniała sobie granatowy samochód, który po- wtórzył jej niebezpieczny nawrót przy Trianglen. Nienawidziła siebie za to, że stała się ślepa, głucha, bezbronna i głupia. – Dlaczego?

– Ponieważ mieszasz się w sprawy, których nie rozumiesz. – Głos Thom- sena był niski, ale lodowaty. – Oraz próbujesz zaprzepaścić naszą wielolet- nią pracę wywiadowczą.

Agent z kucykiem odsunął worek od twarzy.

– Nie śledziliśmy cię. Trafiliśmy na ciebie podczas obserwacji jednej z bliskich przyjaciółek Ain. To nie było nic osobistego... z początku. Tak na- prawdę to ty sprawiłaś, że to się stało osobiste.

– Obserwujecie Nazeerę?

– Nazeerę Gamil, zgadza się. – Z powrotem przytknął worek do twarzy.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego ją obserwujecie? I dlaczego szukaliście odcisków palców w mieszkaniu Ain? – Lene wyjęła z kieszeni taśmę z czerwonym proszkiem i położyła na stole.

Charlotte zmarszczyła brwi i pochyliła się, żeby obejrzeć taśmę z bliska. Potem skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na Thomsena.

– Kim, masz moje pozwolenie na udzielenie odpowiedzi – powiedziała głośno i wyraźnie, ku uciesze mikrofonów.

– Jesteś pewna? – spytał agent i popatrzył na Lene jak na coś, co zdrapuje się z podeszwy po spacerze w psim parku.

– Tak – potwierdziła Charlotte.

Na szerokich nogach podszedł do stołu, wzdychając, usiadł, odwrócił do siebie laptopa i się zalogował. Lene wstała i patrzyła na ekran zza jego pleców. Czuć było od niego starym potem. Na lewym palcu serdecznym miał jasny ślad po obrączce.

Otworzył zdjęcie w dużej rozdzielczości i wskazał palcem:

– Ta kobieta w tle nazywa się Elsa Valerius-Klüver – zaczął monotonnym głosem. – Ma pięćdziesiąt sześć lat i stała przed restauracją Picasso w Tivoli o godzinie dziesiątej czterdzieści sześć siedemnastego września zeszłego roku. Zdjęcie zrobił jej mąż Åke Valerius-Klüver, lat pięćdziesiąt osiem. Mieszkają w Szwecji w Södertälje i przyjechali do Danii na wakacje kamperem. Wszystko jasne?

– Åke i Elsa. W kamperze. I co?

Mężczyzna zamrugał zirytowany.

– I to. – Zaznaczył kwadrat na prawo od uśmiechniętej kobiety w kwiecistej sukience i różowych crocsach i powiększył zacieniony zaułek między restauracją a sąsiadującym z nią salonem gier. Stało tam dwoje młodych ludzi. Wyglądali, jakby ze sobą rozmawiali. Lene pochyliła się bliżej. Dziewczyna stała wyprostowana, miała wąską talię i uniform kelnerki: czarne wygodne buty, czarne spodnie, długi biały fartuch i białą koszulę z krótkim rękawem. Wyraźnie widać było jej twarz.

– To Ain – oznajmiła Lene.

– Twoja przyjaciółka z myślami samobójczymi – potwierdził.

Do rozmowy wtrącił się Christian:

– Åke Valerius-Klüver jest inżynierem budownictwa i jak wszyscy znani mi ludzie z tej branży jest obsesyjnie pedantyczny. Hobbystycznie fotografuje przyrodę, a jego specjalnością są ptaki drapieżne. Jego aparat to w pełni profesjonalne cacko z miliardem pikseli i obiektywem Carla Zeissa. W grudniu przesłał serię zdjęć na policyjny portal Tivoli, ponieważ jest odpowiedzialnym obywatelem. To, co tu mamy, to oryginalne zdjęcia z karty pamięci i to jest, kurwa, rewelacja.

Lene wskazała na drugą postać.

– A to kto?

– To zamachowiec – odparł Thomsen.

– Co?!

– Nabil Maroun, osiemnastoletni masowy morderca z Damaszku, niemal równie skuteczny co Muhammad Ata as-Sajjid – wyjaśnił lakonicznie nad-inspektor.

Kiedy jeszcze bardziej powiększył fragment, obraz stał się bardziej ziar-nisty. Chłopak miał wyblakłą niebieską czapkę z daszkiem naciągniętą ni-sko na oczy. Był ubrany w jasną wiatrówkę, dżinsy i pomarańczowe spor-towe buty. Miał chudą szyję i nogi, a twarz wyglądała wręcz na zagłodzoną, za to kurtka była obszerna i zapięta pod szyję pomimo słonecznej pogody. Oczy widoczne pod daszkiem były zapadnięte i czujne, usta poważne, miękkie i młode.

– *Fuck* – wymamrotała Lene.

Charlotte siedziała nieruchomo i patrzyła w sufit nieobecny wzrokiem. Lene pomyślała, że oczywiście musiała znać te zdjęcia.

– To pewne? – nie dowierzała Lene.

Thomsen spojrzał na Charlotte.

– Pokaż jej – potwierdziła.

Mężczyzna odchylił głowę i z wargami tuż przy uchu Lene syknął:

– Ty pizdo.

– Zrób po prostu to, o co cię poproszono, Kim – powiedziała głośno Lene. – I spróbuj czasem umyć zęby.

Oczy długowłosego, ukryte częściowo za workiem z lodem, uśmiechnęły się do niej.

\* \* \*

Niebo nad pustynią było bezchmurne i niebieskie jak srocze jajo. Hen, po-niżej obiektywu kamery można było dostrzec mały, aerodynamiczny cień dronu. Samolot bezzałogowy leciał szybko i prosto jak strzała. Szczegóły krajobrazu jak z bajki. Cienie skał jak wykute w gęstym atramencie. Poje-dyncze suche krzaki wzdłuż wyschniętej rzeki, a za oderwanym blokiem skalnym Lene dostrzegła trzy długowłose nieruchome kozy.

Białe cyfry na dole ekranu pokazywały datę i godzinę: 2013-04-17, 11:23:56 UTC, oraz zmieniające się współrzędne geograficzne. Wysokość



lotu: 5400 stóp. Mała bezgłówna maszyna przeleciała nad kępką smutnych drzew, które jakimś cudem zdołały znaleźć punkt zaczepienia i substancje odżywcze na stromym zboczu, potem pojawiła się niemal całkiem zasypiana piaskiem asfaltowa droga, a po niej długa droga gruntowa prowadząca do zapomnianej przez Boga osady wśród jałowych, poszarpanych gór.

Dron uchwycił i śledził z góry sunącą powoli ciężarówkę, zakrytą i brązową od kurzu, która z mozołem wspinała się górską drogą. Można było niemal usłyszeć wyjący w proteście silnik i trzeszczącą skrzynię biegów. Szeroki wachlarz kurzu wzbijanego przez samochód utrzymywał się jeszcze długo w nieruchomym powietrzu. Dron zaczął się oddalać w pionie. Cyfry wskaźnika wysokości przeskakiwały z szaloną prędkością, aż się zatrzymały na 13 600 stopach, czyli ponad 4000 metrów, ale obraz pozostał ostry, a szczegóły – wyraźne.

– Kuh-e Sar Tangal – wyjaśnił Thomsen. – To znaczy, tak nazywa się najbliższe miejsce, które w ogóle ma jakąś nazwę, bo to, co widzimy, nijak się nie nazywa. Jak widzisz, nic tam nie ma, tylko skorpiony, terroryści i kozy.

– Gdzie to jest? – spytała Lene.

– Północne krańce Iranu. Irańczycy i Hezbollah właśnie tam lubią zakładać swoje tajne obozy szkoleniowe. To bardzo spokojna okolica.

Wskazał na ciężarówkę.

– A tu jedzie tygodniowy zapas jedzenia, wody, rozkazów, nowych rekrutów, benzyny do generatora oraz od groma nabojów i tarcz do strzelania.

W zagłębieniu między dwiema graniami można było dostrzec dwa nierówne rzędy namiotów, dwa baraki z blachy falistej i wyrównany plac z czymś w rodzaju strzelnicy i toru przeszkód.

Dron zwolnił i ponownie wyrównał wysokość, a kamera płynnie zrobiła najazd na obóz szkoleniowy.

Lene pomyślała, że musi tam panować nieludzki skwar. Na blasze pokrywającej baraki pewnie można smażyć jajka. Jedynej drogi dostępu na skraj obozu strzegło stanowisko z karabinem maszynowym. Ludzi, którzy go obsługiwali, chronił przed słońcem potargany tropik namiotu przyczepiony do czterech krokwi, a barykadę stanowiły dziurawe worki z piaskiem.

Thomsen przewinął do przodu. Dron był teraz tak blisko ziemi, że Lene odruchowo cofnęła głowę. To było gorsze albo lepsze niż każda hollywoodzka produkcja, jaką widziała. Kamery odnajdywały twarze mieszkańców obozu, zatrzymywały je w kwadratach i powiększały. Naprawdę niesamo-

wite. W kilka chwil wszyscy zostali zidentyfikowani. Młodzi dzielni mężczyźni, którzy wałęsali się po obozie w nieprzepisowych strojach będących mieszanką mundurów pustynnych, džinsów i tiszertów, i młode kobiety w strojach równie swobodnych, ale z zasłoniętymi włosami. Kilku rekrutów stało na strzelnicy. Opróżniali z amunicji kałasznikowy wycelowane w odległe podziurawione papierowe postacie wyobrażające zapewne komandosów z Navy Seals albo Izraelczyków. Mniejsza grupa robiła pompki pod surowym okiem instruktora, a pozostali próżnowali w cieniu namiotów.

– Zaczęło się od zdjęcia z Tivoli – wyjaśnił Thomsen tym samym, obojętnym tonem. Przynajmniej na chwilę z jego twarzy i głosu zniknęła wrogość i znów stał się obiektywnym, świetnie wykształconym analitykiem służby wywiadowczej. Lene nagle uświadomiła sobie, że Thomsen musiał być piekielnie zdolny, zanim... oszalał. – Kiedy dostaliśmy zdjęcia od Åkego Valeriusa-Klüvera, poprosiliśmy CIA o sprawdzenie twarzy Nabila Marouna w ich bazach.

Znów przewinął nagranie i na ekranie pokazał się młody chłopak siedzący na skrzynce z amunicją przy głównej drodze obozu. Chłopak pił z menażki, a gdy odsunął ją od ust, jego gładko ogoloną twarz widać było bardzo wyraźnie. Wziął następny łyk. Lene pomyślała, że może właśnie wrócił z treningu, bo miał mokrą szyję i świeże plamy potu pod pachami. Dron kontynuował swoją wędrówkę, okrążając obóz w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, i pokazywał chłopaka z każdej strony. Przed nim jego rówieśnik z łokciami wspartymi na kolanach prostował i zginał kolana, jakby chciał rozciągnąć ścięgna z tyłu kolan po treningu. Miał szczupłą i bardzo młodą twarz. Jego długie zęby zniknęły pod cienkim wąsem. Lene dostrzegła, że chłopak miał źle zrekonstruowany rozszczep wargi.

– A chłopak z zajęczą wargą to kto? – spytała.

– Nie wiemy.

Od razu się zorientowała, że kłamał.

Nalała sobie wody do kubka, wypila duszkiem i zastanawiała się, czy po drugiej stronie lustra ktoś jest.

– I ten dron – powiedziała – sfilmował to wszystko rok temu w Iranie, tak?

Thomsen odchylił się do tyłu, złapał za krocze i pokiwał głową.

– Zgadza się.

– Okej. To dlaczego u licha od razu nie zrównał wszystkiego z ziemią, skoro już ich znalazł? Dlaczego nie sprzątnął obozu, dziewczyn, chłopaków i instruktorów. Przecież jest wyposażony w rakiety, prawda? Gdyby to wtedy zrobiono, do zamachu w Tivoli w ogóle by nie doszło.

Christian odłożył worek z lodem na stół. Lene poczuła się jednak trochę winna, gdy zobaczyła zmasakrowany nos chłopaka.

– To amerykański dron – powiedział niewyraźnie. – Maleństwo, prawie niewidoczny. Uzbrojony tylko w najnowocześniejsze czujniki i kamerę. System nazywa się Argus i w jednym ujęciu zmieści całą Kopenhagę. Obóz jest na terenie Iranu. To niezależne suwerenne państwo.

– Podobnie jak Pakistan i Jemen – zauważyła Lene. – Co nie przeszkadza Amerykanom atakować dronami kogo zechcą...

– Pakistan jest sojusznikiem Stanów. W pewnym sensie. Czego raczej nie da się powiedzieć o Iranie, prawda? Problem w tym, że nikt nie wie na pewno, jak zaawansowany jest ich program atomowy, nikt zatem nie chce zacząć odliczania i ryzykować, że Tel Awiw zniknie w grzybie atomowym. Jemen w tym kontekście w ogóle się nie liczy. Oni nie dostali od Korei Północnej wzbogaconego uranu, a nawet gdyby dostali, to nie wiedzieliby, co z nim zrobić.

– No tak. Ale skąd w takim razie macie jego nazwisko i informację, że pochodzi z Damaszku?

Thomsen i Charlotte wymienili spojrzenia. Agent patrzył na komendantkę główną niemal błagalnie, ale ona stanowczo pokiwała głową.

Mężczyzna niechętnie otworzył kolejny plik wideo, tym razem z kamery monitorującej kolejkę po wizy na jakimś amerykańskim lotnisku. Podróżni ustawili się przed sporą czarną kobietą w granatowym mundurze, z fryzurą afro i dużym rewolwerem na biodrze.

– Stany Zjednoczone, lotnisko w Newark. Nieco ponad trzy lata temu – wyjaśnił i wskazał na zgarbioną wysoką postać w środku kolejki w garniturze pomiętym po długim locie.

– Hassan Maroun z Damaszku, lat czterdzieści siedem. Hurtownik eksportujący zachodnie delikatesy. Sunnita. Przyleciał z paszportem syryjskim, ale był palestyńskim uchodźcą z Araki na Zachodnim Brzegu.

– Dlaczego był?

– Hassan, jego żona i dwie nieletnie córki, siostry Nabila, zginęły od pocisku moździerzowego w Damaszku. Przeżył tylko jeden członek rodziny Marounów. – Mężczyzna wskazał na chudego ciemnowłosego chłopca o

delikatnych, niemal kobiecych rysach, który stał przed Hassanem. Chłopiec odwrócił się i powiedział coś do ojca, a ten uśmiechnął się, położył rękę na jego ramieniu i wymamrotał kilka słów. Potem znów patrzył przed siebie z niewzruszoną cierpliwością ludzi skazanych na dożywocie.

Kolejka się przesunęła. Obaj jeden za drugim ustawili się do obowiązkowego zdjęcia i skanowania odcisków palców. Twarz chłopca wypełniła ekran. Pod uśmiechniętą twarzą pojawiły się dane osobowe, numer paszportu i odcisk palca wskazującego.

Thomsen spojrział na Lene.

– Czy to cię przekonuje? Chłopak był w Tivoli siedemnastego września i był w obozie szkoleniowym w Iranie. Nazwisko, numer paszportu, odcisk palca. Ale jeśli wciąż nie dowierzasz, to oczywiście możemy zacząć od początku.

Lene przycisnęła czubek palca do taśmy daktyloskopijnej na stole i ją podniosła.

– Rozumiem zatem, że w mieszkaniu Ain znaleźliście jego odciski.

– Tak.

– Dlaczego zatem ci biedni ludzie nadal siedzą w Sali Mozaikowej i odwalają mrówczą robotę, skoro wy już zidentyfikowaliście zamachowca?

– Skarbie, to się nazywa praca wywiadowcza. Chcemy, aby wszyscy myśleli, że wciąż nic nie mamy.

Lene pożałowała, że nie kopnęła go mocniej.

– Dziękuję za to pouczenie. Oczywiście nie mógł działać sam. Gdzie zatem są pozostali?

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że nie działał sam. Było jeszcze dwóch. Jeden w kiosku po drugiej stronie ulicy kupił paczkę papierosów i piętnaście pornograficznych DVD. Taka ilość pornografii na raz to coś, co zapada w pamięć. O trzecim nic nie wiemy. Mamy tylko odcisk palca. Poza tym znaleźliśmy w mieszkaniu Ain czarną szarfę, albo raczej flagę. Bywa nazywana *al-uqab*, flaga orła. To kopia flagi Saladyna. Zdaniem ekspertów ta flaga ma tylko jedno znaczenie: święty dżihad.

– I dlatego założyliście podsłuch w jej telefonie i mieszkaniu?

– Oczywiście – potwierdził Christian.

– Dlaczego po prostu jej nie aresztowaliście?

– Bo nic nam by to nie dało! – zniecierpliwił się. – Chodziła do meczetów na obrzeżach Nørrebro i do świetlicy dla młodych imigrantek przy

Møllegade, gdzie poznała Nazeerę Gamil, ale nie znamy jej pozostałych kontaktów. – Popatrzył na Lene i ciągnął, już spokojniejszym tonem. – Może była tylko otumanioną grupie. Bezmózgą fanką, która leciała na bohaterских męczenników. Tak naprawdę najbardziej skłaniam się właśnie ku takiej wersji. Ale możliwe też, że rzeczywiście była hardkorową fundamentalistką. Skąd mam wiedzieć? Może uważała za niesamowicie ekscytujące, romantyczne i wyzwalające ruchanie się z młodymi świętymi wojownikami. Odprawianie ich z tego świata z należną pompą. A może szukała rodziny, do której by pasowała, albo drogi do Mekki i raj. To w sumie obojętne. Obserwowaliśmy ją. Oczywiście, że tak. Żeby się przekonać, kogo znała, z kim rozmawiała i z kim chodziła do łóżka. Chyba to rozumiesz, nie?

– I co? Udało wam się tego dowiedzieć? – Lene odpowiedziała pytaniem.

Thomsen nagle zerwał się na równe nogi. Zgromił wzrokiem Christiana i zwracając się do Lene i Charlotte wrzasnął:

– Dość tego! Więcej od nas nie dostaniecie, jasne? *Nada*, kurwa. Nic więcej!

W ciszy, która zapadła, można by usłyszeć spadającą szpilkę.

Lene zafascynowana obserwowała, jak na policzkach Charlotte wykwiatają czerwone plamy, i czekała, aż jej szefowa wybuchnie, ale nic takiego nie nastąpiło. Pomyślała, że sprawa jest zbyt ważna. Wszyscy wzajemnie się potrzebowali. W tej chwili zerwanie współpracy policji z PET byłoby grzechem śmiertelnym, dla którego nie znalazłaby zrozumienia ani przebaczenia.

Napięcie rozładował Christian, który myślał trzeźwo i nie bał się powiedzieć wprost:

– Charlotte, szczerze mówiąc, uważam, że Kim ma rację, choć oczywiście mógłby trochę staranniej dobrać słowa. Prawda jest taka, że zgodziliśmy się ujawnić te informacje po to, żeby Lene miała spokojną głowę, chociaż w naszych kręgach spokojna głowa to rzadki przywilej. Mam zatem nadzieję, że to wystarczy, aby przekonać Lene, że działamy, i więcej wiedzieć nie musi. Udostępnianie jej dalszych informacji jest zbędne i niebezpieczne. Dla wszystkich. – Mówiąc to, młody mężczyzna uśmiechał się do Charlotte, ale sygnał ostrzegawczy w jego niebieskich oczach był jasny jak słońce.

Thomsen ponownie usiadł, nie patrząc na żadną z kobiet.

– Lene, to chyba był sygnał dla nas, że mamy sobie iść – oznajmiła Charlotte i wstała.

– Też tak pomyślałam – przytaknęła i również wstała z krzesła. Chciała coś powiedzieć, ale się zawahała. Po chwili jednak spojrzała na Christiana.

– Tamtego dnia, kiedy zginęła Ain...

– Tak? – Spokojnie patrzył jej w oczy znad worka z lodem.

– Gdzie byłeś? Wiem, gdzie był Thomsen, ale nie wiem, gdzie ty byłeś, Christianie.

Charlotte złapała ją za łokieć, ale Lene strząsnęła jej rękę. Patrzyła nieruchomym wzrokiem na Christiana i czekała.

On na chwilę przeniósł wzrok na kolegę, ale zaraz z powrotem zwrócił się do Lene i odparł:

– Mówiąc szczerze, nie wiem. Pewnie w domu. Spałem.

– Christian był w domu – powtórzył Thomsen. – A teraz spierdalaj.

\* \* \*

Charlotte rozsunęła zasłony i nastawiła ekspres. Maszyna cicho bulgotała w rogu. Siedziały na przeciwległych końcach kanapy i milczały. Z Søborga do Glostrup przyjechały samochodem Charlotte i po drodze również nie zamieniły ani słowa.

Lene bardziej leżała, niż siedziała, o podłogę opierała się samymi obcasami. Była śmiertelnie zmęczona i wszystko ją bolało. Szyja robiła się sztywna, każdy ruch głową powodował przeszywający ból. Jakby miała po-przetraćane kręgi.

– Chcesz paracetamol? – spytała szefowa.

– Poproszę.

Lene zebrała pod szyję skórzaną kurtkę. Charlotte wskazała na pled i Lene nakryła nim nogi. Popiła tabletki ciepłą kawą.

– Jesteś usatysfakcjonowana? – spytała komendant.

– W jakim sensie?

– Wyjaśnieniami.

– Aha. Tak, myślę, że tak. Dzięki. Dlaczego to zrobiłaś? Nie musiałaś mi niczego tłumaczyć. Mogłaś mnie po prostu zawiesić albo zostawić w tamtej celi.

Charlotte wyciągnęła do sufitu szczupłe ramiona i wykonała kilka obrotów nadgarstkami. Jej kości chrupnęły w proteście. Spojrzała ponad głowę Lene na poranne słońce, które tkąło delikatne, transparentne żółte, czerwone i fioletowe paski na wschodnim niebie.

– Toteż właśnie cię zawieszam.

– Co?

Lene patrzyła na nią jak na UFO.

– Jak to? – spróbowała raz jeszcze. – Przecież nie możesz!

– Ale właśnie to robię. Dla twojego, a może przede wszystkim mojego dobra. Lene, nie mogę cię dłużej kryć, a wiem, że nie odpuścisz. Taki masz charakter. Jesteś jak skorpion z tej bajki o żabie, skorpionie i rzece. Poza tym Kim na bank złoży na ciebie skargę. Dla ludzi na górze on ma ogromną wartość, a mnie brakuje i czasu i siły, żeby nadal świecić za ciebie oczami. Przykro mi.

Lene wstała.

– Dzięki za kawę.

– Siadaj!

Lene szła do drzwi.

– Jezu, siadajże!

Zatrzymała się, jakby uderzyła w szklaną ścianę. To była noc bez precedensu. Bez precedensu była na przykład niedbale nałożona szminka Charlotte oraz jej rozkazujący ton. Poza tym napadli ją koledzy z PET. A teraz jeszcze to!

Wróciła i usiadła na skraju kanapy, możliwie najdalej od szefowej, która zmęczonym gestem zasłoniła sobie oczy przedramieniem. Cienkie złote bransoletki zabrzęczały na nadgarstku.

– Lene. Powiedz, co o niej wiesz – poprosiła spokojnie. – O tej Ain.

– Co o niej wiem? Raczej nie była tym, za kogo oni ją uważają – zaczęła niepewnie. – Była szczerze przerażona. Czuła, że ktoś ją śledzi, a teraz okazuje się, że rzeczywiście łazili za nią ci dwaj geniusze z Søborga. Ale ja, wszystkowiedząca idiotka, przekonywałam ją, że ma paranoję... że miesza jej się w głowie. A ona cały czas miała rację. Kurwa... – Jej głos był coraz cichszy, aż zamarł całkiem.

– Mów dalej.

– Poza tym, gdyby była zimną terrorystką, to po co by się ze mną kontaktowała? To bez sensu. I dlaczego po zamachu została w kraju?

– Żeby pomóc w organizacji następnego? Poza tym ona chyba nie wiedziała, czym się zajmujesz.

Lene przytaknęła.

– To prawda. Ale dlaczego wobec tego popełniła samobójstwo, zamiast uciec do swoich przyjaciół, swojej siatki, przejść do podziemia, nie wiem?

Komendant wzruszyła ramionami i zaczęła:

– Możliwe, że była młoda, niedoświadczona i zagubiona. Ale może jednocześnie romantyzowała rewolucję prowadzoną przez terrorystów, a w or-



ganizacji znalazła namiastkę rodziny. Wiele dziewcząt z Frakcji Czerwonej Armii albo Czerwonych Brygad to były przecież porządne dzieci z dobrych domów, które w szkole miały same piątki i nienaganne maniery. Potrafiły haftować, układać bukiety i dyskutować o niebieskim bądź różowym okresie Picassa. Aż któregoś dnia poczuły złość na swoich rodziców i odziedziczone przywileje i zaczęły czytać Che Guevarę. Być może Ain z czasem uświadomiła sobie, że to, co zrobiła, spowodowało śmierć prawdziwych ludzi z krwi i kości. Setki dzieci, kobiet i jej rówieśników zginęło z powodu jej przekonań. I może dlatego zaczęła do ciebie dzwonić.

Charlotte dołała im kawy. Lene rozpoznała wzór na kubkach. To była jakaś znana marka, ale nie pamiętała nazwy.

– Nie – powiedziała stanowczo.

– Co nie?

– To wszystko jest trochę zbyt ładne i poprawne, nie sądzisz? Drony, zdjęcia paszportowe, odciski palców, ostre jak brzytwa zdjęcia od szwedzkiego turysty ornitologa zrobione dokładnie w tej sekundzie, gdy Ain i ten Nabil Maroun ze sobą rozmawiali. Jak długo mogła trwać ta rozmowa? Góra kilka minut. A osobą, która mogłaby to wszystko wyjaśnić, jest niešťczęśliwa, zahukana dziewczyna, która popełnia samobójstwo dokładnie wtedy, kiedy powinna, zanim PET zdąży ją aresztować. Ten Thomsen... No, kurwa. Przecież gość jest na wpół obłąkany.

Charlotte nadeła chude policzki i powoli, długim cienkim strumieniem wydmuchała powietrze.

– W takim razie kto miałby to wszystko zainscenizować? – spytała. – Lene, nie potrzeba nam teraz teorii spiskowych. Sami znajdujemy się w centrum spisku. Co twoim zdaniem miałyby sfabrykować PET? Nagrania z dronów? Obóz w Iranie? Mieliby podstawić ojca i syna na lotnisku? Albo szwedzkiego fotografa? Przecież to bez sensu.

– To posłuchaj. We krwi Ain znaleziono nowy rodzaj LSD. I to też jest fakt. Mogę ci dać numer do patolożki Helle Englund. Znasz ją. Jest piekielnie zdolna. Ludzie nie pamiętają, że to brali ani co komu mówili. To rodzaj serum prawdy.

– Może powiedz mi od razu, ile konkretnie osób wtajemniczyłaś w ten... cholernie ściśle tajny projekt?

– Nikogo – odparła ze złością Lene. – Ale prawdą jest, że dziewczyna miała we krwi LSD i tylko Irene Adler mogła jej je podać. Bo przecież terroryści to jej konik, prawda?

Charlotte skrzywiła się z rezygnacją.

– Jeszcze chwila, a powiesz, że to ona podłożyła bombę w Tivoli. Masz jakieś dowody, że to ona jej to podała? Bo chyba pamiętasz jeszcze ten koncept prawny, prawda? Dowody?

– Tak, pamiętam. I nie, nie mam.

– I nie będziesz miała, bo jak mówię, jesteś zawieszona.

Charlotte wstała i zaczęła przemierzać gabinet tam i z powrotem.

Potem zatrzymała się przed Lene.

– Kim Thomsen. Ty go w ogóle znasz?

– Wiem tyle, że jest kompletnym psycholem, który napada na kolegów. Więcej nie chcę wiedzieć. Ci z PET od zawsze robią wokół siebie wielką tajemnicę jak jakaś loża masońska. Mają się za nie wiadomo kogo, jakby byli lepsi od nas, śmiertelnych.

– Możliwe, że trochę go poniosło, zachował się nadgorliwie – przyznała jej szefowa.

– Nadgorliwie?! Charlotte, gdyby nie było tam jego kolegi z patrolu, toby mnie wywiózł do Nordhavn i wrzucił do wody z ławką przywiązaną do szyi. I kto w ogóle pozwolił mu mnie śledzić? Komu on raportuje?

W tej samej chwili uświadomiła sobie jedyną możliwą odpowiedź na to pytanie i przyjrzała się Charlotte, mrużąc oczy. Teraz, gdy za oknami zrobiło się jaśniej, szczególnie dobrze było widać, jak bardzo pani komendant czuje się w tej sytuacji nieswojo.

Lene wolno pokiwała głową.

– Oczywiście. Kto by to miał być? Przecież to ty stoisz nad wszystkimi. I co? Wyznaczyłaś do tego zadania cały zespół? Z powodu takiego robaczka jak ja? Aż im współczuję. Moje życie jest przejebanie nudne.

– Lene, jak zawsze robię to, co uważam za najbardziej zasadne, korzystając ze środków, które mam do dyspozycji. Nie mam czasu ani ochoty zastanawiać się nad urażonymi uczuciami innych. One są tu nieistotne. Ważne jest to, że terroryści znów szykują się do natarcia. A ty jesteś na najlepszej drodze do zaprzepaszczenia naszej jedynej szansy, aby im przeszkodzić. Będzie powtórka. I będą kolejne ofiary. Znacznie więcej ofiar. Musiałam poprosić kogoś, żeby cię przypilnował.

Charlotte znów zaczęła chodzić po gabinecie, a Lene powoli przetwarzała jej słowa.

– To jest coś, co podejrzewasz czy wiesz? – spytała ostrożnie.

– Wiem. I bardzo żałuję, że ci to powiedziałam. Lene, jak zwykle stawiasz mnie pod ścianą. Masz do tego niebywały talent. – Podeszła do okna i popatrzyła na pusty parking. – Jeśli kiedykolwiek piśniesz o tym choć słowo, to nie wiem, co ci zrobię, ale będzie to coś radykalnego. Gwarantuję ci to.

– Pytałaś, czy znam Thomsena. – Lene spróbowała zmienić temat. – Dlaczego? I skąd jego niebywała wartość, o której wspomniałaś?

– Ty straciłaś Josefine. On stracił wszystko.

– Wszystko? – nie rozumiała Lene.

– Wszystko. Anne, jego trzydziestosześcioletnia żona, i ich dwie córki, dziesięcio- i dwunastoletnia, siedemnastego września czekały w kolejce, żeby się przejechać statkiem do nieba. Przypadkiem.

– Boże – wymamrotała Lene. Przypomniała sobie jego oczy. Dziwne, że tego nie rozpoznała. To samo widziała codziennie w lustrze.

– Zatem łączy was strata – ciągnęła powoli Charlotte. – I przyznaję, sprawia wrażenie niezrównoważonego, ale uznałabym za dziwne, gdyby było inaczej. To, co każemy mu robić, jest wręcz nieludzkie. W tej chwili po prostu nie mamy innej możliwości, jak tylko pozwolić mu pracować najlepiej, jak jest w stanie, i próbować mu to ułatwiać, na ile się da. Podobnie jak z tobą.

– Przecież on w ogóle nie powinien się zajmować tą sprawą – wypaliła Lene. – To nieodpowiedzialne, nieetyczne i przejebanie nieprofesjonalne. Facet przy byle okazji reaguje emocjonalnie i uważa, że realizuje własną osobistą misję.

Charlotte wyglądała, jakby nie słuchała. Popijała kawę i patrzyła dziesięć tysięcy kilometrów przed siebie. Wreszcie spojrzała z boku na Lene.

– Jak mówię, obecnie nie ma innej możliwości. To jedyny funkcjonariusz PET, który był delegowany trzykrotnie. Bagdad, Kabul i Islamabad. Dla większości jeden taki wyjazd to o jeden za dużo. Nikt nie powinien być zmuszony oglądać tego, co tam widział.

Lene ukradkiem znad krawędzi kubka przyjrzała się twarzy Charlotte. Czyli oni *wiedzieli*, że terroryści ponownie wezmą Danię na celownik. Charlotte właśnie to przyznała. Było tylko jedno wyjaśnienie dla obsesji agentów PET: umieścili w siatce informatora, swojego agenta, a ona, wyjaśniając śmierć Ain, za bardzo się do tego kogoś zbliżyła. Nowe podejrzenia i teorie zaczęły się kotłować i ścierać w jej głowie.

Wypiła łyk kawy i nie zdołała się powstrzymać.

– Powiedziałaś, że oni wrócą? Że wiesz, że znów się tu wybierają?

– Zapomnij o tym.

Lene się uśmiechnęła.

– Obiecuję, że się nie wygadam. Słowo harcerza! Ale sama zawsze powtarzasz, że gdy się powiedziało A, to...

Komendant główna pozostawała niewzruszona.

– Jeszcze kawy?

Lene zamierzała odmówić, ale zmieniła zdanie, gdy za szklami okularów Charlotte dostrzegła słaby cień wahania.

– Tak, dzięki. Gdyby jednak, całkiem hipotetycznie, ktoś planował kolejny zamach w Danii, to o jakich ramach czasowych mówimy?

Charlotte westchnęła.

– Lene, „my” nie mówimy o niczym. Nie ma żadnych „nas”. Zostałaś zawieszona i ta sprawa już cię nie dotyczy. To nie jest twoje śledztwo.

Mózg Lene pracował na przyspieszonych obrotach. Dania zadeklarowała, że nie da się zastraszyć, więc kalendarz oficjalnych wydarzeń jest taki, jakby zamachu w Tivoli nie było. I tak na przykład pod koniec przyszłego tygodnia na krajowym kongresie socjaldemokratów głównym mówcą miał być były premier Wielkiej Brytanii Tony Blair. Lene szybko jednak odrzuciła tę możliwość. Byli politycy rzadko albo nigdy nie byli brani na cel przez organizacje terrorystyczne. Nie byli wystarczająco sensacyjni.

Ale za dwa dni w Kopenhadze miał się odbyć szczyt ministrów spraw zagranicznych UE. Kontrowersyjne punkty porządku obrad stanowiły izraelska polityka osadnictwa i fiasko arabskiej wiosny w Tunezji, Libii, Egipcie, Jemenie i Syrii. Ministrowie mieli również wypracować wspólne stanowisko w sprawie zaangażowania NATO w Mali i Nigrze. Przez tych kilka dni oczy świata będą skierowane na siedzibę duńskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Eigtveds Pakhus, budynek wyjątkowo trudny do zabezpieczenia. Uderzenie w spotkanie ministrów zaspokoiłoby głód sensacji nawet najbardziej ambitnego terrorysty.

– Nad czym się zastanawiasz? – spytała Charlotte, równie zamyślona.

– Dobra kawa – wymamrotała Lene. – Kolumbijska?

– Nie mam pojęcia. Kawa to kawa.

– A spotkanie w MSZ? – rzuciła Lene od niechcienia. – O to chodzi?

Charlotte machnęła ręką, jakby odpędzała muchę.

– Wiadomo... to dość oczywiste. Nie trzeba być Einsteinem, żeby to wiedzieć. Ale są też inne możliwości. Profesor Ehud Berezowsky za dwa dni

ma otrzymać Międzynarodową Nagrodę Pokoju. Uroczystość ma się odbyć w auli Uniwersytetu Kopenhaskiego, gdzie zostanie mu przyznany również tytuł doktora honoris causa, a mają w niej uczestniczyć rektor, dziekani, członkowie rządu i przedstawiciele rodziny królewskiej, a także czołowi członkowie społeczności muzułmańskiej. Berezowsky jest profesorem uniwersytetu w Tel Awiwie i od kilkadziesiąt lat rzecznikiem praw Palestyńczyków, opowiada się za zaprzestaniem osadnictwa na okupowanych terytoriach. Jedną z ortodoksyjnych sekt żydowskich już dwukrotnie próbowała go zabić. Za pierwszym razem wysyłając mu bombę w liście, a za drugim dwukrotnie strzelając mu w pierś podczas demonstracji w Tel Awiwie.

– Więc on w jakimś sensie jest po ich stronie – zauważyła Lene. – Walczy o to samo!

– Tym większą wzbudzą sensację. To postać kontrowersyjna i znana, a im o to właśnie chodzi. O spektakl medialny.

– Za Tivoli nie wzięli odpowiedzialności – przypomniała szefowej.

– To prawda, ale i tak wszyscy wiedzą, że to albo Al-Saleem z Teheranu, albo szejek Ibrahim Safar Khan z Ammanu. Tłumy na ulicach fetują męczenników i „białych szejków”, którzy za nimi stoją. Władców marionetek.

Lene pokiwała głową. Adrenalina była cudownym środkiem do oczyszczania zwojów mózgowych z kurzu, pleśni i innych złogów. Teraz na przykład Lene odnotowała, że Charlotte jednoznacznie przypisała Safara Khana do Ammanu, chociaż amerykański ekspert nie był tego pewien. Amman wymienił tylko jako jedną z możliwych lokalizacji.

– Berezowsky przyjeżdża z żoną i ochroniarzem z Mossadu – mruknęła Charlotte pod nosem, broniąc swojej teorii. – Jest świetnym celem.

Nagle wstała i spojrzała na telefon. Powiadomienia przychodziły bez ustanku, Lene wiedziała, że w czasie ich rozmowy szefowa dostała z dziesięć esemesów i maili.

– Okej, to co mam robić? – spytała.

– To znaczy?

Lene rozłożyła ręce.

– Zwolniłaś mnie. Dziesięć minut temu.

– Nie zwolniłam, tylko zawiesiłam – poprawiła ją. Wydawała się rozkojarzona. – Nie wiem, co masz robić. Naprawdę. Poleć do Paryża, zapisz się na kurs malowania akwarelami albo odśwież kuchnię. Skąd mam wiedzieć? Chciałabym mieć taki problem. Poza tym teraz muszę cię niestety wyprosić.

– Jasne.

Charlotte odprowadziła ją do drzwi.

– I rozumiesz już, dlaczego musisz się trzymać z dala od Ain, jej przyjaciół, znajomych, rodziny i mieszkania?

– A na pogrzeb mogę iść? – Lene popatrzyła na zegarek. – To za cztery godziny.

– Myślę, że możesz. Nie wyobrażam sobie w każdym razie, jaką by to miało zrobić różnicę.

– Dzięki.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Lene chwilę opierała się o nie plecami i głęboko oddychała.

Co teraz? Pogrzeb? To było ostatnie, na co miała ochotę, ale musiała tam pójść.

Kiedy wyszła z za rogu, zobaczyła ociężałą postać Bjarnego w brązowych gabardynowych spodniach, więc w ostatniej chwili cofnęła się i znalazła inne schody.

Zwykle po drugiej stronie poszerzonej strefy bezpieczeństwa stały ze dwie taksówki, ale dziś jak na złość nie było żadnej. Oczywiście. Oraz zaczął siąpić lodowaty deszcz.

Rozglądała się w poczuciu beznadziei i uświadomiła sobie, jak bardzo kochała swojego starego niebieskiego citroena. Wiernie i cierpliwie dowoził ją na to koszarne przedmieście, z każdej strony otoczone autostradami i ciągnącymi się po horyzont zapomnianymi przez Boga terenami przemysłowymi, gdzie oznaki życia widoczne były tylko na stacjach benzynowych i w grill barach.

Lene postawiła kołnierz i skuliła głowę przed wiatrem. Szukając sposobu, aby się stąd wydostać, pomimo zmęczenia przyszło jej do głowy, że to jednak dziwne, że Charlotte nie poprosiła jej o zdeponowanie legitymacji i służbowej broni. Czy nie tak należało zrobić, kiedy się kogoś zawieszało?

Pomyślała też, po raz pierwszy ze współczuciem i troską o zgorzkniałym, cierpiącym na bezsenność nadinspektorze PET, żydowskich bojówkarzach i europejskich ministrach spraw zagranicznych.

\* \* \*

Charlotte patrzyła z okna biura, jak jej zawieszona w obowiązkach komisarz brnie przez parking w deszczu i wietrze. Niskie szare chmury zdawały

się muskać dachy brzydkich budynków wokoło. Lene utykała na jedną nogę. Charlotte wstrzymała oddech, gdy komisarz prawie się przewróciła, forsując porośniętą trawą zbocze przy autostradzie. Odzyskała równowagę i szła dalej przed siebie, krokiem wolnym i dziwnie jak na nią niepewnym.

Komendant wyjęła telefon, popatrzyła na ekran i westchnęła. Piętnaście nowych powiadomień w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Jedno pilniejsze od drugiego. Komisja Ochrony Ludności, Sztab Główny Sił Powietrznych, Urząd Lotnictwa, Dowództwo Grup Uderzeniowych, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Zagranicznych. Dziennikarze.

Lene zniknęła z pola widzenia.

Charlotte zaczęła od Kima Thomsena.

\* \* \*

– To była Falster?

– Co?

– Pytam, czy to nasza wielka sterniczka dzwoniła, do diabła. – Christian się niecierpliwił.

Wargi miał wielkie jak ślimaki luzytańskie, co utrudniało wymawianie niektórych sylab i mówił niewyraźnie. Markotnie popatrzył na swoje biurko, które się ugięło pod mapami miasta, planami logistycznymi, harmonogramami, zdjęciami lotniczymi, raportami i zapytaniem służb wywiadowczych wszystkich europejskich krajów, które wysyłały swoich ministrów na kopenhaski szczyt. We wszystkich zapytaniach pobrzmiwała ta sama, niewypowiedziana wątpliwość: czy PET jest w stanie zapewnić ochronę podczas szczytu, czy jednak przeciwnik może okazać się zbyt silny.

Kim po krótkiej rozmowie telefonicznej zamyślił się głęboko. Splótł palce na karku i położył na biurku stopy w brudnych adidasach. Po jakimś czasie zasnął. Dłonie opadły na uda, a jego głowa kołysała się w przód i w tył. Christian nie pamiętał, kiedy on sam ostatni raz miał okazję się prześpać. Wiedział, że to było bardzo, ale to bardzo dawno temu. Był nie mniej zmęczony od kolegi, ale ból dziąseł po wybitych zębach nie pozwalał mu zasnąć.

– Jak twoje jajka? – spytał.

– Weź się zamknij – wyszeptał Kim, nie otwierając oczu.

W końcu jednak wstał, poczłapał do ekspresu i popatrzył na pusty dzbanek. Otworzył puszkę z kawą, stwierdził, że ona też jest pusta, więc po prostu podszedł od okna i zaczął uważnie studiować smętny widok.

– Tak, to była Falster. I dzięki, moje jajka mają się dobrze. Chociaż nie, kurwa... są wielkie jak awokado. Głupia pizda!

– Która?

– Obie.

– Czego chciała?

– We krwi i mózgu Ain znaleźli ten nowy środek. – Kim mówił, nie patrząc na niego.

Oczywiście, pomyślał Christian. I rzeczywiście nawet szczególnie się nie zdziwił. Nigdy nie wierzył w to, co pisali na opakowaniach. Lance'a Armstronga i Alberta Contadora też złapali, prawda? Więc dlaczego mieliby nie znaleźć śladów serum prawdy w ciele młodej zmarłej kobiety. Był zresztą przeciwny stosowaniu tej substancji. Były inne sposoby. Inne niż sposoby Kima.

Christian uważał się za człowieka cywilizowanego i chciał jedynie wykonywać swoją pracę, być cichym bohaterem wiernym tym samym staroświeckim rycerskim zasadom, których starał się przestrzegać również w życiu prywatnym. Nie ufał informacjom uzyskanym podczas tortur ani przy pomocy „farmakologicznie indukowanej szczerości”. Wolał długą, ciężką przeprawę, aż osoba przesłuchiwana, w stanie skrajnego zmęczenia sama płątała się w zeznaniach i sobie zaprzeczała. Owszem, był to proces czasochłonny, ale sprawiedliwy. Z czasem, jeśli się miało szczęście, przeciwnik zaczynał widzieć w tobie przyjaciela i sojusznika. A w najgorszym razie po prostu swoją ostatnią nadzieję.

– Kto to znalazł?

– Helle Englund. Patolożka z Rigshospitalet. Mamy to zostawić. To jej rozkaz. Powtórzyła go pięć razy. Jeśli to wypłynie, zostaniemy ukrzyżowani.

– Hm. Myślałem, że obecnie wszystkie chwytaki są dozwolone. Że dziś potrzeba nam ludzi, którzy wbijają gwoździe, a nie tych, co wiszą na krzyżu. To jej własne słowa.

– Okazuje się, że tu przebiega granica. Zwłaszcza że dziewczyna o niczym nie wiedziała.

– Przecież mówiłeś, że to było dla jej dobra. Kurwa, Kim! – Christian już nie krył wzburzenia. – Żeby mogła z czystym sumieniem zaprzeczyć,



gdyby cokolwiek z tego wyszło.

– Spróbuj to wyjaśnić Falster.

– Czyli jednak *dało się* wykryć to gówno.

Kim chodził tam i z powrotem. Unikał wzroku kolegi.

– Kim, od początku uważałem, że jesteś wobec tej kobiety kompletnie bezkrytyczny – ciągnął Christian. – Irene Adler cię wykorzystuje. Używa cię, bo marzy jej się, kurwa, Nobel. Ty jej dostarczasz króliki, ona faszeruje je dragami, aż nie wiedzą, jak się nazywają, albo rzucają się pod pociąg.

– To się nazywa nauka.

– Taa. I pewnie pieprzycie się też w jakiś wyszukany naukowy sposób przy dźwiękach arabskiej muzyki?

Kim wwiercał się w niego oczami, które całe były jedynie czarnymi, wielkimi źrenicami. Jego twarz powoli ciemniała od gniewu i Christian pomyślał, że przesadził. Że tamten mu przywali, zastrzeli go albo rzuci w niego czymś ciężkim.

I sam się zdziwił, że było mu to obojętne. Że stracił wiarę w ten projekt. Nie mieli żadnych szans, by zapobiec kolejnej tragedii. Za mało wiedzieli, po prostu.

– Jedź do domu – powiedział Kim. – Prześpij się.

Christian wstał posłusznie i próbował sobie przypomnieć, o której otwierali pogotowie dentystyczne na Oslo Plads.

– A ty co zamierzasz robić? – spytał i z bezlitosną szczerością dodał: – Bo nie wiem, czy mam odwagę zostawiać cię samego.

– Oczywiście, że masz. Czuję się świetnie.

Kim ziewnął, zgarbił się i zmusił do bladego uśmiechu, ale Christian wiedział, że to maskarada. Że jego kolega właśnie się nakręca.

– Tamtego dnia, kiedy zginęła Ain... – zaczął.

– Tak?

– Co właściwie wtedy robiliśmy?

– Ty byłeś w domu i parzyłeś sobie hipsterską barista-lurę, jak zwykle, a ja umierałem z nudów na wykładzie na Komendzie Głównej.

– Okej. Skoro jesteś tego pewien...

– Oczywiście, że jestem pewien! Mam trzystu świadków. Wracaj do domu, prześpij się i weź prysznic, bo cuchniesz.

– Na razie.

– Na razie.

\* \* \*

Po wyjściu Christiana Kim ponownie usiadł za biurkiem. Ukrył twarz w dłoniach i długo tak siedział z pustką w głowie. Telefon co jakiś czas sygnalizował odebrane esemesy, ale nie reagował. Nie chciało mu się jeść ani pić, nic mu się nie chciało. Nic nie czuł. Sekretarka zapukała i od razu weszła, żeby zalęknionym gestem położyć mu na biurku stos kartek. Była młoda i nowa i przez chwilę stała, jakby się zastanawiała, co jeszcze może zrobić. Pomyślał, że zaraz położy mu rękę na ramieniu, żeby mu dodać otuchy. Modlił się, żeby tego nie robiła. Pachniała kawą i świeżymi bułkami.

- Dziękuję – powiedział, nie patrząc na nią.
- Jeszcze więcej papierów – oznajmiła. – Przykro mi, że musisz...
- Nie szkodzi. Dziękuję.
- Chcesz czegoś? Może kawy?

Chcę, żebyś wyszła i zamknęła za sobą drzwi, pomyślał. Chcę, żeby świat się zatrzymał. Żeby czas się cofnął. Żeby było jak dawniej. Żebym jednak zrobił sobie przerwę wtedy po Islamabadzie i żebyśmy pojechali z dziewczynkami w tę półroczną podróż kamperem po Nowej Zelandii, o której zawsze rozmawialiśmy.

Żeby nie było nas w kraju, kiedy przyszły te zbiry.

- Nie, dziękuję – odparł.

Poczuł jej ciepło i pomyślał, że jednak położy mu tę rękę na barku. Ale ręka zawisła nad jego koszulą, ciepło zniknęło. Linoleum na podłodze skrzypiało cicho pod jej butami, kiedy przemierzała pokój, i zaraz usłyszał, jak drzwi się za nią zamykają.

W telefonie zabrzmiało rzewne solo na trąbce z kawałka *Warrior/Worrier* Outlandish oznaczające połączenie od Zebry. To ona zaproponowała ten dzwonek. Nie wiedział, czy kryła się w nim jakaś sugestia. Może znała go lepiej, niż sądził.

- Coś nowego? – spytał.
- Nie.
- Drogi dostępu?

– Jeszcze nie. Pewnie jak zawsze dadzą mi znać z półgodzinnym wyprzedzeniem, gdzie i kiedy mam ich zgarnąć. Tym razem chcą się przedostać inną drogą. Nie wiem jaką. I bynajmniej nie opuszczają gardy. Przeciwnie. Połamali mi na przykład okulary na lotnisku, czego się nie spodziewałam.

- Imiona?

– Jedno. Samir.

– Nazwisko?

– Brak. Góra dwadzieścia pięć lat, na lewej skroni biała gwieździsta blizna. Wygląda na ranę postrzałową. Czarne włosy do ramion, jasnobrązowe oczy. Przystojny. Syryjczyk. Wojownik.

– Nie masz żadnego zdjęcia?

– Nie.

Musiał się zastanowić. Jeśli pominąć bliznę, ten Samir mógłby być kimkolwiek. Imię kompletnie nic mu nie mówiło.

– Jak ty się czujesz? – spytał nagle i w słuchawce zapadła cisza. Zwykle nie tracili czasu na wzajemną troskę. – Zapomnij, że pytałem – wymamrotał.

– Pytanie, jak ty się czujesz i czy jesteś gotowy? Bo to naprawdę się teraz stanie. Wiesz o tym, prawda? – upewniła się.

– Tak, wiem i czuję się znakomicie – potwierdził. Starał się zabarwić swój głos odrobiną entuzjazmu.

– Lene Jensen. Zajęliście się nią?

Wyjrzał przez okno.

– Chyba już wie, że musi się trzymać z daleka. Chociaż niełatwo było ją przekonać. Została zawieszona w obowiązkach, ale pozostaje na wolności, że tak powiem. Jeśli się na nią natkniesz, to rozpraw się z nią możliwie najszybciej i najbardziej humanitarnie. Pozbądź się jej i nie kłam. Potrafi to wyczuć.

– Okej.

– I zadzwoń, gdy tylko czegoś się dowiesz, dobra? – dodał niepotrzebnie i się rozłączył.

Uśmiechnął się lekko. Jak zawsze po rozmowie z Zebłą przepełniała go ojcowska duma. Była jedyna w swoim rodzaju. Najlepsza informatorka i agentka, o jakiej kiedykolwiek słyszał i jaką kiedykolwiek spotkał. Jakby w ogóle nie miała układu nerwowego. Pamiętał, jak spała niczym dziecko w rozpalonym do czerwoności, pozbawionym wentylacji obskurnym pokoju w hotelu w Karaczi po tym, jak przez dziesięć godzin była świadkiem przesłuchań z użyciem ciężkich fizycznych i psychicznych środków przymusu włącznie z waterboardingiem, represjami i upokarzaniem. Zeznawali młodzi mężczyźni podejrzani o przynależność do Al-Kaidy i przywiezieni w klatkach z Waziristanu.

Czy nie słyszała krzyków, ciężkich głuchych odgłosów, gdy kije do krykieta raz po raz uderzały w ciało, gwałtownych torsji więźniów ani tego, jak się dławili, doświadczając najbardziej pierwotnego z ludzkich lęków, kiedy przez leżącą na twarzy brudną szmatę powoli przeciekała woda? Nie współczuła im choć trochę, gdy zakładano im obroże i ciągnięto po podłodze, kładąc im szczekać jak zwierzęta, w ich przekonaniu, najbardziej plugawe?

Prędzej czy później udało im się złamać każdego z nich. Kolejno, jeden po drugim mówili swoim katom to, co kaci chcieli usłyszeć, oraz kilka rzeczy, o których kaci jeszcze nie wiedzieli, choć tych nowych informacji było niewiele. Okazało się, że pakistańska służba wywiadowcza ISI była doskonale poinformowana. Każdy z tych mężczyzn pod koniec zmieniał się w szlochającą, rozbitą skorupę dawnego siebie. Siła ducha, dojrzałość, pobożność, odpowiedzialność czy poczucie własnej godności nie miały tu nic do rzeczy. Te poważane i cenione cechy charakteru były jak cienka warstwa lakierni, która pod działaniem bólu kruszyła się i pękała. To czysta biologia. Nie da się wytępić zwierzęcia w człowieku.

Zdarzało się, że tam, w piwnicach głównej kwatery pakistańskiego wywiadu, rozpalala się jej skomplikowana seksualność i po długim dniu w ciemności i beznadziei cuchnącej wymiocinami, moczem i kałem próbowała w hotelu zaciągnąć Kima do swojego łóżka. Zwykle odmawiał, choć kilka razy uległ pokusie. To było nieuchronne. Miesiącami nie mieli nikogo prócz siebie. Poza tym ona była wyjątkowa.

Często po paru godzinach regenerującego snu znikala w noc w poszukiwaniu zaspokożenia i wracała tuż przed świtem. Po cichu otwierała drzwi swojego pokoju, a Kim nasłuchiwał spocony w pokoju obok i ze wzrokiem wbitym w tajemnicze plamy na suficie. Zwykle udawało mu się zasnąć dopiero, gdy słyszał, jak skrzypią sprężyny w jej łóżku.

Stanowiła nieoczywiste połączenie równowagi, zaradności, chłodu i zmysłowości, doskonały wabik na każdego.

Znów zadzwonił telefon. Kim spojrział na ekran i zmarszczył brwi, nie spodziewając się niczego dobrego. Dzwoniła kobieta z działu prawnego kolei państwowych DSB, do której ostatnio musiał się umizgiwać w związku z przygotowaniami do spotkania ministrów spraw zagranicznych. Była to bezdzietna singielka, pedantka i miłośniczka opery, która w Kimie dostrzegła kogoś w rodzaju wagnerowskiego Zygfyryda blokowiska w Vestegn. Nieoszlifowany diament, który ona z radością wygładzi.

– Cześć, Grethe – przywitał się neutralnym tonem.

– Dzień dobry. Dzwonię, tylko żeby się upewnić, czy zrobiłam wszystko jak należy. To był dość nietypowy wniosek, ale szef działu zapoznał się z nim i dwadzieścia minut temu dał zielone światło, więc... Ale wiesz, on jest młody, zresztą dzwonię i tak trochę poniewczasie, bo płyty już pojechały taksówką do Glostrup... Pomyślałam po prostu, że raz już wam wysyłałyśmy te nagrania, więc powinno wystarczyć. Przecież jeśli wszystko będziemy musieli wam wysyłać po dwa razy, to nigdy się...

Kimowi chciało się krzyczeć.

– Grethe, o czym ty mówisz? Jaki wniosek? I nie martw się, na pewno postąpiłaś słusznie, jestem tego pewien. Powiedz mi tylko: o jakich płytach mówimy i kto o nie poprosił?

Opowiedziała mu więc rozwlekłe, jak to ona, co się stało, a on, słuchając jej, zaczął mieć dziwne wizje. Patrzył na swoją lewą dłoń, jakby nie należała do niego, lecz obdarzona własną świadomością wykonywała polecenia, do których on nie miał dostępu. Przycisnął ją mocno do biurka.

Nie pomogło. Wciąż nie czuł własnej dłoni.

Lene Jensen. Oczywiście.

Czy nienawiść naprawdę może mieć smak? Bo Kim miał wrażenie, że czuje smak żelaza, ziemi i żółci.

– Więc wysłaliście te CD? – spytał.

– No tak! Źle zrobiliśmy?

Zabolały go twarde jak kamień mięśnie żuchwy.

– Oczywiście, że nie, Grethe. Nad tą sprawą pracujemy wspólnie z Komendą Główną. Ale oczywiście to bez sensu, żebyście wszystko robili po dwa razy. Mamy przecież te filmy z Nørreportu. Leżą na moim biurku. Porozmawiam z nim. Bjarne Poulsen, tak? Współpracownik Lene Jensen?

– Tak powiedział. Nie możemy ich przecież tak po prostu skasować. To wykluczone. Ludzie uznaliby, że to dziwne.

– *No problemo*. Dzięki za telefon.

– Nie ma za co. A w ogóle to mam dwa bilety na *Aidę*. Wiesz, tę z Anną Netrebko i Zelandczykami. Moja przyjaciółka się rozchorowała, więc pomyślałam, że może ty...

Wyłączył telefon i wbił wzrok w swoją dłoń, która dotarła do krawędzi biurka.

Wysunęła szufladę i położyła na blacie czarny, nieprzepuszczający światła worek. To był rodzaj pamiątki od pakistańskiej służby wywiadowczej. Powiedzieli, z całą powagą, że każdy prowadzący śledztwo powinien mieć

co najmniej jeden taki worek. Kim zapalił lampkę na biurku i ostrożnie wyrócił worek na lewą stronę. Na jego dnie zaschła krew z rozciętej głowy Lene Jensen, a do materiału przywarły pojedyncze długie rude włosy.

Odłożył worek i ponownie splótł ręce na karku. Bez trudu wyobraził sobie nagłówki.

**NIELEGALNY SOJUSZ PET I PSYCHIATRÓW Z RIGSHOSPITALET: PODEJRZANYM O SYMPATYZOWANIE Z TERRORYSTAMI PODAWANO PREPARATY NA BAZIE LSD. U WIELU Z NICH ROZWINĘŁY SIĘ PSYCHOZY. DO SPRAWY WŁĄCZYLI SIĘ RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH ORAZ MINISTER ZDROWIA.**

Nie wolno do tego dopuścić. Musiał to powstrzymać. Ze względu na Zebra. Jeśli zostanie zdemaskowana, wszystko przepadnie. Nikt nie będzie w stanie powstrzymać następnego ataku, a on straci szansę na odnalezienie winnych śmierci Anne i dziewczynek i rozliczenie ich z tych zbrodni. Co było jedyną rzeczą, jaka mu jeszcze została do zrobienia w tym życiu.

## II

Michael Sander widział Lene z daleka. Powłóczyła lewą nogą i co chwila dotykała karku. Przyciskała telefon do ucha, była przemoczona i blada jak ściana. I wpadła na mężczyznę z psem. Czworonóg wesoło wskoczył jej na nogę, ale ona stała nieruchomo jak robot, któremu wyczerpały się baterie, i zdawała się w ogóle nie widzieć ani zwierzęcia, ani człowieka. Mężczyzna przyciągnął psa do siebie i wyminął dziwaczkę.

Po obu stronach szerokiej willowej ulicy stały niskie jednakowe domki z lat siedemdziesiątych. Michael od razu pomyślał, że to dzielnica ludzi po złotych godach. Domy spłacone, dzieci się wyprowadziły, a oni wyczerpali już wszystkie możliwości zapelnienia pustki – małżeńskiej i tej egzystencjalnej – pergolami, garażami, fantazyjnie przyciętymi żywopłotami, artystycznymi mozaikami i samochodami, które były jednak ciut za drogie. Żadnych dziecięcych rowerków czy wózków. Tylko martwa cisza.

I zaraz porównał ten obrazek z sennym miasteczkiem na południu Fionii, gdzie sam zamieszkał z żoną i dziećmi. Przypadkiem czy z konieczności? Sam do końca nie był pewien. Sara, jego żona, miała antykwariat przy głównej ulicy. I ten antykwariat był jednym z najbardziej tętniących życiem miejsc w ich mieście, co samo w sobie było dostatecznym dowodem na powolną agonię duńskiej prowincji.

Wyłączył iPada i ziewnął. Śledził Lene od siedziby PET w Søborgu aż do Glostrup, gdzie cierpliwie czekał na nią pod rozbudowanym kompleksem nadrzędnej jednostki policji w kraju. Potem na chwilę stracił ją z oczu, gdy nieoczekiwanie skręciła na autostradzie, ale odnalazł ją ponownie za pomocą jej telefonu.

Zdalne śledzenie ludzi stało się dziecinnie proste. W zwykłym chatromie pobrał niewielki program o groźnie brzmiącej nazwie Your-Cell-Told-Me, który każdy telefon zmieniał w nadajnik GPS. Jeśli ktoś miał przy sobie włączony telefon, to spokojnie można go było śledzić z dowolnego smartfona, tabletu albo komputera.

Otworzył drzwi samochodu, wysiadł i zaczekał na chodniku. Lene skończyła rozmawiać przez telefon i tylko patrzyła w ziemię, pozwalając, aby nogi mechanicznie niosły ją dalej. Minęłaby go, gdyby nie położył jej ręki na ramieniu i nie zatrzymał. Jej stopy przestały się ruszać. Powoli podniosła głowę i spojrzała mu w twarz.

– Michael?

Zmrużyła oczy, jakby nie była pewna, czy to naprawdę on.

Złapał ją za łokieć i zaprowadził do swojego nowiuteńkiego, wykonanego na zamówienie mercedesa. Otwierając jej drzwi po stronie pasażera, cały czas mocno ją trzymał. Wiedział, że w przeciwnym razie poszłaby dalej w stronę widnokregu jak szczur laboratoryjny wypuszczony z klatki.

Usiadła w fotelu i podwinęła pod siebie długie nogi.

Sam zajął miejsce za kierownicą i podkręcił ogrzewanie.

– Muzyka? – spytał.

– Co?

Rozparł się w fotelu i położył ręce na udach.

– Muzyka. Nieważne.

Przez kilka minut milczeli, a ciszę odmierzał zegar na desce rozdzielczej.

– Jak mnie znalazłeś? – spytała wreszcie.

– Przez komórkę.

– Jak było w Somalii?

– Szczyrze?

– Tak.

– Ten kraj leży tak naprawdę na innej planecie – zaczął z namysłem. – Na przykład na Marsie albo na planecie koszmarów. I chyba coś tam złapałem. Jakiegoś, kurwa, tropikalnego bakcyła. Cały czas jest mi przejebanie zimno. I szcram na brązowo. Mimo że tabletki na malarię żarłem garściami.

Spojrzała na niego z boku. Podniosła lewą rękę. Może chciała na chwilę położyć mu ją na kolanie w wyrazie współczucia. Ale w połowie drogi ręka rozmyśliła się i dołączyła do swojej koleżanki.

Było inaczej, niż się spodziewał. Miało być sterylnie, profesjonalnie i z dystansem. Od niepamiętnych czasów tak właśnie brzmiał opis jego stanowiska pracy. Uczucia były śmiertelnie niebezpieczne, bezużyteczne i dekoncentrowały. Ledwie ją znał. I nie miał żadnych powodów, aby ciepło ją wspominać. Dwukrotnie niemal do niego strzeliła, poza tym była specyficzna, uparta, kłótniwa, zgryźliwa i strasznie ruda.



– Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? – spytał wprost. – Dzwoniłem milion razy.

– Pomaganie bogaczom i możliwym tego świata utrzymać się przy pieniądzach i władzy, które im się należą, to praca ciężka i czasochłonna. Dlaczego miałbyś się interesować mną? Takim nikim? Ale przyznaję, twoja troska mi schlebia. Czuję się świetnie. Naprawdę.

– Wyglądasz fatalnie – wyznał. – Wcale nie jak ktoś, kto się świetnie czuje.

– Stokrotne dzięki.

Przesunęła dłonią po przyklejonych do czaszki włosach, na próżno starając się je ułożyć. Szybko się poddała i opuściła ręce. Szyby zaparowały od jej mokrych ubrań.

– Byłeś już w domu od powrotu z Somalii? – spytała.

– Nie.

– Dlaczego?

Machnął ręką w kierunku przedniej szyby, jakby odpowiedź kryła się w szarym, mokrym świecie na zewnątrz.

– Lene, co ty tu właściwie robisz? W sensie tu, na tej ulicy?

– Zostałam zawieszona. Po osiemnastu latach. Wyrzucona. Odsunięta. Jestem pariaską. I nigdzie nie było taksówki.

– Dlaczego cię zawiesili?

– To długa historia, Michael – powiedziała zmęczonym głosem i wyjrzała przez boczne okno. – Długa, przejebane smutna historia.

– Opowiedz mi. Mam czas i uwielbiam tragedie.

Pochylił się w przód, włączył radio i przypadkiem trafił na najlepszą piosenkę na świecie i najlepiej pasującą do sytuacji: *I'll Stand By You* Chrissie Hynde. Postanowił potraktować to jak dobry znak.

– Od początku wiedziałeś, prawda? – spytała nagle.

– O czym?

– O Josefine. Wiedziałeś, że tak będzie. W ogóle dzięki za wieniec. Był bardzo piękny.

– Widziałem to wcześniej.

– Gdzie?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Tak, chcę wiedzieć.

– Odnalazłem kiedyś młodą dziewczynę, którą porywacze przez kilka dni torturowali i gwałcili. Żądali za nią okupu. Jej ojciec był bogatym Holen-

drem i to na jego zlecenie jej szukałem. Dziewczyna trafiła do kliniki w Szwajcarii. Cierpiała na psychozy. Rozsmarowywała na sobie własne odchody, żeby nikogo do siebie nie dopuścić. Zwłaszcza mężczyzn, naturalnie.

– Dziękuję – powiedziała.

Michael wyłączył radio.

– Jak ci się podoba samochód? – spytał.

Uśmiechnęła się lekko i po raz pierwszy również oczami.

– Piękny, Michaelu. Bardzo elegancki. Jest twój czy ukradłeś go sprzed Sheratona?

– Mój. A teraz opowiadaj.

Jej woskowo-błada twarz pod wpływem ciepła nabrała zdrowszego, różowego odcienia. Lene przestała się trząść i mówiła pewniejszym głosem.

– Zaczęło się od tego, że jako wolontariuszka w Linii Życia rozmawiałam z młodą arabską dziewczyną, Ain. Pracowała w restauracji na terenie Tivoli i uważała, że zamach był jej winą. Istnieje mnóstwo zdjęć, na których Ain stoi obok restauracji i rozmawia z młodym mężczyzną, Nabilem Marounem z Damaszku, którego PET zidentyfikowało jako zamachowca. Widziałam te zdjęcia. Poza tym w jej mieszkaniu znaleźli jego odciski palców.

– Kto go przysłał?

– Ibrahim Safar Khan z Ammanu. W każdym razie tak im się wydaje.

Michael pokiwał głową.

– Słyszałem o nim. Jest inteligentny i bardzo groźny. Zanim został masowym mordercą, był wykładowcą uniwersyteckim w Londynie.

– Identyfikacja Nabila Marouna jest stuprocentowo pewna. Wykonali kawał dobrej wywiadowczej roboty, to im trzeba przyznać. Tylko że ta dziewczyna zadzwoniła do mnie na pięć minut przed tym, jak rzuciła się pod pociąg. Zdążyła powiedzieć, że ktoś ją śledzi. Patolodzy znaleźli w jej krwi nowy rodzaj LSD. Coś, co rozwala ludziom psychikę, wpędza ich w psychozę, paranoję i popycha do samobójstwa. Słyszałeś coś o tym?

– Akurat słyszałem – przyznał. – To najświeższa nowinka w zaawansowanych technikach przesłuchania, odkąd Obama objął rządy. Adwokatów broniących praw człowieka jest dziś więcej niż więźniów w Guantanamo. Chodzi o to, żeby podtapiając ludzi, używać dzbaneczka z Hello Kitty, a na koniec grzecznie przeprosić. Hurtowo zamykają tajne ośrodki przesłuchań CIA i coraz bardziej skupiają się na nadzorze elektronicznym, zamiast dzia-

łać na miejscu, infiltrować te środowiska, rekrutować informatorów w old-skulowym stylu. Nikomu już nie oferują azylu politycznego, obywatelstwa i wycieczki do Disneylandu, a zamiast ich przesłuchiwać, wolą ich likwidować dronami jednego po drugim. Co moim zdaniem jest cholernie słabym rozwiązaniem, bo co zrobią, gdy załatwią ostatniego człowieka na liście? Stąd pojawiła się alternatywa w postaci serum prawdy, na przykład LSD, które dodajesz ofierze do pasty do zębów albo do drinka na dobranoc razem z propofolem, który sprawia, że potem ta osoba nie będzie pamiętała, czy w ogóle tam byłaś. Propofol wymazuje pamięć krótkotrwałą. To ta substancja zabiła Michaela Jacksona. Tylko nie bardzo umiem sobie wyobrazić, kto w Danii mógłby się czymś takim zajmować.

– Irene Adler – odparła bez wahania Lene. I wyjaśniła: – To piekielnie ambitna psychiatrka z kliniki przy Rigshospitalet. Przez wiele lat mieszkała na Bliskim Wschodzie i jest obecnie kimś w rodzaju guru w zakresie badań nad psychiką zamachowców samobójców. Wydaje jej się, że może chodzić po wodzie i że jest nietykalna, ponieważ spotkała się z królową Małgorzatą i Nelsonem Mandelą.

– I to ona leczyła twoją córkę, prawda? – Michael ugryzł się w język, ale za późno.

Lene odwróciła się w fotelu i w jej oczach zobaczył ogień.

– To nie ma nic do rzeczy, jasne?

Splótł palce i skupił się na tym, aby przybrać możliwie najbardziej pokorny wyraz twarzy.

– Przepraszam. Ale to, o czym mówisz, brzmi jak zawodowe samobójstwo. Takie rzeczy zawsze wychodzą na jaw. Jeśli te eksperymenty są przeprowadzane poza strukturami wojskowymi, to mnóstwo ludzi jest w to zaangażowanych: personel szpitalny, laboranci, studenci medycyny albo doktoranci.

– Za długo byłeś za granicą. Nie wiesz, jak tu teraz jest – spokojnie tłumaczyła Lene. – Praktyki, które kiedyś zostałyby uznane za niedopuszczalne i możliwe jedynie w najbardziej ponurych faszystowskich państwach policyjnych, dziś są na porządku dziennym. Połowa telefonów w tym kraju jest na podsłuchu. Wszędzie jest monitoring i mało brakuje, a zamontują wykrywacze metali przy drzwiach do biblioteki czy autobusu. Świat stanął na głowie.

– To Charlotte Falster cię zawiesiła?

– A kto inny? Teraz ona o wszystkim decyduje. Podpadłam im, kiedy chciałam porozmawiać z przyjaciółką Ain, Nazeerą Gamil. Trzydzieści dwa lata, bezdzietna singielka. Mieszka w Danii od czternastego roku życia. Jej ojciec jest Jordańczykiem i wybitnym profesorem ekonomii, pracuje na Uniwersytecie Kopenhaskim. Nazeera była również dziewczyną Ain i jest bardzo atrakcyjna, powiedziałabym nawet, że zniewalająco piękna. Myślę, że służby interesują się nią ze względu na jej pochodzenie.

– Na pewno – zgodził się Michael. – Ale to równie dobrze może być przypadek. Może to jedna z osób, które sprawdzają rutynowo.

– Możliwe. W każdym razie dwaj agenci PET uznali, że jestem zbyt wścibska, i zaczęli mnie śledzić. Rozmawiałam z psychiatrą Ain i próbowałam uzyskać komentarz Irene Adler. Ona złożyła na mnie skargę. Powiedziała Charlotte, że albo każe mi pilnować własnego nosa, albo...

– A co powiedział ten psychiatra?

– Zaprosił mnie na randkę. – Uśmiechnęła się z przekąsem.

Michael spojrział na nią zaskoczony.

– Ciebie? Po co?

Zaraz wyciągnął do niej rękę, ale znów za późno.

– Przepraszam – wymamrotał.

Odrzuciła tę rękę. Mocno.

– Masz rację. Myśl, że jakiś mężczyzna mógłby chcieć się ze mną spotkać i spędzić trochę czasu, jest, oczywiście, niedorzeczna. Nie musisz przeproszać.

– Ale mnie chodziło o niego. Chyba po prostu nie traktuję psychiatrów jak istot ludzkich. Ty oczywiście wciąż jesteś...

– Michael, nic już nie mów, dobra? Naprawdę dupek z ciebie. – Ziewnęła, odchyliła się w miękkim ciepłym fotelu i powieki zaczęły jej się zamykać. Trącił ją w ramię.

– Co? – wymamrotała.

– Ta Ain. Dlaczego do ciebie zadzwoniła? Zostawiła jakiś list, napisała coś na lustrze? Jakąś wiadomość? Przyznała się do winy?

Lene z przepastnej torby wyjęła blister okrągłych białych tabletek. Wyjęła jedną i włożyła ją sobie do ust.

– Wody? – spytał.

Ze schowka wyjął butelkę wody mineralnej i Lene przełknęła, mocno się krzywiąc.

Wskazał głową na torbę, którą natychmiast zamknęła i położyła sobie na kolanach, jakby bała się, że ją jej zabierze.

– Co to?

– Coś na uspokojenie.

– Na uspokojenie? Przecież ty przysypiasz, do diabła!

– Nie. Ja... nie mogę spać. To niemożliwe. To po prostu...

– Wywal je – powiedział stanowczo. – Od razu, ostre cięcie.

– Bez nich nie dam rady.

– Jak uważasz. Więc zostawiła list?

– Nie.

– Sama skoczyła czy ktoś ją popchnął?

– Ktoś ją popchnął. Nie mam wątpliwości.

– Skąd ta pewność?

– Nie brzmiała jak ktoś, kto chce popełnić samobójstwo.

Michael nie próbował się z nią sprzeczać. Od początku ich znajomości uważał, że potrafiła trzeźwo ocenić sytuację, chociaż w tej chwili była słabym odbiciem samej siebie.

– To kim ona była, Lene, ta twoja nieszczęśliwa Arabka? – spytał.

– Nie wiem, ale zamierzam się tego dowiedzieć. Bez względu na to, co mówią i jak bardzo mnie „zawieszają”. A teraz ty mi powiedz, co tu robisz. Nie stać mnie na ciebie. Bierzesz dwadzieścia tysięcy koron za dobę, dobrze pamiętam?

– Aktualnie sześćdziesiąt cztery tysiące. Kryzys finansowy. Ludzie robią przez niego mnóstwo dziwnych rzeczy. Mam nadzieję, że będzie trwał wiecznie.

– A nie potrzebujesz sekretarki? Wydaje mi się, że moje dni w policji są policzone. Odnoszę wrażenie, że ich zdaniem osiągnęłam już swoje maksimum. Nieudolności.

– Możliwe. To kim ona była? – powtórzył.

Lene się zamyśliła.

– Nie jestem pewna, czy była kimś szczególnym. Myślę, że po prostu miała pecha. Że ci, którym zaufała, zrobili ją w konia. Wykorzystali. Nie miała pojęcia, co robiła. Była dobroduszna i naiwna. Nie miała żadnych poglądów politycznych. Osobiste problemy pochłaniały ją tak bardzo, że nie starczało jej energii ani uwagi dla wielkich bliskowschodnich konfliktów, sprawiedliwości i niesprawiedliwości. Tak uważa jej psychiatra i myślę, że ocenił ją trafnie. Ona była po prostu Ain. Urocza i umiarkowanie inteli-

gentna. Chciała tylko, żeby wszyscy byli zadowoleni, i ktoś przekonał ją, że to, co się stało w Tivoli, było jej winą. „Zasługuję na śmierć, nie raz, ale więcej niż tysiąc razy”. Tak powiedziała. A tysiąc dwieście czterdzieści jeden ofiar to więcej niż tysiąc, prawda?

– No tak.

– I ona czuła się winna każdej z tych śmierci.

– Rozmawiała z zamachowcem – zauważył Michael. – I on był w jej domu.

– Owszem, możliwe, że mu pomogła. Możliwe również, że nie wiedziała, kim był. Do psychiatry zgłosiła się dopiero w listopadzie. Dwa miesiące po zamachu.

– I tyle zdążyłaś się dowiedzieć, zanim napadli na ciebie ludzie z PET, żeby ci uświadomić, że już wystarczy i masz się nie ważyć wchodzić w to głębiej? – domyślił się Michael.

Potwierdziła skinieniem.

– Kim oni byli?

– Jeden jest nadinspektorem, nazywa się Kim Thomsen. Stracił w Tivoli żonę i dwie małe córki. W mojej ocenie to fanatyk i wykojejeniec. Drugi, Christian Erichsen, jest normalny, ale lojalny. Łączy ich nierozzerwalny pakt partnerów z patrolu, nie wiem, czy to znasz. Thomsen był delegowany trzykrotnie: do Kabulu, Bagdadu i Islamabadu. Nikomu przed nim ani po nim to się nie udało, więc uważają go za bohatera.

Potem opowiedziała Michaelowi o wykładzie w Søborgu.

Michael kiwał głową i bębnił palcami w kierownicę.

– Istnieje tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Mają agenta wśród ludzi Safara Khana i ten agent został tam umieszczony przez Thomsena. W przeciwnym razie już dawno odsunęliby go od tej sprawy. Thomsen jest dla tego informatora oficerem prowadzącym i informator tylko z nim chce i może się komunikować. – Popatrzył na nią. – Mam rację?

– Masz.

Odchylił się w fotelu.

– Lene, jeśli to prawda, to może rzeczywiście powinnaś to zostawić. Istnieje ryzyko, że zniszczysz ich operację. To duża odpowiedzialność. Ogromna.

– Wiem, że mogę wszystko zepsuć – przyznała cicho. – Charlotte powiedziała to samo i to z tego powodu mnie zawiesiła. Żeby mnie odsunąć. I potrafię zrozumieć, że nie miała innego wyjścia...

– Ale?

– Wszystko trochę za bardzo się zgadza. Chociaż oczywiście mogę się mylić. Ja chcę się tylko dowiedzieć, czy Ain popełniła samobójstwo czy nie. Uważam, że to mój obowiązek. Mnie nie jest wszystko jedno. Nie potrafię myśleć o setkach ofiar, Michael. Umiem myśleć tylko o jednej, jedynej ofierze. To pewnie znaczy, że jestem małostkowa... i głupia.

– Oczywiście, że nie jesteś – zapewnił ją. – Ale bez trudu potrafię sobie wyobrazić, że zamach w Tivoli nie był ostatnim. Dla terrorystów Dania to bezbronne prosię, które tylko czeka na zwinną rękę rzeźnika z nożem. Zatem założmy, że wracają. Cel?

– Pojutrze w Christianshavn zaczyna się szczyt ministrów spraw zagranicznych Unii Europejskiej. Oczywiście przy maksymalnych środkach bezpieczeństwa. Delegatów będą strzec helikoptery, snajperzy, Korpus Frogmanów w kopenhaskim porcie, Korpus Łowców w powietrzu, a wszystkie studzienki ściekowe w promieniu kilometra zostaną zaspawane. Jest też wizyta Tony’ego Blaira podczas krajowego kongresu socjaldemokratów. Umiarkowane środki bezpieczeństwa. Przylatuje poza tym pewien izraelski profesor, który jest zagorzałym krytykiem tamtejszej polityki osadnictwa. Uniwersytet Kopenhaski zamierza mu wręczyć nagrodę i tytuł honoris causa. Aktywiści żydowscy dwukrotnie próbowali go zabić. Nie wiem, jaki poziom zabezpieczeń zaplanowano na jego wizytę, ale wątpię, by Mossad pozwolił mu podróżować samemu, więc obstawiam, że zapewnią mu najlepszą możliwą ochronę. W uroczystości mają uczestniczyć naczelny rabin Bent Lexner oraz dwór królewski, rektor i dziekani.

– Jak on się nazywa, ten profesor?

– Ehud Berezowsky.

Michael pokiwał głową.

– To może być on. O Blairze zapomnij. Już się nie liczy.

– A spotkanie na szczycie?

– Wiadomo! Spektakularny sukces. Mount Everest dla każdego ambitnego bojownika samobójcy. Bliski Wschód dostałby ekstazy.

Wyjął papierosa i już miał zapalić, kiedy zadzwonił telefon Lene.

Bjarne brzmiał, jakby dawno już przeszedł wszystkie stadia hysterii i zbliżał się do totalnej rozsypki. Głos miał cienki jak u małej dziewczynki i Lene przestraszyła się, że dostał zawału.

– Lene, on próbuje tu wejść. Wchodzi tu!

W tle usłyszała trzask łamanego drewna i rozkazy rzucane „tłustej świni” mrocznym, oszalałym z wściekłości głosem.

– Kto, Bjarne?!

– LENE! Ratunku!

Rzuciła okiem na Michaela, który już zwolnił ręczny i wrzucił jedynekę w cudzie niemieckiej myśli technicznej. Zasłoniła ręką wydawane falsetem piśki Bjarnego.

– Wracamy, Michael! Do Glostrup, już!

Gdy ponownie przystawiła telefon do ucha, usłyszała głuchy mięsisty łomot, jakby ktoś uderzał kijem baseballowym w arbuza.

Słyszała też bezradne jęki Bjarnego, gdy napastnik żądał wydania „jebanych nagrań z Nørreportu, zanim rozpiardoli mu ryj tak, że go własna matka nie pozna”.

Ręka, w której trzymała telefon, opadła bezwładnie na kolana. Lene pociemniało w oczach z nienawiści.

Thomsen.

Znowu.

Dlaczego ona miała dać sobie spokój, gdy on nie cofał się przed niczym?

Z niepokojem przygryzła dolną wargę i patrzyła w milczeniu, jak Michael z chłodną wirtuozerią i kontrolowanymi poślizgami ścinał zakręty mokrych od deszczu willowych uliczek, aż dotarli do autostrady, gdzie wcisnął gaz do dechy, na co osiem turbodoładowanych cylindrów srebrnego mercedesa odpowiedziało urażonym rykiem. Zjechali z rampy wprost pod trąbiącą wściekle holenderską ciężarówkę. Lene wcisnęła plecy w fotel, wyprostowanymi rękami trzymała się deski rozdzielczej. Była zbyt wstrząśnięta, żeby krzyżeć. Jak w zwolnionym tempie w ultra HD widziała każdy najmniejszy szczegół czoła ciężarówki: zabłocony przedni zderzak i starte logo producenta hamulców z Apeldoornu. Cyfry i litery na tablicy rejestracyjnej były wielkie jak ściana domu.

Między prawą szybą mercedesa a holenderskiego mastodonta dałoby się co najwyżej wsunąć banknot.

– Michael...!

Spojrzał na nią z boku.

– Co?!

Zamknęła oczy.

– Nic. Masz tu poduszki powietrzne, prawda?



Kiedy zjeżdżali z rampy, licznik wskazywał ponad sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Ogromna ciężarówka we wstecznym lusterku szybko się zmniejszała.

– Jasne. Czemu nagle o to pytasz?

Ostrożnie puściła się deski. Droga przed nimi była pusta, chociaż zwiężała się jak tunel.

– I co właściwie się dzieje? – dodał.

– Poprosiłam mojego współpracownika Bjarnego, żeby zabezpieczył nagrania monitoringu ze stacji Nørreport z tamtego dnia, kiedy zginęła Ain, i teraz ten obłąkany skurwysyn Thomsen jest u niego i katuje go na śmierć.

– Co?! On oszalał!

– Mówiłam ci. Ten człowiek jest psychicznie chory.

– Chodzi o informatora – dodał Michael nieco ciszej. – Myślę, że ten gość zrobi wszystko, aby chronić swojego człowieka. I ja go rozumiem. Jeśli przez kilka lat szkolił i chronił tę osobę, a teraz udało mu się przemycić ją do kryjówki Safara Khana, to dokonał niemożliwego. To jest naprawdę wyjątkowy, fenomenalny i godny podziwu sukces... oraz niesłuchanie kruchy.

Lene pokiwała głową.

– Nie przeczę, ale Bjarne jest cichym i spokojnym nerdem, który zbiera obrazki Star Wars z gum do żucia i mieszka z mamą. Nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Jest ofiarą mobbingu. On się nie podźwignie po tym, co go dziś spotkało.

Samochód wjechał na rampę bokiem, jakby wszystkie koła były w stanie obrócić się jednocześnie.

– Minuta i dwadzieścia sekund – oznajmił Michael z niejaką dumą. – Wejść z tobą?

– Byłoby super, tylko nie wiem, jak cię tam przemycić. Tu jest jak w Fort Knox.

– Coś wymyślimy – stwierdził z przekonaniem i Lene po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że już nie jest całkiem sama. Pomyślała, że Michael był tym brakującym puzzlem z wszystkich układanek, jakie leżały przed nią rozrzucone. Również tych, w które wołała się nie zagłębiać.

\* \* \*

Zaparkowali na miejscu dla gości i pobiegli przez ulewę do drzwi. Poły płaszcz obijały się Michaelowi o nogi. Deszcz się wzmógł, smagał ich po twarzach, lodowato i z ukosa. Wbiegli po schodach po trzy stopnie na raz, a w środku normalnym tempem podeszli do recepcji. Lene nie знаła młodej brunetki, która tam dziś pracowała. Miała na sobie wyprasowaną koszulę munduru i kaburę na lewym biodrze z rączką rewolweru skierowaną do przodu.

– To mój gość – oznajmiła Lene i pokazała legitymację.

Dziewczyna popatrzyła na Michaela, który uraczył ją najlepszym uśmiechem ze swojego repertuaru. Uśmiech nie zrobił jednak na niej najmniejszego wrażenia, więc położył na ladzie swoją legitymację prasową.

Lene pomyślała, że w portfelu miał pewnie kilka gotowych tożsamości.

– Z „Berlingske” – wyjaśniła. – Ma przeprowadzić wywiad z Charlotte Falster. Umówiony w ostatniej chwili.

Dziewczyna pokiwała głową i gestem zaprosiła go do wykrywacza metalu. Lene denerwowała się, obserwując procedurę, ale urządzenie nie piśnieło, a czerwona lampka pozostała zgaszona.

– Muszę jeszcze zadzwonić do sekretarki komendant i to potwierdzić – powiedziała na koniec dziewczyna.

Lene z niepokojem popatrzyła na schody. W każdej chwili spodziewała się zobaczyć na nich Thomsena, jak schodzi niczym zwycięzca ze stosem CD pod pachą.

Michael uśmiechnął się do recepcjonistki ze zrozumieniem:

– Tak, oczywiście. Tylko jeśli pani komendant rzeczywiście chce, aby jej oficjalne stanowisko w sprawie możliwego ataku terrorystycznego ukazało się w jutrzejszej gazecie, to obawiam się, że mamy bardzo niewiele czasu... – Spojrzał na zegarek. – To przecież trzeba jeszcze napisać i zredagować. Możemy oczywiście również poczekać na stacje telewizyjne, ale wówczas nie będziemy mogli tego zamieścić w jutrzejszym papierowym wydaniu. Ale oczywiście rozumiem, że macie procedury.

Dziewczyna milczała.

Lene miała ochotę jej przywalić, ale zmusiła się, żeby rozluźnić barki i nawet uśmiechnęła się łagodnie. Zerknęła na jej plakietkę z imieniem.

– Posłuchaj, Nanna. Jestem przekonana, że Charlotte nie będzie miała do ciebie pretensji, jeśli Jesper nie zdąży przed zamknięciem numeru. Coś wymyślimy, nie przejmuj się. Powiem po prostu, jak jest.

Młoda funkcjonariuszka szybko podsunęła Michaelowi do podpisania gościnną przepustkę, a ten wyszarpnął ją z jej ręki i ruszyli z Lene w stronę schodów.

\* \* \*

Przed małą kanciapą w Sali Mozaikowej zebrał się tłum posiwiałych emerytowanych policjantów i kryminalistyków. Niektórzy pogrążeni w ożywionej, choć bezradnej dyskusji, w innych obudziła się dawna wola działania i walili pięściami w drzwi i gipsową ścianę. Lene znów sobie przypomniała, że codzienny trud tych ludzi szedł na marne. Cholera jasna, przecież już zidentyfikowano Nabila Marouna, więc oni wszyscy tylko tracili tu czas. Z drugiej strony wielu pewnie robiło to z radością, bo nagle ponownie odnaleźli sens życia.

Jakaś kobieta z bobem obciętym jak od linijki w okularach w wąskich zielonych oprawkach odwróciła się z wściekłością do Lene.

– W kółko dzwoniemy po ochronę, ale nikt nie przychodzi. On tam dostał amoku. – Mówiła ze wzburzeniem i czubkiem języka oblizwała wąskie różowe wargi.

Z zamkniętego pomieszczenia rozległ się wrzask, jakby kastrowano tam knura bez znieczulenia. Kobieta rozłożyła ręce w bezradnym oburzeniu. Jej policzki nabrały kolorów, będzie miała o czym opowiadać przy brydżu.

Lene odwróciła się, żeby poszukać Michaela, ale ten już ją wyminął i bez większego trudu kopniakiem wyrąbał dziurę w gipsowej ścianie obok futryny. Lene w pierwszej chwili pomyślała, że chybił, ale zaraz zrozumiała, że jego ruch był rozsądny: dziura była dostatecznie duża, żeby szybko włożyć w nią rękę i otworzyć zamek od środka. Do biura wszedł pierwszy, a Lene tuż za nim.

Pokój wyglądał, jakby się przez niego przetoczyła horda kiboli. Komputery, skanery, drukarki, stoły i krzesła – oraz modele samolotów i helikopterów Bjarnego leżały potrzaskane i powyginane na podłodze.

Thomsen w furii pochylał się nad bezbronnym Bjarnem, który skulił się pod ścianą w pozycji embrionalnej i ramionami chronił głowę. Nadinspektor policji rzucał w niego groźbami i odłamaną nogą krzesła rytmicznie okładał go po plecach i pośladkach. Teraz odwrócił się i miażdżył Lene i Michaela obłąkanym, chmurnym wzrokiem. Również Bjarne zwrócił ku nim mokrą od łez twarz i Lene poczuła, jak narasta w niej lodowaty gniew

na widok tego mężczyzny w średnim wieku, który pewnie cofnął się teraz do siódmego kręgu piekła swojego dzieciństwa.

– Ty pojebany skurwysynu – zaczęła i sama rozejrzała się za jakąś bronią.

Twarz Thomsena była biała ze złości. Poruszał ustami, ale żadne zrozumiałe słowa się z nich nie dobywały. Z jego oczu zniknęła ta dziwna chmurna powłoka, wiedział już, kto przed nim stoi, ale to nie osłabiło jego żądzę mordu. Przeciwnie, zaczął iść w kierunku Lene, która dla obrony znalazła tylko idiotyczną drewnianą linijkę.

Popatrzyła zaskoczona na Michaela, gdy ten spokojnie odsunął ją na bok. Uważała, że to jej walka i że na pewno poradzi sobie sama. Bjarne był jej człowiekiem. Lecz twarz Michaela była całkowicie pozbawiona emocji, nie patrzył wprost na agenta PET, tylko zdecydowanym krokiem przemierzał pokój i jego połamany inwentarz.

Lene wiedziała, że pod tym wysokim gładkim czołem krył się mózg bystry jak komputer. Natomiast cała reszta Michaela była mocno naznaczona życiem. Widziała go raz rozebranego do pasa i ten widok wrył jej się w pamięć. Korpus Michaela przypominał lotnicze zdjęcie pola bitwy, usiane nierównymi fragmentami przeszczepionej skóry i ciasnymi pomarszczonymi bliznami tam, gdzie przeszczepy się nie przyjęły. W dole pleców grupa blizn, które wyglądały jak atol wulkaniczny. To pociski, które weszły w ciało z lewej strony pępka i wyleciały plecami. Miał też długą nierówną bliznę po czasowej kolostomii wyłonionej pewnie dlatego, że kule rozerwały jelito.

Patrząc na jego ciało, nie sposób było nie poczuć silnego współczucia dla tego faceta, choć jego osobowość zdecydowanie do tego nie skłaniała. Jednocześnie jego twarz pozostała cudownie nienaruszona, a Lene wiedziała, że poza papierosami Michael bardzo dbał o kondycję. Powtarzał, że to rodzaj jego polisy na życie.

Cios Thomsena nogą od krzesła został sparowany i właściwie było po wszystkim.

Lene mrugała zdumiona. Agent PET leżał na podłodze obok podnoszącego się powoli Bjarnego. Podkulił nogi, jego ręce leżały wzdłuż ciała, a niewidzące oczy wbijały się w sufit. Dławił się i charczał, z trudem łapiąc powietrze. Lene przewinęła w głowie ostatnie sekundy do chwili, gdy Michael zadał Thomsenowi błyskawiczny, silny i precyzyjny cios w grdykę

zagłębieniem między kciukiem a palcem wskazującym. Michael wyglądał przy tym, jakby to było dziecinnie proste i nieuchronne.

– On umiera? – spytała wreszcie.

Michael przyjrzał się twarzy agenta PET. Rzeczywiście była sina. Thomsen patrzył na niego z podłogi błagalnie, jakby Michael mógł oddychać za niego. W kącikach ust zbierała mu się biała piana.

– Nie – stwierdził. Namyslił się jeszcze i uważniej przyjrzał leżącemu. – Nie sądzę – sprostował.

Przyciągnął Thomsena do ściany i pomógł usiąść. Mężczyzna chwycił powietrze jak ryba wyciągnięta na brzeg. Wreszcie złapał pierwszy haust w płuca, z przeciągłym, zdławionym piskiem, pochylił się w przód i złapał kolejny haust.

Lene tymczasem starała się pocieszać Bjarnego, który szlochał ze wstydu i bólu.

Podniósł na nią wilgotne zrozpaczone oczy i zapewnił ją:

– Lene, nic mu nie powiedziałem. Ani słowa.

– Wiem, Bjarne. Wiedziałaś, że się nie złamiesz. Jesteś twardy. Bardzo. I jestem z ciebie dumna.

– Naprawdę? – upewnił się z drżącym oddechem.

– Tak. Jestem z ciebie niesamowicie dumna.

Jego twarz nabrała kolorów, a oczy się ożywiły. Spojrzał w stronę Thomsena, ale zaraz z lękiem odwrócił wzrok.

Co za bydlę, pomyślała Lene świadoma swej bezradności. Niech będzie przeklęty na zawsze za to, co mu zrobił. Za to, że zrównał z ziemią tę odrobinę poczucia własnej wartości, którą z takim mozołem budował w sobie Bjarne. Wdarł się w jego życie niczym wcielenie wszystkich jego szkolnych dręczycieli i zburzył wypracowywany przez lata obraz samego siebie, z którym Bjarne był w stanie żyć i wychodzić zwycięsko ze swoich codziennych zmagania. Miała ochotę kopnąć w twarz wielkiego agenta, który nagle stał się bezbronny. Albo zachęcić do tego Bjarnego, chociaż wiedziała, że nie byłby w stanie się do tego zmusić.

Michael stanął obok Lene, a Bjarne wpatrywał się w niego jak w święty obrazek. Nie mógł wydusić słowa, gdy jego bohater położył mu rękę na ramieniu i zapytał, czy nic mu nie jest. Lene miała ochotę przytulić biedaka, ale nie była pewna, jak by to zostało przyjęte. Natychmiast by ją zbył przesadnie dramatycznym gestem i sarkastycznym komentarzem. Pewnie tak. Możliwe. Nie, na pewno.

Kim Thomsen wstał i nie patrząc na nich, ruszył w stronę drzwi. Rękami trzymał się za szyję. Zebrany tłum rozstępował się przed nim. Michael popatrzył pytająco na Lene, ale pokręciła głową.

– Niech idzie. Bjarne, gdzie one są?

Wskazał ręką:

– W twojej tajnej szafce.

– Chyba właśnie przestała być tajna.

Michael przewrócił na bok chłodziarkę do wody i wyjął ze ściany jeden z paneli. Za opróżnioną w połowie butelką stolichnaya i kilkoma pustymi opakowaniami po lekach stała sterta szarych, anonimowych pudełek CD związana recepturką. Schował je do kieszeni płaszcza.

– Bjarne, muszę już lecieć. Przepraszam cię. Ale naprawdę muszę – zwróciła się do kolegi Lene. – Dasz sobie radę?

Mężczyzna pokiwał głową. Wciąż wyglądał na roztrzęsionego, ale rozchmurzył się nieco, gdy nieustraszona kobieta z bobem i zielonymi okularami objęła go ramieniem.

– Ja się nim zajmę – postanowiła.

Powiedziała do Bjarnego coś, czego Lene nie wyłapała, ale na co jej kolega zareagował pełnym wdzięczności spojrzeniem. Poklepała go po ramieniu i wyszła.

\* \* \*

Szli teraz po mokrym asfalcie.

– Gdzie u licha się tego nauczyłeś? – spytała.

– Czego?

– Tego! Tego, co właśnie zrobiłeś. – Zademonstrowała cios na wyimaginowanym napastniku ruchem, w którym zabrakło i koordynacji, i refleksu.

Michael uśmiechnął się przebiegle.

– Od młodszej siostry.

– Od siostry?

– Tak.

– Pytam serio.

– A ja serio odpowiadam. Po liceum wyjechała do kibucu do Izraela i już nie wróciła. Teraz mieszka w Hajfie i ma nastoletniego syna z takim jedynym okulistą. Ma izraelskie obywatelstwo i...

– I co?

Wzruszył ramionami.

– Jest po prostu niesamowicie dobra w walce wręcz. Była w wojsku. Jak wiadomo, tam to jest wciąż obowiązkowe. Gdyby przyszło co do czego, nie dałbym sobie z nią rady. Mówię poważnie. Co teraz?

Lene spojrzała na zegarek.

– Muszę zdążyć na pogrzeb w Værløse za dwadzieścia minut – odparła.

Zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

– Na pewno nie chcesz wcześniej doprowadzić się do porządku?

– A niby gdzie miałabym to zrobić?

– To przynajmniej usiądź w ostatnim rzędzie. To kościół, a nie szkoła cyrkowa.

Lene popatrzyła na niego zaskoczona. Michael co do zasady był człowiekiem nonszalanckim, który miał w pogardzie konwenanse, za to cenił ironię, inteligencję i dowcip. Czasem jednak wychodził z niego rozczarowująco purytański sztywniak.

\* \* \*

Michael zaoferował się, że z nią pójdzie, ale Lene uważała, że to zły pomysł. Dlatego czekał oparty o samochód i palił papierosy, korzystając z niespodziewanego przejaśnienia.

Budynek kościoła był nowoczesny i geometryczny. Nie podobał mu się. W niczym nie przypominał ciężkiego, niskiego średniowiecznego kościoła, który wyglądał, jakby wyrósł z otaczającego go krajobrazu i w którym Michael dorastał, dopóki jego ojca, pastora, nie zwolniono z pracy. Mężczyźni należący do rady parafialnej oraz stojąca na czele diecezji kobieta biskup byli jednomyślni. Ojcu postawiono zarzut niestosownego zachowania i pijaństwa, ale prawda była taka, że przyprawił rogi większości członków rady parafialnej i to był główny powód. Ruchał w swojej parafii wszystko, co się ruszało. Złamał serce matce Michaela swoim ciągnącym się latami, opętającym pędem ku samozagładzie, a mimo to Michael nie przestał go wielbić i wszystko mu wybaczył.

Wyjął teraz telefon i spojrzał na ekran. Nic. Nie było go w domu od sześciu tygodni, a z żoną i dziećmi ostatni raz rozmawiał w zeszłym tygodniu. Stale odkładał tę rozmowę na później. Był pewien, że Sara robiła to samo. Z każdą godziną było coraz trudniej, aż z czasem czuł się we własnym życiu jak obcy.

Może po prostu przez te wszystkie lata za dużo się naoglądał. Wszystko stało się takie względne. Życie, śmierć, wiara, miłość i niewinność były kwestią przypadkowych zbiegów okoliczności albo złego wyczucia chwili. A przepaść dzieląca jego kolejne misje od ich życia w sennym miasteczku na Fionii wcale się nie zmniejszała. Od pięciu lat praktycznie był w domu gościem. Codziennosc wydawała mu się coraz bardziej egzotyczna, kuriozalnie nieistotna i nierzeczywista. Może przeistaczał się w jednego z tych zarabiających krocie ekspertów od spraw niemożliwych, którzy nie mają już korzeni, mają za to pustkę i silne uzależnienie od adrenaliny. Którzy żyją od misji do misji, bo resztę życia przegrali. Znał takich wielu. Pracowali jako instruktorzy albo ochroniarze w prywatnych agencjach, które napłynęły do Afganistanu, Iraku i na Bałkany po wycofaniu się wojsk koalicyjnych. Zawsze im współczuł, choć pewnie powinien raczej spojrzeć na siebie.

Jakby dla podkreślenia jego ponurych myśli, kościelne dzwony zaczęły żałośnie zawodzić. Wyjął małą lornetkę i przeczesał wzrokiem okolicę. Zaparkował na skraju lasu przy Hareskoven, ale w ciągu ostatniej godziny widział tylko dwóch japiszonów na rowerach górskich i dwie chude biegaczki rozmawiające swobodnie podczas truchtu. Pomyślał o mrocznym zgorzkniałym agencie PET. Ten typ również znał. Tacy ludzie się nie poddają i gdy mężczyzna go mijał, idąc do drzwi, Michael dostrzegł w jego oczach lodowaty błysk. Te oczy ostrzegały, że rozróżba w biurze to była dopiero pierwsza połowa. Nie myślcie sobie, że wygraliście. Nie wygraliście i nie wygracie.

I rzeczywiście, jeśli Kim Thomsen był oficerem prowadzącym informatora w kręgach samego Ibrahima Safara Khana, to naturalnie będzie mógł i powinien robić dalej, to, co robi.

Michael mocno potarł dłońmi twarz. Cholernie ciężko mu było rozstrzygnąć ten dylemat. Kto tu miał rację? Oszalały, uparty Thomsen czy oszalała, uparta Lene? Pewnie żadne z nich. A może oboje. Czy aby na pewno unieszkodliwił właściwą osobę? Może należało pozwolić Thomsenowi zabrać te płyty. Z drugiej strony Michaelowi wydawało się nieprawdopodobne, że PET udało się przedrzeć do komórki Khana, podczas gdy wielkie zachodnie służby wywiadowcze przez lata próbowały to zrobić i w końcu się poddały.

Na schodach pokazała się pastorka i po chwili ludzie zaczęli się wylewać z kościoła i kierować w stronę swoich samochodów. Wzrok Michaela przy-



kuła ostatnia z osób. Szczupła siwa kobieta w czerni podpierana przez męża. Lene opisała mu rodziców Ain. Kobieta cicho płakała i wycierała oczy chusteczką. Oni najdłużej żegnali się z pastorką, zanim wsiedli do szarego volvo i odjechali.

Umówił się z Lene, że ona wyprowadzi na zewnątrz przyjaciółkę Ain Nazeerę, żeby mógł jej zrobić zdjęcie. I właśnie, rozmawiając, wyszły zza rogu. Przystanęły u stóp kościelnej wieży. Były jakieś sto metrów od niego, ale przez teleobiektyw mógłby policzyć każdy włos w brwiach każdej z nich.

Lene miała rację. Kobieta była zjawiskowa.

Szara wełniana sukienka przylegała do harmonijnie wygiętych bioder, a lekki wiatr dociskał ją, eksponując nogi długie jak u modelki i wąską talię. Stała z rękami w kieszeniach ciemnego trenczu. Miała równe barki, długą szyję, nieskazitelną cerę i oczy wielkie i zielone, podobnie jak Lene. Kiedy się uśmiechała, odsłaniała marzenie każdego dentysty. Albo koszmar, bo taki uśmiech nie dawałby mu wielkich możliwości zarobku. Wysokie kości policzkowe, czoło gładkie i jasne. Gęste czarne włosy o niebieskawym połysku spięte na karku kłamrą z kości słoniowej. Wydawała się nieco wyższa od Lene przez masywne czarne buty. Jej dłonie tylko raz opuściły kryjówkę w kieszeniach i zawzięcie gestykulowały. Kobieta miała ruchy jak tancerka. Na koniec przesunęła palcami po włosach.

Lene stanowiła jej całkowite przeciwieństwo. Twarz miała bladą i posiniaczoną, brwi i czoło zmarszczone. Jej makijaż i fryzura były w ruinie, ubranie zakrwawione i porwane. Poruszała się powoli i ostrożnie, uważając na swoje rozliczne rany. Ręce miała wręcz przyklejone do kieszeni skórzanej kurtki. Wyglądały razem jak koń pełnej krwi i bezpieczny pies, mimo to Michael przyłapał się na tym, że nie potrafi oderwać obiektu od zmęczonej twarzy rudowłosej komisarz.

Nie mógł inaczej. Było w niej... Sam nie wiedział, czym to sobie tłumaczyć. Chyba tym, że Lene miała tonę charakteru i charyzmy.

Obeszły kościół, na chwilę zniknęły z pola widzenia i znów się pokazały na dziedzińcu. Zamieniły jeszcze kilka zdań, objęły się i Nazeera ruszyła w stronę nowego czarnego bmw. Michael zmarszczył brwi. Z tego, co rozumiał, była kelnerką w bistro w Østerbro. Chyba że pożyczyła samochód od ojca?

Zauważył również, że młoda Arabka już się nie uśmiechała. Nie rozglądając się, szybkim krokiem przemierzała parking. W jej samochodzie na

tylnym siedzeniu za przyciemnianymi szybami przez cały czas widać było nieruchomą postać. Michael sądził, że to jej męska obstawa, ale teraz zorientował się, że był to wielki czarny pies.

Ruchy Lene przestały być mechaniczne. Sprężystym krokiem kierowała się w stronę leśnej drogi. Michael wsiadł do samochodu i wychylił się, żeby otworzyć jej drzwi po stronie pasażera.

Zapięła pas i popatrzyła na niego.

– I co myślisz?

– O Nazeerze? Zajebista. Nie wiem, po kiego czorta siedzi w Værløse, skoro mogłaby chodzić po wybiegu dla Victoria's Secret w Mediolanie albo zostać dziewczyną marca w „Playboyu”.

– Nie podniecaj się tak, Michael.

– Sama pytałaś.

– Tak, ale nie musisz od razu wywieszać jęzora, co nie?

Uśmiechnął się szyderczo.

– Dużego ma psa – zauważył.

– To jej ochroniarz. Rudy albo Rudolf. Widziałam go z bliska. Jest wielkości kucyka.

– I co powiedziała?

– Nic. Mówiłam głównie ja. Trochę ją zdziwił mój wygląd. Krew. Si- niaki. Prawie oderwane rękawy kurtki. Jest spostrzegawcza.

– Rozmawiała z rodzicami tej dziewczyny?

– Dziwne, ale nie. W ogóle odniosłam wrażenie, że nikt w kościele jej nie znał. Ludzie oczywiście na nią patrzyli, przede wszystkim mężczyźni, ma się rozumieć. Ale nie wyglądali, jakby ją wcześniej widzieli.

– Zatem trzymały swój związek w tajemnicy.

– Na to wygląda.

– Co jej odpowiedziałaś, gdy zapytała o twój wygląd?

– Że staram się wyjaśnić okoliczności śmierci Ain, a ktoś uważa, że nie powinnam. Spytałam, czy ma jakiś pomysł, dlaczego Ain mogła wzbudzać tak silne emocje... Albo ja. Ale nie miała pojęcia. Wciąż powtarzała, że Ain była całkiem zwyczajną, miłą dziewczyną. Może odrobinę szaloną. Zagubioną, lecz dobrą. Wydawała się zaskoczona, że ktoś postanowił wysłać mi aż tak silny komunikat.

– Po tym, jak się rozstałyście, miała bardzo poważną, zdecydowaną minę – zauważył Michael. – Wyglądała, jakby miała ochotę zadać komuś parę bezpośrednich pytań.

I wydaje się dojrzałą dziewczyną o mocnych nerwach.

– Zdecydowanie.

– A ty rozmawiałaś z rodzicami Ain?

– Złożyłam im kondolencje. Uznałam, że pogrzeb to nie jest dobry moment na krzyżowe przesłuchanie.

– A Nazeerze powiedziałaś, że PET interesuje się sprawą?

Potrząsnęła głową. Otworzyła torebkę, może chciała w niej poszukać następnej porcji swoich tabletek, ale widocznie się rozmyśliła.

– To nie było konieczne, chociaż byłam gotowa jej powiedzieć. Odniosłam wrażenie, że od razu wiedziała, kto to mógł być.

– To akurat bardzo ciekawe – zainteresował się Michael.

Lene ziewnęła, zasłaniając usta dłonią, i zsunęła się niżej w fotelu.

– Chryste, chyba nigdy jeszcze nie byłam taka padnięta – wymamrotała.  
– Aż mnie oczy bołą.

Wyjęła z torebki ciemne okulary i je nałożyła.

Jechali powoli w dół ulicy. Michael sprawdził w lusterkach bocznych i wstecznym. Wszędzie spokój, a na wąskiej drodze biegnącej przez las prawie nie było ruchu.

– I co teraz? – spytała po chwili.

– Lene, musisz się wycofać na jakiś czas. Zbyt wiele osób się tobą interesuje. Musisz znaleźć spokojną przystań i przeczekać.

Uśmiechnęła się.

– To może w stancji harcerskiej?

Michaela przeszły ciarki. Podczas śledztwa w sprawie ludzkich łowów wiele pamiętnych dni spędzili w zimnej, prymitywnej stancji w Herfølge. I to był koszmar.

– Myślałem raczej o hotelu Admiral – wyznał. – Mają tam ciepłą wodę w kranach. Codziennie zmieniają ręczniki. Jest prąd, a wieczorem kładą ci na poduszce miętową czekoladkę. Ach, i jeszcze room service i minibar.

Na chwilę położyła mu rękę na ramieniu.

– Brzmi cudownie, ale powinnam raczej pojechać do domu.

– Nie.

– Nie?

– Nie, Lene. Sytuacja jest zbyt niepewna. Napięcie wisi w powietrzu, wszyscy mają zszargane nerwy, a ze strachu przed kolejną katastrofą ludzie zaczynają działać nieracjonalnie. Pomyśl o Thomsenie i tych nagraniach. Może dojść do czegoś naprawdę potwornego i nieodwracalnego. Musimy

znaleźć spokojne miejsce. Zastanowić się, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem i kto jest prawdziwym przeciwnikiem.

– My kontra przeciwnik?

– Właśnie.

Zdjęła okulary i popatrzyła na niego.

– Słuchaj, to niesamowicie miłe z twojej strony, ale jestem pewna, że masz inne, bardziej intratne zadania. Poza tym naprawdę nie potrzebuję opiekuna. Jestem dorosła. Zajebiecie dorosła.

– Mój kalendarz jest obecnie pusty – zapewnił ją. – Jestem wolny.

– To wracaj do domu. Masz żonę i dzieci, do diabła. – Urwała na chwilę i nagle przyjrzała mu się uważniej. – Bo masz, prawda? Stało się coś?

– Nie, kurwa, nic się nie stało. Wszyscy mają się dobrze. Doskonale. Fantastycznie. Cała trójka. Pies też.

– Więc o co chodzi? – zdziwiła się. – Rozwodziś się? Daj spokój, Michael. To taki banał.

Spojrzał na nią z boku. Nagle pomyślał, że jest tak, jakby nigdy się nie rozstali. Ich komunikacja była tak samo szorstka, defensywna i pełna niedopowiedzeń jak dwa lata temu.

– Nie rozwodzę się – zapewnił ją. – W każdym razie nic o tym nie wiem. Po prostu...

– Po prostu co?

– Ty też się rozwiodłaś, nie? Więc pewnie wiesz najlepiej, że małżeństwo, każde małżeństwo to gwóźdź do trumny prawdziwej rozmowy. Chyba że małżonkowie oboje, równocześnie zapadną w śpiączkę. Z początku człowiekowi wydaje się, że nie ma takiej rzeczy, o której nie można porozmawiać albo zrobić razem. Tematy od lewej do prawej, od Chin po Alaskę, wszystko jest możliwe i dozwolone. A po dwóch latach można pogadać co najwyżej o Bornholmie. Wiesz, o co chodzi. Reszta świata staje się w jakimś sensie obszarem zakazanym. Niby mieliście jakieś wspólne cele, ale w połowie drogi zapomniałeś, jakie one były. Albo nie zapomniałeś, tylko po prostu wyznaczyłeś sobie inne. Tak bywa! Dystans i bliskość. Bliskość i dystans. Oszaleć można. – Uderzył dłonią w kierownicę. – Ale jest coś jeszcze – dodał ciszej.

– Co?

– Mam problem z wracaniem do domu. Jakbym już tego nie umiał. To cholernie trudne. To jak noc i dzień. To, z czym się stykam w terenie, w najpodlejszych przedsiódkach piekła, i to, co czeka na mnie tutaj: przepy-

chanie rynny, tygodniowe zakupy, wywiadówki i sobotni grill z sąsiadem, podczas którego musisz wymyślać, co by tu powiedzieć. To się nie trzyma kupy. – Spojrzał na Lene. – Dawniej to właśnie była rzeczywistość. Życie rodzinne na Fionii. Dzieci. Sara. Ludzie z naszego miasteczka.

A teraz tylko gdy jestem tam, w miejscach, gdzie nie obowiązuje prawo ani porządek, czuję się... może nie jak w domu, ale... jakbym był w swoim naturalnym środowisku.

– Rozumiem cię, Michael – zapewniła go. – Ale myślę, że nie zawsze tak będzie.

Że to się zmienia. Odruchowo zakładamy, że zawsze będziemy tacy sami, a przecież to nieprawda. Zmieniamy się bez przerwy.

– Sara tego nie rozumie.

– Oczywiście, że nie. Ona nie chce tego zrozumieć. Ani nie może. To by było równoznaczne z poddaniem się, odpuszczeniem. Tymczasem ona musi z tobą żyć. Dała ci dwójkę dzieci. Pilnuje wszystkiego, gdy cię nie ma. I dzień w dzień musi się bać, że coś ci się stanie.

– Okej, skoro tak mówisz. Ale daj mi, kurde, jeszcze dwie doby. Niech mi będzie wolno przez czterdzieści osiem godzin być twoim osobistym aniołem stróżem, żebyś mogła odpocząć i się zastanowić, co dalej. Naprawdę ci się to przyda. Ludzie ze zmęczenia popełniają błędy. Czasem wielkie.

Pomyślała o Bjarnem. Powinna była przewidzieć, że Thomsen się dowie o tych nagraniach.

– Dobra. Jeśli naprawdę chcesz, to chętnie przyjmę zaproszenie. Hotel Admiral brzmi cudownie – przyznała zmęczonym głosem. – Naprawdę. A ten Thomsen? Zdążyłeś sobie wyrobić o nim jakieś zdanie?

– Tak. Prędzej umrze, niż się podda.

– Mhm. Nie zrezygnuje.

Uśmiechnął się.

– Z czego wnoszę, że ty również nie. Pewnie nie wiesz nawet, jak to się robi, co?

– Nie jestem sobie w stanie nawet tego wyobrazić – przyznała.

– A co, jeśli to on ma rację i naprawdę chroni kogoś niesamowicie ważnego?

– Całkiem możliwe, że tak jest – przytaknęła. – Wówczas będę gotowa mu pomóc najlepiej, jak potrafię. Obiecuję. Ale w tej chwili mam po prostu

wrażenie, że on nie potrafi odróżnić dobra od zła. Własnej nienawiści i żądzy zemsty od tego nadrzędnego celu.

– W porządku. Ale w takim razie zrobmy to jak zawodowcy. Telefon.

Wręczyła mu swój nowy nietani smartfon. Wyrzucił go przez okno i Lene w lusterku widziała, że roztrzaskał się w drobny mak.

– Kosztował ponad cztery koła – zauważyła smutno.

– Skoro ja cię znalazłem za jego pośrednictwem, to oni też mogą – przypomniał jej. – Masz coś jeszcze? Tablet? Laptop?

– Nic. Bo chyba nie obawiamy się, że zamontowali mi GPS-a w tuszu do rzes? Ty w ogóle pamiętasz jeszcze, ile się zarabia w policji?

– Wyparłem to. Potrzebujesz czegoś z domu?

– Wszystkiego! Ubrań, kosmetyków, bielizny, pistoletu, szczoteczki. Śmierdzą jak chlew.

– Ja nic nie czuję – zapewnił ją uprzejmie.

– Zrobiłeś jej jakieś zdjęcia? – spytała.

Wskazał za siebie.

– Aparat leży na tylnym siedzeniu – zaczął i natychmiast pożałował. – Chociaż może lepiej poczekać...

– Na co?

Już sięgnęła po aparat i trzymała go na kolanach.

– Nie wolisz ich obejrzeć na komputerze?

– Mnie jest wszystko jedno.

Przejrzała całą serię, zmarszczyła brwi, cofnęła się o kilka zdjęć i opuściła aparat na kolana.

– Michael, dlaczego...

– Co znów, do diabła? Nie są dość dobre?

– Nie, spokojnie... Są w porządku.

Nic już nie powiedziała, odłożyła po prostu aparat z powrotem na tylną kanapę.

\* \* \*

Chodził tam i z powrotem po Kong Georgs Vej i czujnie obserwował wszystkie samochody, klatki schodowe i sklepowe witryny przez te dwadzieścia minut, jakie jej zajęło spakowanie wszystkiego, co uważała za niezbędne podczas swojej nieprzewidzianej delegacji.

Kiedy zobaczył, że wychodzi z budynku, szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do samochodu. Przebrała się, ale poza tym nie zdążyła znacząco poprawić swojego wyglądu.

– Wszystko w porządku? – spytał, gdy ruszyli w stronę Allégade.

– Nikt mi nie podpalił mieszkania, jeśli o to pytasz.

– A kamery i mikrofony?

– Nie szukałam.

Pół godziny później wysiedli na podziemnym parkingu niedaleko hotelu. Przeszli przez Bredgade, minęli Kościół Marmurowy i weszli w Toldbodgade. Michael niósł na ramieniu jej torbę.

Wskazała głową na wejście do hotelu. Przed wahadłowymi drzwiami niewielka grupka biznesmenów na uchodźstwie paliła papierosy.

– Czyli jestem panią Sander?

– Petersen.

– Panią Michaelową Petersen?

Wzruszył ramionami zniecierpliwiony.

– Jezu, Lene, to tylko nazwisko. Jeśli chcesz, możesz się nazwać Maud Vernæs, Leni Riefenstahl albo Maria Callas. Znam recepcjonistkę. Jest dyskretna, skończyła najlepszą szkołę hotelarską w Zurichu. Tak naprawdę uwielbiam tę dziewczynę, ale nie mów nikomu. To nie jest pierwszy raz, kiedy...

– ...przyrowadzasz kogoś do swojego pokoju?

– Właśnie.

– Ale pewnie dotąd nie były to osoby w twoim wieku, co? I raczej nie wyglądały, jakby je potracił autobus. Prędeż nowsze modele w króliczych futrach, czarnych kozakach do połowy ud, krótkich sukienkach, z ukraińskim akcentem i pensją liczoną w godzinach. Zgadłam?

Michael popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Mówię o *klientach*, Lene. Wyglądają bardzo różnie. Tu jest moje biuro, kiedy jestem w Kopenhadze.

– Oczywiście.

Zatrzymał się na środku chodnika i para japońskich turystów musiała ich obejść na około.

– Czekaj, czy myśmy się pobrali, kiedy byłem rozkojarzony albo nietrzeźwy?

– Nie...

– To dobrze. Więc przymknij się i przestań zachowywać jak żonka. Naprawdę wystarczy mi to, co mam w domu.

– Biedny Michael.

– Dokładnie.

W dużym wysokim pokoju Michaela z oszałamiającym widokiem na port przez kilka minut krzżeli się niezręcznie i z zakłopotaniem, starając się nie wchodzić sobie w drogę. Nie było to łatwe, bo oboje przywykli do samotności, więc co chwila na siebie wpadali, kiedy Michael podłączał swoje wszystkie aparaty, telefony i laptopa, a Lene próbowała zrobić w szafie miejsce na swoje ubrania i zawłaszczyć choć jedną półkę w łazience.

Michael zamówił do pokoju butelkę czerwonego wina i dwie kanapki. Lene poszła się wykapać. Otworzył drzwi balkonowe i wypalił trzy papierosy, patrząc na stare żaglowce przycumowane do kei i żółte autobusy wodne, które kursowały między Holmen a operą. Kelner zapukał do drzwi i Michael ustawił na małym stoliku przy komplecie wypoczynkowym sztućce, kieliszki i talerze.

Woda w łazience nie przestawała lecieć.

Pudełek z nagraniami monitoringu ze stacji Nørreport w dniu śmierci Ain było pięć. Ktoś skrętnie opisał szare pudełka datą, numerem kamery i godziną. Wsunął pierwszą płytę do napędu komputera. Musiał pobrać dwa programy, zanim trafił na ten oficjalny, a gdy udało mu się otworzyć pliki, od razu przekopiował je do swojego ulubionego programu do obróbki zdjęć.

W pracy coraz więcej czasu spędzał przy komputerze i w cyfrowej obróbce zdjęć nabrał sporej wprawy. Czasy, gdy śledził ludzi, rozmawiał ze świadkami i bliskimi i całymi dniami albo tygodniami ślęczał nad papierowymi materiałami z oficjalnych rejestrów i archiwów minęły bezpowrotnie i ani trochę za nimi nie tęsknił. Dziś ważne informacje znajdowały się o dwa kliknięcia myszką, co znacznie zmniejszyło jego koszty własne i wydatki na łapówki.

Właśnie miał przejrzeć pierwsze nagranie, kiedy za plecami usłyszał Lene. Twarz miała rozpaloną po kąpielii, a włosy zawinięte w biały ręcznik. Założyła gruby, puszysty hotelowy szlafrok, a bez makijażu wyglądała jak młoda dziewczyna. Miała szczupłe łydki i ładne stopy. Michael nagle uświadomił sobie, że dotąd widział ją wyłącznie w spranych dżinsach, ciężkich butach i skórzanej kurtce. Teraz wydawała się drobniejsza.

Wstał i wskazał na jedzenie i wino.



– Jesteś głodna?

Przytaknęła i usiadła przy stole. Pachniała żelem do kąpieli, ale oczy nadal miała szkliste. W dole szyi widać było podbiegły krwią, niebieskoczarny długi obrzęk, a głową poruszała tak, miała ją przytwierdzoną do ramion.

– Wina?

– Poproszę. Ale tylko dla towarzystwa. Bo właściwie z tym skończyłam. Nalał jej wina, a sobie wody.

– Ty nie pijesz?

– Tylko kawę – uśmiechnął się. – Chcę trochę popracować nad tymi filmami.

Nabiła na widelec kawałek kurczaka i sałatę i ostrożnie przeżuwała, jednocześnie rozglądając się wokół. Obracała przy tym całe ciało.

– Pięknie tu – przyznała.

– To dawny magazyn. Do sufitu jest sześć metrów.

– Zawsze zatrzymujesz się w tym samym pokoju?

– Tak. Czteryście osiem.

Zamilkli.

Michael wypił kawę i wodę, trochę zjadł. Bez przerwy zerkał w stronę komputera, za to Lene siedziała pochylona nad talerzem.

Podnieśli wzrok jednocześnie.

– Co? – spytał Michael.

Zaczerwieniła się.

– Nic. Myślałam, że chcesz coś powiedzieć.

– Lene, ja pierdolę, zachowujemy się jak para nastoletnich rozbitków na bezludnej wyspie.

– Tak właśnie się czuję – przyznała.

– Dlaczego? Przecież spaliśmy już razem w harcerskich stanicach, samochodach i namiotach. I nawet w helikopterze.

Wstała.

– Pójdę się ubrać.

Gdy go mijala, złapał ją za nadgarstek. Miała długie palce i krótko obcięte paznokcie. Pod opuszkami poczuł jej szybkie tętno.

– Dochodzi szósta. Połóż się – przekonywał. – Jesteś padnięta. Prześpij się trochę.

Powoli uwolniła rękę.

– Muszę wracać – postanowiła. – Do domu.

– Do domu? Dlaczego? Lene, tam nie jest bezpiecznie. *Tu* jest bezpiecznie.

Wyjrzała przez okno. Była wyprostowana jak struna. Skrzyżowała ręce na piersi i odchyliła lekko głowę. Jej oczy zwilgotniały.

Spuściła wzrok i już nie powstrzymywała łez. Było jej wszystko jedno.

– Michael, zapomniałam tabletek nasennych. Przepraszam. Bez nich nie zasnę, a nie jestem w stanie myśleć, gdy jestem niewyspana. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zasnęłam bez tabletek. Nie pamiętam!

Zaczęła szlochać. Michael wstał. Miał ochotę przytulić ją mocno i długo, pocieszyć, opowiedzieć całą masę dobrych historii z happy endem, ale żadna nie przychodziła mu do głowy. W ogóle nie był w stanie wydusić słowa. Ani jej dotknąć. Wyglądała jak siedemnastolatka z tą mleczną skórą i piegami zamiast tego makijażu, który zwykle nosiła i który zawsze wydawał mu się trochę zbyt mocny.

– Okej. W porządku. Jak się nazywa ta trutka?

– Imovane. Opakowanie leży na szafce nocnej. Nie wierzę, że o nich zapomniałam.

– O nie, nie zamierzam wracać do twojego mieszkania! Jedno spotkanie z Thomsenem w ciągu dnia w zupełności mi wystarczy, dziękuję.

– Mam podobnie. On jest jak króliczek Duracella, po prostu nie przes...

– Wiem, byłem tam.

Wziął z biurka telefon i wybrał jakiś numer z listy. Rozmowa trwała mniej niż minutę. Podał swój numer CPR i się rozłączył.

– To mój znajomy. Lekarz. To znaczy... kiedyś znalazłem jego kota. Wrzucił receptę na serwer apteki. Skoczę ci po to.

Lene przyglądała się swoim paznokciom u stóp, pomalowanym na pudrowy róż.

– Dzięki.

– Nie ma za co.

Ostatecznie złapał ją delikatnie za ramiona i zaprowadził do łóżka.

– Ja pójdę po leki, a ty tymczasem pooglądaj sobie trochę telewizji i odpocznij, okej?

– Okej. Tak zrobię. Gdzie będziesz spał?

– Na kanapie. Jest świetna.

– Ma półtora metra długości.

– Śpię w pozycji embrionalnej. To przez traumatyczne dzieciństwo.

– Dziękuję, Michael. Jesteś taki...

– Jaki?

– Ach, nieważne.

Posłusznie wsunęła się pod kołdrę i Michael wręczył jej pilota. Wydawała się młodsza niż kiedykolwiek. Bezbronna. Jej twarz zaczęła się rozluźniać. I znów się rozpląkała.

\* \* \*

W międzyczasie rozpadało się na dobre. Michael zdążył przemoknąć i zmarznąć, zanim przy Store Kongensgade znalazł wolną taksówkę. W dyżurującej aptece zastał tłum przeziębionych dzieci, matek i emerytów. Czekał wieki, zanim zestresowana farmaceutka wydała mu leki.

Kiedy wsiadł do taksówki przy Dworcu Głównym, zamyślił się, patrząc na ustawione jeden na drugim szare kontenery robotników i żółte dźwigi, które nadal barykadowały Tivoli. Turecki kierowca wiózł go do hotelu opłotkami i długimi, niezrozumiałymi objazdami, a radio przez całą drogę grało rzewne anatolskie ballady. Wszystkie brzmiały tak, jakby opowiadały o miłości nieuchronnej, lecz niemożliwej.

Podczas poprzedniego pobytu w hotelu Admiral między Michaelem a konsjerżką, która właśnie przejęła obsługę recepcji, dyskretnie i właściwie bez słów zawiązała się głęboka przyjaźń. Ich komunikacja składała się głównie ze skinień, spojrzeń i wyrazistej pantomimy brwi młodej kobiety. Miarą jej profesjonalizmu było to, że zawsze wiedziała, kto był gościem hotelowym, a kto nie, oraz kto aktualnie znajduje się na którym piętrze, dlaczego oraz co tę osobę łączy z wynajmującym pokój.

Obsługiwała akurat starsze niemieckie małżeństwo, kiedy Michael mijał jej stanowisko i patrząc na niego, uniosła brew o jakieś dwa milimetry. Michael odczytał to jako potwierdzenie, że wie o Lene, że nikt o niego nie pytał ani nie zostawił żadnych wiadomości i że wszystko jest w porządku.

Powiesił mokry płaszcz w małym przedpokoju i bezgłośnie przeszedł po grubym dywanie. Zapalona była tylko lampka przy biurku, a gdy podszedł do łóżka z tabletkami i szklanką wody, okazało się, że Lene śpi jak zabita.

Leżała na boku z rękami złożonymi pod policzkiem jak grzeczne dziecko. Pod cienkimi powiekami nerwowo poruszały się tęczęwki. Miała rozchylone wargi i równy oddech.

Michael popatrzył w osłupieniu na tabletki i wodę. W butach mu chlu-pało przy każdym kroku i trząsał się z zimna. Miał ochotę ją obudzić i we-

pchnąć jej do gardła te przeklęte leki.

Zamiast tego spojrzął na stojący w nogach łóżka telewizor i czubkiem buta przysunął sobie krzesło. Wypił wodę i obejrzał w wiadomościach materiał o zaostzonych środkach bezpieczeństwa, jakie wprowadzono w hotelach, w których mieli się zatrzymać goście szczytu Unii Europejskiej. Mobilizacja była większa niż podczas wizyty Baracka Obamy i Oprah Winfrey. Konferencja miała się zacząć od oficjalnej kolacji na zamku Amalienborg już jutro. W piątek zaplanowano obrady w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, po których wieczorem miała się odbyć konferencja prasowa. W sobotę goście rozjeżdżali się do domów.

Dziś była środa i Michael zastanawiał się nad ryzykiem kolejnego ataku. Może rzeczywiście istniało takie ryzyko. Terrorysty niewątpliwie poczuli się zachęceni pierwszą udaną akcją, a Dania bynajmniej nie wycofała się z neoimperialistycznej krucjaty mającej na celu zaprowadzenie demokracji w pradawnych społeczeństwach beduińskich i zatruwanie ich umysłów dekadentckimi prawami człowieka. Spróbował przyjąć ich perspektywę. Ministrowie spraw zagranicznych czy Ehud Berezowsky? Czy jedno i drugie? Chociaż nie, taki scenariusz byłby chyba zbyt trudny do zrealizowania dla Safara Khana. Jego organizacja była skuteczna, ale niewielka.

Rozwazał, czy nie poradzić się swoich kontaktów w Izraelu. Nie powiedział bowiem Lene całej prawdy o swojej siostrze Idzie. Otóż podobnie jak wielu Izraelczyków o mieszanym pochodzeniu miała... powiązania. Diaspora była i jest tym, co daje Mossadowi przewagę nad innymi służbami wywiadowczymi. Izraelczycy w każdym zakątku świata mogą liczyć na lojalnych pomocników, znających lokalne uwarunkowania i język oraz gotowych spełnić każdy rozkaz Eretz Israel, swojej ojczyzny. Dotyczyło to również nowych obywateli, takich jak Ida. Życie w państwie wielkości Jutlandii, które z jednej strony miało morze, a poza tym otaczały je narody i rządy, które nie kryły się z tym, że chciałyby unicestwić ją i jej rodzinę, zdecydowanie spowodowało u Idy patriotyczne wzmożenie, chociaż w żadnym razie nie była ślepa na ataki państwa Izrael na pozbawioną własnego państwa mniejszość zamieszkującą ten region. Swoją nową ojczyznę często opisywała jako przesadnie zmilitaryzowaną Spartę, ale taką, w której za krytykę nikogo nie karano. Przeciwnie, według Mossadu różnice poglądów otwierały oczy i wyostrzały zmysły.

Ostatecznie uznał, że i tak nie ma na to czasu. Szczyt unijny zaczynał się pojutrze. Było zresztą mało prawdopodobne, aby Ida i jej przyjaciele wie-

dzieli o Ibrahimie coś, czego nie wiedziała Charlotte Falster i PET.

Jak na zawołanie na ekranie pojawiła się komendant główna policji w okularach i z nieśmiertelnym siwym bobem na głowie. Wyglądała na zmęczoną, a poza tym prezentowała się oczywiście nienagannie. Już miał podkręcić dźwięk, ale w tym momencie Lene wymamrotała coś przez sen i przewróciła się na drugi bok. Dziennikarka pewnie i tak pytała o to, co zawsze. Czy środki bezpieczeństwa są wystarczające? Czy może się powtórzyć sytuacja z Tivoli?

Charlotte była uśmiechnięta i przekonująca, ale w jej oczach widać było niepokój.

Materiał zakończył się tak, jak musiał się zakończyć: filmem Hanssona, obejrzanym chyba przez całą ludność kuli ziemskiej. Na YouTube film już dawno pobił rekordy oglądalności.

Jonathan Hansson Junior, młody amerykański turysta z Portland w stanie Oregon i jego dziewczyna Julie przylecieli do Danii między innymi po to, żeby obejrzeć małą wioskę na wyspie Møn, z której swego czasu rodzina Hanssonów wyemigrowała za ocean. Siedemnastego września o godzinie jedenastej trzynastie para siedziała w najwyższej gondoli diabelskiego młyna w Tivoli.

Julie była ładną piegowatą blondynką. Oko kamery niczym przedłużenie zakochanego wzroku młodego mężczyzny przesunęło się czule po jej twarzy, szyi i ramieniu odsłoniętym przez asymetryczny dekolt bluzki. Dziewczyna mrużyła oczy pod słońce. Zawstydzona próbowała odsunąć kamerę i wówczas w jej obiektywie znalazła się zielona wieża statku do nieba. Zatrzymała się na chwilę na rozpedzonej karuzeli, naprężonych łańcuchach i maleńkich czarnych ludzikach, okręcanych z szaloną prędkością na tle jasnego nieba. Ładne ujęcie, świetny kompozycyjny kontrast.

Aż nagle słyhać krzyk Julie. Obiektyw na moment się odsuwa, ale zaraz powraca i widać gwałtowny pierścienisty ruch, który przesywa odległe budynki, budki i salony gier otaczające Statek do Nieba, zanim wszystkie zawałają się niczym domki z papieru. W powietrze wzbijają się kurz, dym i nieokreślone przedmioty i powoli zbliżają się do kamery. Słyhać ostry brzęk stalowych kulek, które się odbijają od metalowej konstrukcji diabelskiego młyna. Gondola zahamowała. Chwilę wisiała nieruchomo, potem kołysała się spokojnie, a młodzi ludzie w panice krzyczeli, jedno przez drugie.

*It's the tower, for Christ's sake!*, krzyknął Jonathan i z godną podziwu przytomnością zrobił zbliżenie na sięgającą nieba stalową wieżę, która wolno, nieskończenie wolno zaczęła się przechylać na północ. Z oddali dobiegały krzyki ludzi na krzeselkach. Jedno podwójne krzeselko zerwało się z łańcucha i siła odśrodkowa odrzuciła mały, ledwie rozpoznawalny kształt. Po nim w ciągu kilku sekund pozrywały się pozostałe krzeselka i na tle czerwonej cegły ratusza przelatowały kolejne bezwładne ciemne kształty. Julie krzyczała. Wstała z ławki, ale Jonathan szybko złapał ją za rękę pociągnął z powrotem. Statek do Nieba przechylił się jeszcze mocniej i bezgłośnie złamał wpół pod swoim ciężarem.

*It's going!*, krzyczała dziewczyna i zasłaniała twarz dłońmi. *It's going... God, God, dear God! Jon, it's so terrible, poor them, poor them... poor, poor people!*

Kamera towarzyszyła wieży do samego końca i zarejestrowała potężną chmurę pyłu, która wzbijała się nad parkiem, gdy konstrukcja uderzyła w ziemię.

Nie był to oczywiście jedyny film dokumentujący katastrofę, ale pod względem technicznym najbardziej udany. Głównie za sprawą wyjątkowej perspektywy, jaką zapewniała gondola, oraz przejmującej narracji dwójki przerażonych młodych ludzi.

Film Hanssona stał się półoficjalnym zapisem tragedii w Tivoli. Po niego sięgano w kanałach informacyjnych, szkołach i filmach dokumentalnych. I to on zapisał się w pamięci świata.

\* \* \*

Ain zginęła dokładnie o godzinie jedenastej czterdzieści osiem.

Pociąg linii E z Køge do Hillerødu kursował tego dnia zgodnie z rozkładem, a na peronach stacji Nørreport działało sześć aktywnych kamer. Trzy na peronie w kierunku północnym, gdzie znajdowała się Ain, i trzy na peronie w kierunku południowym. Michael nie zauważył żadnych oznak, aby manipulowano przy nagraniach. Nie było dziwnych, poszarpanych sekwencji ani pauz, a wskaźnik czasu pracował bez zakłóceń.

Młoda dziewczyna miała na sobie krótką jasną skórzaną kurtkę, dzinsy i szare adidas. Na szyi granatowy szalik, na ramieniu torebkę, również z jasnej skóry. Według informacji Lene miała sto siedemdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważyła sześćdziesiąt jeden kilo. Michael szybko ją rozpoznał

we wszystkich kamerach z peronu na północ, za to nie uchwyciła jej żadna z kamer na peronie w kierunku przeciwnym.

Widział ją od tyłu, przodu i od prawej od chwili, gdy zeszła ze schodów, dopóki nie zniknęła. Poranny ruch ucichł, a popołudniowy jeszcze się nie zaczął. Większość pasażerów stanowili ludzie młodzi, ale trafiali się i starszaki, idący powoli parami przez lśniące płytki peronu.

Pierwsze dwadzieścia metrów dziewczyna szła energicznie, zdając się nie zważać na otaczających ją ludzi. Lewą ręką trzymała pasek torebki, a w prawej dociskała do ucha telefon. Twarz miała bladą, ale opanowaną. Kiedy milczała, jej wargi pozostawały rozchylone. Oczy duże i ciemne. Nie patrzyła na twarze mijanych osób. Zdawała się wbijać wzrok w jakiś punkt w oddali. Stawiała długie i pewne kroki, i Michael nie miał wątpliwości, że dziewczyna nie znajdowała się pod wpływem żadnych środków odurzających. Możliwe, że była na wpół przytomna z przerażenia, ale jej centralny układ nerwowy działał bez zarzutu. Nie miała zamkniętej, martwej twarzy samobójczyni. Przeciwnie, wyglądała jak ktoś, dla kogo oczywiste jest, że musi się utrzymać przy życiu.

Dźwięku nie było, ale obserwując zachowanie ludzi, bez trudu można było się domyślić, co tam się działo. Wszyscy na przykład odwrócili głowy w stronę przeciwległego peronu, kiedy o jedenastej czterdzieści siedem wjechał pociąg podmiejski z Valby. Gdy otworzyły się drzwi, peron zalał świeży strumień ludzi.

Peron w kierunku południowym powoli pustoszał, za to zapełniał się peron na północ, ten, na którym znajdowała się Ain. Dziewczyna zbliżała się do miejsca, w którym wedle oznaczeń na peronie miała się zatrzymać pierwsza część pociągu. Znów obejrzała się za siebie i zatrzymała w pół kroku, cały czas z twarzą odwróconą do schodów na peron.

Michael powiększał kolejno wszystkie fragmenty pola kamery. Interesowali go przede wszystkim ludzie, którzy schodzili na peron. Para pogrążona w rozmowie. Chłopak, który właśnie znosił rower z ostatnich stopni. Niewidomy, który schodząc pod opieką psa przewodnika, zataczał białą laską małe czujne łuki, i...

Michael zatrzymał obraz.

Ktoś przystanął przy ścianie, na czwartym stopniu od dołu. Michael wyciął ten fragment, powiększył go – i stracił wszystkie szczegóły.

Twarz Ain stała się trupioblada, dziewczyna wyglądała, jakby w jednej chwili straciła wszelką nadzieję. Ręka, w której trzymała telefon, opadła

bezwładnie, a ona sama powoli ruszyła dalej przed siebie. Ludzie zaczęli się tłoczyć przy krawędzi peronu i dziewczyna zniknęła w tłumie. Potem tunel rozświetliły światła i kamera zadrżała, gdy pociąg wjechał na stację.

Michael odszukał ostatnie ujęcia, na których widać ją przy schodach na drugim końcu peronu, tych prowadzących do góry. W polu kamery błysnęła jej równy profil i czarne włosy wzburzone podmuchem powietrza wypychanego przez pociąg, który zaczął hamować. Ludzie najpierw zbili się w bardziej zwarty tłum, zaraz rozpierzchli i ustawili w półkole w miejscu, w którym ostatni raz widział Ain.

Pociąg stał nieruchomo, a starszy motorniczy wstał i otworzył okno lokomotywy. Ludzie cały czas próbowali się odsunąć od czoła pociągu, kiedy motorniczy przytrzymał się ramy okna, wychylił i spojrzał w dół na przestrzeń między pociągiem a krawędzią peronu. Podniósł ręce do twarzy i padł na swój fotel. Minęło dwanaście sekund, zanim wcisnął guzik otwierający wszystkie drzwi i uruchamiający migające czerwone światła ostrzegawcze.

Michael zbliżył twarz do ekranu i uważnie przyjrzał się kadrowi. Buty i łydki osoby na schodach nadal znajdowały się przy ścianie na czwartym stopniu od dołu, mimo że ludzie w popłochu wbiegali po schodach, potraćali się i przeciskali, żeby jak najprędzej wyjść na ulicę.

W końcu również uparty obserwator zginął w tłumie.

Na peronie został biały telefon. Jakiś starszy mężczyzna w płaszczu podszedł do niego, podniósł i przystawił do ucha. Powiedział kilka słów, aż pojawiła się jakaś kobieta, może żona? Złapała go za ramię i wskazała na płytki peronu. Mężczyzna popatrzył na nią, pokiwał głową i ostrożnie odłożył telefon tam, skąd go zabrał, a kobieta pociągnęła go za sobą i się oddalili.

Michael potarł oczy i ziewnął, aż chrupnęło mu w szczęce. Był śmiertelnie zmęczony. Zimny prysznic by go orzeźwił, ale nie miał na to siły.

Pomyślał ze smutkiem, że zastosowano prosty myk z udziałem dwóch prześladowców. Jeden celowo daje się zauważyć, przykuwa uwagę ofiary, zmusza do zatrzymania.

A gdy ofiara ogląda się za siebie, druga osoba atakuje od przodu.

Manewr opierał się na zasadzie przynęty z zamianą. Na kimś niedoświadczonym i nieświadomym – a Ain stanowiła chyba najbardziej niewinną i bezbronną ofiarę, jaką Michael mógł sobie wyobrazić – ta taktyka



działała niezawodnie. Ludzie bowiem zawsze instynktownie oczekiwali, że atak przyjdzie z tyłu.

Dwaj konduktorzy pojawili się na peronie i popatrzyli na tor. Jeden od razu zwymiotował. Kręcił głową, patrząc na kolegę i bladego jak ściana maszynistę, który uprzednio cofnął pociąg parę metrów. Obaj wzięli pod boki starszego mężczyznę i pomogli mu dotrzeć do schodów, gdzie usiadł oparty o ścianę.

Ratownicy, lekarz pogotowia i policja byli na miejscu w imponującym czasie sześciu minut. Lekarz wskoczył na tor i kucnął. Zajrzał pod pociąg i się wyprostował. Popatrzył na kierującego akcją ratownika i młodą brunetkę w mundurze policyjnym i wzruszył ramionami. O ile Michael zdołał się zorientować, mężczyzna nic nie powiedział. Chyba nie było nic do powiedzenia. Lekarz i kierowca karetki opuścili peron. Nic tu nie mogli zrobić. Ratownicy zaczęli zdejmować z torów części ciała. Michael zamknął oczy i policzył do trzydziestu. Kiedy znów je otworzył, Ain leżała na noszach, zakryta białymi prześcieradłami.

Trzy minuty później w polu pierwszej kamery pojawiła się znajoma postać. Lene patrzyła nieruchomo przed siebie. Nie wyglądała jak oficer śledcza dokonująca oględzin potencjalnego miejsca zbrodni. Wyglądała jak lunatyczka.

\* \* \*

Michael wrócił do pierwszych nagrań przedstawiających ostatnie sekundy przed potrąceniem. Gdzie u licha był ten, kto zaatakował od przodu? Ten ktoś musiał tam być, Michael musiał w tej chwili na tego kogoś patrzeć.

Pasażerowie, którzy najpierw pchali się w stronę pociągu, teraz się cofnęli, tworząc na peronie puste półkole. Ostatnią rzeczą, jaką Ain zrobiła na tym świecie, było wmieszanie się w grupkę chłopaków z deskorolkami sterczącymi z plecaków albo niesionymi pod pachą. Wszyscy mieli na sobie obszerne kurki, wypchane spodnie i bluzy z kapturem. Stroje maskujące. Pośrodku grupy dziewczyna raptownie się zatrzymała, podniosła głowę, zamknęła oczy i szybko ruszyła przed siebie.

Dwie sekundy później nie żyła.

Michael poszedł do łazienki, spryskał twarz zimną wodą, wytarł ręcznikiem, a wracając do biurka, rzucił okiem na Lene, która spała głęboko, pomlaskując jak najedzone niemowlę.

Rysował szkice i wykresy. Położenie pociągu, schody w górę i w dół, rozmieszczenie kamer. O trzech kamerach z przeciwległego peronu mógł zapomnieć... Chociaż czy na pewno?

Dotąd je ignorował, ponieważ żadna z nich nie uchwyciła Ain. Ale mogły przecież zarejestrować inne interesujące osoby. Gdyby to on miał się posłużyć taktyką przynęty z zamianą, to unikałby kamer, które z największym prawdopodobieństwem rejestrowały ofiarę, dopóki nie nadarzyłaby się okazja, żeby przejść na drugi peron. Co miało miejsce, gdy na stację wjechał pociąg z Køge i wylali się z niego pasażerowie.

Może zabójca nie tyle wmieszał się w ich tłum, ile sam przyjechał tym pociągiem?

Przez następne pół godziny skupił się więc na pociągu z Valby i grupce skejtów. Przeszli przez peron, żeby z drugiej strony poczekać na pociąg do Hillerødu.

Pięciu chłopaków było prawie nie do odróżnienia. Wszyscy w bluzach, szalikach, czapkach i puchówkach. Mieli do przejścia nie więcej niż kilka metrów, zanim pojawili się w polach kamer, które Michael studiował do tej pory.

Szósty, maruder, szedł metr za pozostałymi. Też w puchówce, adidasach, wypchanych spodniach. Kaptur na głowie przesłaniał twarz. Chłopak ustawił się z boku, dokładnie na drodze Ain, a chłopcy zaczęli się przemieszczać w stronę krawędzi peronu, gdy pociąg wjeżdżał na stację. Ain właśnie się przeciskała przez ich grupę, kiedy zatrzymała się, podniosła głowę i zamknęła oczy jak ktoś... jak ktoś, kto... *fuck!*

Michael wstał, otworzył minibarek i krytycznym okiem ocenił zawartość. Kahlua. Kto, kurwa, pije kahlue? Czuł, że bezradnie wali głową w ścianę, a jednocześnie był przekonany, że odpowiedź jest blisko, tuż przed jego nosem, i to nieskończenie go frustrowało. Świadomość, że jest zbyt ślepy i głupi, by ułożyć te ostatnie klocki. Kucnął i wyjął dwie małe buteleczki whisky. Przełał je do szklanki i zapalił papierosa.

Miał nadzieję, że mocny alkohol i nikotyna podziałają jak rozruch na kilka szarych komórek. Potem pomyślał o swoim siedmioletnim synu. Młody zaczął właśnie ćwiczyć przed domem pierwsze niepewne ruchy na desce przywiezionej przez Michaela ze Stanów i podpisanej przez dwudziestoletniego kalifornijskiego półboga skejtów. Sara powiedziała, że ich syn nawet śpi z tą deską.

Michael podniósł głowę i uśmiechnął się do swojego odbicia w ciemnych drzwiach balkonowych.

– Hej, hej, hej, koleżko. A gdzie u licha jest *twoja* deska?

Pstryknięciem posłał papierosa w ciemność i wrócił do komputera z drinkiem. Serce mu waliło, ale już wiedział, nie miał cienia wątpliwości: znalazł ostatni, rozstrzygający element układanki. Chłopak w ciemnej puchówce, ten, który szedł z ociąganiem, ze spuszczoną głową i twarzą zasłoniętą kapturem. Miał czapkę i rękawiczki, ale nie miał plecaka. Ani desko-rolki.

Oczywiście. Chłopak nie był częścią grupy. Przyłączył się do nich na peronie, wierząc, że posłużą mu za kamuflaż.

*I've got you under my skin, I've got you deep in the heart of mine...* Michael zanucił pod nosem szlagier Sinatry. I zaraz usłyszał, jak łóżko trzeszczy pod Lene, więc zadowolił się samym poruszaniem ustami.

Ain zatrzymała się, podniosła głowę i zamknęła oczy, zanim... Ain zatrzymała się...

Jak ktoś, kto usłyszał znajomą melodię albo poczuł zapach, który nie pasował do tego miejsca, pomyślał Michael. Wciągnęła powietrze. Tak, cholera, to właśnie robiła! Zapach. Perfumy. Nastoletni chłopcy nie używają perfum. Prędzej daliby się pogrzebać żywcem. Możliwe, że Ain nie była świadoma, co jej się nie zgadzało w tej scenie. Uciekała przed niebezpieczeństwem, jej ciało było w stanie najwyższej, zwierzęcej gotowości, wszystkie zmysły maksymalnie pobudzone. Dźwięk, smak, zapach i obraz musiała odbierać z nadzwyczajną ostrością.

– Bo ty wcale nie jesteś nastolatkiem, mój koleżko – mruknął do siebie. – Więc kim? Skoro perfumy, to musisz być dziewczyną i pewnie ci się zdaje, że jesteś zajebiście sprytna i groźna, ale ja jestem jeszcze sprytniejszy i znacznie groźniejszy, niż ty kiedykolwiek będziesz, maleńka.

Michael nagle stał się zupełnie spokojny. Jego ciało się rozluźniło. Zawładnęło nim to głębokie poczucie satysfakcji i kontroli, które zawsze na niego spływało, kiedy znajdował coś, czego nikt na świecie nie potrafił znaleźć. Mordercę. Chłopczycę. Wysoką, szczupłą, zamaskowaną i bezwzględną. Która zadaje śmierć z łatwością, z jaką śmierć zadaje każdy dobrze przygotowany młody terrorysta.

Ziewnął i się przeciągnął. Wreszcie może odpocząć. Zasłużył.

\* \* \*

Młoda dziewczyna na rowerze była jedyną żywą istotą na wąskiej uliczce. Na plecach miała czarny futerał na gitarę. Zwolniła i zeskokczyła z siodełka kilka numerów dalej. Otworzyła furtkę i wprowadziła rower. Gdy otworzyły się drzwi, światło z przedpokoju na chwilę rozjaśniło próg, dziewczynę i ścieżkę prowadzącą od furtki, po czym drzwi zamknęły się i znów zrobiło się ciemno.

Odczekał jeszcze godzinę, zanim otworzył furtkę i ruszył ścieżką wyłożoną popękkanymi płytkami. W domu panowała cisza, w domach sąsiednich światła były zgaszone. Deszcz ustał, idąc, nie zostawiał odcisków butów. Księżyc był cienką kreską, wokół panowała czarna, zimna noc.

Dzwonek przy drzwiach zabrzmiał stłumioną melodyjką i zaraz usłyszał, jak ktoś od wewnątrz otwiera zamek.

Zamknął drzwi za sobą i stanął tuż przy niej. Nie zamienili ani słowa. Z jej ciała biło ciepło. Włosy na jego przedramionach się podniosły.

– Jesteś sama?

– Oczywiście – potwierdziła. – Oczywiście, wejdz.

Miała odsłonięte ramię i dopiero teraz zauważył, że była ubrana w długi peniuar bez rękawów przewiązany w pasie luźnym węzłem. Pod cienką tkaniną odznaczały się sutki. Stała bardzo blisko niego. Jasną, piękną twarz przechyliła na bok i włosy opadły na jedno ramię. Czekwała, aż ją obejmie i pocałuje, ale wyminął ją, przeszedł przez przedpokój i wszedł do salonu.

– Napijesz się czegoś? – spytała.

– Może później.

– Widziałeś się z nią? Myślisz, że nie odpuści?

– Teraz odpuści.

– Na pewno?

– Tak. Po dzisiejszym tak.

– Tęskniłam za tobą – wyznała. – Chodź.

Coco Mademoiselle, odrobina, ulotna nuta. Spuściła wzrok i z wystudowaną powolnością rozwiązała pasek, który spadł na podłogę. Poły peniuaru się rozsunęły i w słabym świetle wpadającym z ulicy jej sutki były bardzo ciemne, i twarde. Reszta jej ciała była jasną, niewiarygodnie gładką doskonałością. Wzięła go za rękę i przytknęła ją do swojej cipki. Wsunął w nią palec.

– O, tak – mruknęła.

Docisnął ją do biurka i ich języki splątały się. Kołysali się, jak tylko kochankowie potrafią się kołysać. Gdy zaczął pieścić jej łechtaczkę, mruzcze-

nie w jej gardle nabrało mroczniejszego tonu. Drugą, wolną ręką po omacku, za jej wygiętymi plecami szukał czegoś na biurku. Zaczęła poruszać rytmicznie biodrami, napierała na jego dłoń.

Wymacał długą igłę do balsamowania, była tam, gdzie zawsze. Ich usta rozczepiły się na moment i popatrzył jej głęboko w oczy.

– Chodźmy na górę! – wydyszała.

– Tak.

W nieprzebranej czarnej rozpacz z siłą i precyzją wbił długą igłę w jej uśmiechnięte lewe oko. Gałka oczna nie stawiała wyczuwalnego oporu, a cienkie kości oczodołu pękły z ledwie słyszalnym chrzęstem. Igła wsuwała się głębiej i niżej, w mózg.

Prawe oko było wybałuszone, efekt szoku. Dopiero po chwili intensywny ból sprawił, że powieka się zacisnęła. Nie krzyknęła, chyba nie była w stanie. Dlatego odsunął rękę, którą zasłonił jej usta. Powoli obeszała pokój dookoła. Bezwiednie omijała meble. Głowę trzymała wysoko, krew z oczodołu płynęła swobodnie. Spomiędzy jej warg nie dobył się żaden, najcichszy nawet dźwięk. Krew była czarna, spływała po brodzie na szyję i rozlewała się na piersi w wąskie, rozgałęzione strumyki.

Zakończyła swoją wędrówkę przy biurku – i przy nim. Z oczodołu wystawało jakieś piętnaście centymetrów srebrnej igły. W desperacji płaską dłonią z całej siły uderzył sterczącą końcówkę. Igła wcisnęła się głębiej, aż natrafiła na coś twardego wewnątrz czaszki.

Teraz nastąpił przesywający, piskliwy krzyk i skurcze. Pociągnął ją na podłogę i położył poduszkę na twarzy. Krzyk nie ustał, trwał nieprzerwanie, ale poduszka go tłumiała. Docisnął ją całym ciężarem ciała. Minęła wieczność, zanim usłyszał, jak jej bosa pięty mocno i szybko uderzają w podłogę i wreszcie znieruchomiała. Odsunął poduszkę. Prawa źrenica powoli powiększała się z braku tlenu. W tętnicy szyjnej nie wyczuł już pulsu. Jej usta się otworzyły.

Potem jeszcze długo siedział przy jej głowie i z twarzą ukrytą w dłoniach mamrotał bezsensowne przeprosiny, zanim wstał i zaczął porządkować scenę.

Wszystko trwało mniej niż pół godziny.

Stanął w progu, rozejrzał się uważnie i wyszedł na ulicę, nie zamykając za sobą drzwi.

W połowie ulicy w jednym z szeregowców z otwartego okna na poddaszu słychać było ciche brzdąkanie na gitarze.

\* \* \*

O godzinie 4.36 biały dwusilnikowy Learjet z logo Trinity Air Ambulance lecący z Ammanu dostał zgodę na lądowanie i dwie minuty później uderzył kołami w pas 23A frankfurckiego lotniska. Samolot kołował na płycie z dala od wieży kontrolnej, w kierunku prywatnej części lotniska. Tam zatrzymał się przed niskim podłużnym budynkiem administracji, w którym jedynie na parterze w oknach paliły się światła. Silniki zostały wyłączone, a gdy tylko opuszczono schody, pojawił się specjalny ambulans i zielony volkswagen z dwoma zaspanymi celnikami w średnim wieku.

Dwaj młodzi mężczyźni w eleganckich białych uniformach firmy transportowej zaczęli wyładowywać z luku samolotu duże pomarańczowe wzmocnione skrzynie i ustawiać je na płycie lotniska. Pracowali szybko i z wprawą. Każda skrzynia miała panel sterujący i agregat chłodniczy i była pokryta cienką warstwą szronu.

Pracownicy pogotowia pomogli wyładować ostatnie skrzynie z luku umieszczonego głęboko w ogonie.

Jeden z chłopaków z Trinity Air założył za uszy długie czarne włosy i z uśmiechem wręczył starszemu celnikowi segregator z dokumentami transportowymi. Ruchy miał swobodne i pewne, sprawiał wrażenie człowieka kompetentnego, a jego angielski był bez zarzutu. Celnik zwrócił uwagę na białą bliznę w kształcie gwiazdy na jego lewej skroni.

Wiedział, że sprawa była pilna. Świeże organy dla wygłodniałego i nienasyconego rynku europejskiego to sprawa poważna i niecierpiąca zwłoki. A teraz najwyraźniej trafił się jackpot. Mężczyzna młody, ledwie dwudziestodwuletni spadł z rusztowania gdzieś na przedmieściach Ammanu.

Tym razem wszystko poszło wyjątkowo gładko. Chłopaka błyskawicznie przewieziono do szpitala klinicznego, gdzie poza ciężkim urazem mózgu oraz wynikającym z niego krwotokiem śródczaszkowym, który kilka godzin później wycisnął z niego życie, stwierdzono jedynie złamanie kości ramienia. Wszystkie organy były w idealnym stanie, serce biło, a respirator pompował tlen do krwi.

Śmierć pnia mózgu stwierdzono jeszcze tego samego dnia, po tomografii i szczegółowych badaniach neurologicznych. Rodzice chłopaka byli rozsądni i nowocześni, parę godzin później zespół transplantologów przy ich pełnej zgodzie rozpoczął pobieranie narządów. Serca i płuca, nerki, wątroba, kości, szpik i rogówki. Rogówki i szpik poleciały do Houston w Tek-

sasie, natomiast Universitätsklinikum der Johann Wolfgang Goethe z Frankfurtu nad Menem został szczęśliwym odbiorcą pozostałych organów, zgodnie z międzynarodowym rejestrem przeszczepów.

Celnik polizał kciuk i porównał listę ładunkową z informacjami na skrzyniach. Wszystkie numery i kody się zgadzały. Był świadom, że ludzie wokół niego niecierpliwie przebierali nogami. Dla niego przyjmowanie tych transportów było oczywiście rutynową czynnością, ale w środkowych Niemczech śmiertelnie chorzy właśnie odbierali najważniejszy telefon w życiu. W imieniu własnym albo swoich dzieci. Jest dawca! Szybko! Jedyńmy!

– Dwadzieścia dwa lata – pokręcił głową. – Całe życie przed nim, biedny chłopak. Jakie to wszystko smutne.

Chłopak z blizną zacisnął wargi i przytaknął z powagą.

– Bardzo smutne, Herr Zollbeamten.

Siostra celnika w tej samej, osławionej klinice Goethego dostała kiedyś nową nerkę od dawcy z Jordanu. Mężczyzna nie miał więc najmniejszego zamiaru komplikować procedur bardziej, niż to było absolutnie konieczne. Poprosił obu mężczyzn o paszporty i legitymacje, ale przejrzał je tylko pobieżnie, po czym pokiwał głową i uśmiechnął się, gdy chłopak z blizną po przyjacielsku położył mu rękę na ramieniu. Załoga ambulansu zaczęła już wnosić skrzynki i podłączać je do aparatury chłodniczej i tlenowej o zwiększonej mocy. Zazwyczaj załoga przywożąca organy była za nie odpowiedzialna do momentu pokwitowania odbioru przez szpital przyjmujący, a jeśli samolot, którym przylecieli, nie mógł czekać, wracali do kraju lotem komercyjnym.

Drzwi ambulansu się zamknęły i celnik przez krótkofalówkę powiedział coś niezrozumiale do wartownika, który ich przepuścił.

Wjechali na E451 i kierowali się na północ. Samir i jego nowy towarzysz Adil, młody weteran syryjskiej wojny domowej, ale wcześniej obywatel Holandii, przyciągnęli na koniec karetki własne walizki. Była w nich wyłącznie odzież i kosmetyki, ich bagaże przeszłyby każdą kontrolę. Białe kombinezony zamienili na grube swetry i skórzane kurtki. Adil założył też wełniane rękawiczki i odnalazł dwie chłodnie oznaczone ledwie widocznymi kreskami zrobionymi kredą. Otworzył zamki i w sufit karetki buchnęła biała para. Ostrożnie wyjął pojemnik z suchym lodem i postawił na podłodze. Pod pierwszą tacką były ukryte obie ultranowoczesne rosyjskie kamizelki z paczkami szklanych kulek i bezzapachową substancją wybu-

chową, azotanem izopropylu. Samir pomógł mu wcisnąć kamizelki do sportowej torby. Tackę z suchym lodem włożyli z powrotem do skrzynki i otworzyli drugą. Tu pod suchym lodem leżały dwa AK-47 z obciętymi lufami, tak zwane baby kałasznikowy. Do tego po cztery magazynki dla każdego z karabinów oraz dwie grube koperty: pieniądze dla kapitana polskiego statku, który za kilka godzin spotka się z nimi w porcie w Rostocku, oraz euro i korony na nieprzewidziane wydatki.

Gdy karetka zjechała na parking, byli już przepakowani. Jeden z kierowców wysiadł, podszedł do kępki krzaków i oddał mocz. Potem zapalił papierosa i przechadzał się spokojnie po parkingu, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma przypadkowych świadków. Wreszcie wrócił do ambulansu i otwartą dłonią uderzył mocno w tylne drzwi.

Kierowca i jego kolega krótko i uroczyście uścisnęli Samira i Adila, po czym wymamrotali na pożegnanie kilka słów błogosławieństwa, zanim ci, objuczeni ciężkimi bagażami, przesiedli się do starego szarego audi. Karetka zawróciła do Frankfurtu, wioząc do kliniki cenny ładunek ludzkich części zapasowych należących niegdyś do chłopaka z zajęczą wargą.

Kluczyki były ukryte w rurze wydechowej. Adil usiadł w fotelu pasażera i zaczął ustawiać GPS, a Samir włożył do bagażnika ich torby i walizki i popatrzył chwilę na rozgwieżdżone niebo.

Był to moment triumfu, ale i żalu. Wszystko poszło gładko, tak, jak to przewidział Safar Khan, a od tego momentu ruch bezgraniczny gwarantowany przez układ z Schengen pozwoli im bez przeszkód dotrzeć do Danii. *Inszallah*, wypełnią swoją świętą misję i wielu ważnych, wpływowych ludzi poniesie śmierć za swoje czyny. Lecz jeśli zrobią z Adilem wszystko jak trzeba, jeśli będą posłuszni i dokładni, to ich życie również dobiegnie końca.

Wsiadł do samochodu. Adil popatrzył na niego w milczeniu i Samir po kiwał głową, włączył silnik i ruszyli w stronę Rostocku nad Morzem Bałtyckim.

\* \* \*

Najbardziej znienawidzony dźwięk na świecie. Komórka jego żony w środku nocy. Nie przestawała dzwonić, aż Otto Jarl Falster wsparł się na ramieniu i z niepokojem popatrzył na twarz Charlotte. Leżała z otwartymi oczami, najwyraźniej niezdolna się poruszyć. Z powrotem opadł na plecy



uspokojony, że przynajmniej oddycha. Popatrzył na fluorescencyjne wskaźniki swojego zegarka. Wpół do piątej rano. Tak się dłużej nie da. On dłużej nie da rady.

Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim zapaliła się lampka po jej stronie, Charlotte usiadła i wymamrotała coś do telefonu.

Jej głos stopniowo robił się głośniejszy, a słowa wyraźniejsze. „Kto?”, „Gdzie?”, „Nie, nie, nie...”, „Nie ruszajcie jej. Chcę tam wysłać patologa. ... Na przykład doktor Helle Englund. Chociaż nie, nie na przykład, to *ma* być ona”. I na koniec gorzkie słowa, które musiały paść: „Już tam jadę”.

Nabrała takiej wprawy, że ubrała się szybciej niż strażak. Stała przy łóżku i popatrzyła na niego.

– Nic nie mów, Otto.

– Przecież nic nie mówię, do diabła!

– Nie, ale wiem, co chcesz powiedzieć.

Zmarszczył czoło.

– Więc masz do mnie pretensje o to, co *myślisz*, że chcę powiedzieć?

– Tak.

– *Bon voyage* – wymamrotał.

– Możemy się zamienić – zaproponowała. – Chętnie wezmę na siebie twoje zebrania.

Otto parsknął pustym śmiechem.

– Myślę, że nie byłabyś taka chętna do zamiany, gdybyś wiedziała, że przed południem mam rozmawiać z ministrami przez bite dwie godziny. Ty byś ją odstrzeliła po trzydziestu minutach.

Jej twarz złagodniała. Może sobie przypomniała, że jej mąż ma zragę i wrzody na żołądku.

– Biedny jesteś, skarbie – wymamrotała.

Uśmiechnął się dzielnie.

– Nie, to ty jesteś biedna. Ktoś umarł?

Westchnęła, a Otto wziął ją za rękę. Tę z obrączką.

– Niestety. Irene Adler. Ktoś ją zamordował.

– Adler? – Usiadł na łóżku, wyraźnie poruszony.

– Tak.

– Biedna dziewczyna.

– Tak.

– Wiadomo, kto to zrobił?

Charlotte popatrzyła przed siebie.

– Do głowy przychodzi mi tylko jedna osoba, która mogłaby mieć wystarczającą ochotę i motywację, żeby to zrobić.

– Kto taki?

Wyjęła dłoń z jego uścisku.

– Boże, Otto. To niemożliwe... a raczej... nie wiem, czy to udźwignę, jeśli się okaże, że... Trudno nie podejrzewać Lene Jensen. To oczywiste. Irene Adler leczyła córkę Lene. A ona popełniła samobójstwo.

– Znam tę historię, Charlotte. Byłem na jej pogrzebie.

Oparł się o wezłowie i zamyślony patrzył w półmrok. Czuł, że Charlotte czeka, aż powie coś jeszcze, więc podniósł na nią wzrok, ale nadal milczał, pocierając się po szyi.

– Co jest? – spytała.

– Komisja Thomasa Thierry’ego.

– MSW? Co to za komisja?

– Bardzo zamknięta. Taka, która odpowiada bezpośrednio przed ministrem spraw wewnętrznych i ministrem obrony. Koordynujemy prace wywiadu. W każdym kraju istnieje taka komisja, tylko niewielu ludzi o tym wie.

– Rozumiem.

– Charlotte, jeśli to wyjdzie na jaw, to ukręcą mi łeb, ale... Chodzi o to, że ta komisja, czyli my, przekazaliśmy fundusze na ośrodek badawczy Adler. Brałem w tym udział.

Położyła ciepłą dłoń na jego ramieniu i Otto spojrzał jej w twarz.

– Trzeba było coś zrobić, cokolwiek.

– Oczywiście.

– Nazywali ten projekt kreatywnym i innowacyjnym, ale ja od początku uważałem, że łączenie psychotropów i inwigilacji z działalnością wywiadowczą jest niebezpieczne. Tak naprawdę nikt tego wcześniej nie robił. Ostatecznie jednak zgodnie postanowiliśmy spróbować. I teraz być może ktoś z PET uznał, że ta współpraca stała się problematyczna. Charlotte, prasa dostanie szału, jeśli to wypłynie. Proszę, miej to na uwadze.

– Będę pamiętać, obiecuję.

W drzwiach odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Dziękuję.

Zamknęła za sobą drzwi, a Otto Jarl Falster z szuflady nocnej szafki wyjął tabletki na wrzody. Dla pewności połknął trzy.

\* \* \*

Ulica między rzędami szeregowych domków była odgradzona czerwono-białą taśmą policyjną, a niebieskie światła kogutów raz po raz omiatały wąskie fasady. Na ulicy prawie nikogo nie było, za to wszyscy mieszkańcy okolicznych domów w różnych stadiach negliżu z zainteresowaniem obserwowali wszystko z okien.

Pod numerem dziewiętnaście stały dwa białe wozy dostawcze z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego. Charlotte wysiadła ze swojego passata i podeszła bliżej. Kulila się z zimna. Jak na kwiecień było wyjątkowo chłodno. W nocy i nad ranem temperatura spadała poniżej zera i co chwila odnotowywano nowy rekord. W granatowym mondeo stojącym poza ogrodzeniem zobaczyła dwie postacie. Zamontowany na dachu kogut był wyłączony. Schyliła się i zapukała w okno po stronie kierowcy. Nie zareagował. Dopiero gdy jego kolega coś do niego powiedział, opuścił szybę.

– Na co czekacie? – spytała.

Schyliła się niżej i Christian Erichsen uśmiechnął się do niej z fotela pasażera. Podniósł w jej stronę chromowany termos i czysty plastikowy kubek. Termos miał z boku wmontowany termometr. Charlotte wiedziała, że służył jako barista amator.

– Nie, dzięki. – Pokręciła głową i spojrzała na siedzącego za kierownicą Thomsena.

Nadinspektor patrzył wprost przed siebie, jakby w ogóle nie odnotował obecności Charlotte. Bruzdy i zmarszczki na jego twarzy wyglądały jak wytatuowane czarnym tuszem, a brodę pokrywał białoszary zarost.

– Irene Adler – oznajmił i najwyraźniej uważał, że to wystarczy za wszelkie wyjaśnienia.

Charlotte wyprostowała się i schowała rękę do kieszeni.

– Tak. To wielka strata. Zajmiemy się tym.

Pod napiętą skórą widać było pracujące mięśnie żuchwy.

– Gównu zrobicie, jak zwykle – wymamrotał. – Jest tylko jedna osoba, która chciała ją zabić, i doskonale wiesz, kto.

Charlotte spokojnie patrzyła na niego z góry.

– Kim, powiedz to jeszcze raz, a zadbam, abyś za pięć minut został wysłany na rentę z powodu kompletnie rozpiędnego układu nerwowego. Dostaniesz opinie od psychiatrów i lekarzy medycyny pracy i co tylko zechcesz. Dopilnuję tego, choćby to miało być ostatnie, co zrobię. Skończysz

jako parkingowy, bez względu na to, jak głęboko trzymasz jeźor w odbytnicy swojego szefa. Obaj jesteście psychopatami i podobne konsekwencje spotkają was, jeśli nadal będziecie nachodzić, nękać albo szykanować Lene czy któregokolwiek z pracowników mojego sztabu, włącznie z informatykami. Czy to jest jasne? – Znów się schyliła i ignorując Thomsena, popatrzyła prosto na Christiana. – Przetłumacz to, proszę, idiocie, który siedzi obok ciebie.

Christian pobladł, chociaż nie była w stanie ocenić, czy wynikało to ze zmęczenia, zimna czy jej doboru słów. Uznała, że w sumie jest jej to obojętne.

– Jasne, Charlotte. Oczywiście. Wiadomo.

– Świetnie. A tak w ogóle sądziłam, że macie ważniejsze sprawy na głowie, niż siedzieć tu i się gapić. O ile mi wiadomo, pierwsze delegacje lądują w Kastrup o jedenastej. Może powinniście raczej przejrzeć jeszcze raz plany bezpieczeństwa, upewnić się, że wszystko jest gotowe? Będzie straszny wstyd, jeśli ktoś zostanie wysadzony w powietrze już w drodze z lotniska do Marriottu.

Pożegnała się krótkim skinieniem, podniosła taśmę policyjną i przeszła pod nią wyłożoną płytkami dróżką do drzwi Irene Adler.

Słyszała kroki na piętrze nad swoją głową i krzątanie na dole, w piwnicy. Drzwi do pokojów były otwarte, a w każdym z wąskich podłużnych pomieszczeń kręciły się postacie w białych nylonowych kombinezonach i niebieskich ochraniaczach na buty. Jedna z nich wręczyła Charlotte parę niebieskich ochraniaczy, które komendant posłusznie naciągnęła na nogi.

Wystrój przypominał scenografię z *Casablanki*. Wszędzie ciemne, geometrycznie zawile, zabytkowe drewniane rzeźby arabskie, pulpity, grube perskie dywany, niskie mosiężne stoliki i więcej poduszek niż krzeseł. Irene Adler leżała na plecach na środku podłogi. Całkowite rozluźnienie mięśni, jakie nastąpiło w chwili śmierci, sprawiało, że jej ciało zajmowało większość podłogi.

Obok ciała klęczała krótkowłosa blondynka w białym kombinezonie. W ręce trzymała smartfona i czytała coś z ekranu. Do telefonu przyłączony był biały kabel, którego koniec zniknął między rozchylonymi nogami denatki. Charlotte zmarszczyła brwi i po cichu podeszła do bliżej. Kobieta popatrzyła na nią i się uśmiechnęła. Komendant zaraz rozpoznała patolożkę Helle Englund, wyjątkową przyjaciółkę Lene Jensen.

– To jakaś nowa aplikacja? – zagaiła.

– Teraz do wszystkiego są aplikacje. Ta mierzy temperaturę w odbycie. I jest niesamowicie dokładna.

Charlotte pokiwała głową i spojrzała na twarz zmarłej. Prawe niebieskie oko patrzyło ślepo w sufit, a z lewego na kilka centymetrów sterczała srebrna wygięta sonda. Lekko rozchylone wargi ukazywały idealne uzębienie. Krew z oka utworzyła rozgałęzioną deltę na twarzy, szyi i klatce piersiowej. Sutki były małe i ciemnobrązowe. Srom gładko wygolony.

Lekarka wyjęła termometr z odbytu Irene, zdjęła z niego prezerwatywę, a zgłębnik razem z przewodem włożyła do plastikowej torebki. Potem wstała i przez chwilę obie stały ramię w ramię i przyglądały się pięknym kobiecym zwłokom.

Charlotte wskazała na makabryczne narzędzie zbrodni.

– Co to jest?

– Myślę, że to zabytkowa igła do balsamowania. Używano jej do wstrzykiwania płynu balsamującego albo formaldehydu do dużych żył zmarłego. Widziałam takie w muzeum historii medycyny.

– Odrażające.

Lekarka pokiwała głową.

– Tak. To dość makabryczne narzędzie. I niezbyt skuteczne.

Charlotte spojrzała na nią zaskoczona. Poczowała lekkie mdłości.

– Nie? Sądziłabym raczej, że kiedy ktoś wbija ci coś takiego do mózgu, to... Że to tak, jakby ci wcisnął główny wyłącznik?

– Sprawca niewątpliwie myślał tak samo – potwierdziła Englund. – Ale to działa tylko w filmach. W rzeczywistości opisano mnóstwo przypadków, w których ludzie, zwłaszcza Grenlandczycy, umieszczali w imadle dłuto i próbowali popełnić samobójstwo, mocno uderzając w nie głową. I jeśli ktoś miał pecha... albo szczęście nie trafić w żadną z ważnych tętnic w mózgu, to tak naprawdę niewiele się działo. Utrata przytomności, być może mimowolne skurcze, ale nie zgon. Sam mózg jako organ jest niewrażliwy. Nie reaguje na ból, zimno, ciepło ani dotyk.

– I co się wtedy dzieje z człowiekiem?

– Niektórzy stoją przy imadle i czekają, aż ktoś ich znajdzie. Ale są i tacy, którzy wyjmują dłuto z imadła i idą do domu zadzwonić na pogotowie.

Charlotte patrzyła na nią osłupiała.

– Wkręcasz mnie...

– Nie, nie wkręcam. – Znów się uśmiechnęła. Miała przerwę między zębami, która w sumie dodawała jej uroku. Wskazała na podłogę. – Na podłodze widać charakterystyczny okrągły krwawy ślad, który zaczyna się i kończy przy biurku. Moja wstępna hipoteza jest taka, że w chwili, gdy otrzymała cios, stała plecami do biurka. Igła uszkodziła korę ruchową, to znaczy istotę białą po lewej stronie mózgu, która porusza prawą ręką i nogą, ponieważ nerwy się krzyżują. Mogła chodzić, ale tylko w prawą stronę, czyli zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Obeszła pokój, ale wróciła do punktu wyjścia. I zabójcy, oczywiście. Być może wiedziała, że musi uciekać, ale nie była w stanie wyjść z pokoju. Mogła tylko...

– Wystarczy już!

Lekarka popatrzyła na Charlotte zaskoczona. Mówiła o tym, jakby chodziło o cenę mleka albo zwycięzcę *X-Factora*. Dla niej był to temat jak każdy inny, ale dla pani komendant zdecydowanie nie.

Charlotte była najpierw pełnomocniczką, a potem szefową gabinetu ministra sprawiedliwości, zanim złożyła podanie o pracę w Komendzie Głównej. Miała dość powierzchowną wiedzę na temat procedur i czynności w miejscu zdarzenia oraz praktycznych aspektów wyjaśniania zabójstw, ale nadrabiała inteligencją i bogatą wyobraźnią. Była to jedna z rzeczy, które Lene często jej zarzucała. Że nigdy nie pracowała w terenie.

Teraz podniosła rękę i uśmiechnęła się blado.

– Dzięki. Już rozumiem, a resztę potrafię sobie wyobrazić aż nazbyt realistycznie. Co zatem ją zabiło, skoro nie to coś, co ma... w mózgu? – Charlotte odchrząknęła głośno.

– Została uduszona tym – odparła lekarka i wskazała na miękką okrągłą poduszkę, którą jeden z kryminalistów wpychał właśnie do foliowego worka.

– Poduszka jest cała we krwi. Obstawiam, że sprawca stracił cierpliwość, zimną krew albo nie miał czasu dłużej czekać, więc położył ją na podłodze i docisnął poduszkę do twarzy.

– Wydaje się logiczne – przytaknęła Charlotte. – O której zmarła?

– Jej temperatura wewnętrzna to dwadzieścia sześć koma siedem stopni Celsjusza, a temperatura w pokoju to dziewiętnaście koma dwa stopnia. – Lekarka odnalazła w telefonie tabelę. – Około trzeciej dwadzieścia.

– Była z kimś? Jest ubrana dość... swobodnie?

– W pochwie nie ma spermy ani żadnych otarć czy obrażeń w obrębie miednicy, ale muszę ją obejrzeć w zakładzie, żeby móc powiedzieć coś

konkretnego.

Charlotte pokiwała głową i się rozejrzała. Wyglądało na to, że w kuchni akurat nikogo nie było. Pociągnęła za sobą lekarkę w tamtą stronę i zamknęła za nimi drzwi.

– Usiądź. – Wskazała krzesło przy długim rustykalnym stole.

Patolożka posłuchała i patrzyła na nią zaintrygowana.

Charlotte musiała się chwilę namyślić. Nie bardzo wiedziała, jak zacząć, więc otworzyła drzwi dużej lodówki ze stali nierdzewnej. Wewnątrz znajdowały się same drogie ekologiczne produkty. Duży wybór warzyw i owoców, prawie żadnych produktów mlecznych, za to dwie nieotwarte torby z wczorajszą datą i logo jednego z najlepszych sklepów rybnych w Kopenhadze. Oraz trzy butelki szampana Möet & Chandon. Można się było domyślić, że osoba taka jak Irene zawsze była przygotowana na niezapowiedzianych gości i pewnie często miała do uczczenia nowy grant albo artykuł w „Nature” czy „Lancecie”.

Zamknęła lodówkę, usiadła na wprost lekarki i splótła dłonie na stole.

– Helle... Bo masz na imię Helle, prawda?

Kobieta przytaknęła z uśmiechem, a Charlotte mówiła dalej:

– Wszystko, i mówię to ze śmiertelną powagą, absolutnie wszystko, co tu zostanie powiedziane przez najbliższych kilka minut, musi zostać między nami, rozumiesz? Zadam ci kilka pytań i proszę, abyś odpowiedziała tak jasno i szczerze, jak tylko jesteś w stanie, dobrze? To ważne.

– Oczywiście.

– Znasz komisarz Lene Jensen, prawda?

– Znam. Oczywiście nie prywatnie, ale... tak, znam ją.

Charlotte popatrzyła na swoje paznokcie. Powinna je spiłować.

– Mam świadomość, że nie jesteś psychiatrką ani psycholożką, mimo to interesuje mnie: jak ty, jako lekarka ją oceniasz? Wiem, że spotkałyście się niedawno i że pracowałyście razem przy innych sprawach. Czy ona... Czy twoim zdaniem wszystko z nią w porządku?

Kobieta pokiwała głową.

– Zdecydowanie tak. Jest wyczerpana i przygnębiona. Może nawet cierpi na kliniczną depresję. Kto by nie cierpiał? Obwinia się o to, co się stało z jej córką. I choć to potworne, pośrednio niestety ma rację. To piekielnie bolesne i uważam, że to właśnie stanowi sedno problemu. Ta świadomość nie zniknie tak po prostu. Ale Lene ma silny charakter, jest bardzo wytrzymała. Funkcjonuje mimo wszystko. Rozumiem, dlaczego o to pytasz, lecz ona jest

zmotywowana i skupiona na działaniu, powierzyłabym jej własne życie, jeśli to nie brzmi zbyt egzaltowanie.

Czubki palców Charlotte nakreśliły na stole kwadrat. Miała ochotę się uśmiechnąć, ale uznała, że to byłoby nie na miejscu. Z neutralnym wyrazem twarzy powiedziała tylko:

– Nie, Helle, to nie brzmi egzaltowanie. Ani trochę. I niewykluczone, że życie wielu osób będzie w istocie od niej zależało. Czyli według ciebie ona nie oszalała? Nie postradała zmysłów?

– Absolutnie nie.

– Dziękuję. A teraz przejdźmy do Ain Ghazzawi Rasmussen. Jak rozumiesz, znalazłaś w jej krwi coś w rodzaju zmodyfikowanego LSD?

– To prawda, znaleźliśmy. Niewielkie ilości i głównie były to produkty rozkładu, ale tak, zgadza się. Substancja była obecna zarówno w jej krwi, jak i w płynie mózgowo-rdzeniowym.

Charlotte zmarszczyła czoło.

– Mówisz, że to były produkty rozkładu? Czyli nie była pod wpływem narkotyku, kiedy została potrącona? Nie była zamroczona czy zdezorientowana?

– Trudno powiedzieć, ale nie, wedle mojej oceny nie była. Tak naprawdę chyba nikt nie wie, ile wynoszą „lecnicze” dawki tego narkotyku. Oczywiście poza tymi, którzy go produkują i nim administrują. Tak czy inaczej w chwili zgonu większość substancji została wydalona z organizmu.

– I jak myślisz, kto mógł jej to dać?

Helle Englund spojrzała w kierunku drzwi i uniosła brew.

– Lene uważała, że Irene Adler, ale chyba nie miała żadnych dowodów.

– I można tego używać jako czegoś w rodzaju serum prawdy? – dopytywała komendant.

– Wiadomo, że raczej się o tym nie pisze ani nie dyskutuje otwarcie na sympozjach, ale wiele osób twierdzi, że substancja jest stosowana przez służby wywiadowcze. To bardziej dyskretne niż waterboarding czy tradycyjne tortury. Mamy wręcz do czynienia z czymś w rodzaju renesansu LSD. Po rozmowie z Lene popytałam wśród kolegów z zagranicy i dosłownie każdy twierdzi, że zetknął się ze sprawami, w których podejrzewa zastosowanie LSD w celu uzyskania zeznań. A mówimy o tak zwanych cywilizowanych krajach.

Charlotte wstała i otworzyła drzwi.



– Bardzo ci dziękuję – oznajmiła. – Ogromnie mi pomogłaś. Naprawdę. Doceniam to.

\* \* \*

Komendant porozmawiała chwilę z najstarszym z kryminalistów, Arnem, znanym z bycia zgryźliwym, ale piekielnie zdolnym i lojalnym. Chciała się upewnić, że natychmiast ją poinformuje, jeśli natrafi na kartoteki, listy albo jakiegokolwiek dokumenty elektroniczne na temat pacjentów leczonych w specjalnym ośrodku Irene Adler.

Powiedział, że na razie niczego nie znaleźli, i już miał się podrapać po karku zakrwawioną rękawiczką, ale się zreflektował. W ogóle nie znaleźli na razie żadnego komputera.

– A ślady włamania?

– Żadnych.

– Czyli znała zabójcę?

– W przeciwnym razie była niesłychanie ufna, skoro wpuściła go o wpół do czwartej rano – stwierdził. – W drzwiach zresztą nie ma wizjera.

Charlotte pokiwała głową. Nie sądziła, aby Irene Adler była osobą naiwną czy łatwowierną.

– Kto ją znalazł?

– Gazeciarz. Od lat przynosił jej gazetę i jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby drzwi wejściowe były otwarte. Pomyślał, że coś się stało, i wszedł.

– Drzwi były otwarte? – powtórzyła jakby do siebie.

Arne znów o mały włosy by się podrapał. Jeśli wszystko będzie musiał powtarzać, to ta rozmowa potrwa wieki.

– Tak.

– A jej telefon?

– Leżał w kuchni. Ostatnie połączenie było wczoraj po południu. Zadzwoiła do jednego naukowca z San Diego. Żadnych połączeń przychodzących. Niestety.

– Dziękuję, Arne.

– Nie ma sprawy.

Charlotte ruszyła ścieżką do furtki. W większości okien po drugiej stronie ulicy już pogaszono światła. Mondeo oficerów PET odjechało. Jak sama zauważyła, Irene Adler była ubrana bardzo swobodnie. To nie był przypadek. Oczekiwała kochanka, a nie zabójcy. I oczywiście nie Lene.

Westchnęła. Atrakcyjna psychiatrka miała pewnie mnóstwo znajomych.

\* \* \*

Michaelowi śniła się Somalia. Choć należałoby raczej powiedzieć, że w stanie półprzytomnym przetwarzał pewne chaotyczne i trudne sytuacje. Od metalicznego skwaru, który sprawiał, że powietrze tańczyło nad ciągnącymi się w nieskończoność niskimi brązowymi wzgórzami, aż po nieliczne stado hien, które zobaczył raz wczesnym rankiem, gdy przekraczało wyschnięte koryto rzeki przy obozowisku piratów. Zwierzęta szły ze zwieszonymi głowami, kwadratowymi i ciężkimi, a ich futra w porannym słońcu świeciły na czerwono.

Leżał nieruchomo wśród bloków skalnych jakieś trzysta metrów od obozowiska zasłonięty siatką kamuflującą. Na optyczny celownik karabinu nałożył kawałek gazy, żeby odbijające się światło nie zdradziło jego pozycji.

Leżał tak dwie doby, w spiekocie i ciszy przerywanej tylko bzyczeniem owadów i sporadycznymi krótkimi rozmowami przez telefon satelitarny z koordynatorem kierującym akcją z duńskiego okrętu wojennego w Zatoce Adeńskiej. Słońce było jak bezwzględna rozpalona do białości dziura w bezchmurnym niebie. W pewnym momencie zobaczył, jak chudzi somalijscy chłopcy, odurzeni khatem, który żuli niemal bez przerwy, wywlekli duńskich żeglarzy i trzy niemieckie zakonnice z nagrzaną jak patelnia szopy z blachy falistej i dla zabawy kazali im biegać między dwoma rzędami wycelowanych w nich luf kałasznikowów albo strzelali w ziemię zmuszając ich do „tańca”. Na koniec kazali im się położyć na plecach i oddawali na nich mocz. To byli młodzi chłopcy, a szykany – stosunkowo niewinne. Michael widział znacznie gorsze rzeczy. Mężczyźni nie zostali na przykład okaleczeni, a zakonnice zgwałcone. Te dzieci po prostu się nudziły.

I nie tylko one. Michael nudził się tak samo, jak musieli się nudzić zakładnicy. Woda w bukłakach, którą skrzętnie popijał, zrobiła się ciepła i ohydna w smaku, mimo że ją odkaził odrobiną azotanu srebra. Poza tym jego obecność tutaj była najprawdopodobniej całkiem zbędna. Był przekonany, że w tej wąskiej dolinie znajdowali się również albo komandosi z samego Korpusu Łowców, albo brytyjscy SAS-i, ewentualnie amerykańscy sealsi. Zagrzebani w ziemi, jak on. Niewidoczni. Czujni. Michael był tam tylko po to, by móc zapewnić armatora, że wszystko poszło jak należy.

Owady doprowadzały go do szału. Były wszędzie. Żyły, rosły, wykluwały się pod jego skórą, a on nie mógł użyć żadnego środka odstraszającego, bo wówczas chude kundle pilnujące obozowiska wyniuchałyby to i się zaciekały.

Trzeciej nocy, dziesięć minut przed świtem, kiedy za sterem stanął ktoś odpowiednio wysoko postawiony i mający moc decyzyjną, a analitycy dali zielone światło, w końcu przyszedł rozkaz odbicia zakładników.

Do ostatniej chwili – i wyłącznie na pilnie strzeżonym paśmie eteru – zastanawiano się, czy uwolnić również zakonnice. Piraci z Asz-Szabab zażądali oczywiście za nie okupu od Zakonu Serca Jezusowego, a tym samym głowy Kościoła katolickiego w Rzymie, ale Michael nie miał pojęcia, czego chcieli. Fontanny? Pomnika konnego? Czterech środkowych metrów kwadratowych Kaplicy Sykstyńskiej? Wszyscy wiedzieli, że trzy młode Niemki umrą ze starości, zanim mędracy w Watykanie przyznają, że mają pewien kłopot w Rogu Afryki. Dlatego postanowiono objąć akcją również kobiety.

Kiedy przyszedł sygnał, Michael założył okulary noktowizyjne. Splótł dłonie pod brodą, nastawił uszu i próbował zignorować nękające go robactwo. Nie słyszał, jak na lądowisko po drugiej stronie gór nadleciały helikoptery, ale dostrzegł wyczekiwaną grupę zaledwie kilku postaci, które na granicy między nocą a dniem przemykały przez grań. W obozowisku między namiotami i rozpadającymi się budami z blachy falistej, w których zakładników zamknięto na noc, nie było żadnego ruchu. Wyglądało na to, że nawet psy spały kamiennym snem. Grupa rozpierzchła się po okolicy i pięć minut później ściany namiotów i bud na ułamek sekundy rozjaśniły pojedyncze niebieskie płomienie wystrzałów. Wszystko zdawało się iść zgodnie z planem.

Mieli nie brać jeńców i nie zostawiać nikogo żywego. Dlatego Michael zaskoczony podniósł głowę, kiedy ze stojącej w pewnym oddaleniu obozowej latryny wyłoniła się długa szczupła postać i pobiegła między wzgórz. Zrobiło się jasno. Michael widział, jak koszula zawija się wokół długich chudych nóg. Sandały wzbijały małe kłęby pyłu w lekkim porannym wietrze.

Zaklął, kiedy dostrzegł w ręce uciekiniera czarny, kwadratowy przedmiot. Radio albo telefon satelitarny. Chłopak na moment zniknął za wzniesieniem, ale zaraz pojawił się znowu, dysząc ciężko, przywarł całym ciałem do skalnej ściany. Musiał być przerażony. Pochylił się nad urządzeniem i coś przy nim robił. Michael błyskawicznie chwycił swój niezawodny wy-

tłumiony karabin snajperski, rozłożył statyw i zdjął klapki z długiej lunety Schmidt & Bender. Postać kuciała z telefonem przy głowie. Kaptur dżelaby pozwalał Michaelowi zobaczyć w krzyżu celownika jedynie fragment szyi i prawą część pleców.

Przeładował i wciągnął głęboko powietrze. Nie było czasu ani wyboru. Jeśli chłopak wezwał posiłki, to zanim nadciągną, komandosi i zakładnicy już dawno znikną cali i zdrowi w helikopterach. Michael nie miał tego luksusu. Po niego nic nie przyleci. On mógł – albo i nie – liczyć co najwyżej na furgonetkę isuzu starszą niż piramidy i kierowaną przez zezowatego chłopaka bez zegarka, który mniej więcej obiecał, że go wydostanie z doliny.

To była decyzja wojskowa i biurokratyczna. Korpus Łowców w żadnym razie nie mógł brać na siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo cywila, nawet tak doświadczonego i profesjonalnego jak on. O ile więc młody kierowca w ogóle się pojawi, zgodnie z umową ma ukryć Michaela pod workami z prosem i skrzynkami z cebulą i zawieźć na spokojną plażę na północ od Hordio. I jeśli głównodowodzący duńskiego okrętu uzna, że teren jest bezpieczny, wyśle po niego gumowy ponton marynarki wojennej. Wyszkołenie elitarnych żołnierzy było kosztowne, dlatego najchętniej wysyłano ich na miejskie festyny, żeby dawali pokazy skoków ze spadochronem.

Przywołani na pomoc piraci będą mieli tylko jego za cel w wąskiej, odsłoniętej dolinie i wynik tej konfrontacji mógł być tylko jeden. Jeśli Michaelowi dopisze szczęście, zabiją go od razu.

Wypuścił powietrze do połowy i oddał strzał. Odległość była tak duża, że minęła prawie sekunda, zanim długa koszula chłopaka wzbijała tuman kurzu. Postać upadła w przód i przybrała postawę jak do modlitwy. Michael długo ją obserwował, ale się nie poruszyła. W celowniku widział natomiast wyraźnie różowe podeszwy stóp chłopaka.

W dole przy obozie pojawiło się sześciu komandosów. Nieśli na noszach dwóch marynarzy. Zakonnice były przetrzymywane tylko przez miesiąc i mogły samodzielnie truchtać. Cała grupa zniknęła między wzgórzami w kierunku przeciwnym niż uciekinier.

\* \* \*

Michael zwinął swój minibiwak i szybko ruszył przez dolinę w jego stronę. Było to skrajnie nierozsądne, ale od chwili, gdy zobaczył oddalającego się

od obozu chłopaka, wiedział, że coś tu nie gra.

Przecisnął się między blokami skalnymi wielkości domu i zbliżał się do ciała od tyłu, ostrożnie, z odbezpieczonym pistoletem w ręce i lufą wymierzoną w głowę klęczącego. Kiedy był jakiś metr od niego, schował broń do kabury. Kula karabinu trafiła go w plecy, najprawdopodobniej zginął na miejscu. Poobijany telefon satelitarny Thuraya leżał dwa metry dalej. Michael podniósł go i sprawdził wychodzące połączenia. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że ostatnie wykonano dwa dni wcześniej.

Złapał chłopaka za ramię i przewrócił go na plecy.

Po chwili wstał i wstrząśnięty patrzył na twarz otoczoną białym kapturem dżelaby. Dziewczyna miała góra szesnaście lat. Czarne kędzierzawe włosy były splecione z czerwoną włóczką w misterny wzór z kilkudziesięciu wąskich warkoczyków. Wykonanie tego geometrycznego arcydzieła musiało wymagać nadludzkiej cierpliwości. Krwawa rana wylotowa znajdowała się w prawej piersi dziewczyny, wielkości połówki jabłka. Michael odsunął sztywny zakrwawiony materiał, a dziewczyna miauknęła jak kocię. W ranie bulgotała odrobina krwi płucnej. Ziemia i skała pod nią były czerwono-brązowe. Jej ładna, drobna twarz poszarzała. Dziewczynę cechowała wysoka i szczupła sylwetka. Somalijki należały do najwyższych i najszuplejszych kobiet na świecie.

Dużymi ciemnymi oczami śledziła przez chwilę badawcze ruchy jego rąk, a potem opuściła powieki. Klatka piersiowa się uniosła, opadła i było po wszystkim.

Dziewczyna obie dłonie trzymała na podbrzuszu, jakby próbowała się zasłonić. Jej ręce leżały tam przez cały czas, kiedy Michael ją przeszukiwał. Na koniec delikatnie je podniósł, żeby zajrzeć pod koszulę.

Zanim się oddalił, zasłonił jej twarz kapturem i pochował dziewczynę, obkładając jej ciało tyłoma kamieniami, ile zdołał znaleźć.

\* \* \*

Patrzył na odsłonięte krokwie i przez chwilę nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Miał potwornego kaca i smak skarpet biskupa w ustach, jak mawiali Anglicy. I nawet bez sprawdzania wiedział, że Lene zniknęła.

Głośno stękając, wstał z zaimprovizowanego łóżka. Rozprostował kości. Przez kilka godzin spał poskręcany na dwóch zsuniętych fotelach i teraz bał się, że nigdy już nie będzie mógł normalnie chodzić.

Było wpół do ósmej rano. Szybko się też zorientował, że tym, co go obudziło, nie były amerykańskie helikoptery Blackhawk w Somalii, lecz duńskie helikoptery policyjne, które od samego rana patrolowały niebo nad Kopenhagą.

Lene starannie pościeliła łóżko. Wsunął rękę pod kołdrę, która nią pachniała. Materac był jeszcze ciepły. Jej sportowa torba stała w nogach łóżka, a lustro w łazience pokrywała para.

Michael wziął ciepły prysznic i stopniowo obniżał temperaturę, aż na koniec stał nieruchomo pod lodowatym strumieniem i zaciskał zęby, żeby nie krzyczeć.

Wysikał się i z niepokojem obserwował swój mocz. Tak brązowy jak dziś jeszcze nigdy nie był. Gorączka czarnej wody. Czy nie tak nazywano ostatnie stadium malarii, kiedy człowiek szcza krwią, a nerki są pożerane przez pasożyty?

Mroczny kontynent. Czytał gdzieś, że naznacza człowieka na zawsze. To prawda.

Wytarł się, stojąc przed lustrem, a kiedy mył zęby, usłyszał, że ktoś wszedł do przedpokoju.

– Lene?

– Tak.

Założył spodnie, połknął kilka tabletek ibuprofenu i paracetamolu i wyszedł z łazienki. Wyglądała zaskakująco świeżo i o dziesięć lat młodziej. Umyte włosy zaczesła gładko do tyłu i związała w kucyk. Kilkunastogodzinny sen zdziałał cuda. Jej oczy były jasne, wargi rozluźnione.

Podniosła dwa duże kubki i papierową torbę.

– Kawa. Croissanty. Papierosy. Zauważyłam, że ci się skończyły.

– Dzięki, ale mogłaś zadzwonić po room service. Działają całą dobę, a ich kawa jest całkiem okej – stwierdził rozdrażniony.

Wzruszyła ramionami. Głowę też poruszała bardziej naturalnie, a siniaka na szyi zasłoniła miękkim szarym szalem.

– Miałam ochotę się przejść. Przestało padać. Prawie czuć wiosnę w powietrzu.

– O której wstałaś?

– Jakies dwie godziny temu. Chodź, napij się kawy, zanim wystygnie.

– Kupiłem ci tabletki nasenne – przypomniał jej.

Zaczerwieniła się.

– Nie wiem, jak to się stało. Naprawdę. Czuję się fantastycznie. Nie rozumiem tego. Bardzo ci dziękuję. Myślę...

– Co myślisz?

– Że... zresztą, nieważne. Dziwne, ale dobrze jest nie być samej.

– Dzięki.

Usiedli na kanapie. Michael zjadł najpierw croissanta, a potem poprawił cynamonowym zawijasem. Wypił kawę i powoli zaczynał się czuć jak człowiek. Lene czytała poranne gazety. Było miło, spokojnie i niezobowiązująco. Jakby dzielili ze sobą przedział w podróży w jakieś przyjemne miejsce.

Podszedł do otwartych drzwi balkonowych z kawą i pierwszym tego dnia papierosem.

– Zabiłem w Somalii dziewczynę – powiedział, patrząc na pusty port. – Nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat. Strzeliłem jej w plecy.

Obejrzał się przez ramię, żeby sprawdzić jej reakcję. Lene skończyła żuć, przełknęła i wytarła usta serwetką. Następnie starannie ją złożyła, zanim powiedziała:

– To potworne, Michael. Przerażające. Nie wiem, co powiedzieć, ale domyślam się, że nie zrobiłeś tego z nudów.

Potarł twarz, a szorstki zarost drapał w dłonie.

– Nie, nie zrobiłem tego z nudów – wymamrotał. – Sądziłem, że próbuje wezwać pomoc. Byłem zdany na siebie i wiedziałem, że gdyby nadeszły posiłki, nie miałbym szans się wydostać z tej przeklętej doliny. Oraz myślałem, że była młodym mężczyzną. Facetem.

– A to jakaś różnica, czy była chłopakiem czy dziewczyną?

– Pewnie nie powinno być żadnej różnicy, ale o dziwo jest. Zwłaszcza w tym przypadku. Była w ciąży. Myślę, że w czwartym albo piątym miesiącu.

– To dlatego nie wróciłeś do domu?

Zmarszczył czoło i zastanowił się chwilę.

– Nie... albo tak, chyba tak. Nie wiem. Możliwe, że to jeden z powodów.

Lene podeszła do niego, stanęła obok i oparła ręce na balustradzie. Potem patrzyła na niego, nie mrugając, i położyła dłoń na jego ramieniu. Mógł teraz do niej dotrzeć, wystarczyłby jeden krótki, bardzo krótki ruch. Ale zamiast tego wyminął ją bokiem i usiadł przy biurku. Włączył komputer i czekał.

– W każdym razie, kiedy leżałaś nieprzytomna w moim łóżku, ja przez większą część nocy ciężko pracowałem – oznajmił. – Ciężko i konstruktyw-

nie.

Przysunęła sobie fotel i usiadła obok niego.

– Poszczyliło ci się?

– Ain nie popełniła samobójstwa. Jestem tego w stu procentach pewien.

Czyli miałaś rację.

– Na pewno, Michael?

– Całkowicie.

Jej ramiona opadły o parę centymetrów. Bezwiednie dotknęła twarzy i patrzyła na niego znad czubków palców, długich i wąskich.

– *Fuck...* przepraszam. Po prostu... Ja to cały czas wiedziałam, a wszyscy cały czas mi wmawiali, że jestem...

– Nieracjonalna?

– Tak, albo jeszcze gorzej.

Michael pokazał jej wybrane fragmenty nagrań. Między innymi nieruchomego obserwatora na schodach.

– Ten tutaj. Albo ta. Po prostu tam stoi. Ma duże stopy i brzydkie buty, więc może jednak mężczyzna. Ktoś, kogo Ain zna i kogo się panicznie boi. Kilka razy ogląda się za siebie, kiedy z tobą rozmawia. Zgadza się?

– Dokładnie. Mówiła chaotycznie i była przerażona.

– Cały czas skupiała się na obserwowaniu postaci na schodach i dlatego się nie zorientowała, gdy ktoś odciął jej drogę z przodu. Zabójca wmieszał się w grupę skejtów. Tak jak oni, ma bluzę z kapturem i puchówkę. Ale nie ma deskorolki.

Zatrzymał obraz w momencie, gdy Ain się zatrzymuje, podnosi głowę i wyłapuje zapach.

– Poczula coś. Zapach, którego nie powinno tam być – domyśliła się Lene.

Michael z irytacją uniósł brew. To była jego wnikliwa kwestia. I nie mógł się doczekać, aż ją wygłosi.

– To kobieta przebrana za chłopaka – ciągnęła Lene w skupieniu. – Ale zapomniała o perfumach.

– Kurwa. Mnie dojście do tego zajęło cztery godziny. Jak...? Chyba naprawdę jestem chory.

Lene uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Myślisz, że twoja choroba tropikalna zaatakowała mózg?

Odsunął krzesło i wstał.

– Tak. Skończę jako warzywo w śliniaku i pielusze.



– To oczywiście jedyne możliwe wyjaśnienie.

– To prawda!

Lene pochyliła się nad ekranem.

– Ale dlaczego? Dlaczego należało ją zabić? Przecież ona była tylko...

– Pionkiem na szachownicy – dokończył. – Ain była użyteczna, a kiedy przestała być, to można ją było strącić z szachownicy. Wpuściła ich do Tivoli i świadomie lub nie, udostępniła im swoje mieszkanie. Wnioskując po tym, co ci opowiadała przez telefon, wydaje się, że dopiero po czasie zrozumiała, co naprawdę zrobiła.

– Ale dlaczego teraz? Dlaczego musiała zginąć akurat teraz?

– Bo oni wracają. Wiedzieli, że Ain zaczęła z tobą rozmawiać. I że ty jesteś z policji.

– Kto ją zabił? – spytała Lene.

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

– Zdecydowanie.

Popatrzył na nią.

– Mam wrażenie, że to dla ciebie ważne. Nie mylę się, prawda?

Zmarszczyła brwi.

– Oczywiście.

– Nawet jeśli istnieje ryzyko, że zniszczysz operację specjalną PET? To już nie jest twoja prywatna sprawa. Tu nie chodzi o ciebie i telefon zaufania, o to, co mogłaś zrobić, ale nie zrobiłaś, i tak dalej.

– Michael, a co, jeśli oni się mylą? Co, jeśli chronią niewłaściwą osobę?

– Nie masz żadnych podstaw sądzić, że się mylą.

– Wiem. Mam po prostu takie...

– Przeczucie?

Michael patrzył na nią z rezygnacją. Wciąż nie był pewien, z kim powinien trzymać, a kogo powstrzymać. Kima Thomsena, który jest psychicznym wrakiem i nieobliczalnym psychopata, ale możliwe, że właśnie próbuje zapobiec kolejnemu atakowi terrorystycznemu, wykonując kawał dobrej wywiadowczej roboty? Czy Lene Jensen, która jest psychicznym wrakiem i nieobliczalną psychopatką, ale ma... przeczucie.

– Nad czym się zastanawiasz? – spytała i drugi raz tego dnia położyła dłoń na jego przedramieniu.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Chcesz jeszcze kawy?

\* \* \*

– A może posłużyli się Ain jeszcze jeden, ostatni raz – zaczęła Lene nieco później. – To oczywiście tylko teoria.

– Dawaj – zachęcił ją.

Lene przypomniała sobie, co mówił tamten amerykański ekspert od terroryzmu. Kiedy to było? Trzy dni temu... Trzy dni minęły od wykładu o nowych formach terroryzmu. A miała wrażenie, jakby to były trzy lata.

– Infiltracja siatki terrorystycznej dżihadystów jest prawie niemożliwa, co nie? Nawet gdyby się udało zwerbować jakiegoś odszczepieńca, któremu nie uśmiecha się zostać kolejnym męczennikiem, oferując mu azyl, pieniądze i nową tożsamość, to i tak nie można by w pełni polegać na jego informacjach. Taki ktoś byłby w stanie powiedzieć cokolwiek, prawda?

Michael rozglądał się za czymś, co mogłoby mu posłużyć za popielniczkę, i zapalił papierosa.

– Na tym między innymi polega ich siła – przytaknął. – Jeśli za dużo wiesz i jesteś w organizacji od dłuższego czasu, ale nie awansowałeś znacząco w hierarchii, to prędzej czy później ktoś z góry wskaże na ciebie palcem i powie: szahidzie, męczenniku! Gratuluję! Szkoda, że sam nie mogę!

– Zatem do infiltracji danej komórki lepiej użyć swojego agenta?

– Wiadomo. Tylko to jest już zupełnie niemożliwe. Oni się przecież wszyscy znają. Nawet jeśli nie znają od dziecka pozostałych członków organizacji, to zostali zwerbowani przez kogoś znajomego. Albo werbują osierocone dzieci ze szkół koranicznych. Zdemaskować cię może dosłownie wszystko: nie taki akcent, nie takie nazwisko, sposób, w jaki klękasz, jesz, witasz się albo modlisz. Twoja tożsamość musi się zgadzać w stu procentach. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wszyscy próbowali zainstalować informatora w grupie Safara Khana i nikomu się to nie udało. Poza tym musiałybyś im udowodnić, że naprawdę w to wierzysz...

– Że potrafisz zabić w imię sprawy?

– Tak.

– Na przykład Ain?

Michael spojrzał na nią przez niespokojną smugę dymu papierosowego. I rozłożył ręce.

– Tak, ale to tylko ostatni dowód, zwieńczenie procesu. Najpierw oni muszą ci zaufać. Zabójstwo jest wisienką na torcie. Rytuałem.

– Może tym właśnie Thomsen zajmował się w Afganistanie i Pakistanie – podsunęła Lene. – Może upiekł tort. Może to on stoi na schodach na stacji Nørreport.

– Duński policjant miałby uczestniczyć w zabójstwie dwudziestokilkuletniej dziewczyny? Lene, rozumem, że nie uważasz go za przesadnie miłego gościa, ale nie sądzisz, że to jednak zajebicie daleko posunięte...

– Wcale nie – przerwała mu. – On stracił wszystko. Nie rozumiesz? Stracił żonę i dwójkę dzieci. Spędził mnóstwo czasu w miejscach, w których ludzkie życie jest gównem, a jego koledzy z pracy uważają, że cel uświęca wszystko. Jeśli on wierzy, jeśli naprawdę jest przekonany, że może zapobiec śmierci setek osób, zabijając jedną, to robi to bez wahania. A potem może jeszcze jedną i kolejną... Moim zdaniem problem tkwi w tym, że on nie wie, kiedy ani jak się zatrzymać. – Spuściła wzrok. Patrząc na swoje splecione na kolanach ręce, mówiła dalej: – Michael, kiedy zmarła Josefine, coś się we mnie potrzaskało. Nie wiem, co to było, ale wiem, że już nigdy nie będę taka jak dawniej. Wszystko się rozmyło, stało się kompletnie obojętne. Zniknęła z dnia na dzień. Moje dziecko, które przez dwadzieścia trzy lata przy mnie było.

A przecież to ja powinnam zniknąć z jej życia, kiedyś, za wiele lat. Nie jestem sobie nawet w stanie wyobrazić, jak musi się czuć ktoś, kto jednego dnia stracił całą rodzinę... Myślę, że ja bym po czymś takim oszalała. W sensie jeszcze bardziej.

I szczerze mówiąc, miałabym w dupie, czy zginie ktoś jeszcze. Jedno życie w tę czy we w tę nie robiłoby mi już żadnej różnicy. Nie wiem, dlaczego Thomsenowi miałoby robić.

Lene wstała i szybko poszła do łazienki, gdzie się zamknęła i popatrzyła na siebie w lustrze. Coś ją dusiło. Coś nie pozwalało jej swobodnie oddychać. Nalała wody do umywalki i zanurzyła twarz. Czuła, jak bąbelki lecą jej z nosa i ust, i słyszała, jak w pokoju zadzwonił telefon Michaela. Woda wzmacniała dźwięk. Telefon dzwonił długo, zanim Michael odebrał. Mówił ściszym, opanowanym głosem.

Lene podniosła głowę i z trudem łapała powietrze. To taka sztuczka, którą stosowała, gdy rozpacz i panika ścisnęły jej gardło. Pomagała. Teraz też pomogła.

Zapukał do drzwi.

– Lene...? Lene?

– Ja pierdolę, daj mi dwie minuty, co? Nie widzisz, że...

Jego westchnienie było słyszalne nawet przez drzwi. Nikt nie umiał wzdychać tak głęboko i znacząco jak Michael. Może tylko duże, bardzo stare psy. Te westchnienia mogły oznaczać wszystko, od znudzenia, przez irytację, po rezygnację. To akurat oznaczało, że nieskończenie go irytowała.

– Ale to do ciebie! – zawołał ze złością. Miała nadzieję, że zasłonił telefon dłonią. – Twoja szefowa. Albo była szefowa...

– Charlotte?

– Tak, Charlotte. Mam jej powiedzieć, że się topisz w umywalce, kąpiesz z tosterem albo coś innego?

– Chwila.

Szybko wytarła twarz i włosy i otworzyła drzwi. Michael wręczył jej telefon.

– Dzwoniłam do ciebie z dziesięć razy. Nie masz telefonu? – zaczęła jej przełożona.

– Zepsuł się – odparła Lene. – Skąd masz numer Michaela i skąd wiedziałaś, że z nim jestem?

– Możemy to sobie zostawić na później?

Lene popatrzyła na Michaela, który stał przy balkonie, pił kawę i udawał, że nie podsłuchuje.

– Chyba możemy.

– Lene, Irene Adler nie żyje. Została znaleziona dziś rano w swoim salonie. Ktoś wbił jej upiorną antyczną igłę do balsamowania przez oko do mózgu. A gdy to jej nie zabiło, udusił ją poduszką.

Lene milczała.

– Byłam osobiście na miejscu zdarzenia – ciągnęła Charlotte, po czym chrząknęła i zaśmiała się zażenowana. – To nie byłaś ty, prawda? To znaczy... wiem, oczywiście, że nie.

– Nie, to nie byłam ja.

– W porządku, ale rozumiesz, że muszę cię zapytać, czy...

– Tak, rozumiem.

Znów ten całkiem do niej niepasujący nerwowy śmiech.

– Czyli masz alibi? Bo wiesz, dla nikogo nie jest tajemnicą, że za sobą nie przepadałyście.

– My też za sobą nie przepadamy, ale jakoś jeszcze cię nie zabiłam.

Lene przyjrzała się Michaelowi. Rzeczywiście wydawał się szczuplejszy i bledszy, niż kiedy go ostatnio widziała. Może naprawdę złapał jakąś tropikalną chorobę w tej Somalii? Z zaskoczeniem stwierdziła, że zaniepokoiła

ją ta myśl. Dlaczego u licha nie wraca do domu, do rodziny? Był z tym u lekarza? Leczy się jakoś?

– To prawda – powiedziała do słuchawki całkiem spokojnie. – Irene i ja nie przepadałyśmy za sobą. I owszem, mam coś w rodzaju alibi. Coś jeszcze?

Komendant wciągnęła powietrze, a potem bez słowa je wydmuchała. W końcu spytała:

– To znaczy? Twoim zdaniem to za mało? Sądziłam, że będziesz...

– Wczoraj rano mnie zawiesiłaś, pamiętasz? Posłuchałam więc twojej rady i zapisałam się na kurs akwareli w Toskanii. I szczerze mówiąc, nie mogę się go doczekać – dodała uszczypliwie.

– Naprawdę to zrobiłam? Nic takiego nie pamiętam. Ale jeśli cię zawiesiłam, to mogę cię chyba odwieść.

– Chyba możesz – przyznała Lene po chwili. – Dobra, niech będzie. Więc kim jest człowiek Thomsena, Charlotte? Informatorem? Mesjaszem?

Kątem oka dostrzegła, że Michael się odwrócił.

– Zapomnij! To najbardziej bezczelny, brutalny i ohydny szantaż, z jakim się w życiu zetknęłam. Ty masz swoją urażoną próżność, ale ja odpowiadam za trzydziestu ministrów, członków ich delegacji i żydowskiego laureata nagrody, który ląduje w Kopenhadze za trzy godziny. Więc jeśli... podkreślam: *jeśli* Thomsen albo ktokolwiek inny z PET ma wiedzę na temat możliwego ataku terrorystycznego na terenie Danii, to jest to sprawa wyłącznie szefa PET, oficera prowadzącego i moja. Tak po prostu jest.

Lene domyśliła się z tonu szefowej, że w tej kwestii się nie ugnie.

– Ain nie popełniła samobójstwa – zmieniła temat. – Została wepchnięta na tory. Tak wynika z monitoringu ze stacji. Oboje z Michaeliem widzieliśmy, że zabójstwa dokonała niezidentyfikowana kobieta.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent.

– Motyw?

– Stała się balastem. Naszym zdaniem nie wiedziała, co robi, kiedy pomagała Nabilowi Marounowi. Oczywiście z czasem się tego domyśliła i wtedy zaczęła dzwonić do mnie na Linię Życia i chodzić do psychiatry. W którymś momencie musiała się wygadać niewłaściwej osobie.

Lene zwróciła uwagę, że dziwnie łatwo przeszło jej przez usta słowo „naszym”. Jakby dzięki liczbie mnogiej miało większą wagę.

– Tego, że nie wiedziała, co robi, nie możecie być pewni – zaprotestowała Charlotte.

– *Ja* jestem pewna. Na razie to ci musi wystarczyć, zanim nie znajdę dowodów, które gdzieś na pewno są. Jeśli mam wrócić do pracy, będę musiała dokończyć tę sprawę. Znałam tę dziewczynę i powinnam była jej pomóc, zamiast ją przekonywać, że ma paranoję.

– Chcesz powiedzieć, że nie odpuszczysz, dopóki się nie dowiesz, czy Ain była królikiem doświadczalnym Irene Adler, tak?

– Dokładnie.

Odpowiedź Charlotte była jasna i precyzyjna jak zawsze:

– Lene, przecież tego się nie da zrobić w tak krótkim czasie. Aby ocenić jej pracę, trzeba powołać międzynarodową komisję ekspertów. A o ile mi wiadomo, z jej ośrodkiem jest związanych sześciu wysokich rangą pracowników naukowych i około dziesięciu doktorantów, do tego jest promotorką Bóg wie ilu studentów zagranicznych. Wszyscy oni są lojalni i zależni od grantów. Odnalezienie liczb i protokołów, których szukasz, potrwa miesiące, jeśli nie lata. Rozumiesz to przecież, prawda?

Lene potarła czoło. Jej chwila triumfu i satysfakcji minęła. Charlotte miała rację. Dokumentacja nielegalnych doświadczeń Irene Adler z LSD na bank była zaszyfrowana i ukryta na dnie jakiegoś dysku w dalekiej otchłani cyberprzestrzeni. Albo zapisana na serwerze iCloud i całkiem nieosiągalna.

– Tak, pewnie masz rację – wymamrotała i niechętnie wrzuciła w mózgu pierwszy bieg policyjnego rzemiosła: – Były ślady włamania? Wybite okna albo zamki?

– Drzwi wejściowe były otwarte. Znalazł ją gazeciarz.

– Czyli знаła sprawcę, a ten chciał, żeby jak najszybciej ją znaleziono. To ciekawe. Zwykle zabójcy starają się, żeby możliwie...

– Tak, Lene, wiem. I wiem, że w twoim odczuciu moja praktyczna znajomość kryminalistyki jest nieistniejąca.

Lene nie zaprzeczyła. Bo to była prawda.

– Już tam jadę – oznajmiła po prostu.

– Spokojnie. Wypij sobie poranną kawę. Technikom zejdzie tam jeszcze co najmniej godzinę. Cieszę się, że się do ciebie dodzwoniłam. Wydajesz się w lepszej formie. Dużo lepszej.

– Tak. Dzięki. Cześć.

– Pozdrów Michaela. Ach, Lene?

– Tak?

– Rozmawiałam z Thomsenem. Przykro mi z powodu tej historii z Bjar-nem. Jestem pewna, że więcej nie będzie przeszkadzał ani jemu, ani tobie.

– Dzięki.

– Możesz mi obiecać to samo?

– Oczywiście – zapewniła ją Lene ciepło i nieszczerze. – Oczywiście, że pozwolę mu pracować w spokoju. Rozumiem, jakie to ważne.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Absolutnie. Cześć.

Zwróciła telefon Michaelowi.

– Zostałam odwiedzona – oznajmiła.

– Gratulacje.

– Ktoś zabił Irene Adler.

– Niemal jestem w stanie go zrozumieć.

– Co? No tak... Ale to dziwne... Dziwne, że bardzo wyraźnie pamiętam narzędzie zbrodni.

– Niech zgadnę: kindżał? Halabarda? Replika gilotyny?

– Zabytkowa, cholernie długa i ostra igła do balsamowania, którą zabójca wbił jej w mózg. Pamiętam, że leżała na jej biurku. Wzięłam ją do ręki, żeby obejrzeć, ale kazała mi ją odłożyć.

– Czyli twoje odciski są na tej przeklętej igle?

– Ale przecież całą noc byłam tutaj. Wiesz, że tak.

Patrzyła na niego badawczo.

Michael podszedł do otwartych drzwi balkonowych i zapalił kolejnego papierosa. Powoli wypuścił dym nosem i wskazał na nią rozżarzoną koń-cówką. Pod szarym niebem krążyły helikoptery jak owady w oddali.

– Jak na osobę tak niesamowicie, choć tylko momentami, bystrą, jest to stwierdzenie kompletnie idiotyczne. Nie jestem prawnikiem, ale rzecz w tym, że właśnie cię tu nie było!

– Co ty gadasz? Przecież byłam!

– Zasnąłem i dlatego nie mogę przysiąc, że rzeczywiście byłaś tu całą noc. A gdy się obudziłem, to cię nie było. Zamówiłaś taksówkę z hotelu?

– Nie. Zrobiłam sobie długi spacer.

– Zapłaciłaś kartą za kawę i croissanty?

– Miałam gotówkę.

– Rozmawiałaś z kimś w recepcji, gdy wychodziłaś albo wracałaś?

– Nocny portier siedział w kanciapie i oglądał telewizję. – Lene myślała intensywnie. – A kiedy wróciłam, właśnie przyjechał autokar jakiegoś

szwedzkiego biura podróży, więc raczej nikt mnie nie zauważył.

– Super – pokiwał głową.

– Dobra, ale dlaczego, u licha, miałabym ją zabijać?

– Dlatego, że nienawidziłaś jej i każdego atomu jej ciała oraz obwiniłaś ją o samobójstwo swojej córki?

– Ale...

Lene ukryła twarz w dłoniach. Zaraz jednak rozsunęła palce i popatrzyła na niego.

– Ale ty mi wierzysz, prawda?

Zaskoczony zmarszczył brwi.

– Oczywiście, że ci wierzę, kretynko. Co to w ogóle za pytanie. Wiedziałbym, gdybyś wyszła stąd na dłużej. Pościel była ciepła i w ogóle pachniało, jakbyś dopiero co... – Spojrzał na nią. – I jeszcze lustro w łazience było zaparowane. Poza tym, cholera, przecież nie zrobiłabyś czegoś tak głupiego.

– Dzięki, Michael – powiedziała cicho. – To dla mnie dużo...

– Tylko że to nie mnie musisz o tym przekonać. Więc co teraz? Moim zdaniem powinniśmy się rozdzielić.

Pokiwała głową.

– Ja chcę obejrzeć miejsce zbrodni. Coś musi tam być. Z reguły coś się udaje znaleźć. A ty?

Michael jednym ruchem otworzył swój telefon i przez otwarte drzwi balkonowe wyrzucił wszystkie części do basenu portowego. Z fabrycznego opakowania wyjął nowy telefon, a z portfela – kartę SIM.

– Zapisz sobie ten numer. – Podał jej długopis.

– Gdzie?

– Na przykład na nadgarstku. Albo czole. Tylko wtedy oczywiście musisz zapisać odbicie lustrzane.

– I niby z czego mam do ciebie zadzwonić? Budek telefonicznych już właściwie nie ma.

– Trzymaj.

Z walizki wyjął jeszcze jeden smartfon i rzucił w jej kierunku.

– Dzięki.

– Jest naładowany i z kartą. Numer mam już zapisany u siebie.

– A ty co będziesz robić? Nie żebyś musiał robić cokolwiek. I tak zrobiłeś więcej, niż należało. I szczerze mówiąc, wyglądasz trochę niezdrowo.

– Tak?



– Mhm. Może pora zadbać o siebie? Na przykład zrobić badania, uzyskać diagnozę, podjąć leczenie... Wiesz, to ludzie zwykle robią, kiedy chorują.

Michael poszedł do łazienki, pociągnął w dół dolne powieki i obejrzał śluzówki oczu.

– Zajmę się tym – postanowił. – Ale teraz zamierzam trochę odpocząć, kiedy ty będziesz się bawić w superdetektywkę, okej?

– Okej. Ale kiedy to się skończy, zawiozę cię prosto do szpitala.

– Jasne. Umowa stoi. Uważaj na siebie. I jeszcze jedno, Lene.

– Tak?

– Skoro to nie ty zabiłaś Irene Adler, to kto i dlaczego?

– Nie mam pojęcia, ale się dowiem – odparła hardo. Może trochę zbyt hardo.

– Uważaj na siebie – powtórzył cicho. – I dzwoń od razu, jeśli trafisz na... przeciwnika.

Lene westchnęła.

– Przeciwnika? W sensie resztę świata? Jasne, tak zrobię.

\* \* \*

Michael rzeczywiście czuł się do dupy. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że był hipochondrykiem, ale nawet hipochondrycy czasem chorują, prawda? Zastanawiał się, czy nie zadzwonić na recepcję i poprosić o uzupełnienie whisky w barku, ale zamiast tego poprosił o świeżą kawę.

Te ponure myśli były tak naprawdę tylko wymówką, żeby odsunąć w czasie następny konieczny krok, czyli telefon do swojego poprzedniego pracodawcy w Londynie, u którego spędził dziesięć ciężkich, lecz pouczających lat, potężnej międzynarodowej firmy ochroniarskiej Shepherd & Wilkins. A konkretnie do ich zaufanego archiwisty Sandy'ego Huffingtona, którego za jego plecami wszyscy przezywali mało sympatycznie Sandy the Syndrome. Nikt nie wiedział, ile lat miał Sandy. Niepotwierdzone plotki głosiły, że po prostu urodził się i wychował w starej kamienicy przy Oxford Circus albo że Shepherd bądź Wilkins stworzyli go jako rodzaj homunkulusa w elektrycznym naczyniu alchemicznym, żeby służył im dożywotnio i bezpłatnie. I Sandy zasiadł za ogromnym, zawałonym papierami biurkiem, które według jego własnych zapewnień należało do lorda Louisa Mountbatena, wicekróla Indii. Biuro, z którego praktycznie nigdy nie wychodził,

było przypominającą pieczarę trzypiętrową biblioteką w sercu kamienicy i z nostalgii wciąż nazywano je stacją teleksową.

Jedynym powodem, dla którego nikt jeszcze nie zwolnił ani nie uśmiercił Sandy'ego, był fakt, że miał fotograficzną pamięć oraz niezachwianą i wybitnie szczegółową znajomość mniej więcej wszystkiego, co się wydarzyło od początku świata. Wiedza ta obejmowała również to, kto z kim sypiał w ich wielkiej firmie, kto naciągał fundusz reprezentacyjny, kto o tym wiedział i kto absolutnie nie mógł się dowiedzieć.

Michael mógł oczywiście uzyskać te informacje oficjalnymi kanałami. Nadal dla nich pracował jako freelancer. Ale to by trwało i kosztowało majątek. Firma pewnie by chciała stworzyć dla jego zapytania formalne zlecenie, którego koszt podstawowy wyniósłby kilka tysięcy funtów. Bo choć traktowali Michaela jak syna, to w wielkiej rodzinie S & W więzy krwi zawsze były dość cienkie, a firma nigdy nie próbowała udawać organizacji dobroczynnej. Odkąd Mr Shepherd & Mr Wilkins założyli ją po pierwszej wojnie światowej, firma nie przestawała przynosić oszałamiających dochodów, a Michael nigdy nie słyszał, żeby wpłaciła chociaż jednego funta na działalność charytatywną. Przy szefach S & W Rupert Murdoch był jak święty Tomasz z Akwinu.

Nosowy głos wyrwał Michaela z zamyślenia.

– Sandy Huffington, kto mówi?

– Michael Sander. Jak leci, Sandy? Czy życie obchodzi się z tobą tak, jak na to zasługujesz?

– Mam cholerną nadzieję, że nie. Michael! Chłopcze drogi, kopę lat!

W słuchawce zaszeleścił papier i Michael usłyszał, jak Sandy wpycha sobie coś do ust. Pizzę, oczywiście. Ten dziwak jadał ją trzy razy dziennie. Z tego, co dało się słyszeć, spód bieżącego egzemplarza był świeży i chrupki. Michael cierpliwie czekał, aż kęs zostanie przeżuty. W żadnym razie nie wolno było Sandy'ego poganiać. Jakikolwiek formy przymilania się, pośpieszania, zniecierpliwienia, gróźb, złości czy odwoływania się do ludzkiej empatii i przyzwoitości wywoływały identyczną reakcję: potok wyjątkowo prymitywnych bluzgów i zerwane połączenie. Wszyscy, od prezesa zarządu po szeregowego gońca zatrudnionego przed tygodniem, byli traktowani jednakowo. W tym sensie Sandy był nieskończenie egalitarny i nieprzekupny.

– Masz chwilę? – spytał szybko Michael przed następnym kęsem.

– Michael! Dla ciebie? Zawsze. Domyślam się, że musisz skorzystać z mego nadzwyczajnego umysłu. Cena zaktualizowana o inflację. Oczywiście.

ście.

Michael westchnął.

– Ile?

– Dwa tysiące funtów szterlingów za podstawowy raport na pięć stron. Tysiąc za każdą rozpoczętą godzinę albo dodatkową stronę.

– Poproszę podstawowy.

– Jak sobie życzysz. Wal.

– Mufti Ibrahim Safar Khan...

– Biały szejk z Ammanu? Mój kochany, drogi, najdroższy Michaelu. Tutaj od razu ci mogę powiedzieć, że wykraczasz daleko poza podstawowy raport.

– Sandy, ja nie muszę mieć pełnego profilu. Chodzi mi o podstawowe informacje o czasie, jaki spędził w Londynie. Gdzie mieszkał, czy była z nim rodzina, czy poza London School of Economics pracował gdzieś jeszcze. Takie tam. Nazwy ulic, kurw... – O mały włos nie popełniłby śmiertelnego grzechu. W rozmowie z Sandym przeklinać mógł tylko on sam.

– Okej. Coś jeszcze?

– Mmm... tak. Tylko to jest sprawa nieco bardziej delikatna. Jest pewna kobieta tu, w Kopenhadze. Nazeera Gamil. – Przeliterował imię i nazwisko i mówił dalej: – Jej ojciec, Chalid Gamil, jest uznanym na całym świecie profesorem ekonomii i wykładowcą na Uniwersytecie Kopenhaskim. Rodzina pochodzi z Jordanu. To oczywiście może być mocno naciągane, ale ciekawe byłoby sprawdzić, czy...

– Istnieją powiązania geograficzne, rodzinne i chronologiczne między oboma jordańskimi rodami?

– Dokładnie.

– Oczywiście. Zapisz sobie numer konta do przelewu.

Michael zapisał go na serwetce. Nie był Sandym Huffingtonem, który nigdy w całym swoim życiu niczego nie zanotował. Zawsze powtarzał, że wszystko wyświetla mu się przed oczami: numery paszportów, wzrost i waga, adresy, kolor oczu, numer paragonu ze swojego ostatniego parkowania... Przerazające, ale nigdy się nie mylił.

– Wiesz, Michael, że nie zacznę nawet sekundę przed otrzymaniem przelewu.

– Jasne. Może być za pięć minut? – spytał ironicznie i wstrzymał oddech. Ironii Sandy też nie lubił.

– Naturalnie – szczerze pisał jaskiniowy stwór. – Faks? PDF? Runy?  
Bo jesteś w Danii, prawda?

- Wystarczy PDF, dzięki.
- E-mail ten, co ostatnio, Michaelu?
- Tak.
- To pamiętam.
- Wiem, Sandy.
- Tylko...
- Co takiego?

– Michael, to dobra rada i daję ci ją całkiem gratis. Trzymaj się na dystans co najmniej jednego kontynentu od Safara Khana. To śmiertelnie groźny człowiek. I jego IQ niczego nie brakuje. Chcę przez to powiedzieć, że jest zdecydowanie wyższe od twojego, z tego, co pamiętam z twojej teczki w kadrach, i trochę niższe od mojego. Więc jeśli nie chcesz zostać zdekapitowany na YouTube na tle niechlujnie namalowanego banneru i podekscytowanych dżihadystów machających do kamery, którzy są przy tym beznadziejnymi fotografami i chirurgami, to nie zbliżaj się do nich, okej?

– Dzięki... to znaczy, wiesz, jak jest, Sandy – rzucił Michael i się rozłączył.

Potem wszedł na założone specjalnie w tym celu konto w Luksemburgu i przelał dwa tysiące funtów chciwemu gnomowi.

Powinien coś zjeść. Zadzwoił po room service i zamówił angielskie śniadanie. Wybór wydał mu się adekwatny po rozmowie z Sandym. W jakimś sensie lata w Londynie wspominał z rozrzewnieniem. Był wtedy młody, w każdym razie młodszy. Niezależny i miał na głowie tylko swoje zdrowe beztroskie rozrywki: krykiet na stadionie The Oval, samochody, kobiety, broń, stand-uperzy w London Palladium, koncerty U2... i przetrwanie. Tego typu rzeczy.

Kiedy przyjechał wózek z jedzeniem, okazało się, że jednak nie jest w stanie nic przełknąć, więc tylko wypił kawę i sok, a potem palił papierosy. Spojrzał na zegarek. Nazeera Gamil pewnie była teraz w pracy w bistro w Østerbro. Nie robił sobie nadziei, że dowie się czegoś ważnego, ale raczej nie obejdzie się bez odrobiny starej dobrej inwigilacji pięknej Arabki.

Marskensgade, ulicę w Østerbro, przestudiował najpierw w GoogleMaps, a potem na szczegółowej technicznej mapie gminy Kopenhaga. Zakodował

sobie zwłaszcza wszelkie możliwe drogi dostępu i ucieczki z restauracji Le Crocodile Vert.

Z kilku szybkich wyszukiwań w powszechnie dostępnych, publicznych bazach danych wynikało, że Nazeera mieszkała na trzecim piętrze w imponującej kamienicy przy Grønningen z kosztownym widokiem na park Kastellet. W księdze wieczystej znalazł informację, że była właścicielką siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych mieszkania z wysokimi sufitami w odnowionej kamienicy w pierwszorzędnej lokalizacji, którego oficjalna wycena opiewała na pięć i jedną czwartą miliona koron. Kupiła je przed trzema laty i z kredytu hipotecznego do spłacenia zostało jej raptem dwa miliony. To ciekawe. Nie był to w każdym razie adres na kieszeń zwykłej kelnerki, to pewne. Choć oczywiście jej rodzice mogli być zamożni.

Spojrzał na zegarek i szybko wrócił do przeszukiwania internetu. Okazało się jednak, że jak na nowoczesną młodą kobietę Nazeera Gamil była osobiście nieobecna w sieci. Żadnych zdjęć w Google'u, kont na Facebooku, Twitterze, Flickr, LinkedInie, Instagramie, MySpasie czy innych sieciach społecznościowych uważanych przez większość jej rówieśników za niezbędne do życia.

Nie było jej w księdze absolwentów żadnego liceum ani na liście studiujących żadnej z wyższych uczelni. Tak naprawdę nie było jej nigdzie.

Michaela też nie było, ale dlatego, że w rzeczywistości nie nazywał się Michael Vedby Sander. Jego jednoosobowa firma dbała o dyskrecję z równą pieczołowitością co Nazeera. Tylko najwytrwalszym udawało się dogrzebać do jego strony firmowej ukrytej w kazamatkach internetu i poza zasięgiem zwykłych wyszukiwarek. I nawet wówczas informacje, jakie otrzymywali, były skąpe: pod lapidarnym biogramem znajdował się numer telefonu komórkowego, który zmieniał się co najmniej raz w miesiącu. Nie było też oczywiście jego zdjęcia. Michael był wybredny w doborze klientów, którzy polecali go sobie pocztą pantoflową, i wszyscy byli bogaci, dyskretni i wpływowi.

W sieci nie brakowało za to informacji o ojcu Nazeery, wybitnym profesorze Chalidzie Gamilu. Były nawet zdjęcia jego żony Judyty, która wykładała chemię na Uniwersytecie Praskim, zanim w Kairze poznała przystojnego, młodego i szczupłego ekonomistę. Michael znalazł też pojedyncze zdjęcia młodego mężczyzny i kobiety, którzy musieli być rodzeństwem Nazeery. Oboje wyglądali jak modele. Brat był człowiekiem od efektów spe-

cialnych w brytyjskim studiu filmowym, a siostra doradczynią finansową w Barclays Bank w Londynie.

Michael zaczął się przechadzać po pokoju tam i z powrotem. Nazeera została starannie wytypowana przez organizację, która dostrzegła w jej talent i korzyści, jakie dawały jej arabska, brytyjska i duńska tożsamość, język i kulturowa elastyczność. Takie CV spodobałoby się każdej służbie wywiadowczej. Następnie organizacja uczyniła ją anonimową. Lene określiła Nazeerę jako potencjalną informatorkę, co w typowy dla duńskiej armii, kanciasty sposób oznaczało osobę, która w imieniu Wojskowej Służby Wywiadowczej FET pozyskuje informacje, będąc pierwszym ogniwem łańcucha, zwykle poprzez infiltrację stowarzyszeń, klubów sportowych, świetlic dla imigrantów, subkultur albo mniejszości niedostosowanych imigrantów w innych krajach. Michael poznał takich ludzi w FET. Zнали co najmniej trzy języki i mieli przynajmniej dwie narodowości, ale byli bezwzględnie lojalni wobec Danii.

Lecz zostać wtajemniczonym i dopuszczonym do najwyższego dowództwa najsukuteczniejszej i najbardziej utajnionej jednostki terrorystycznej na świecie to jednak zupełnie inny kaliber. To jak porównać Rembrandta z malarzem pokojowym. Taka misja wymagała nadzwyczajnej wytrzymałości, opanowania i niemal schizofrenicznej osobowości. Przy takim zadaniu każdy dzień musiał być rolą na miarę Oskara, bo potknięcie groziło utratą głowy albo czymś jeszcze gorszym.

Michael uciął dalsze rozważania o Nazeerze Gamil, choć nie przyszło mu to łatwo, i zamiast tego podążył za kolejnym tropem: emerytowany inżynier budownictwa ze Szwecji i ornitolog amator, który przypadkiem siedemnastego września zeszłego roku znalazł się w Tivoli we wprost idealnym miejscu i czasie ze swoim fenomenalnym cyfrowym aparatem – i przeżył.

Åke Valerius-Klüver, lat pięćdziesiąt osiem, zamieszkały przy Tomatstigen 26 w Södertälje. Michael znalazł Åkego wraz z małżonką Elszą w szwedzkiej elektronicznej książce adresowej. W Google'u było też trochę zdjęć pary, głównie z konkursów fotograficznych, gdzie uśmiechnięty fotograf ptactwa z dumą odbierał grawerowane szkło albo małe srebrne puchary. Årets Bild av Fiskörnan 2008. Tego typu rzeczy.

Ostatnia nagroda była z maja 2011.

Michael dla porządku otworzył w GoogleMaps mapę Södertälje. Nigdy tam nie był, ale na mapie miasto zdawało się malowniczo położone – na zachód od Sztokholmu i otoczone dużą ilością cieków wodnych, wydłużo-

nych i rozgałęzionych jezior oraz rozległych terenów leśnych. Wyglądało naprawdę uroczo, przynajmniej z powietrza. Ulicę Tomatstigen znalazł w zielonej, pagórkowatej dzielnicy niemal identycznych i stojących blisko siebie parterowych domów jednorodzinnych. Policzył budynki i wyszło mu, że numer dwadzieścia sześć musiał być na działce narożnej. Tyle że na posesji nie było żadnego domu. Kiedyś pewnie tam stał, ale obecnie zostały z niego fundamenty i resztki ścian. Powiększył zdjęcie. Samochody z kamerami od GoogleEarth rzeczywiście tamtędy przejechały, a zdjęcia zgliszczy były świetnej jakości. Czarne ruiny odznaczały się na tle białych zadbanych domów jak ząb z próchnicą w idealnym uśmiechu. Zdjęcie satelitarne oznaczono datą z listopada zeszłego roku.

Niczym u psa gończego, który złapał trop, krew w żyłach Michaela mocno przyśpieszyła. Wyostrzyły się zmysły i po dwudziestu minutach wyszukiwania trafił na notkę, o której wiedział, że gdzieś musiała się znajdować: „Länstidningen Södertälje”, dwudziestego października zeszłego roku. Osiem linijek wciśniętych między materiał o trendach we fryzurach ślubnych a artykuł o ogromnej wygranej w lotto, którą zgarnęła miejscowa dziewiętnastolatka. Małżeństwo w średnim wieku, Åke Valerius-Klüver (58 l.) i Elsa Valerius-Klüver (54 l.), zginęło w pożarze swojej willi przy Tomatstigen. Przyczyną pożaru było zwarcie, do którego doszło w kocu elektrycznym w sypialni małżeństwa. Raport techniczny z miejsca zdarzenia zdecydowanie wykluczył podpalenie.

Michael zamknął komputer i odchylił się na krześle. Był w miarę zadowolony z tego, co udało mu się osiągnąć. Ten, kto w grudniu przesłał ostre jak nóż zdjęcia na stronę policji poświęconą zamachowi i może nawet dołączył e-mail z dalszymi wyjaśnieniami, mógł być kimkolwiek, ale nie Åkem Valerusem-Klüverem. W tym czasie bowiem zwęglone szczątki jego i jego małżonki od dawna spoczywały na lokalnym cmentarzu.

I było w tym jakieś piękno i porządek. Wszystko się zazębiało. Nie przypominał sobie innej tak starannie przemyślanej akcji terrorystycznej. Za tym z całą pewnością musiały stać służby wywiadowcze. Na przykład te należące do Safara Khana.

PET otrzymało na tacy kozła ofiarnego: Ain, rozmawiającą z zamachowcem Nabilem Marounem. Wszystko elegancko udokumentowane wysokiej jakości zdjęciami. Rzucili to śledczym jak gumową piłkę szczeniakowi, żeby się czymś zajął i pozwolił ludziom pracować w spokoju. Ain została wykorzystana na wszystkie możliwe sposoby: jako naiwna i dobrodusza

odźwierna, wpuszczająca zamachowca na teren parku, jako nieświadoma niczego gospodyni, gdy z jej mieszkania zrobili kopenhaską dziuplę, a na koniec została zamordowana, aby morderca mógł udowodnić swoją determinację i właściwą postawę.

Było to genialne, cyniczne i tak odrażające, że w Michaelu po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zatlił się mały płomień. Początkowo słaby i chwiejny, ale szybko rósł w siłę i stawał się niszczycielski. Michael poczuł, że to, co spotkało tę młodą dziewczynę, godziło w jego poczucie człowieczeństwa i zupełnie nieprofesjonalnie zapragnął wyrównać rachunki z tymi, którzy to zrobili.



### III

Pokład niewielkiego polskiego kabotażowca był załadowany po reling. Skrzynki zawierały części maszyn ze wschodniemieckich zakładów włókienniczych, które nie wytrzymały konkurencji na nowym, szeroko otwartym rynku. Sprzęt zdemontowano i sprzedano na złom pewnemu przedsiębiorczemu Szwedowi z Göteborga. Szyper przygotował niewielki kwadrat wolnego miejsca pomiędzy przednim a tylnym lukiem, gdzie dwaj młodzi Arabowie mogli podróżować, nie rzucając się zbytnio w oczy załodze. Szyper słynął z wybuchowego charakteru i szybkich pięści, ale był również sprawiedliwy, więc nikt o nic nie pytał. Wszyscy na pokładzie wiedzieli, że szef odpali im uczciwą działkę z dodatkowej premii, jaką zgarnie za ten kurs.

Dwaj mężczyźni rozwinęli w swojej kryjówce modlitewne dywaniki i pomodlili się zwróceniu w stronę Mekki. Potem napili się wody i na turystycznej kuchence zaparzyli herbatę. Na koniec podzielili się chlebem i suszonymi owocami.

Samir stał teraz przy relingu sterburty i patrzył na płaską taflę wody z długimi białymi i zielonymi wodorostami przy Falsterbo. Mieli niezły czas, szyper zmniejszył prędkość do sześciu węzłów i pod zardzewiałym dziobem prawie nie było słychać kilwateru. Tu, przy brzegu woda była spokojna i gładka, ale dalej, na otwartym morzu wiatr marszczył powierzchnię długimi posunięciami, tworząc ciemniejsze plamy i małe spienione grzywy.

Na morzu zawsze było zimno. Samir rozpiął grubą skórzaną kurtkę, związał ciaśniej szalik, kładąc jego końce na piersiach i ponownie zapiął suwak. Nie lubił morza. Usłyszał szcęk metalu w kambuzie za mostkiem i spojrzął na zegarek. Zawsze uśmiechnięty filipiński kucharz był ucieleśnieniem punktualności. To, co zostało z posiłków załogi, było wyrzucane za burtę i zawsze, jak za sprawą czarów, z nieba zlatywały się skrzeczące i rozszarpujące resztki mewy. Ptaki walczyły o zdobycz w powietrzu i na wodzie.

Samir się uśmiechnął. To było niewytłumaczalne zjawisko. Jeszcze przed chwilą w promieniu kilometrów nie było żadnych ptaków, ale gdy tylko kucharz wchodził na pokład, zjawiały się znikąd.

Dzwonił pięć godzin temu, zanim w Rostocku weszli na pokład i dopóki wciąż był niezły zasięg. Rozmawiali krótko i bezosobowo, jak dalecy krewni, którzy postanowili spotkać się na parę godzin w Kopenhadze. Mimo to udało im się wymienić i potwierdzić kilka koniecznych faktów, jak miejsce odbioru czy godzinę. Wszystko było gotowe. Wsłuchał się w swój instynkt. Próbował wyłapać to nieznaczne wahanie czy fałszywy ton, który mógł oznaczać zdradę, ale niczego takiego nie wyczuł. Jego szósty zmysł nie reagował. Ścieżkę, którą miał podążać, widział jasno i wyraźnie, niczym drogę z Damaszku do Homs, swojego rodzinnego miasta, w którym po pierwszych masakrach na lokalnych demonstrantach postanowił przyłączyć się do bojówek.

Kiedy się rozłączyli, Samir przełamał swoją kartę SIM. Zaraz włożył do telefonu kolejną i wysłał esemesa z nowym numerem.

Potem Adil pomachał do niego z dziobu i Samir powoli wszedł na pokład, gdy załoga wciągała ostatnie cumy. Pół godziny później płynęli przez Bałtyk.

Rozwrzeszczane mewy powalczyły o ostatnie nędzne resztki i odleciały. Samir włączył iPada i wyświetlił na ekranie elektroniczną mapę morską. Ich jednostka była zaznaczona ikonką statku. Szybko policzył prędkość i odległość do miejsca spotkania. Mieli zapas czasu, ale nie za duży. Szyper wkrótce zgłosi ich kurs, prędkość i port docelowy służbom celnym na Øresundzie, SUNDREP i od tego momentu będzie trzeba uważać, żeby ich dalsza droga nie wyglądała na podejrzenie szybką ani wolną na radarach systemu kontroli ruchu statków. Z powrotem schował tablet do torby i oparł się łokciami o reling, który prosił się o porządne szorowanie i lakierowanie. Wszystko było gotowe. Broń, kamizelki, śmieszny biały kombinezon, który wraz z legitymacją miał mu zapewnić dostęp do celu.

*Inszallah, jeśli Bóg da.*

Samir nie czuł nic. Walki w Homs i niewola u dzikusów, których prezydent Baszar al-Assad ściągnął do swej armii z doliny Bekaa, pozbawiły go serca. Nigdy się nie denerwował ani nie złościł. Uważał, że wszystkie ludzkie odruchy ulotniły się z jego piersi tamtego dnia, gdy został pojmany, ale wierzył, że czekały na niego po drugiej stronie. Tylko on jeszcze żył ze

swojej klasy w liceum, z drużyny Homs United FC i z fanklubu Liverpoolu FC. Był ostatnim z chłopaków ze swojej ulicy, których znał od urodzenia.

Więźili go i torturowali alawici, pochodzący z gór członkowie klanu al-Assada oraz regularne wojsko syryjskie. Ostatniego dnia bladym świtem, gdy leżał nieprzytomny, ocucili go wiadrem zimnej wody. Potem przez betonową podłogę wywlekli z garażu na zewnątrz, gdzie na ziemi klęczało już piętnastu innych chłopców w wieku od dwunastu do siedemnastu lat. Wszyscy mieli ręce związane z tyłu. Ziemia zaczęła cuchnąć, kiedy pierwsi w szeregu dostali strzał w tył głowy i ich zwieracze się rozluźniły. Potem kolejni, żywi jeszcze chłopcy z paniki szczali i srali w spodnie, gdy słyszeli za plecami kroki oficera. Alawici trzymali się za nosy i śmiejąc się do rozpuku, przedrzeźniali odgłosy z chłopięcych trzewi.

Oficer stanął za chłopcem po prawej od Samira. Chłopiec, którego Samir nie znał, trzymał głowę wysoko i był wyprostowany jak struna, mimo że klęczał i miał związane ręce. Oficer kazał mu spuścić głowę. Chłopak odmówił. Zaczął się głośno modlić. Obolałe, przekrwione oczy Samira wypełniły się łzami dumy. Jeden z szeregowców spokojnie podszedł do chłopca i kopnął go w twarz, aż zęby białe i czerwone rozsypały się na piachu. Chłopiec nie przestał mamrotać swojej modlitwy. Wtedy ten sam szeregowiec, obrzucając chłopaka bluzgami, złapał go za włosy i docisnął jego głowę do ziemi, a gdy chłopak leżał, oficer strzelił mu rosyjskim naganem najpierw w nasadę czaszki, a potem w potylicę.

Samir też czuł, że jego pęcherz jest na skraju wytrzymałości, ale udało mu się nad nim zapanować. Oficer za jego plecami przeklinał i pocił się z podniecenia. Szeregowy żołnierz czekał w gotowości, gdyby Samirowi przyszło do głowy robić jakieś numery. Stał tuż obok, rzucając na Samira cień. Oficer przystawił Samirowi lufę do lewej skroni, strzelił i głowę chłopaka odrzuciło na bok. Lecz strzał musiał być niedokładny, a może proch w naboju miał wadę fabryczną. Samir otworzył oczy i popatrzył na szeregowca, który sfrustrowany i przy akompaniamencie przekleństw oficera kopnął go w twarz i złamał mu nos.

Samir czuł chłodny piach na policzku i słyszał, jak oficer przeładowuje broń. Pistolet kliknął i na Samira spłynął całkowity spokój. To nie był ten dzień. Z oddali nadjeżdżały furgonetki toyoty, słyszał ciężkie serie z amerykańskich karabinów maszynowych M-50, które rebelianci zamontowali na pakach samochodów. Potem wszystko eksplodowało w piekielnym huku i dopiero dużo później on i pozostali ocalali chłopcy zobaczyli, jak z tuma-

nów kurzu wylaniają się sylwetki rebeliantów. Większość miała kefije związane na twarzach, ale chłopcy i tak widzieli triumfalne uśmiechy pod chustami i ciemnymi okularami.

Tamtego dnia Samir umarł, ale żył i to nowe życie oddał tym, którym mogło się przydać w walce z wrogami Allaha, z niewiernymi na Zachodzie i baatystami w Syrii.

Zapalił papierosa i pomyślał o tej kobiecie, Zebrze. Była dziwką, obnażała twarz, prowadziła samochód, chodziła do łóżka z mężczyznami i kobietami, paliła papierosy i słuchała rock'n'rolla i bluesa. Żyła bezwstydnie. Ale przecież była również kimś znacznie ważniejszym, a w swojej miłości do islamu była czysta jak dziewica. Safar Khan traktował ją jak córkę i ufał jej bezwzględnie.

Samir nie był obojętny na jej urodę. Przeciwnie. Czasem nawiedzała go o świcie. Gdy znajdował się w tym bezbronnym stanie między snem a jawą, wywoływała u niego potężne, haniebne erekcje. To było nieuniknione.

Podczas jednej z jej wizyt w Jordanii Samir towarzyszył jej w wycieczce nad Morze Martwe. Poprosiła, żeby zostawili samochód na parkingu przy stromej skale i zeszli na dół, do wody. Daleko na zachód można było dostrzec niskie złote wzgórza okupowanego Zachodniego Brzegu. Słońce wisiało dwie szerokości dłoni nad horyzontem za warstwą cienkich pierzastych chmur, więc upał był znośny. Wypili na spółkę butelkę wody. Kobieta długo siedziała nieruchomo na skale. Miała na sobie dzinsy. Podkuliła długie nogi i oparła na kolanach przedramiona i podbródek. Na stopach wsuniętych w białe tenisówki nie miała skarpetek. Samir przyglądał się cienkiej żyłce, która powoli pulsowała pod cienką skórą na wysokości kostki. Na górze była ubrana w białą bluzkę z krótkim rękawem, a na ramiona narzuciła granatowy sweter. Pod bluzką widział zarys białego stanika z cienkiej koronki. Kobieta patrzyła na morze przez ciemne okulary. Samir podążył za jej wzrokiem. Sto metrów od nich cierpiący na łuszczycę turysta unosił się na powierzchni wody, czytając gazetę.

– Byłaś tu już? – spytał Samir.

– Tak. Lubię to miejsce.

– Ale tu nic nie ma – zauważył i ręką zatoczył łuk z południa na północ.

– Nic tu nie żyje. Tu nie ma co lubić.

– Krajobraz.

Krajobraz był surowy. Szara, gładka powierzchnia wody, czerwono-brązowe skały. Jedyne, co się zmieniało, to światło. Teraz było czerwono-fiole-

towe.

– Poza bakteriami – dodał po namyśle. – Znalezione tu bakterie, które potrafią żyć tylko w soli i nigdzie indziej.

– Ach, bakterie. Samirze, romantyk z ciebie!

Uśmiechnęła się, a on wyjąkał coś nieporadnie. Bardzo się różniła od dziewcząt, które znał z Homs.

Trzy izraelskie myśliwce F-16 ze świstem przeszły niebo nad Zachodnim Brzegiem i zawisły nad wodą, jakby się z nią droczyły. W jednym ułamku sekundy oba przechyliły się w powietrzu i leciały kokpitami do dołu. Zaraz znów przechyliły się o sto osiemdziesiąt stopni do góry i wystrzeliły w niebo po stronie południowej, niedaleko Arabah, po czym zniknęły im z oczu.

– Czy oni są niezwyciężeni? – spytała poważnym głosem.

Wtedy Samir z pasją zaczął wychwalać arabską rewolucję i historyczną nieuchronność kalifatu. Po pół minuty zorientował się jednak, że go nie słucha. Najpierw zaczął się zacinać, aż całkiem zamilkł.

– Nie słuchasz mnie – zauważył urażony.

Popatrzyła na niego i przyłożyła sobie palec do warg.

– Posłuchaj tego!

Samir zrobił, co kazała, i po paru sekundach usłyszał cykady.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Są tu nie tylko bakterie, Samirze.

\* \* \*

Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu, wzdrygnął się i spojrzał w poważną twarz Adila.

– Jesteś smutny, bracie? – spytał tamten.

– Co? Nie, ani trochę.

Samir położył sobie dłoń na wklęsniętym brzuchu.

– Jestem głodny. Rozmarzyłem się.

– Ale poza tym zwarty i gotowy? – W głosie kolegi Samir usłyszał troskę. Z pewną niechęcią popatrzył na młodszego, bardzo poważnego i poprawnego Adila, który formalnie był jego podwładnym.

– Pytanie, czy ty jesteś gotowy, bracie?

Chłopak przytaknął.

– Wręcz nie mogę się doczekać – dodał.

\* \* \*

– Halo?

Biały wóz dostawczy z Wydziału Kryminalistyki nadal stał przed domem Irene Adler. Lene domyślała się, że w środku wciąż pracują kryminaliści, chociaż kiedy otworzyła drzwi, nikogo nie słyszała.

Przeszła przez hol i otworzyła drzwi do jednego z pokoi, który zajmował większą część parteru. I struchlała na widok nieruchomej postaci w białym kombinezonie siedzącej w fotelu tuż przy drzwiach.

– Arne? Cześć. Jest tak cicho, myślałam, że nikogo tu nie ma.

Nylon zaszeleścił, kiedy szef kryminalistów odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć. Ukłonił się nieznacznie.

– Lene – przywitał się poważnym tonem, Lene zmarszczyła czoło. Znała go od osiemnastu lat i zawsze świetnie im się razem pracowało. Arne z przyjacielskim sarkazmem komentował jej niesłychane i całkiem niedorzeczne wymagania i teorie, a ona w rewanżu słuchała jego opowieści o cierpiącej na sklerozę żonie i dzieciach, które przysparzały wszystkich problemów, jakich tylko dzieci mogą przysparzać. Był zapalonym brydżystą, trzymał w domu akwaria z morskimi rybami i Lene darzył czymś w rodzaju ojcowskiej czułości.

Ale dziś jego twarz przesłonięta okularami i siwą brodą była surowa i pozbawiona uczuć.

Młodszy, nieznany Lene technik stanął w drzwiach do kuchni z odkurzaczem w ręce. Arne podniósł na niego wzrok.

– Andreas, zanieś to do samochodu, a potem pojedź na stację benzynową i kup mi puszkę tytoniu do fajki Orlik, dobrze? I nie musisz się śpieszyć.

– Ale...

– Na razie, Andreas.

Mężczyzna wyraźnie nadąsany przeszedł przez salon i za chwilę Lene usłyszała, jak zamknęły się za nim drzwi wejściowe.

Arne wskazał na fotel obok siebie, na którym Lene usiadła ze złączonymi kolanami i położyła na nich dłonie niczym uczennica na dywaniku u dyrektora. Patrzyła na podłogę oświetloną szerokimi pasami porannego słońca i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuła w sobie zapal i energię.

Zwróciła uwagę na dziwny, okrągły krwawy ślad, który zaczynał się i kończył przy antycznym biurku Adler.

– Gdzie leżała? – spytała.

Za szklami okularów Arnego błysnął groźny, blady żar. Mężczyzna skrzywił się, jakby miał w ustach coś gorzkiego. Wskazał palcem:

– Tam. Na plecach, w środku tego kręgu. Pólnaga. Ale zakładam, że to wiesz.

– Skąd, u licha, miałabym wiedzieć?

Lene się uśmiechnęła i próbowała pochwycić jego wzrok.

– Arne, co się stało? Ktoś umarł?

– To nie jest zabawne, Lene. Ani trochę.

– Dobra, Jezu, żartowałam przecież. W porządku. Ile szczoteczek?

To pytanie zawsze było pierwszym, jakie zadawała mu na miejscu zdarzenia.

– Dwie – wymamrotał niechętnie.

– Różowa i niebieska? Chłopiec i dziewczynka? Dwie maszynki do golenia, czarna i różowa?

– Szczoteczki miętowozielona i różowa – powiedział zmęczonym głosem. – Więc powiedziałbym, że dziewczynka i dziewczynka.

Dwie dziewczyny, oczywiście, pomyślała Lene i zamknęła oczy, kiedy sufit spadł jej na głowę. Oczywiście. *Fuck*. Oczywiście. Kurwa, oczywiście!

– I dwie szczotki do włosów, jedna z długimi jasnymi, a druga z długimi ciemnymi – ciągnął jej kolega. – Te drugie są interesujące. Przekrój poprzeczny mogę obejrzeć przez szkło powiększające. To włosy semickie. Na przykład arabskie.

– Oczywiście – wyszeptała, nie słuchając tego, co mówi.

Przypomniała sobie cień, który przesunął się za zasłonami okna na pierwszym piętrze tamtego dnia, gdy przyszła tu grozić Irene Adler wszystkimi plagami świata. Przypomniała sobie zapach perfum innych niż te, które miała na sobie Irene, oraz bagaż podręczny i bilet lotniczy w przedpokoju. Założyła, że to pani domu wybierała się w jakąś podróż. Ale przecież torba mogła równie dobrze należeć do kogoś innego, nieznanego jej.

Arne znów coś powiedział.

– Słucham?

– Powiedziałem, że te włosy w tym domu to czyste błogosławieństwo – powtórzył. – Jeśli się temu bliżej przyjrzeć.

– Nie rozumiem?

– Jasne włosy Irene Adler i czarne, arabskie włosy, jakie może mieć na przykład ta kobieta.

– Jaka?

Mężczyzna sięgnął na półkę obok siebie i podał Lene książkę: *Classic Arabic Love Poems of Abu Nuwa*.

– Oxford University Press, rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy – oznajmił. – Całkiem ciekawa dwudziestowieczna poezja. Erotyczna. Oraz nieco bardziej współczesne zdjęcie.

Lene powoli kartkowała tomik. Arne miał rację. Jeśli te wiersze w jakikolwiek sposób odpowiadały pięknie wykonanym ilustracjom, to musiały być wyjątkowo soczyste.

– Niesamowite – wymamrotała do siebie i przechyliła książkę pod kątem. Prezentowane w niej pozycje wydawały jej się fizycznie niewykonalne. Chyba że się było chińską kobietą gumą, która potrafi się zmieścić w pudełku po butach. Ale oczywiście ludzie byli kiedyś mniejsi.

– Nie jest to raczej chleb powszedni któregoś ze swingers klubów z Balterupu – przytaknął Arne w przebłysku swego normalnego, doskonale rozwiniętego poczucia humoru.

– Chyba że byłby to specjalny klub dla kręgarzy – dodała.

– Dokładnie. Zanim jednak za bardzo się zagłębisz w temat, proponuję, abyś przeszła dalej.

Zrobiła, o co prosił, i trafiła na czarno-białe zdjęcie.

Wykonano je przy naturalnym oświetleniu, wczesnym rankiem albo o zmierzchu. Po lewej stronie musiało być okno i to stamtąd do pokoju wpadało światło. Naga kobieta leżała na nieposłanym podwójnym łóżku, a osoba, która robiła zdjęcie, musiała stać za kobietą, po przekątnej. Łagodne szare światło muskało jej długie nogi, krągłe biodra. Rysowało głębszą, ciemniejszą szczelinę między kształtnymi pośladkami i w zagłębieniu mięśni grzbietu od krzyża aż po czarne, długie włosy, które zasłaniały większą część twarzy. Szczupłe lewe ramię leżało wzdłuż boku, a dłoń spoczywała na idealnie wygiętym biodrze. Druga ręka była zgięta w łokciu, dłoń znajdowała się obok twarzy. Obie dłonie były rozluźnione. Lene pomyślała, że kobieta spała, gdy robiono to zdjęcie. Nogę, która opierała się na łóżku, podciągnęła pod siebie.

Tak zakochany człowiek fotografuje ciało, którego namiętnie pożąda. Był w tym zdjęciu spokój, który sugerował, że to ujęcie zostało dokładnie zaplanowane. Ktoś zaczekał na odpowiednie światło i na dobrze sobie znaną pozycję śpiącej ukochanej.

Nazeery Gamil.



Była tu, tam, wszędzie.

Ciekawe, czy zdarzało jej się czasem zamiast do domu Irene zawędrować do mieszkania Ain, pomyślała Lene, ale zaraz sobie uświadomiła, że Nazeera była osobą, która zawsze dokładnie wiedziała, dokąd idzie i z kim się spotka – oraz po co.

Opuściła rękę, w której trzymała zdjęcie, i spojrzała na Arnego, pochłoniętego czujną obserwacją swoich paznokci.

– To łóżko uderzająco przypomina łóżko, które stoi na górze – oznajmił, nie podnosząc na nią wzroku.

– Spodziewam się.

Już miała wstać, ale w całej sylwetce Arnego było coś przytłaczającego, co kazało jej ponownie usiąść.

– Lene, rozmawialiśmy o włosach. Jak wiesz, nie ma dwóch ludzi, których włosy byłyby identyczne.

– Nie ma.

– Z psami zresztą jest podobnie.

– Aha.

Z kieszeni na piersi Arne wyjął foliową torebkę i jej wręczył. Była pełna ciemnych, krótkich włosów.

– To z odkurzacza – wyjaśnił.

– Psia sierść?

– Tak.

– Kobieta z tego zdjęcia ma psa – wyjaśniła. – Coś pomiędzy dobermanem i rottweilerem, rozmiarów kucyka. Wabi się Rudolf. Myślę, że jest dla niej czymś w rodzaju ochroniarza.

– Myślę, że masz rację. W piwnicy stoi worek suchej karmy dla *big breed dogs*, a na podłodze w kuchni była miska.

– Ale, Arne. Przecież to znaczy, że wszystko się zgadza. Więc czemu jesteś taki zły? Para lesbijek, pies, karma. Kobieta mogłaby wbić jej to coś do mózgu, prawda? Do tego nie trzeba chyba szczególnej siły?

Arne uśmiechnął się jak ponury żniwiarz i Lene bardzo się ten uśmiech nie spodobał.

– Tak. Kobieta mogłaby to zrobić. Każda kobieta – dodał znacząco.

– Arne, w kwestii włosów to już wszystko?

Pomyślała o wyludnionej stolicy. Połowa miasta była odgradzona z powodu ministrów, z których każdy oczywiście przyjechał ze switą. Kiedy tu jechała, po tym jak znów się pojednała ze swoim ukochanym małym samo-

chodem, miasto wydało jej się wymarłe. Na ulicach mijają tylko wszechobecne radiowozy, motocykle policyjne i helikoptery obserwacyjne. Autobusy jeździły prawie puste i choć był środek tygodnia, można by pomyśleć, że jest niedzielne popołudnie albo że Dania gra finał mundialu. Nikt nie miał ochoty znaleźć się w niewłaściwym miejscu i czasie. Strach, który przed rokiem połączył mieszkańców stolicy, sączył się z każdego zaułka i każdej fasady.

– Niezupełnie – odparł.

Jego dłoń znów powędrowała do kieszeni na piersi. Potem się zawahał, przełknął głośno ślinę, a Lene uważnie przyjrzała się jego twarzy. Dostrzegła w niej zwątpienie i rodzaj... żalu?

Wreszcie wyjął kolejny foliowy worek i jej go wręczył. Lene obejrzała zawartość pod światło wpadające przez okno. Małe kółko zwiniętych długich włosów. Włosy były rude i sklezione zaschniętą krwią. Arne pochylił się i zniemacka wyrwał jej z głowy pojedynczy włos. Ostrożnie położył go na swoim białym rękawie.

– Lene. W prawej dłoni denatki znalazłem kępkę włosów. Wygląda na to, że zostały wyrwane z cebulkami. I szczerze mówiąc, wydały mi się przerażająco znajome. Zawsze uważałem je za jeden z twoich najcenniejszych darów od natury. Twoje piękne rude włosy.

– Dziękuję – wymamrotała.

Nic więcej nie powiedziała. To Arne przerwał milczenie. Rozłożył ręce:

– Tylko tyle? Dziękuję?! Lene, sytuacja jest niewesoła. Masz przesrane i chyba o tym wiesz, prawda? Więc bądź tak miła i mi wytłumacz, skąd się wzięła kępka twoich włosów w zaciśniętej pięści zamordowanej.

Lene popatrzyła na niego niepewnie z boku. Był blady ze wściekłości.

– Nie wiem – odparła. – Naprawdę nie wiem. Ale to nie byłem ja, Arne. Dlaczego... Kurwa, dlaczego miałabym...

Nie dokończyła. Mogła się tego spodziewać. Wszyscy wiedzieli, że nienawidziła Irene Adler.

Kucnęła przed Arnem, próbowała złapać go za ręce, ale je cofnął. Próbowała nadal, jakby jego dłoń była kołem ratunkowym. W końcu pozwolił jej ująć swoją potężną dłoń, ale jednocześnie odsunął się w fotelu jak najdalej od niej.

Lene popatrzyła w jego szare oczy za szklami okularów.

– Arne, to nie byłem ja. Ale załóżmy, że tak. Cholera, załóżmy, że to ja zrobiłam. To prawda, nie lubiłam jej, Arne. Nawet nienawidziłam. Albo...

kiedyś jej nienawidziłam. Przez długi czas po tym z Josefine. Ale już jej nie nienawidzę. Naprawdę. Rozmawiałam z nią kilka razy. Byłam tu, w jej domu, i stwierdziłam, że nadal uważam ją za arogancką, rozwydrzoną sucz o przerośniętym ego. Czasem tak samo myślę o Charlotte Falster czy chociażby o własnej matce. Ale to nie jest nienawiść. I nawet w snach nie chciałabym żadnej z nich zabić. Wierzysz mi chyba, co?

Podniósł woreczek, który zadyndał między ich twarzami.

– A to, Lene? Czerwone, kręcone włosy wyrwane z cebulkami znalezione w jej dłoni. Nie trzeba być fizykiem jądrowym, żeby połączyć te kropki.

Lene wbiła wzrok w woreczek i nagle ją olśniło. Tamta noc w mieszkaniu Ain. Założyli jej worek na głowę. A Kim ją kopnął. Kto wie, może kopnął ją wielokrotnie.

Pochyliła się do przodu, rozsunęła włosy i odsłoniła krótkie rozcięcie. Wskazała na nie dwoma palcami.

– Patrz, Arne! No patrz, cholera! Ktoś kopnął mnie w głowę i założył na nią przeklęty worek. Włosy i krew zabrano z tego worka!

Niechętnie się przysunął i Lene poczuła jego badawczy dotyk na skądzie. Burknął coś niezrozumiale i zabrał rękę.

– Przecież to niczego nie dowodzi – powiedział, ale z wahaniem w głosie, którego wcześniej w nim nie było.

– Ale chyba widzisz, że to nie jest świeża rana, prawda? *Please!* Widziałeś miliard ran.

– Kto to zrobił? – spytał.

– To teraz nieistotne. Ważne, że możesz sprawić dla mnie cud. Taki cudzik. Maleńki, tycki.

Od tego zależy wszystko, pomyślała. Arne był staroświecki. Szarości nie były w jego stylu. W jego stylu była uczciwość, bezkompromisowość i etyka pracy.

– Powiedziałaś o tym Charlotte? – spytała po chwili.

– Jeszcze nie. Ale to zrobię.

– Arne. Czterdzieści osiem godzin.

Mężczyzna potarł twarz dłońmi i popatrzył na nią spomiędzy rozcapierzonych palców.

– Dwadzieścia cztery.

– Czterdzieści osiem. Arne, kurwa. Co zdążę zrobić w...

Arne wstał raptownie.

– Bierz swoje dwadzieścia cztery godziny albo przysięgam, że za pięć minut postawię ci zarzuty.

– Okej. Dziękuję – powiedziała.

Asystent Andreas wsunął głowę do pokoju.

– Wróciłem – powiedział niepotrzebnie.

– Masz dla mnie tytoń?

Młody mężczyzna pokazał okrągłe czerwone pudełko.

– Chodźmy – powiedział do niego Arne. – Już tu skończyliśmy.

– A co z jej komputerem?

– Chyba nie ogłuchłeś, co? – spytał z troską jego przełożony.

– Nie...

– To dobrze. Zatem oddajemy pole tej rudowłosej geniuszce. I jeszcze jedno, Andreas...

– Tak?

– Jeśli kiedykolwiek będziesz mieć pecha trafić na nią na miejscu zdarzenia, to rób dokładnie to, co ci każe. Natychmiast. Oszczędzisz sobie zgryzot i nerwów. Tak tylko mówię.

Asystent popatrzył na nią przez ramię Arnego i się uśmiechnął. Lene stwierdziła, że ma bardzo ładne zęby.

– Będę pamiętał – obiecał.

Lene odwzajemniła jego uśmiech.

Arne popatrzył na nich oboje z odrazą.

A potem wypchnął młodego praktykanta z salonu. W drzwiach odwrócił się, przesunął sobie palcem po szyi i samymi ustami powiedział: „dwadzieścia cztery...”.

\* \* \*

Lene patrzyła na łóżko, na którym Irene sfotografowała swoją kochankę. Było pościelone, czyli kobieta nie zdążyła się położyć, gdy odwiedził ją morderca. Lampka nocna była włączona i w pokoju pachniało. Na kamforowej skrzyni pod oknem Budda uśmiechał się na wpół zagadkowo i na wpół idiotycznie. W jednej tłustej dłoni trzymał wypalone kadzidełko. Lene pomyślała, że ze swego miejsca pewnie widział niejedno. Otworzyła wbudowaną szafę, starannie omijając czerwony proszek daktyloskopijny pozostawiony przez kryminalistyków. Odsunęła na bok ubrania i obejrzała tylne ściany garderoby.

Ale Arne już tu zaglądał, a przed jego wzrokiem zwykle nic się nie ukryje.

Przez następną godzinę kręciła się po cichym domu. Na ścianach wzdłuż schodów wisało kilka portretów rodzinnych, a na stołach i parapetach stały pięknie oprawione czarno-białe zdjęcia ze szczęśliwych czasów przed wielkimi wojnami: beztroskie popołudnia, długie letnie suknie, duże kapelusze, charty, dzieci w marynarskich ubraniach albo koronkowych sukienkach, Adlerowie machający z pokładu transatlantyckiego parowca, mężczyźni o wąskich ramionach, cygara, wąsy, lorgnony, guwernantki na dużych trawnikach przed białymi domami folwarcznymi.

W biurze na piętrze rozglądała się, stukając palcami w gładką orzechową obudowę starego radia. Stożące tu biurko było większe niż to w salonie i zasypane artykułami, maszynopisami i dokumentami. Na regałach sięgających od podłogi po sufit stały książki, raporty i rozprawy akademickie. Tropów arabskich tu nie było. To był pokój roboczy lekarki psychiatrii. Nic tutaj nie nadawało się do pokazywania, wszystko wskazywało wyłącznie na dużą aktywność zawodową.

I nie było komputera, chociaż w rogu migał router.

Torebka Irene Adler stała na podłodze oparta o nogę biurka. Lene znalazła w niej kluczyki od samochodu i klucze od domu, telefon, chusteczki, okulary słoneczne i wszystko, co zwykle zamieszkuje kobiece torebki.

Lene usiadła na krześle biurowym i zatrzymała wzrok na ptakach, które za oknem odwiedziły karmnik sąsiadów. Czy Ain i Irene poznały się przez Nazeerę? Może te zabójstwa były w rzeczywistości finałem tragedii zazdrości bez jakiegokolwiek związku z międzynarodowym terroryzmem, ministrami spraw zagranicznych czy izraelskimi profesorami.

Lene wyjęła kluczyki od samochodu i schowała do kieszeni. Potem wyszła z domu. Gdy przekreślała klucz w zamku, odezwało się w niej na wpeł zakurzone wspomnienie. Piękny, antyczny Koran w gablotce.

Irene napomknęła, że ta gablotka skrywa mnóstwo wiedzy. Lene ponownie otworzyła drzwi i kilka sekund później stała przed świętą księgą. Na bocznej ścianie mebla był włącznik światła, po wciśnięciu go żółte kartki oświetliło bezpośrednio światło. Gablotka nie miała widocznych zamków ani okuć.

Mebel stał na czterech cienkich nogach, Lene bez trudu odsunęła go od ściany. Z tyłu dwa kable łączyły go ze ścianą. W jednym z nich rozpoznała kabel internetowy.

– Arne – mruknęła do siebie – ale z nas żałośni idioci.

Uklękła i przesunęła paznokciem po zawiasie w kształcie rurki biegnącym z przodu gabloty. Był kunsztownie wpuszczony w drewno i właściwie niewidoczny gołym okiem. Oburącz złapała za tylną krawędź i udało jej się wysunąć całą górną połowę mebla do przodu i powyżej zawiasu.

Pod świętą księgą było wgłębienie, a w nim leżał perłowoszary laptop ze wszystkimi swymi tajemnicami zamkniętymi jak w muszli ostrygi.

\* \* \*

Bjarne nie był może mistrzem w zmaganiu się z codziennością, ale Lene dostrzegła jakiś nieugięty, cichy upór w tym, że w ciągu kilku godzin zdołał zrekonstruować ich małe biuro po napadzie białego szалу w wykonaniu Kima Thomsena. Ich dziupla znów wyglądała jak dawniej, z porozrzucanymi chrupkami serowymi, sporą ilością tajemniczej elektroniki, bulgoczącym czajnikiem elektrycznym, stołami, krzesłami i komputerami w stanie uśpienia, na właściwych miejscach. Gdyby nie dziura w gipsowej ścianie, przez którą przeszła stopa Michaela, można by pomyśleć, że wizyta agenta PET była tylko sennym koszmarem.

Do jednego ze swoich komputerów Bjarne podłączył laptop Irene Adler i zajął się łamaniem kodów i szyfrowania, a Lene przeglądała pocztę, popijając cierpką kawę. Na koniec stwierdziła, że nie ma w korespondencji nic ciekawego, i zastanawiała się właśnie, czy zadzwonić do Michaela, żeby mu powiedzieć o swoim najnowszym odkryciu, kiedy Bjarne podniósł głowę.

– Chyba mam to, czego ci potrzeba – oznajmił.

– Super, Bjarne. Wielkie dzięki.

Strzyknął palcami jednej dłoni i spuścił wzrok.

– Spoko.

Lene zaczęła przeszukiwać twardy dysk laptopa, ale kątem oka dostrzegła jego napięcie, więc znów na niego spojrzała. Cały czas patrzył w jakiś punkt na podłodze i nie ruszył się z miejsca.

– Co jest, Bjarne? Dobrze się czujesz? Wiem, że ten Thomsen... to zdecydowanie kawał pojebanego skurwysyna. Naprawdę to wiem. Ale spróbuj o nim zapomnieć, co?

Bjarne podniósł dłoń i wyraz jego twarzy się zmienił. A konkretnie zmienił się punkt ciężkości i równowaga w jego ciężkich rysach. Jej kolega i

wspólnik się uśmiechał.

– Nic mi nie jest. Ale on... Michael... On był naprawdę... wow!

Jego uśmiech się poszerzył. Bjarne znalazł nowego idola na równi z Hanem Solo, Lukiem Skywalkerem i Obim-Wanem Kenobim. Lene też się uśmiechnęła, ale mechanicznie. Wzrok miała wbity w ekran.

– Ma swoje dobre momenty – skomentowała pod nosem. – To mu trzeba przyznać.

Bjarne nadal tkwił w miejscu.

Lene znów na niego spojrzała i założyła kosmyk za ucho.

– Co się dzieje? Wybacz, ja po prostu... – „Za chwilę dostanę zarzut zabójstwa”, miała ochotę powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła.

– No więc, pamiętasz, jak ci mówiłem, że polski kabotażowiec Kazimierz Pułaski zatrzymał się na Øresundzie w okolicy Vedbæku w nocy z czternastego na piętnastego września zeszłego roku i zgłosił awarię silnika?

– Yyy, szczerze mówiąc, nie.

– Z Kaliningradu do Oslo?

– I co z nim?

– Znów tu płynie. Celnikom zadeklarowali części maszyn z Rostocku do Göteborga.

Lene westchnęła.

– Ile razy pokonał tę trasę od września zeszłego roku?

Bjarne zerknął na żółtą karteczkę.

– Jedenaście.

Lene rozłożyła ręce.

– Bjarne, czasem mam wrażenie, że znajdujemy się na dwóch różnych planetach. – Zamilkła, a gdy zobaczyła jego urażoną minę, dodała szybko:

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Pewnie masz rację.

– Słuchaj, ci biedni polscy żeglarze pewnie wykonują po prostu swoją pracę. Raczej nie rozwożą co miesiąc terrorystów po basenie Bałtyku niż firma kurierska al-Kaidy, prawda?

– Raczej nie – przyznał.

– Zatem nie ma tematu.

Ponownie skupiła się na komputerze Irene Adler, a Bjarne odjechał z krzesłem do swojego biurka.

Zawartość laptopa okazała się boleśnie przewidywalna. Większość plików zawierała raporty z testów LSD w Rigshospitalet. Ain była jedną z sze-

ściorga młodych Duńczyków innego pochodzenia etnicznego, których leczono LSD w okresie od listopada do lutego. Grupa liczyła dwóch mężczyzn i cztery kobiety. Wszyscy byli młodzi i jak się okazało, uczęszczali do tych samych meczetów i wspólnie studiowali Koran, więc do pewnego stopnia się znali. I wszyscy mieli zdiagnozowaną depresję – od umiarkowanej po ciężką.

Na temat Ain poza raportami było też sporo prywatnych plików dźwiękowych i filmów nagranych minikamerami i mikrofonami ukrytymi w jej mieszkaniu. Wyglądało więc na to, że wymiana informacji i danych wywiadowczych pomiędzy Irene a PET była totalna, a ich współpraca obejmowała znacznie więcej niż przekazywanie obserwacji akademickich przez jedną stronę i wykorzystywanie tych danych w celach ściśle wywiadowczych przez stronę drugą. W przeciwnym razie dlaczego PET przekazywałoby Irene nagrania z inwigilacji Ain? Lene pomyślała, że może Irene i Kim Thomsen znali się jeszcze przed zamachem w Tivoli. Bez wątplenia tak właśnie było. A po zamachu ich współpraca naturalnie jeszcze się pogłębiła. Głównie dlatego, że zarówno dla niej, jak i dla PET taki układ był bardzo wygodny. Oni dostawali informacje, a ona mnóstwo obiektów do badań. Klasyczna *win-win situation*.

I oczywiście ktoś, zapewne jakaś tajna komisja w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, cały projekt sfinansował.

Do Lene zaczęło docierać, co terror robił ze społeczeństwem, jak je odczłowieczał. Próbując się ochronić, społeczeństwo zabijało część siebie. Na przykład przyzwoitość.

Otwierała pliki na oślepek. Filmy przedstawiały wszystko, począwszy od tego, jak Ain robi sobie jajka na miękko na śniadanie, przez to, jak nakłada makijaż przed lustrem nad umywalką, aż po jej wizyty w toalecie i długie nocne sceny seksu, często z udziałem Nazeery Gamil.

Filmy z terapii prowadzonej w Rigshospitalet na pierwszy rzut oka wydawały się dość niewinne. Irene rzadko rozmawiała z młodymi ludźmi osobiście. Przeprowadzaniem wywiadów i administrowaniem tabletek LSD zajmowali się inni lekarze, jej rówieśnicy albo doktoranci. Same tabletki nazywano w raportach inaczej: nową generacją antydepresantów bez skutków ubocznych, jakie dawały leki stosowane do tej pory. Gabinet był pomieszczeniem jasnym i wyglądał całkiem niewinnie. Nie było w nim stetoskopów ani ciśnieniomierzy. Nie było też białych kitli. Konsultacje przebiegały bardzo spokojnie.



Do momentu, aż substancja aktywna zaczynała działać.

Niektórzy chodzili po pokoju i gestykulowali energicznie, wyrzucając z siebie strumień bardziej lub mniej składnych zdań. Inni robili się zamknięci i lękliwi. Krzyżowali ręce i nogi, tracili kontakt wzrokowy z prowadzącym, zatracali się w rozmyślaniach, użalaniu się nad sobą, konsternacji albo milczeniu.

W jednym przypadku prowadzący wywiad musiał wezwać pomoc, posługując się ukrytym pod biurkiem przyciskiem alarmowym, kiedy silny młody Arab w amoku rzucał niezrozumiałe przekleństwa i podnosił zaciśnięte pięści. Szybko został obezwładniony i wywleczony do przylegającego do gabinetu pokoju, w którym stało zasłane łóżko z poduszką i kołdrą oraz szerokimi skórzanymi pasami na nadgarstki, talię i kostki.

Lekarz wstrzyknął mu dożylnie środek uspokajający i młody uczestnik odpłynął, mamrocząc do siebie.

Najbardziej fascynujące w tych nagraniach było coś, co można chyba nazwać strefą relaksu. Pomieszczenie z miękkimi fotelami, dywanem na podłodze, płaskimi ekranami, stolikami z kawą, sokiem i wodą mineralną, tacami z ciastkami i kanapkami. To tu młodzi ludzie dochodzili po tripach. Z niewidocznych głośników płynęła muzyka klasyczna. Uczestnicy badań mogli się tu czegoś napić i coś zjeść, każdy z nich zdawał się odczuwać potężne pragnienie po tych seansach. Lene nie miała wątpliwości, że to miało im w jakiś sposób zrekompensować terapię. Ich spięte ciała powoli się rozluźniały, ci, którzy byli niespokojni i przestraszeni, uspokajali się i nawet tamten agresywny chłopak po półgodzinie wyglądał całkiem normalnie i zachowywał się, jakby w ogóle nie pamiętał, co zaszło.

Do sympatycznej pielęgniarki zwracali się po imieniu, dostawali karteczki z datą następnej wizyty i opuszczali ośrodek niemal w stanie błogości.

Przerażające, jak precyzyjnie da się manipulować ludzką psychiką, pomyślała Lene. Dlaczego tam wracali? Po zrozumienie, docenienie, wybaczenie? Oczyszczenie?

A może to udoskonalone LSD tak naprawdę uzależniało? Prawdopodobnie tak. Tak w każdym razie twierdziła Helle Englund.

Lene klikała dalej. Przejrzała kilka kolejnych raportów. Wszystkie przedstawiały podobny proces: dogłębne, ale pozbawione uprzedzeń badanie politycznych przekonań pacjentów, ich inspiracji i osobistych ambicji, ideolo-

gii i przekonań ich przyjaciół, sytuacji rodzinnej, miejsc zamieszkania i odbywanych podróży. Tego, co lubią i czego nie lubią.

Na koniec odnalazła Ain, która okazała się tak samo dziwnie bezwolna jak pozostali. Lecz jej bierność najwyraźniej działała Irene na nerwy. Lekarka osobiście przeprowadziła wszystkie pięć rozmów z Ain, a Lene obstawiała, że Thomsen siedział w tym czasie w jakimś pomieszczeniu, niezbyt dalekim od gabinetu, i uzupełniał pytania lekarki.

W uchu Irene widać było mały ślimak w cielistym kolorze.

Kiedy Ain opowiadała o dzieciństwie w obozach dla uchodźców w Tunezji oraz okresie tuż po przybyciu do Danii, o liceum, przyjaciółkach i chłopakach, szło w miarę gładko. Ale gdy rozmowa schodziła na temat jej znajomych z klubu dla dziewcząt przy Møllegade i znajomych z meczetów w Nørrebro, dziewczynę ogarniała przemożna indolencja. Snując opowieści o rodzicach, dorastaniu w Værløse i szkolnych perypetiach, zachowywała się naturalnie, a jej ciało było rozluźnione. Gdy zaś lekarka zapytała o pierwsze doświadczenia seksualne, robiła się czerwona i spięta.

W sprawie upodobań politycznych albo kontaktów z ekstremistami zamykała się całkowicie. Nie pamiętała nawet nazwisk członków swojej grupy ze studiów koranicznych, do której w tamtym czasie uczęszczała. I nie, nie znała żadnych duńskich fundamentalistów, nikogo, kto wyjechał do Syrii, walczył i wrócił. Nikogo. Tak naprawdę w ogóle nie śledziła sytuacji na Bliskim Wschodzie, a wyrafinowane, zawołowane sugestie Irene na temat organizacji terrorystycznych trafiały w ścianę.

Lene przyłapała się na tym, że uśmiecha się z satysfakcją, patrząc, jak lekarka raz po raz chybi. Jej głos brzmiał coraz bardziej nachalnie, potem stawał się poirytowany, a na koniec bezsilny. Lecz całe to rozdrażnienie nie robiło żadnego wrażenia na dziewczynie, która tylko coraz bardziej się zamykała.

Podczas ostatniego wywiadu Irene Adler większość czasu spędziła ostentacyjnie patrząc przez okno. Liczyła chyba, że tym sposobem zmusi Ain do mówienia. Ale dziewczyna w ogóle nie wyłapała nastroju lekarki – albo miała go gdzieś. Patrzyła nieobecny wzrokiem na swoje paznokcie i kto wie, jakie wizje wyświetlały się w jej czaszce na haju wywołanym LSD.

\* \* \*

Lene zalała sobie nescafé w kosmicznej kuchni Bjarnego.

Śledziła wzrokiem krople deszczu na oknie i rozmyślała o tym, że pierwsi delegaci na szczyt UE wylądowali w Kastrup dwie godziny temu, a za godzinę wyląduje samolot izraelskich linii El Al z Tel Awiwu z Ehudem Berezowskim na pokładzie.

Czas się skończył.

Otworzyła ostatni, niewinnie wyglądający folder na pulpicie komputera. Irene nadała mu zagadkową nazwę: *Notes on LAD-S3-25: individual cases, ex. Protocol*. Lene przetłumaczyła to sobie jako notatki z zastosowania zmodyfikowanego LSD w pojedynczych przypadkach, poza oficjalnym protokołem badań. Folder nie zawierał żadnych plików audio ani wideo, tylko nazwiska czterech kobiet, które Irene Adler osobiście i bez ich zgody leczyła LSD albo których leczenie tą metodą rozważała. Były to dwie kobiety w średnim wieku cierpiące na poważne zaburzenia lękowe. Jedna była znaną aktorką, która przerwała karierę z powodu tremy, a druga żoną znanego biznesmena. Poza nimi nieznana Lene trzydziestolatka z ciężką schizofrenią oraz dwudziestotrzylatka z zagrażającą życiu depresją, która dobrze reagowała na leczenie antydepresantami i elektrowstrząsą, ale której stan Irene uznała za bardzo niestabilny i w dużym stopniu grożący nawrotem choroby.

Była nią córka Lene – Josefina.

*...pacjentka przebywa na oddziale od sześciu miesięcy, ale w ciągu ostatnich trzech tygodni po terapii elektrowstrząsami nastąpił pewien postęp. Przeważnie udaje się z nią nawiązać dialog na temat spraw codziennych. Utrzymuje kontakt wzrokowy, ale pozostawiona w samotności szybko staje się zgorzkniała, zamyka się w sobie i się obwinia.*

*...należy dodać, że padła ofiarą napaści szczególnie brutalnej i sadystycznej, a każde wspomnienie tego zdarzenia zawsze już będzie się wiązało z poczuciem nieuchronnej katastrofy i bliskiej śmierci. A ponieważ poza tym jest zdrowa i nie doznała wcześniej traumy, ma słabo rozwiniętą zdolność wypierania ze świadomości. Nie widzę innych możliwości terapii niż dożywotnie podawanie silnych leków i prawdopodobnie kolejne hospitalizacje. Pacjentka zawsze bowiem będzie zagrożona samobójstwem. Doznała urazu w wielu kluczowych obszarach: swojej seksualności, elementarnej zaufania do otoczenia, postrzegania własnego ciała, a przy tym cierpi z powodu ogromnego poczucia wstydu względem matki. We własnym przekonaniu zachowała się nieodpowiedzialnie i bezmyślnie, co doprowadziło do jej po-*

*rwania, które z kolei postawiło jej matkę w sytuacji bez wyjścia. Nieustannie się obwinia i to stanowi źródło jej depresji. Jest to oczywiście całkowicie nieracjonalne. Pacjentka nie mogła w żaden sposób zapobiec temu, co się stało. Przyznam, że z tak cynicznym bestialstwem nie zetknęłam się, odkąd leczyliśmy ofiary gwałtów z Bośni. Spustoszenie w psychice pacjentki jest ogromne.*

Lene czytała dalej przez zasłone łez. Nie miała pod ręką chusteczki, więc wytarła nos w rękaw.

*...nasz oddział jak zawsze boryka się z niedoborem łóżek i moim zadaniem jest oczywiście rozdysponowanie tych niewystarczających środków. Po zamachu w Tivoli zwyczajnie nie nadążamy. Uważam, że pacjentkę można bezpiecznie skierować do opieki ambulatoryjnej. W pierwszym okresie chce zamieszkać z matką, a ja nie widzę przeciwwskazań. Matka wydaje się osobą rozsądną, mądrą i zaradną i ma względem córki jak najlepsze intencje. W takim układzie tamta tragedia na zasadzie skojarzeń stanie się stałym elementem ich życia, ale rozważyłam wady i zalety tego rozwiązania i uważam, że to jedyna szansa na postęp. Nie przypominam sobie, aby ktokolwiek był hospitalizowany przez tak długi okres. Mam nadzieję, że wspólnie matka i córka ponownie się odnajdą i wzajemnie wesprą w drodze do uzdrowienia. Matka bowiem nie mniej niż córka cierpi z powodu nieustającego i bezcelowego poczucia winy, choć nie wykazuje klinicznych oznak choroby psychicznej. Ma silną, ekstrawertyczną i mocno indywidualistyczną strukturę osobowości, w przeciwieństwie do córki, która jest zbyt młoda, żeby przepracować i uzewnętrznić atak o takim stopniu brutalności...*

Pochwały i wyrazy szacunku ze strony Irene. Lene zamknęła oczy, kiedy przeczytała ten akapit.

Poza tym w notatkach było niewiele więcej. Irene rozważała leczenie Josefina LSD w nadziei, że wyrwie jej koszmary z korzeniami, ale na rozważaniach się skończyło. Terapia była zbyt ryzykowna.

Lene wyszła z biura, czując na karku wzrok Bjarnego. Przeszła przez Salę Mozaikową, mijając pochylone siwe głowy, na korytarzu znalazła wolną toaletę, usiadła na klapie deski klozetowej i oparła brodę na dłoniach.

To, co czuła, stanowiło niemożliwą do pogodzenia mieszaną ulgi i wstydu. Ulgi, że ktoś, a właściwie wszyscy, dobrze się zaopiekowali jej

córką. Oraz przemożnego wstydu z powodu podejrzeń, oskarżeń i gróźb, których nie szczędziła Irene.

\* \* \*

Spędziła w tej kabinie sporo czasu, w końcu wstała, ochlapała twarz zimną wodą i z powrotem wyszła na korytarz. Szła z rękami skrzyżowanymi na piersi i wzrokiem wbitym w podłogę, wszyscy instynktownie schodzili jej z drogi.

Przypomniła sobie słowa Charlotte o tym, że nie powinna w nieskończoność skupiać się na własnej, osobistej tragedii i spróbować dostrzec fakt, że niektórzy tamtego wrześniowego dnia stracili wszystko. Że w jednej chwili zginęły całe rodziny.

Kiedy weszła do biura, Bjarne przywitał ją, jakby wróciła z wojny.

– Jest teraz na wysokości Skanör – powiedział podekscytowany i pokazał zieloną ikonkę na elektronicznej mapie morskiej, do której włamał się przez Komando Operacyjne Marynarki Wojennej.

– Co?

– Kabotażowiec. Kazimierz Pułaski.

– Bjarne, do cholery! Zapomnij na chwilę o tym przeklętym statku i zajmij się czymś sensownym, okej? Na przykład sprawdzeniem, czy niejaka Nazeera Gamil wyleciała z Kastrup w poniedziałek po południu albo wieczorem. Możesz to zrobić?

Bjarne popatrzył na nią urażony, ale posłusznie zamknął mapę i wszedł do innej prowincji swego ściśle nielegalnego hakerskiego uniwersum.

– Bjarne?

– Mhm.

– A co właściwie się stanie, jeśli Urząd Lotnictwa Cywilnego albo komando marynarki dowiedzą się, że się włamałeś do ich baz danych? Możesz na przykład kierować stąd ruchem lotniczym w Kastrupie?

– Pytasz, czy mogę przejmować instrukcje kontrolerów ruchu? Sprawić, że samolot spadnie?

– No na przykład.

Lene spytała dla żartu, ale dostrzegła właśnie w brązowych oczach informatyka niebezpieczny błysk. Położyła mu rękę na ramieniu, chociaż wiedziała, że on tego nie lubi, i ścisnęła ostrzegawczo.

– Zapomnij o tym. Okej?

Błysk zgasł.

– Lufthansa w poniedziałek po południu, lot do Ammanu – wymamrotał chwilę później. – Nazeera Gamil. Wylądowała w Jordanii o trzynastej czterdzieści dwie, dokładnie zgodnie z planem. Kocham Lufthansę.

Lene patrzyła na zielone cyfry na ekranie.

– Kiedy wraca?

– Wróciła tego samego dnia o dwudziestej trzeciej dziewiętnaście.

– Dzięki, Bjarne – powiedziała poważnym tonem. – To ona. To ona jest kretem Thomsena. Jego agentką u Safara Khana. Jestem gotowa postawić na to milion.

– Kto? – spytał, ale już w przestrzeń.

\* \* \*

Lene zbiegała po schodach. Wszystko się zgadzało. Nazeera Gamil była agentką Thomsena w siatce Khana. Musiała być. To jej tożsamość i pracę próbował chronić.

I to ona posłużyła się Ain, by udowodnić Khanowi, że może mu się przydać. Że można na niej polegać.

To się zgadzało również z nagraniem z peronu: Ain podniosła głowę i poczuła zapach, którego nie powinno być w grupie chłopców z deskorolkami. Zapach kobiety, którą знаła. Dwie sekundy później poczuła śmiertelne pchnięcie w plecy, obezwładniające przeczucie katastrofy i pęd powietrza wypychanego przez pociąg kilka metrów od niej.

Wszystko kręciło się wokół zapachu.

Przypomniała sobie ciemny, zmysłowy zapach, który Nazeera ciągnęła za sobą jak niewidzialny sztandar, gdy szła korytarzem za kuchnią w swojej restauracji. Ten sam zapach Lene wyłapała w przedpokoju Irene Adler, tylko nie rozpoznała go wtedy, gdy jeszcze można było coś zrobić.

Przebiegła przez hol recepcji i drzwiami wahadłowymi wybiegła na zewnątrz. Od razu przywitał ją zimny deszcz, lecz zamiast go przeklinać, zamknęła oczy i wystawiła ku niemu twarz. Po raz pierwszy od śmierci Josefine myślała w pełni jasno. Pamiętała to uczucie. Uporządkowane ciągi myśli, maszerujące ku nieuchronnej konkluzji. Nie wierzyła, że jeszcze kiedyś tego doświadczy.

W kieszeni spodni zawibrował jej telefon.

– Tak?

– Mówi Bjarne, wybacz.

– Nie przepraszaj.

– Przepraszam.

Zamknęła oczy.

– Co jest?!

– Gamil, Nazeera. Była w Ammanie cztery razy w ostatnim roku.

– Cztery razy?

– Tak. Do tego trzy razy w Limassolu na Cyprze i raz w Bejrucie. A dwa lata temu spędziła dwa miesiące w Pakistanie. W okresie letnim. W Islamabadzie i Karaczi. Podróżowała zresztą razem z Kimem Thomsenem. Lecieli tym samym samolotem.

Lene opuściła dłoń z telefonem. Trzy miesiące w Pakistanie. Z Thomsenem. Na równinie w okresie, gdy wszyscy rozsądni ludzie przenosili się wyżej. Na pewno nie było to miejsce, do którego jedzie się na wypoczynek. I jeszcze Limassol. Każda wschodnia frakcja od powstania państwa Izrael w 1948 roku miała na Cyprze swój sztab, biuro albo platformę medialną. Każdy, kto na tej wyspie sprzedawał miód albo wypożyczał skutery, był w jakiś sposób powiązany z konfliktami na Bliskim Wschodzie. I to też było całkiem pewne.

Ponownie przystawiła telefon do ucha.

– Dzięki, Bjarne.

– Nie ma za co. Zadzwoń, jeśli będę miał jakieś wieści o tym polskim statku, co nie?

– Tak zrób – przytaknęła. Podeszła do swojego samochodu, usiadła za kierownicą i już miała dzwonić do Michaela, kiedy to on zadzwonił.

– Michael! Wiem, kto jest informatorem – oznajmiła na wydechu. – Jestem tego pewna na sto procent. Znalazłam też komputer...

– Nazeera. Tak, wiem. A teraz przymknij się chwilę i posłuchaj. To znaczy, bądź uprzejma się przymknąć, dobra?

W tle słyhać było dziwne warczenie.

– Michael?

– Czeka, czekaj chwilę. Niech tylko...

Jego głos zniknął i zastąpił go niski pomruk. Potem Lene usłyszała ostry dźwięk, jakby ktoś łamał suche spaghetti. Michael wrzasnął i Lene wyskoczyła z samochodu i zaczęła nerwowo obchodzić go w kółko.

– Gryzie, gdy podnoszę głos – wyszeptał.

– Kto?

– No pies! Ten przeklęty kundel. Ochroniarz tej baby. Nie lubi, kiedy ktoś krzyczy.

– Mówisz o Rudolfie? Psie Nazeery? Ale dlaczego...? Michael, nic nie rozumiem. Co ty robisz? Zabrałeś mu coś? Coś mu zrobiłeś? Gdzie ty jesteś?

Przez kilka sekund milczał.

– Pytasz, czy mu coś zrobiłem? – spytał, z trudem próbując zachować spokój. – I co niby miałbym mu zabrać? Kość? Kurwa, to ja jestem jego kością!

Pies warknął ostrzegawczo.

– Gdzie ty jesteś?!

– Na podwórku za Le Crocodile Vert. Leżę na trawniku, w promieniu trzech lat świetlnych nie ma żywej duszy, a potwór właśnie zje mi nogę. Masz przy sobie pistolet?

– Jasne. Ale zadzwoń po policję!

– Chyba właśnie to robię, kurwa?! I pośpiesz się, na Boga.

\* \* \*

Nazeera stała przy oknie odwrócona plecami do Kima i z rękami skrzyżowanymi na piersi. Słabe światło w niemal pustym wysokim magazynie łagodziło kontury jej sylwetki. Długa, harmonijna krzywa biegła przez jej całe ciało od czubka głowy aż po koniuszki palców u stopy, balansujące za drugą stopą. Włosy zaczesane gładko do tyłu były spięte na karku klamrą. Miała na sobie długi szary kardigan, czarne dżinsy i zero makijażu. Patrzyła beznamiętnie na mężczyznę i psa na trawniku na dole.

Nigdy wcześniej go nie widziała.

Ciemnowłosy nieznajomy leżał przed chwilą z twarzą przyciśniętą do trawy i zamkniętymi oczami. W jednej ręce nadal trzymał telefon, przez który właśnie skończył rozmawiać, a Rudy stał nad nim nieruchomy jak skała. Pies w skupieniu mrużył oczy, jego jedynym ruchem były dostrzegalne od czasu do czasu drobne drgania czarnych warg. Szczękę miał zaciśniętą na prawym goleniu mężczyzny. Z tego miejsca do wypolerowanych drogich butów płynęły długie strużki krwawej śliny.

W budynku mieścił się dawniej magazyn domu aukcyjnego, który zbankrutował. Okna były więc zakratowane, a stalowe drzwi – masywne. To było dobre miejsce na ich rzadkie spotkania. W rogu leżał szeroki materac



zakryty czerwoną narzutą. Na brudnej betonowej podłodze stało wiaderko do szampana wypełnione w połowie letnią wodą, a obok niego pusta butelka po veuve clicquot i dwa długie kieliszki.

Nazeera nieuchronnie kojarzyła się z łóżkiem, pomyślał Kim, który sam kilkakrotnie testował ten materac, w innych, lepszych czasach. Przelotnie pomyślał też, z kim mogła pić tego szampana. Kandydatów nie brakowało.

– Nazeero, może powinniśmy dać sobie z nim spokój. Pewnie zadzwonił do żony uprzedzić, że wróci później.

Zdenerwowana przygryzła paznokiec.

– Wiem, ale kim on jest? – zastanawiała się.

Kim potarł się po szyi. Nadal miał trudności z przełykaniem, a głos zrobił mu się o oktawę niższy, odkąd leżący na trawniku mężczyzna z porażającą łatwością powalił go w biurze w Glostrup. Uważał jednak, że nie ma powodu jeszcze bardziej jej martwić. Śmierć Irene Adler poruszyła ją w sposób dla niego niezrozumiały.

– Nie mam pojęcia – odparł. – W życiu go nie widziałem. Może to pośrednik nieruchomości. Budynek jest na sprzedaż, prawda?

– Nie wygląda na pośrednika – stwierdziła stanowczo, nie odwracając się do niego. – Wygląda na kogoś zupełnie innego.

– Tak uważasz?

– Tak, Kim. Boję się go. Jesteśmy tak blisko! Kto to jest?!

Dała sobie spokój z przygryzaniem paznokci i ponownie docisnęła do piersi skrzyżowane ręce.

Miał ochotę ją przytulić, ale wiedział, że odsunęłaby się z tym szklistym, twardym spojrzeniem zarezerwowanym specjalnie dla niego.

– Ty się niczego nie boisz – powiedział z uśmiechem. – Jesteś Zebra, nie zapominaj o tym.

– Zebry są pożerane, Kim. W łańcuchu pokarmowym są przejebanie nisko.

– Ale są nieposkromione.

– Tak... Wybacz. Zaraz się...

– A co się dzieje z twoimi kolegami z Jordanii? Przyjadą? Nie przyjadą?

– Przyjadą. Lepsza okazja im się nie trafi. I oni o tym wiedzą. Safar Khan też to wie. Tym bardziej że załatwiłeś im te legitymacje. Ciężko było?

Wzruszył ramionami. To było bez znaczenia. Ważne, że zamachowcy docenią skuteczność i spryt Zebry. Pomyślał, że przeszła samą siebie. Po wręczeniu nagrody podczas uroczystego obiadu w sali bankietowej uniwersy-

tetu mogli niezaczepiani przez nikogo podejść do stołu głównego w uniformach kelnerów z międzynarodowej firmy cateringowej, która zapewniała obsługę i jedzenie podczas wizyty Ehuda Berezowsky'ego.

Kraj by się po tym już nie podniósł, pomyślał.

Szwajcarska firma cateringowa miała najwyższy międzynarodowy certyfikat bezpieczeństwa i Izraelczycy nalegali, aby skorzystać właśnie z jej usług. Ich szefowie gotowali i serwowali posiłki sułtanowi Brunei, Władimirowi Putinowi, Hugonowi Chávezowi i bratu Fidela Castro, Raulowi. Firma zatrudniała wyłącznie personel sprawdzony przez służby wywiadowcze wszystkich krajów. Życie tych ludzi prześwietlano od przedszkola.

Dlatego też właściciel firmy wił się jak piskorz, zanim ostatecznie – i tylko w zamian za wszelkie możliwe pisemne gwarancje – wydał mu legitymacje, którymi kucharze i kelnerzy mieli się posługiwać podczas uroczystości. Legitymacje były laminowane i zabezpieczone zaawansowanym hologramem. Na każdej było kolorowe zdjęcie portretowe właściciela – dostarczone mu przez Nazeerę, oraz odcisk palca wskazującego prawej dłoni. Były ważne jedynie przez dwadzieścia cztery godziny i ponoć niemożliwe do podrobienia.

– Niezbyt – odparł.

– Przecież wiem, że to nieprawda. – W końcu się do niego odwróciła. Jej twarz była w cieniu i przez to trudna do rozszyfrowania.

– To powiedz im, że było bardzo ciężko. Zrobimy wszystko, żeby ich zadowolili, prawda?

– Nie powinienes ich lekceważyć, Kim – upomniała go poważnym głosem.

– Jeśli jest coś, czego nie robię... Kurwa, jeśli jest coś, o czym nigdy bym nawet nie marzył, żeby zrobić, to ich lekceważyć. Do tego stopnia, że od siedmiu miesięcy nie myślę o niczym innym, jak o tym, żeby ich nie lekceważyć.

– A potem, Kim? Kiedy zapadnie klapka w twojej wyrefinowanej, genialnej pułapce i wszyscy będą martwi albo aresztowani, to co?

– Jakie potem?

Potarł twarz dłonią. Nie miał pojęcia, co będzie potem. Cały czas zakładał, że po prostu się zabije. Ale może nie. Może dałoby się zrobić coś innego? Może razem z nią?

– Nie myślałem o tym – powiedział po chwili. – Co on robi?

– Nic. Leży. Jest bardzo spokojny i cierpliwy. Myślę, że jest groźnym człowiekiem.

Mógł jej tylko gorąco przytaknąć w myślach. Skąd go u licha wytrzymała ta przeklęta Jensen? I dlaczego nadal nie słyszał, żeby ją ścigali za zabójstwo Irene Adler? Policyjne kanały radiowe powinny być rozpalone do czerwoności. Powinny iskrzyć i buczeć od sensacyjnych plotek, że rudowłosej komisarz Lene Jensen puściły hamulce i w amoku zamordowała lekarkę, której błąd kosztował życie jej córki.

Nagle zaczęła płakać. Kiedy delikatnie, czubkami palców dotknął jej pleców, poczuł, że drżała. Ale się nie odsunęła.

– Chodzi o Irene? – spytał zaskoczony.

– Tak! Tak... wybacz.

– To ja przepraszam – wymamrotał. – Chyba nigdy tak naprawdę nie sądziłem, że...

– Że my nie tylko się nawzajem wykorzystywaaliśmy?

– Właśnie.

Odsunęła się od niego i weszła do wysokiego pomieszczenia pachnącego pustką i kurzem.

– Kochałam Irene – wyznała. – Była dokładnie taka jak ja, Kim.

Czyli byliście tak samo pojebane, pomyślał i poczuł ukłucie zazdrości.

– Niewykluczone, że będziesz miała okazję wziąć odwet – powiedział.

– Na Lene?

– Tak.

Przyjrzała mu się badawczo i mimowolnie spuścił wzrok.

– Bo to nie ty to zrobiłeś, prawda, Kim? Żeby się pozbyć Lene? Żeby nie mogła pokrzyżować twoich planów. Zepsuć twojej misternie przygotowanej pułapki. Nie jesteś aż tak szalony, prawda?

– Lubiłem Irene – szybko zaprotestował. – Fantastycznie nam się współpracowało.

– Fantastycznie... Tylko tak jakby nic z tego nie wyszło, prawda? Żadna z osób, z którymi rozmawialiście, niczego wam nie powiedziała. Bo niczego nie wiedziała.

To byli zwyczajni młodzi ludzie. Od początku ci to mówiłam. Safar Khan używa wyłącznie ludzi z zewnątrz.

Jej oczy płonęły, kiedy ciągnęła dalej:

– A kto, kurwa, jeśli nie ja, miał to wiedzieć, co? Masz pojęcie, ile razy ryzykowałam życiem dla ciebie i tego małego śmiesznego kraju, w którym

ludzi interesują tylko programy o gotowaniu i kolejne ciąży w rodzinie królewskiej? Wiesz, jakie to uczucie nie wiedzieć, czy następna sekunda będzie twoją ostatnią? Kiedy nie da się tego uczucia zignorować, bo na przykład ktoś właśnie strzela ci w głowę? Przypomnij mi jeszcze raz, Kim, jak leciała ta śpiewka. Wiesz, ta o patriotyzmie, o zmienianiu świata, byciu najlepszą wersją siebie, o tym, że wystarczy, aby jeden przyzwoity człowiek nie ruszył palcem, żeby zło wygrało. Bo szczerze mówiąc, zapomniałam już, dlaczego, u licha to robię. Przez chwilę myślałam, że robię to dla ciebie.

– To mi schlebia, dziękuję.

– Wal się! Później zaczęłam myśleć, że robię to dla tych wszystkich ludzi, którzy codziennie przychodzą do Krokodyla, żeby miło spędzić czas z przyjaciółmi i rodziną, dla matek z wózkami, które wpadają na kawę przed południem, dla studentów z laptopami, którzy przy jednej latte siedzą dwie godziny pomiędzy wykładami, dla ludzi, którzy wyprowadzają psy w parku, dla tego chłopca z Mozambiku, który mieszka na parterze z duńskimi rodzicami adopcyjnymi i który dostał imię po Lionelu Messim, na co pewnie nalegał jego ojciec, który zawsze mi mówi dzień dobry.

Kim podniósł ręce w geście obrony.

– Ależ, Nazeero, przecież to wszystko prawda. Robisz to dla nich. My wszyscy, do diabła, robimy to dla nich! Robimy to, żeby Lionel i jego rodzice nie zostali rozerwani na strzępy, jeśli przypadkiem znajdą się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej godzinie. Myślałem, że to oczywiste.

Miał ochotę ją uderzyć. Miał ochotę ją przytulić. Miał ochotę zastrzelić ją na miejscu, a jeśli to nie pomoże, zawlec ją na ten materac w rogu i kochać się z nią, aż cały świat zniknie. Na zawsze.

Popatrzył na nią.

– Kiedy do mnie zadzwonili, pojechałem tam – zaczął powoli. – W sumie niewiele z tego pamiętam. Tak naprawdę nie byłem w stanie uwierzyć, nawet kiedy stałem w samym środku Tivoli. Myślałem, że to film.

– Biedny Kim – wymamrotała. Nie chciało mu się zastanawiać, czy z ironią czy współczuciem.

– Christian pojechał ze mną, ale dopiero później dotarło do mnie, że przez cały czas tam był. Dlatego z Christianem łączy mnie coś wyjątkowego. On coś dla mnie zrobił. Coś ważnego. Przez czternaście dni spałem na jego kanapie. Piłem tę jego przegiętą kawę.

– Pieprzyłam się z nim. Więcej niż raz. Wiedziałaś o tym? – spytała, żeby zachować nad nim przewagę. – Z twoim najlepszym przyjacielem – dodała, jakby to było konieczne.

Kim uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– To żadne zaskoczenie. Nazeero, twoja cipka jest jak drzwi obrotowe, przez które wszyscy w którymś momencie przechodzimy. To naturalne. Nic wielkiego. No ale wtedy nie można było się zbliżyć do samej wieży. Leżała w kawałkach jak jakaś, kurwa, linijka, która się zwała na te wszystkie stragany, salony gier i restauracje. Na cały ten nierzeczywisty bajkowy szajs. Wszystko płonęło. Poszły przewody gazowe, co do jednego. Zaczęło padać, a deszcz był czarny.

Obojętnie potakiwała. Jeśli wcześniej sądził, że wyczuł w niej jakąś isierkę współczucia, to skutecznie wybiła mu to z głowy. Może to przez jego komentarz o cipce i drzwiach obrotowych.

– Ludzie myślą, że na prawo i lewo leżą ciała, w malowniczych pozach i z błogim wyrazem twarzy, prawda? Jakby wszyscy nagle posnęli. Ale przecież nie tak to wygląda – ciągnął dalej. – Ich w ogóle nie widać! Wszystko jest zrównane z ziemią i przykryte grubą warstwą pyłu. I skąd tyle tego pyłu? Czujesz, jak ziemia sprężynuje ci pod stopami i tylko spoglądając pod nogi, masz szansę po jakimś czasie znaleźć rzeczy, które należą do zwłok albo są zwłokami. To jak iść ulicą ze szkła i patrzeć na piekło pod spodem. Ludzie wciśnięci w gruzy i zmieszani z odpadami. Wszystko wgniecione, jednowymiarowe. A oni w pozycjach, które wydają się niemożliwe.

Nie wiadomo, gdzie góra, a gdzie dół. Trudno ich wypatrzyć, chociaż wiadomo, że są ich setki. Wszędzie, również tuż pod tobą. Wiedziałaś, że lewą stopę mojej córki znaleźli dwieście metrów od reszty ciała? Razem z sandałem? Wpadła przez okno do działu finansów na trzecim piętrze ratusza. Znalaziono ją następnego ranka na stole konferencyjnym, obok kawy, cukru i śmietanki.

– Przestań, Kim.

Ale Kim nie potrafił przestać. Wiedział, że opowiada o tym po raz ostatni. To było dla niego ważne.

– W pewnym momencie znieruchomiałem i wbiłem wzrok w ziemię. Długo tak stałem, zanim do mnie dotarło, że niemal stanąłem na jakimś młodym człowieku. Wyglądał na Chińczyka. Potem zobaczyłem, że obejmuje kobietę. Miała na sobie jasną, wzorzystą sukienkę. Głowę i nogi wy-

gięte do tyłu. Wyglądało to tak, jakby chłopak złapał ją w powietrzu podczas skoku albo w tańcu. Zastanawiałem się, jak u licha zdążył to zrobić. Jak udało mu się ją złapać i przytulić do siebie, chociaż wiedział, że śmierć, że to, co go unicestwi, nastąpi za sekundę, i czy oni w ogóle się znali? Może złapał ją, bo po prostu nie chciał umierać, nie trzymając nikogo w ramionach?

– Lene Jensen tu jest – oznajmiła ze swojego miejsca przy oknie.

W kilku szybkich krokach stanął obok niej i zdążył zobaczyć, jak za komisarz zamyka się brama. Szła przez podwórze długim, pewnym krokiem z pistoletem w prawej ręce i wzrokiem wbitym w psa i mężczyznę leżącego na trawie.

Nazeera wyjęła z kieszeni gwizdek i przystawiła do ust. Dźwięk był za wysoki, żeby mogło go wyłapać ludzkie ucho, ale pies natychmiast wypuścił nogę mężczyzny. Popatrzył obojętnie na rudowłosą kobietę, która zbliżała się z bronią w wyciągniętej ręce i przez dziurę w ogrodzeniu wszedł na sąsiednie podwórko, gdzie zniknął.

Komisarz zatrzymała się i popatrzyła na fasadę budynku.

– Chyba powinniśmy stąd iść – stwierdził Kim.

Wcisnął guzik starej windy towarowej i zjechali na dół, stojąc obok siebie, jak przypadkowi goście w hotelu.

– Kim, co ona tu robi?

– Pewnie po nią zadzwonił.

– Więc chyba nie jest pośrednikiem nieruchomości, prawda?

– Chyba jednak nie.

– Wiesz, że nie o to pytam.

Winda zjechała na parter i Kim otworzył ciężkie drzwi.

– A o co pytasz?

– Dlaczego nie została aresztowana, skoro zamordowała Irene? Bo przecież ona jest tutaj, prawda? W środku Kopenhagi. Gdzie raczej trudno jej nie zauważyć. Zresztą wcale nie wygląda, jakby się ukrywała.

Potrząsnął głową.

– Ja też tego nie rozumiem.

– Właśnie.

Próbował pochwycić jej wzrok, ale nie chciała na niego spojrzeć.

\* \* \*

– Au, kurwa mać! Jebany kundel.

Michael podnosił się powoli, jak rozkładany leżak plażowy. Lene próbowała mu pomóc, ale odepchnął jej rękę. – Kurwa, co ci tyle zajęło?

Wcisnęła swoje niemile widziane dłonie do kieszeni kurtki i zmierzyła wzrokiem budynek magazynu.

– Wydaje ci się, że to trwało dłużej niż w rzeczywistości – odparła spokojnie. – Co tu robisz?

– *Fuck!*

– *Fuck?* Czy to coś w rodzaju wyjaśnienia?

Wyprostował się całkiem i ze smutkiem spojrzął na swoją krwawiącą, zmasakrowaną nogę. Czy go uniesie? Czy kiedykolwiek uniesie cokolwiek?

– Ona, ta Nazeera... Chciałem ją jakoś wyczuć.

– Wyczuć?

– Kurwa, sprawdzić, z kim się kontaktowała, okej?

– I co, sprawdziłeś?

– Nie!

Bolało jak diabli, kiedy spróbował stanąć na lewej nodze. To bydlę pojawiło się znikąd. Czuł się, jakby szedł ciemnym lasem i nagle postawił nogę w potrzasku.

\* \* \*

Nazeerę obserwował od paru godzin.

Wyglądało na to, że miała dziś dyżur jako baristka. W bistrze nie było dużego ruchu. Na wysokich stołkach przy oknie siedziała dwójka studentów z Makami, a stolik za przegrodą zajęły dwie matki z dziećmi. Wystrój nawiązywał do tradycji amerykańskich dinerów – obicia kanap z czerwonego plastiku, kwadratowy stolik z laminatu z metalowym rantem, a na nim butelki z keczupem i sosem worcestershire.

Arabka pracowała za ladą szybko, poruszała się lekko i była wyprostowana jak struna. Ale kiedy nie było klientów, zamyślała się ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Gdy ktoś coś do niej mówił, uśmiechała się i zaraz na powrót zamykała się w sobie. Wyglądała na zmartwioną. Po paru godzinach z kieszeni fartucha wyjęła telefon i spojrzała na wyświetlacz. Potem zdjęła fartuch, złożyła go i schowała pod ladą. Rzuciła coś przez ramię i z kuchni wyłonił się gruby mężczyzna o melancholijnym wyglądzie z ciemnymi

workami pod oczami, po czym przejął stery ekspresu do kawy. Nazeera Gamil zniknęła w korytarzu za ladą.

Michael wysiadł z samochodu, przeszedł przez ulicę i uważnie obejrzał zamek bramy obok restauracji. Ze swoich studiów nad mapami wiedział, że podwórko za restauracją jest podzielone na cztery ogrodzone części i że bezpośrednio za Le Crocodile Vert znajdował się schowek na rowery, kwadratowy trawnik oraz opuszczony magazyn, który był wystawiony na sprzedaż. Wytrychem otworzył zamek i wszedł.

Na trawniku stał stolik ogrodowy z drewna tekowego i dwa składane krzesła ogrodowe. Nie było piaskownicy, małego gaju ani dziecięcych wózków. Wzdłuż płotu z sąsiednim podwórkiem rósł szereg zaniedbanych krzewów, w których musiała się czaić bestia. Nieruchoma, czujna i obserwująca.

Większość okien w magazynie była zamalowana cienką warstwą białej farby. Pod dachem był zamontowany wciągnik, nieużywany pewnie od dekad. Michael był w połowie trawnika i już się zastanawiał, jak rozbroić zamek białych metalowych drzwi, kiedy jego lewa goleń bez uprzedzenia została uwięziona w bolesnym imadle. Upadł i próbował wyszarpnąć nogę z paszczy psa, ale skurwiel ani drgnął.

Czytał kiedyś, że psa, który atakuje, można udusić paskiem od spodni, ale kiedy w końcu udało mu się odpiąć klamrę i wysunąć pasek ze szlufek, zwierzę spojrzało na niego spod byka, jakby też czytało ten artykuł, warknęło ostrzegawczo i mocniej zacisnęło szczęki, aż Michael usłyszał pękającą kość i wiedział, że za chwilę coś zostanie bezpowrotnie rozszarpane. Odrzucił pasek i poczuł, jak potwór rozluźnia ucisk, jakby w geście uznania dla jego zdrowego rozsądku.

Na szczęście nie miał nic przeciwko temu, żeby Michael zadzwonił po Lene.

\* \* \*

Cztery godziny później Michael musiał przyznać, że bywało gorzej. Powoli wracały mu siły życiowe.

Tę poprawę zawdzięczał w przeważającej mierze wizycie w Rigshospitalet, gdzie lekarka zajęła się nim, wysłuchawszy z wyraźnym sceptycyzmem wyjaśnień Lene, że Michael miał wypadek, kiedy pełnił funkcję pozoranta podczas Krajowych Mistrzostw Psów Policyjnych.



Lene zapewniła lekarkę, że niesubordynowany czworonóg został zdyskwalifikowany, ale to przecież nie naprawi wyrządzonej szkody.

Lekarka popatrzyła na drogi garnitur Michaela i czarne ręcznie szyte buty, ale nic nie powiedziała. Głębokie rany zostały ostrzyknięte cudownymi płynami miejscowo znieczulającymi. Dożylnie podano antybiotyki o szerokim spektrum działania, a przy badaniu lekarka nie stwierdziła uszkodzenia ważnych nerwów, ścięgien czy naczyń krwionośnych. Michael dostał zastrzyk przeciwtężcowy i ulotkę o wściekliwości.

Jej objawy przypominały średniowieczne egzorcyzmy. Lekarka chciała go zatrzymać na noc na obserwację, ale Lene zapewniła ją, że się nim zajmie.

Teraz leżał na swoim łóżku w hotelu, a pod chorą nogę miał podłożone poduszki i koce. W ręce trzymał szklanekę whisky i przyglądał się, jak dwie kostki lodu leniwie przesuwają się w cieczy.

– Lene, co powiesz na jeszcze jeden ketogan? – wymamrotał. – On jest cudowny.

– Masz źrenice jak główki od szpilki – oznajmiła szorstko z fotela przy balkonie. – Możesz dostać zimny okład na czoło i więcej penicyliny, ale z morfiną koniec. Teraz akurat potrzebuję towarzystwa istoty myślącej.

Patrzył na nią przymkniętymi oczami. Popołudniowe światło – albo morfina, kładło się na jej twarzy i szyi łagodnym, pastelowym blaskiem. Jej oczy nigdy nie były tak zielone.

Spojrzała na niego, kiedy się zorientowała, że ją obserwuje.

– Lene?

– Mmm?

– Chciałem cię poprosić, żebyś mnie zastrzeliła, jeśli dostanę wściekliczny, zacznę się rzucać, toczyć pianę z ust. Tego typu historie. Jeśli zacznę obracać głową jak jakaś, kurwa, sowa. Na przykład.

– Z przyjemnością, Michael. Ale z tego, co wiem, w Danii nie występuje wściekliczna, a Rudolf z całą pewnością żywi się gęsim paszтетem, argentyńską wołowiną i piankami w czekoladzie i jest zaszczepiony na co tylko się da.

– Mam taką nadzieję. A w ogóle, to jesteś niewiarygodnie piękna – powiedział i nagle zachciało mu się płakać.

– Przymknij się, Michael. Czego się dowiedziałeś?

Zacisnął zęby, usiadł, potarł oczy i odstawił szklanekę.

– No dobrze! Zdjęć Ain i Nabila Marouna *nie* przesłał szwedzki ornitolog amator. Kiedy zdjęcia zostały załadowane, on i jego żona nie żyli. Zginęli w pożarze instalacji elektrycznej w swoim domu w Södertälje. Ale ktoś podał się za niego, wysyłając zdjęcia na policyjny serwer. Najwyraźniej nikt w policji nie wpadł na to, żeby sprawdzić szczegóły. Chociażby adres IP nadawcy. Wszyscy byli zbyt zajęci gratulowaniem sobie i klepaniem się po plecach.

– Wiedziałaś – powiedziała cicho Lene. – Wiedziałaś, że te zdjęcia były zbyt piękne, żeby mogły być prawdziwe.

– Okej, ale zdjęcia to tylko mały skrawek całości – ciągnął dalej. – Nie zapominajmy o dronie w Iranie i nagraniach z amerykańskiego lotniska. Moim zdaniem te zdjęcia zrobili przyjaciele Nabila Marouna. Wiedzieli, gdzie był. Z bezpiecznej odległości obserwowali go w Tivoli. Musieli sprawdzić, czy nie stchórzy albo nie zostanie unieszkodliwiony. To normalna procedura w zamachach samobójczych. Tożsamość Elsy Valerius-Klüver zdobyli, kradnąc jej portfel albo po prostu śledząc ją i męża.

– Tylko po co?

– Po to, żeby PET miało się czym zająć, żeby śledczy się ucieszyli i podążyli za fałszywym tropem, i przypadkiem za bardzo się do nich nie zbliżyli. Do kogo albo do czego mieliby się zbliżyć, tego jeszcze nie wiem, ale mam nadzieję, że się dowiem w ciągu najbliższej doby. Zleciłem znajomemu z Londynu zrobienie researchu. PET dostało Ain na tacy i pewnie robotą aż im się paliła w rękach. W rzeczywistości dostali złudzenie, bo dziewczyna nie miała pojęcia, co robiła. Została po prostu użyta do odwrócenia ich uwagi. Funkcjonariusze PET śledzili ją, zamontowali w jej mieszkaniu mikrofony i kamery oraz pościgali jej przyjaciół i znajomych na te dziwaczne seanse z LSD.

– Znalazłam prywatny komputer Irene Adler – powiedziała Lene. – Był schowany w gablocie z zabytkowym Koranem.

– Było tam coś o Ain?

– Wszystko! Nagrania z sesji LSD jej i pięciorga innych cierpiących na depresję młodych ludzi. Ale nic z tego nie wynikło. To była zwyczajna młodzież ze środowisk migracyjnych. Nie było wśród nich nikogo choćby mgliście zradykalizowanego.

Żadne z nich nie uprawiało wojennej turystyki w Syrii. Poza tym było też mnóstwo nagrań audio i wideo z domu Ain.

– To dobrze – stwierdził.

– Że znalazłam te nagrania?

– Nie. Że ta młodzież okazała się taka, a nie inna.

Lene wstała i naląła kawy do filiżanki. Przyniosła mu ją do łóżka i usiadła na krawędzi.

– Wydawało mi się, że w jakiś sposób lubię Ain. Tak, jak się lubi młodszą siostrę, która jest beznadziejna, ale w sumie całkiem w porządku – wyznała. – Tymczasem ona była w rzeczywistości niesamowicie pusta. Myślała wyłącznie o sobie.

– Jak większość ludzi w jej wieku.

Lene splotła palce na kolanach.

– W domu Irene Adler rozmawiałam z jednym starszym kryminalistyką. Ma na imię Arne. Lubi mnie. Jest ze starej szkoły. Uczciwy do bólu.

– Aha?

– Pokazał mi kępkę włosów, którą znalazł w dłoni Irene. Była na nich krew.

– Można się domyślić, że walczyła o życie.

– Ale to były moje włosy i moja krew, Michael. Arne dał mi dwadzieścia cztery godziny na udowodnienie, że jej nie zabiłam. Wszyscy wiedzą, że jej nienawidziłam.

Michael milczał.

Lene złapała go mocno za przedramię, aż wylał kawę na kołdrę.

– Powiedz coś! Wiesz, że potrafię zabić człowieka.

Spokojnie uwolnił rękę i odstawił filiżankę na stolik nocny.

– Co mam ci powiedzieć? Wierzę ci. Jeśli mówisz, że jej nie zabiłaś, to mnie to wystarcza. Poza tym wiem, że nie potrafisz tak po *prostu* zabić. Może popełniła błąd w sztuce, prowadząc twoją córkę, a może nie, ale wiem, że potrafisz rozróżniać pewne sprawy. Ja pierdołę. Ty nie jesteś...

– Jaka?

– Chora. Obłąkana.

Lene posłała mu pierwszy szczerzy, szeroki uśmiech, odkąd ją znał. Taki, przy którym uniosły się kąciaki oczu, a nos zmarszczył.

– Skąd się tam wzięły te włosy? – spytał.

– Tamtej nocy, kiedy ludzie z PET napadli na mnie w mieszkaniu Ain, założyli mi na głowę worek, a później kopnęli mnie w głowę. Przez większość czasu byłam nieprzytomna.

Lene pochyliła ku niemu głowę, rozsunała włosy i pokazała rozcięcie.

– Thomsen – wymamrotał.

- Oczywiście.
- Ten człowiek naprawdę jest nieobliczalny – stwierdził.
- Tak. Ale potem pomyślałam, że może on robi tylko to, co sama bym zrobiła. Stracił w Tivoli żonę i dwie córeczki.
- Ale to nie Irene się tam wysadziła. Tak naprawdę nikomu nie wyrządziła żadnej krzywdy, prawda? On nie miał żadnego usprawiedliwienia ani powodu, żeby ją zabijać. Spróbuj przez chwilę myśleć jasno, co?
- I kto to mówi – uśmiechnęła się. – Dopiero co powiedziałaś, że jestem piękna.
- A wczoraj, że wyglądam jak gówno. Zdecyduj się.
- Jestem na lekach.
- Właśnie słyszę. Kim chciał się mnie pozbyć, za wszelką cenę. Nawet jeśli to oznaczało, że musi zamordować Irene.
- To oznacza, że stawka jest ogromna.
- Oczywiście.
- To oznacza również, że jest mu obojętne, co się stanie z nim samym. Po wszystkim.

\* \* \*

Wyszła tylko do przedpokoju, a Michael poczuł się dziwnie osamotniony. Nasłuchiwał niecierpliwie jej ruchów.

Gdy wróciła, trzymała coś w ręce.

- O czym myślisz? – spytała, kiedy zobaczyła jego minę.
- O swojej nodze. Myślałem o swojej nodze. Co tam masz?
- Zdjęcie zrobione w sypialni Irene Adler.

Michael spojrzał na nastrojowe czarno-białe zdjęcie śpiącej nagiej kobiety.

- Czy jest ktoś, z kim ona nie sypia? – spytał retorycznie.
- Zapewne, ale myślę, że pomieszkiwała u Irene. Szczoteczka do zębów. Karma dla psów. Miska dla psa.
- Bądź tak miła i nie przypominaj mi o tym psie. Ta dziewczyna ma naprawdę pełne ręce roboty, co?
- Zdecydowanie. W ostatnim roku czterokrotnie była w Ammanie, na Cyprze niezliczoną ilość razy, a w Pakistanie zdarzało jej się spędzać nawet trzy miesiące.
- I domyślam się, że nie były to podróże kulturalne?

– Zdecydowanie nie. Do Pakistanu poleciała z Thomsenem.

– A Cypr zajmuje drugie miejsce po Stambule pod względem agentów wywiadów na kilometr kwadratowy. Każda komórka dżihadystów ma tam biuro.

Michael popatrzył na sufit. Pewnie oboje myśleli to samo. Nazeera Gamil była informatorką PET w siatce Ebrahima Safara Khana i stąpała po tym samym ostrzu noża co Thomsen. Nie ma pewnie takiej rzeczy, której tych dwoje nie zrobiliby dla siebie nawzajem.

– Może wszystko skończy się dobrze – powiedział cicho. – Może oni jednak wiedzą, co robią.

– A może księżyc jednak jest zrobiony z sera.

– Ty oczywiście w to nie wierzysz?

– Oczywiście, że nie. Nie wierzę, że Thomsen jest w stanie ją kontrolować. Myślę, że ona ma własne, ukryte cele.

– Możliwe. Ale nie wiesz tego. Jaki w ogóle jest program na jutro? – spytał.

– O jedenastej w starych budynkach uniwersytetu przy Frue Plads Ehud Berezowsky ma wygłosić odczyt na temat historycznych aspektów żydowskości. Potem wręczą mu nagrodę i tytuł honoris causa. Obecni będą następca tronu i księżniczka Maria. A potem będzie obiad.

– *Coelestem adspicit lucem* – wymamrotał.

– Słucham?

– On, czyli orzeł, ogląda niebiańskie światło. Tak głosi napis nad wejściem. Przez rok studiowałem tam prawo, zanim zostałem żołnierzem.

– Naprawdę? Jestem pod wrażeniem.

– Nie powinnaś być. Przysypiałem na wykładach. Miejmy nadzieję, że jutro oni wszyscy nie będą oglądać niebiańskiego światła. A szczyt ministrów?

– Ci zaczynają wcześniej. Rozmowy i prezentacje zaczynają się dokładnie o ósmej i trwają do jedenastej. Wtedy mają przerwę obiadową. Wszystko ma się odbyć w Eigtved Pakhus w Christianshavn. Na wieczór zaplanowano konferencje prasowe.

– Żadnej części artystycznej?

– Planowano spektakl w operze, a po nim uroczystą kolację w Amalienborgu, ale wszystko odwołano ze względów bezpieczeństwa.

– Rozsądnie. Ale budynek ministerstwa to koszmar – przyznał. – Mnóstwo trudnych do zabezpieczenia dróg dostępu, a przy tym jest to miejsce

dziwnie klaustrofobiczne. Nie ma tam na przykład kawałka zieleni, który można by odgrodzić i gdzie ludzie mogliby w spokoju pospacerować, żeby zebrać myśli, porozmawiać przez telefon albo prowadzić zakulisowe rozmowy. Będą sobie mogli co najwyżej postać w deszczu na Asiatisk Plads z widokiem na fregatę albo obejść budynek i wyjść z drugiej strony, między Centrum Architektury a Domem Architekta. Jest tylko jeden parking i nieuchronnie zrobi się korek, kiedy samochody ministrów będą wjeżdżać i wyjeżdżać. A przecież będą tam jeszcze wozy policyjne, transmisyjne i firm cateringowych. Jaką pogodę zapowiadają?

– Czekaj. – Wstała, żeby przynieść jego komputer, ale nagle przystanąła na środku podłogi. – A może będą ludzi dowozić wodnymi taksówkami z promenady. To pozwoli uniknąć przejazdu konwojów przez miasto.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie wpadł na ten świetny pomysł – stwierdził Michael. – Woda ma dwanaście stopni. Wystarczy rzucić granatem z promenady i pozamiatane.

– No tak.

Postawiła laptopa na narzucie i Michael sprawdził prognozę na stronie DMI.

– Słońce. Trochę wiatru. Żadnych znaczących opadów. A tak w ogóle, Charlotte Falster wie o twoich włosach u Irene Adler?

– Gdyby wiedziała, to z całą pewnością by mnie tu nie było – zauważyła Lene. – Kazałaby mnie zatrzymać. Ona zawsze działa zgodnie z procedurami.

– Czyżby?

Lene popatrzyła na niego zaskoczona.

– A nie? Czekaj, może ty z nią rozmawiałeś? Jak wiadomo, ona zna twój numer.

– Jasne, że nie rozmawiałem.

Z powrotem się położył. Noga zaczynała dawać o sobie znać.

– Lene, boli jak cholera. Może chociaż połowę? Połowę ketoganu? Nie bądź taka. Ja ci przyniosłem tabletki nasenne!

– Michael, naprawdę uważam, że to nie jest rozsądne. Mówię poważnie. Nie powinniśmy ryzykować, że jeśli rzeczywiście coś się stanie, ty będziesz leżał nieprzytomny i bezużyteczny.

– No to whisky. Naprawdę mnie boli!

Westchnęła, ale przyniosła miniaturową butelkę famous grouse i mu na-lała.

– Ale to ostatnia – zastrzegła.

– Jasne.

– Ona się dobrze zaopiekowała Josefine – powiedziała po chwili. – To, co zrobiła, było w porządku. Postąpiła jak należy.

– Kto?

– Irene. Znalazłam w jej komputerze coś w rodzaju dziennika. Pochwaliła mnie nawet! Napisała, że jestem silna... dobra dla swojej córki. I ona była zmuszona ją wypisać. Na oddziale brakowało łóżek, a Josefine przebywała w szpitalu dłużej niż większość pacjentów.

– To dobrze – powiedział. – To znaczy, dobrze, że Josefine była leczona prawidłowo.

– Mimo wszystko czuję się, jakbym coś straciła. Cieszę się, oczywiście z tego, co napisała o Josefine i o mnie, ale teraz nie wiem...

– Co masz począć ze swoim gniewem? Daj sobie trochę czasu, Lene. Masz teraz mnóstwo innych tematów do rozmyślań, ale moim zdaniem czasem utrata wroga może być równie trudna co strata przyjaciela... albo... coś w tym stylu.

– Spróbuj się przespać – poradziła mu.

– Za bardzo boli.

Uśmiechnęła się i wstała. Podeszła do drzwi balkonowych i długo tak stała, plecami do niego i z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– A ty kogo byś wybrał? – spytała w końcu.

Michael podniósł nogę i wsunął pod nią jeszcze jedną poduszkę. Potem odpuścił ją delikatnie jak nasiono dmuchawca.

– Berezowsky'ego. Jeśli zamach się uda, sukces nie będzie oczywiście tak spektakularny jak wyeliminowanie ministrów spraw zagranicznych Europy, ale na pewno odbije się echem tam, gdzie to ma znaczenie: w Libanie, Jordanii, Jemenie i na Zachodnim Brzegu.

– Czyli tam będziemy jutro? – spytała.

Pokiwał głową.

– I na pewno bardzo dużo zdziałamy. Ja nie mogę chodzić, a ciebie natchmiast przymkną za zabójstwo Irene. To będzie spektakularna akcja.

Nic nie powiedziała, masowała sobie skronie.

– A myślałaś o tym, żeby po prostu zadzwonić do Thomsena? – zagadnął. – Powiedzieć mu, co wiesz, i liczyć, że zostały mu resztki zdrowego rozsądku? On może przecież wiedzieć, co tam się ma wydarzyć.

– Jeśli to wie, w ogóle nie będzie chciał mnie słuchać. Poza tym...

– Co?

Odwróciła się.

– On zabił Irene. Nie zapomnialeś chyba o tym, prawda? Jeśli się dowie, gdzie jestem, to albo uruchomi procedurę zatrzymania pod jakimkolwiek pretekstem, albo sam spróbuje coś ze mną zrobić. Jedna osoba w tę czy w tę...

Michael westchnął.

– Masz rację.

– Spróbuj się przespać.

– Nie dam rady – wymamrotał, ziewnął i zasnął.

\* \* \*

Lene patrzyła na jego śpiącą twarz. Była w ciągłym ruchu. Mięśnie spinały się, rozluźniały, kurczyły. Pojękiwał, marszczył czoło i Lene obstawiała, że przez jego świadomość przesuwały się wizje Rudolfa. Jednonogi konsultant do spraw bezpieczeństwa i komisarz policji ukrywająca się przed kolegami, z oskarżeniem o zabójstwo nad głową. Nie da rady. Oni nie dadzą rady. To były jego ostatnie słowa, zanim zasnął.

Lene czuła się zrezygnowana i śmiertelnie zmęczona. Usiadła w fotelu, a drugi fotel przysunęła bliżej. Próbowała się zwinąć w pozycji embrionalnej, ale zawsze źle jej wychodziło spanie gdziekolwiek indziej niż w łóżku. W końcu się poddała i ostrożnie położyła obok Michaela w dużym podwójnym łóżku. Leżąc na boku, patrzyła na jego twarz, nawet we śnie niespokojną i zatroskaną. Miała ochotę położyć dłoń na jego piersi albo ramieniu, żeby go uspokoić, ale nie zrobiła tego. Lepiej go nie dotykać. Nigdy.

Czego on właściwie chciał? Powiedział, że była piękna, i tak naprawdę brzmiało to, jakby mówił szczerze. Pod kościołem w Værløse więcej zdjęć zrobił jej, chociaż to Nazeera wygląda jak mokry sen każdego nastolatka.

Pewnie po prostu czuje się samotny i tęskni za domem, więc zwyczajnie sięgnął po to, co ma najbliżej i jest najłatwiej osiągalne, rozstrzygnęła Lene.

Dotknięcie go byłoby ogromnym błędem, pomyślała i odwróciła się na plecy, a wzrok wbiła w sufit.

\* \* \*

Obudził ją dźwięk nowego telefonu. W pokoju było ciemno i cicho. Wstała, potknęła się o krzesło, wzięła telefon do ręki, upuściła go i znów podniosła.



– Halo? – powiedziała zaspana.

– Znów to samo, Lene!

– Bjarne...? Która godzina?

– Wpół do drugiej. Przeszkadzam...?

Znalazła włącznik światła. Usłyszała, jak Michael się budzi, przeciąga i zaraz syczy z bólu, kiedy się przekonuje, że Rudolf nie był tylko sennym koszmarem.

Zmrużyła oczy w świetle i popatrzyła na ciemność po drugiej stronie drzwi balkonowych. Woda w porcie była gładka i lustrzana jak olej.

– Bjarne, na Boga, o czym ty mówisz? I dlaczego jeszcze nie śpisz?

Sama się zdziwiła, gdy usłyszała to pytanie. Bjarne miał co najmniej czterdzieści pięć lat i mógł chyba spędzać noce tak, jak mu się podobało.

Informatyk aż się zapowietrzył z frustracji.

– Kazimierz Pułaski! Kabotażowiec. Śledziłem go przez całą drogę przez Sund i właśnie ponownie zbacza z międzynarodowego szlaku żeglugowego. Rozmawiałem z kolegami ze straży morskiej i statek w zeszłym roku płynął dokładnie tą samą trasą. Trzy dni przed... no, wiesz.

Zrobił pauzę, żeby dać jej czas na przetworzenie tych złowieszczych faktów.

Lene widziała, jak Michael z łóżka kiwa do niej ręką, ale go zignorowała. Ręka smętnie opadła na podłogę.

– Gdzie się teraz znajduje? – spytała.

– Na wysokości Klampenburga. Pięć koma cztery mile morskie od miejsca, w którym zeszłej jesieni rzucił kotwicę.

Lene spojrzała na zegarek, a Bjarne z zapalem opowiadał o Komandzie Operacyjnym Marynarki Wojennej, obserwacji z powietrza, strażnikach na skuterach i o kamerach termicznych.

– Bjarne...? Bjarne!

– Co?

– Nie chcemy chyba rozpętać trzeciej wojny światowej, prawda? Zresztą nie mamy tu do czynienia z okrętem wojennym. Kiedy jednostka znajdzie się na tamtej pozycji?

– Jeśli utrzyma kurs i prędkość, to dotrze tam za trzy kwadransy.

– Okej. Zbadam to. A ty natychmiast do mnie dzwoń, jeśli coś się stanie, okej?

– Roger.

Lene westchnęła. Wyobrażała go sobie w tej chwili. Pochyłego w niesamowitej poświacie monitorów i w napięciu śledzącego wroga, który się przemyka po duńskich wodach terytorialnych nieświadomy, że w Vanløse czujne oczy śledzą każdy jego ruch.

– Na razie, Bjarne. Tylko błagam cię, weź to na spokojnie, dobra?

– Jasne.

Lene myślała gorączkowo. Czterdzieści pięć minut. Spojrzała na łóżko. Czy Michael w ogóle się do czegoś nadaje? Postawienie go na nogi i ubranie zajęłoby godzinę. Co najmniej.

\* \* \*

Zajęło mniej niż dziesięć minut. Lene zapomniała, że Michael ma trzeci, czwarty, a niewykluczone, że również piąty bieg, który jej zresztą zademonstrował w arktycznych krajobrazach norweskiego płaskowyżu, gdzie podczas marszu przez niekończące się zaśnieżone przestrzenie narzucił mordercze tempo. Najwyraźniej potrafił prześcignąć samego siebie, swój ból i wyczerpanie. Choć w jego środowisku pewnie wszyscy prędzej czy później się tego uczą.

Ponadto uznał jej informacje o polskim kabotażowcu za arcyważne.

– Do ciężkiej cholery, dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? – spytał ze złością, siedząc na krawędzi łóżka i prostując oraz zginając chorą nogę. Potem z wielkim mozolem naciągnął na nią nogawkę czarnych dżinsów. – Lene, przecież to, kurwa, oczywiste!

– Naprawdę?

– No przecież! Dziś każdy może bez przeszkód wpływać i wypływać z portu, pokazując jedynie książeczkę żeglarską, najprostszy do podrobienia dokument na świecie. Trzynastoletni dzieciak zrobi to w pięć minut, jeśli mu dasz laserową drukarkę i darmowy program graficzny. A na takim kabotażowcu załogi jest pewnie z pięć osób, więc nawet się specjalnie nie wykosztujesz, żeby im zamknąć usta.

Zacisnął zęby, włożył granatowe buty do biegania i wstał.

Lene wyciągnęła rękę, gotowa go złapać, gdyby się zachwiał, ale nawet na nią nie spojrzał. Zrobił krok, a potem następny.

– Dasz radę?

– Tak!

Czarny golf i ciemna wiatrówka dopełniły jego stylizację. Kuśtykał po pokoju, ale wyglądało na to, że w miarę dobrze staje na tę nogę.

Wyszli z hotelu i pustymi, zalanymi deszczem ulicami poszli do podziemnego parkingu.

Gdy dotarli do jego mercedesa, rzucił jej kluczyki.

– Ty prowadzisz – postanowił. – Ale ostrożnie, dobra? Jest nowy i wszystko... praktycznie wszystko w nim jest zrobione na zamówienie, jasne?

Przewróciła oczami.

– Michael, prawo jazdy mam już dość długo, wiesz? W sumie to nawet dłużej, niż mam ochotę myśleć. I też posiadam samochód.

To zapewnienie zupełnie nie zrobiło na nim wrażenia.

– On się ma do twojego citroena jak motorówka Riva do wydrążonego pniaka – oznajmił.

– Jaka motorówka?

– Nieważne.

Gdy na autostradzie do Helsingøru wcisnęła gaz do dechy, stwierdziła, że jednak miał rację. Byli na szosie jedyni i wrażenie było takie, jakby koń kopnął ich w plecy. Michael nie skomentował jej jazdy, ale skrzywił się, gdy Lene, oszołomiona potężnym przyśpieszeniem samochodu, trochę za bardzo się zbliżyła do barierki. Wstukał jakiś kod w klawiaturę pod deską rozdzielczą i z boku bezgłośnie wysunął się dziwny panel. Obok jego kolana ukazał się oświetlony schowek. Nie było w nim nic poza dużym szarym pistoletem.

Wyjął broń. Z kliknięciem wysunął magazynek i wcisnął górny, lśniący mosiężny nabój. Gdy stwierdził, że magazynek jest dostatecznie załadowany, z powrotem wsunął go do chwytu i odciągnął zamek, zanim wcisnął sobie pistolet za pasek przy prawym biodrze. Jego ręce poruszały się pewnie i z wprawą jak ręce mistrza lutnictwa.

– Co to? – spytała.

– Sig sauer z nabojami dziewięć milimetrów z powłoką teflonową, bardzo nieprzepisową.

– Super. Ale co to znaczy?

– Że pocisk wejdzie jak w masło nawet w kamizelkę kuloodporną i przeżyje ciebie oraz tego, kto będzie stał za tobą.

– Naprawdę? A myślałam, że nienawidzisz broni.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Bo *naprawdę* nienawidzę – przedrzeźnił jej zdziwienie. – Ale jeśli nasze założenie się potwierdzi i dojdzie do taktycznej konfrontacji, to nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy się bronić tak skutecznie, jak to tylko możliwe.

– Taktyczna konfrontacja? *Jeeez*, Michael...

– No co?

– Mówisz o zabijaniu ludzi tymi swoimi specjalnymi nabojami. Bo to o tym mówisz, prawda?

– Oczywiście. O to tak *naprawdę* chodzi. W pewnym sensie. O konfrontację.

Właśnie wyprzedziła bananowego nastolatka z Północnej Zelandii, który jechał porsche swojego ojca, ale wyglądał, jakby stał, gdy zadzwonił jej telefon.

– Bjarne?

– Szyper na Kazimierzu Pułaski właśnie zgłosił na kanale szesnastym SUNDREP-u, że mają awarię – powiedział uroczyście jej kolega. – Dokładnie tak, jak ostatnio.

– W tym samym miejscu?

– Tak. Mówią, że mają nadzieję sami naprawić usterkę. Ostatnio też tak powiedzieli.

– Świetna robota, Bjarne.

Lene spojrzała na Michaela, który ułożył wargi w słowo „pozdrów”.

– Masz pozdrowienia od Michaela. Właśnie tam jedziemy. Chcę powiedzieć, że miałeś rację. Przepraszam.

Dopiero po chwili w słuchawce rozległo się chrząknięcie Bjarnego.

– Wy tam jedziecie? Ty i Michael? Może powinienem zadzwonić do...

– Zawiadomiliśmy już PET i komendę okręgową Północnej Zelandii – skłamała, żeby go uspokoić. – Nie musisz nic więcej robić. Jeśli teraz i ty zaczniesz dzwonić, zrobi się bałagan. Sam rozumiesz, prawda?

– Jasne – zapewnił ją z pokorą. – Rozumiem.

– Jakie współrzędne? – spytał Michael i wyjął iPada.

Bjarne podyktował mu je za pośrednictwem Lene i Michael zaznaczył pozycję na elektronicznej mapie morskiej.

– Pośpieszcie się – powiedział z troską Bjarne.

\* \* \*

Nad Sundem przesuwały się na zmianę obfite zimne opady i długie płachty mgły. Od deszczu pokład statku był podstępnie śliski, a mgła deformowała dźwięki. Ostatnie instrukcje Samir przekazał Adilowi prosto do ucha. Włosy chłopaka kleiły się do jego bladej twarzy.

Pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

Samir stwierdził, że Adil jest gotowy. Przejęty, ale czujny. Ebrahim Safar Khan jak zawsze wybrał dobrze.

Łańcuch kotwicy zadyndał w kluzie z cichym brzękiem i mechanizm zamilkł. Samir odwrócił się i dostrzegł sylwetkę kapitana za ciemnymi oknami mostka. Zapalono światło pozycyjne nad dziobem, ale wyglądało na dziwnie odległe i rozmazane. Kazimierz Pułaski w ciszy obrócił się wokół własnej osi, zanim ponownie odzyskał równowagę, przytrzymywany kotwicą bezpośrednio pod kadłubem i hamowany przez prąd północny. Wybrzeże na południe od Vedbæku było niewidoczne, ale znajdowało się jedną milę morską po stronie sterburty. Tym razem żadna migająca latarka nie pokaże im drogi, ale współrzędne na ręcznym GPS-ie Samira będą dokładnie takie same jak ostatnim razem.

W oświetlonych drzwiach stanęła kwadratowa postać kapitana. Nie patrząc na nich, wyminął jego i Adila, i podszedł do dwóch marynarzy, którzy opuszczali właśnie gumowy ponton na wodę. Przytrzymali łódkę, a kapitan kopniakiem przerzucił przez burtę drabinkę. Ręką przywołał do siebie chłopaków.

Założyli plecaki i szybko przemierzili pokład. Samir czekał przy relingu, kiedy Adil zwinnie wszedł do Zodiaka i zajął miejsce przy sterze.

Samir spojrzał na polskiego kapitana. Rude włosy i baki Polaka wisały mu spod kaptura w mokrych strąkach, a duże, piegowate dłonie spoczywały na relingu. Chłopak wyciągnął do niego rękę, ale dłonie kapitana ani drgnęły. Syryjczyk wzruszył ramionami, przerzucił nogę przez burtę i postawił stopę na wąskiej chybotliwej drabince. Po raz ostatni spojrzał w cień pod kapturem sztormiaka kapitana.

Brodata twarz się poruszyła.

– Mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy, *mister* – powiedział angielszczyzną bez śladu akcentu.

Mimo deszczu Samir poczuł, że twarz mu płonie.

– Nasze euro przestały być dostatecznie dobre, kapitanie?

– Mówisz o tym? – Kapitan rozpiął dwa górne guziki sztormiaka i z wewnętrznej kieszeni wyłowił kopertę. Wyjął z niej gruby plik banknotów, ze-

rwał gumkę i wyrzucił banknoty, które poszybowały ku czarnej nieruchomej wodzie. Splunął za nimi i odparł:

– Dokładnie tak, *mister*.

Drabinę wciągnięto, kiedy tylko Samir dotarł do pontonu, a białe cumy zakołysały się i uderzyły w wodę. Samir zebrał je i wciągnął na pokład pontonu. Energicznym ruchem uruchomił silnik.

Adil patrzył na banknoty unoszące się na wodzie wzdłuż burty.

– Myślisz, że nas zgłosi? – spytał.

Samir pokręcił głową.

– Ma rodzinę.

Sprawdził nadajnik GPS i skierował ponton do brzegu. Nieliczne rozproszone światła zdawały się płynąć w deszczu i mgle.

Samir czuł się upokorzony i wściekły. Ale czuł coś jeszcze.

Narastające, nerwowe przeczucie klęski.

\* \* \*

– Gówno widzę – pozalił się Michael, odsunął lornetkę od oczu i rąbkiem koszulki przetarł soczewki. Nic to nie dało. Jego ubranie było przemoczone.

Przystanęli na chwilę pod drzewem, na którym pojawiły się już pojedyncze pąki. Znajdowali się w zadbanym ogrodzie na tyłach willi przy Strandvejen. W domu było cicho i ciemno, ale spomiędzy wysokich drzew z ogrodu rozciągał się widok na Sund. Co jakiś czas widział światła na szwedzkiej wyspie Ven, był też przekonany, że raz mignął mu ciemny kontur statku i światła pozycyjnego. To mógł być polski kabotażowiec, ale po kilku sekundach jednostkę przesłoniła mgła, więc nie można było sprawdzić, czy ktoś opuścił statek, na przykład w pontonie.

Tafla wody znajdowała się co najmniej trzydzieści metrów pod nimi, u stóp stromego, gliniastego zbocza. Nie sposób było przewidzieć, w którym dokładnie miejscu terroryści wejdą na ląd. Michael obstawiał, że stanie się to na końcu niewielkiego parku graniczącego z działką willi, na której stali. Park dochodził aż do wody, ale w ciemności wyglądał jak nieprzebyty labirynt gęstych zarośli i wąskich, krętych, i śliskich od deszczu ścieżek. Jego chora noga nigdy by temu nie podołała. Poza tym schodząc tam, straciliby z oczu jedyną drogę ucieczki, Strandvejen, a sami byliby na plaży całkowicie bezbronni.

Mercedesa zostawili na publicznym parkingu dwieście metrów od parku. Na parkingu stała tylko przyczepa z materiałami budowlanymi i biały wóz dostawczy. Michael go sprawdził – wszystkie drzwi były zamknięte. W pace nie było okien, a w szoferce nie dostrzegł niczego niezwykłego. Położył dłoń na masce i światłach. Ich temperatura nie różniła się od reszty samochodu. Wóz mógł tam stać dzień albo rok.

– Dlaczego mieliby zejść na ląd akurat tutaj? – spytała Lene, stukając zębami.

Była mokra jak mysz. Michael zabronił jej mówić, hałasować i wykonywać gwałtowne ruchy, ale Lene uznała chyba, że jego narzekania na mgłę i widoczność unieważniały poniekąd ten zakaz. Szara zasłona, która nieustannie nadciągała od morza, tworzyła klimat upiornej niesamowitości i wzmacniała niektóre dźwięki. Na przykład przejeżdżających samochodów i autobusów na Strandvejen. Większość pozostałych jednak tłumiała. Groza spowijała stary ogród, to wrażenie dodatkowo podkreślało niskie dudnienie syren mgłowych niewidzialnych statków. Blżej brzegu słychać było stały plusk, kapanie i bulgotanie deszczu.

– Teoretycznie mogliby też przypłynąć pontonem do Kopenhagi albo przybić do portu w Vedbæku albo Rungsted – przyznał. – I nikt by nie mrugnął okiem, bo przystanie żeglarskie są niestrzeżone, a oni mieliby bliżej to taksówek, autobusów i pociągów.

Michael poprowadził ukośną linię od domniemanej pozycji Kazimierza Pułaskiego do brzegu. Kończyła się dokładnie w parku, po lewej od nich. Najkrótsza, choć niekoniecznie najbardziej rozsądna droga na ląd. Ale ci zamachowcy to ludzie pustyni. Morze jest dla nich wrogim żywiołem, dlatego uznał, że pewnie będą chcieli znaleźć się na lądzie możliwie najszybciej.

– Myślę, że wolą być na morzu jak najkrócej – wyjaśnił. – A dalszy transport pewnie mają już zorganizowany.

Syknął, kiedy ból znowu przeszył mu nogę. Wyszczrzył zęby i przeniósł ciężar ciała na drugą stopę.

– Wszystko okej? – spytała i położyła mu rękę na ramieniu.

A jak, kurwa, myślisz? – odpowiedział w myślach i już miał rzucić coś kąśliwie, ale się powstrzymał. Pewnie miała dobre intencje...

– Daję radę – wymamrotał i na powrót przystawił lornetkę do oczu.

Wciąż nic nie widział pomiędzy sunącymi nad ziemią całunami. Tylko błysk czarnej wody daleko pod nimi, między wysokimi nagimi drzewami.

– Jakby sam szatan wyciągnął do nich rękę – zaklął. – Lepszych warunków nie mogliby sobie wymarzyć.

Lene nie odpowiadała. Obliznął wargi z deszczu i spojrzał na nią. Miała tę charakterystyczną minę człowieka intensywnie nasłuchującego – z lekko otwartymi ustami i trochę debilną. Dłoń nadal trzymała na jego ramieniu, jakby o niej zapomniała.

– Słyszę ich – powiedziała wreszcie. – Dźwięk silnika. Od strony morza.

Michael zamknął oczy i przechylił głowę. Deszcz padał teraz obficie i jednostajnie. Słyszał, jak woda uderza w tysiące powierzchni i po nich spływa.

– Ja nic nie słyszę – przyznał.

Wyprostowała plecy i skupiła się mocniej.

– Bo się zatrzymał.

– Słuchaj, to bez sensu – stwierdził. – Mogą nas minąć w odległości pięciu metrów, a my ich nie zobaczymy. Wracajmy na drogę.

Spróbował zrobić krok, ale za długo stał nieruchomo. Noga odmówiła posłuszeństwa, była jak zatopiona w trawnik. Złapał się za kolano i je podniósł. Lene cały czas mu się przyglądała.

– Wspaniale – wystękał i podniósł na nią wzrok. – Nie mogę chodzić. Wybacz.

Próbował się uśmiechnąć, ale słabo mu to wychodziło. Spojrzał na swoją stopę. Skurcze przychodziły i mijały, a noga dygotała bezwolnie i niekontrolowanie.

Lene złapała go za rękę, zarzuciła ją sobie na szyję, a drugą ręką objęła go w pasie. Byli prawie równego wzrostu, a ona była silna i umięśniona.

– Dalej, Michael. Nie możemy tu zostać. Idziemy!

Musiała jednak zobaczyć desperację na jego twarzy, bo odwróciła wzrok i przygryzła dolną wargę.

Po paru krokach, kiedy niemal go niosła, rzeczywiście zaczęło mu iść trochę lepiej. Znowu czuł ziemię pod stopą. Przeszli przez trawnik, który teraz wydał mu się niezmierną pustynią, i dotarli do wyłożonej płytkami ścieżki biegnącej między willą a garażem.

Cierpiący na bezsenność starszy mężczyzna, który włókł za sobą otyłego i zmęczonego golden retrievera, popatrzył na nich z przestachem, kiedy mocno objęci przecisnęli się przez furtkę. Lene posłała mu promienny, mokry od deszczu uśmiech.

– Dobry wieczór! – przywitała się.



Mężczyzna nic nie powiedział, ale zaalarmowany szarpnął ostro automatyczną smycz, aż stary pies westchnął astmatycznie i rzucił się w żalony galop.

Lene i Michael obejrzeni się za nimi.

– Prawie go przyprawiłaś... albo jego psa... o zawał – zauważył Michael.

– Tak? A ja uważam, że nie zaszkodzi być uprzejmym.

– Zdecydowanie.

Popatrzyli w dół Strandvejen. W słabym świetle stojących z rzadka latarni ulica ciągnęła się przed nimi pusta, czarna i lśniąca.

– Co robimy? – spytała.

Zgiął i wyprostował chorą nogę.

– Nic. Może coś słyszałaś, a może nie. Wracamy do hotelu.

– Michael, na pewno coś słyszałam.

– Okej, coś słyszałaś.

Wskazał na drogę zrezygnowanym gestem.

– Więc dokąd? To bez sensu. Oni mogą być gdziekolwiek.

Obok ze świstem przejechała taksówka.

Pokiwała głową.

– Masz rację. Wróćmy do hotelu i się zastanówmy.

Długie rude pasma kleiły się do jej białej twarzy i szyi. Stwierdził, że wyglądało to bardzo dramatycznie. Przypominała gwiazdę filmową... z jakiegoś horroru.

Mocno tupnął chorą, uparcie nieposłuszną stopą w asfalt. Oślepiający ból przeszył mu mózg, ale miał to gdzieś.

– Kurwa, oni tu są. Czuję to!

– Chodź – powiedziała. – Jutro ich znajdziemy.

\* \* \*

Na długi pusty plac dotarli równocześnie z terrorystami, tylko z różnych kierunków. Deszcz walił mocno i prostopadle i odskakiwał od asfaltu na wysokość kolan. Mieli skulone głowy, a Michael trzymał już kluczyki w ręce, kiedy instynkt kazał mu podnieść wzrok. Przyczepa stała na swoim miejscu z nasiąkniętymi wodą materiałami budowlanymi. Pięćdziesiąt metrów dalej stał dostawczak, zamknięty na trzy spusty, a deszcz dudnił głucho w jego dach. Kilka metrów dalej zza zasłony ciemności i deszczu wyło-

niły się dwie bezkształtne sylwetki. W słabym świetle pojedynczej latarni na parkingu były ciemnoszare. Szły zgięte w pół pod ciężarem plecaków. Michael zamrugał, żeby strzepać wodę z rzes, i dłońmi osłonił twarz przed deszczem. Dwie postacie mogły być kimkolwiek bądź czymkolwiek, ale on nie miał wątpliwości. Odwrócił głowę i spojrzał na Lene, która stała po drugiej stronie samochodu.

– Lene...

– Co?

Tamci dwaj zatrzymali się przy tylnych drzwiach furgonetki i popatrzyli na nich. Michael przyjrzał się dokładnie bladej twarzy stojącego najbliżej, otoczonej długimi czarnymi kosmykami. Wysoki. Młody. Spokojny. Michael z powodu deszczu musiał zmrużyć oczy, a ręką sięgnął po pistolet. Kciukiem go odbezpieczył i opuścił wzdłuż ciała. Potem pokuśtykał do nich kilka kroków i podniósł lewą rękę.

– *Salaam, sadiki!* – zawołał i uśmiechnął się do młodego mężczyzny stojącego najbliżej. – *Marhaba*, witajcie!

Zrobił jeszcze dwa kroki, a w tym czasie mężczyzna zrzucił plecak i postawił na ziemi, uwalniając dłonie. Jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Michael! – krzyknęła Lene. – Paka! Uważaj na drzwi, do diabła...

Ale on zdążył już usłyszeć, jak rozsuwają się tylne drzwi.

Zerknął w szparę, a na twarzy młodego Araba pojawił się nieznaczny uśmiech. Powoli wyciągnął rękę w stronę Michaela.

Wyprostowany środkowy palec był znakiem uniwersalnym i niewymagającym tłumaczenia. Michael podnosił właśnie pistolet, żeby wycelować w głowę mężczyzny, kiedy białe drzwi rozsunęły się jeszcze odrobinę i w szparze pokazało się coś wąskiego, czarnego i w kształcie rurki.

Na przykład takiej jak lufa AK-47.

– MICHAEL!

Strzały huknęły bardzo głośno i bardzo blisko. Michael poczuł ich ciśnienie w uchu. Wykonał piruet na zdrowej nodze i przed oczami mignęła mu skupiona twarz Lene, na w pół przesłonięta służbowym pistoletem. Oczy miała szeroko otwarte i w pełni skoncentrowane. Nie mrużyła ich, kiedy oddawała strzały, jak to często robią amatorzy. Usłyszał, jak pociski uderzają w metal, i domyślił się, że celowała w szczelinę uchylonych drzwi paki.

Przetoczył się po masce głową do przodu i zgarnął ją ze sobą na ziemię. Leżał na niej z twarzą tuż przy jej twarzy i patrzył jej w oczy. Były wściekłe. Lene próbowała mu się wywinąć albo go z siebie zrzucić, ale mocno przyciskał ją do ziemi, gdy mercedes kołysał się na amortyzatorach szatkowany serią z automatu. Pociski kałasznikowa przeszywały blachę jak papier i odbijały się od asfaltu i krawężnika. Michael słyszał, jak z opon z głośnym krztuszeniem uchodzi powietrze. Samochód opadł kilka centymetrów i jeszcze lepiej ich osłaniał. W teorii. Dopóki snajper nie wyjdzie z paki dostawczaka i łukiem nie zbliży się do nich. Wtedy musieliby się poddać.

Zasypał ich grad szklanych odłamków, które opadły na włosy Lene jak małe połyskujące kryształki. Troskliwie zasłonił jej twarz dłonią i sam zamknął oczy. Opróżnienie magazynku automatycznego karabinu mogło trwać góra trzy albo cztery sekundy, ale dla nich trwało to wieczność. Gdy tylko zaległa cisza, poderwał Lene z asfaltu i pociągnął za sobą w stronę barierki ogradzającej parking. Wydawało mu się, że wcześniej widział tam niskie zbocze prowadzące do gęstych iglastych krzaków.

I rzeczywiście. Podciął jej nogi i potoczyli się razem w dół zbocza i ukryli w gęstwinie. Kiedy nieznacznie podniósł głowę, mignął mu biały wóz dostawczy, teraz z drzwiami otwartymi szeroko, i ponownie zobaczył wysokiego młodego Araba. Jego kolega siedział już w samochodzie, ale on sam szedł asfaltem z karabinkiem szturmowym w dłoniach. Michael rozpoznał broń: to był baby kałasznikow. Chłopak przeładował i cały czas szedł w stronę srebrnego mercedesa. Dziesięć metrów od samochodu zatrzymał się i oddał ogień.

– Kurrrwa... – wymamrotał Michael i opadł na plecy. Wyciągnął rękę w stronę barierki i strzelił na oślep tam, gdzie mu się wydawało, że znajdował się terrorysta. Oddał sześć szybkich strzałów, co zostało skwitowane krótkimi, precyzyjnymi salwami, które rykoszetem odbijały się od barierki albo uderzały w ziemię z miękkim mlaskaniem.

Michael opuścił broń i przysunął wargi do ucha Lene.

– Uciekamy!

Popatrzyła na niego osłupiała.

– Uciekamy? Dokąd?! Michael, to koniec... zginiemy tu. ZGINIEMY!

Wargi jej drżały. Oba automatyczne pistolety robiły nieopisany zgiełk. Brzmiały jak młoty pneumatyczne w trybie turbo. Wokół nich spadały tumany ziemi zmieszane z wodą i rozszarpaną roślinnością.

– To zginiemy... NO CHODŹ! – wrzasnął.

Wepchnął ją głębiej w krzaki. Czołgali się między cienkimi pniami jak ślepe krety, a nad ich głowami pociski całymi seriami cięły czubki krzaków.

Nawet w czasie wyrzutu adrenaliny i działając w trybie przetrwania, mały skrawek świadomości Michaela zachowywał zdolność do oceny sytuacji z pozycji chłodnej wyższości, jak sędzieja meczu tenisowego. Dobrze znał tę część swego umysłu i szczerze jej nienawidził. Ta część miała gdzieś, czy on przeżyje czy zginie. Ona chciała tylko mieć rację. W tej chwili na przykład stwierdziła, że ich przetrwanie zależy od chęci i potrzeby terrorystów, żeby ich zlikwidować jako świadków mogących zagrozić ich misji. Ich celem nie jest zabicie dwójki innowierców, ale posłanie do piekła całych setek. Robili to, żeby się zapisać w historii.

Musieli więc działać z rozwagą.

Niestety nie miał pewności, czy atakujący dzielają jego oświeconą ocenę sytuacji oraz taktyczne podejście do priorytetów, a to było kwestią kluczową. Wiadomo, że młodzi bojownicy o władnięci żądzą krwi niekoniecznie kierują się logiką. Wręcz przeciwnie.

Nadludzkim wysiłkiem woli uciszył szatana zimnej kalkulacji w głowie i podniósł się z ziemi, żeby spojrzeć wrogowi w twarz. Wciągnął głęboko powietrze, pomyślał, że to może być jego ostatni wdech w tym życiu. Wypuścił powietrze do połowy i położył stopę między łopatkami Lene, żeby przytrzymać ją na ziemi. Oparł się na niej całym ciężarem ciała i w napięciu skanował otoczenie. Szukał jakiejś głowy, tułowia... czegokolwiek, co stanowiłoby wartościowy cel. Któregoś z tych młodych skurwieli, żeby go wystrzelić z jego, bez wątpienia, śmierdzących skarpetek.

Nikogo nie było.

Parking opustoszał. Michael zdążył pomyśleć, że sceneria wygląda dziwnie, jakby sennie, kiedy omiotły go reflektory wozu dostawczego. Samochód wpadł w poślizg na mokrym asfalcie, ale kierowca błyskawicznie go naprostował i potężny silnik przyspieszył na pierwszym albo drugim biegu. Pędził prosto na nich, w ostatniej chwili odbił i wjechał na Strandvejen. Samochód minął Michaela o góra metr. Przy każdej zmianie biegu mocno zarzucało tyłem, ostatni raz zarzuciło nim na zakręcie na południe i samochód zniknął.

Michael powoli opuścił pistolet.

Usłyszał głos, który pewnie mówił do niego od jakiegoś czasu, gdy jemu dzwoniło w uszach od huku strzałów.

Usłyszał również... muzykę...?

\* \* \*

– Bądź tak miły i zabierz już tę nogę – powtórzyła. Patrzyła na muszlę ślimaka dwa centymetry od swojego nosa. Ciekawe, czy jest zamieszkana, pomyślała głupio i jeszcze raz spróbowała podnieść się z ziemi, ale Michael był za ciężki.

– Wybacz – wymamrotał. Zdjął z niej nogę i podał jej rękę, pomagając wstać.

Ulewa ustała równie nagle, jak się zaczęła, i między poszarpanymi chmurami ukazał się wąski księżyc. Lene pomyślała, że jego dobrotliwa żółta półtwarz ma w sobie coś kojącego, i zaraz zmarszczyła czoło, bo też usłyszała muzykę.

Powoli, trzymając się za ręce jak dwójka dzieci przerażona trzęsieniem ziemi, podeszli do tego, co zostało z arcydzieła niemieckich inżynierów. Tamci musieli przebić chłodnicę, bo z dziur od kul w masce unosiły się cienkie strużki pary.

Z powodu jakiegoś zwarcia włączyło się radio i zza roztrzaskanych okien sączyła się energiczna, nieco syntetycznie brzmiąca wersja *Just Around the Corner* Cocka Robinsa:

*Things aren't quite as they seem inside my domain  
You can't know about everything  
Only pleasure and pain.  
You wonder why I come here with head to my hands...*

Może tylko to sobie wmawiała, ale Lene wydało się, że Michaelowi zaszkliły się oczy.

Tymczasem dźwięk syren zbliżał się w dużym tempie, a mieszkańcy okolicznych domów powstawali z łóżek.

Lene spojrzała w prawo. Po drugiej stronie Strandvejen, wysoko na balkonie stał jakiś człowiek w jedwabnej piżamie w paski i zdawał się nie odrywać od nich wzroku. Przy uchu trzymał telefon.

Michael wreszcie się ocknął. Zamrugnął pośpiesznie i strzepnął z włosów kawałki szkła. Dopiero teraz zauważyła, że posiwiały mu skronie. Uznała, że nadaje mu to wygląd dystygowany i budzący zaufanie: jakby był chirurgiem albo dyrektorem banku. Poza tym właśnie wykazał się odwagą, ja-

kiej nigdy nie widziała ani o jakiej nie słyszała. Pod ostrzałem stanął wyprostowany, żeby ją bronić.

Wydawało jej się to jednocześnie nierzeczywiste i bardzo rzeczywiste i wiedziała, że nigdy tego nie zapomni.

– To dobra piosenka – wymamrotała i spodziewała się, że ją trąci łokciem.

– Tak, to dobra piosenka.

Podszedł do samochodu i włożył palec do jednej z dziur w masce, jakby szukał tętna. Jego twarz skrzywiła się boleśnie, a ciało przeszył dreszcz.

– To koniec – powiedział oschle. – Nie żyje.

Położyła dłoń na jego ramieniu.

Teraz widzieli niebieskie światła kogutów, które nadjeżdżały od strony Skodsborga.

– Może powinniśmy już iść – zaproponowała. – Był ubezpieczony, prawda?

– Był robiony na zamówienie – powiedział cicho. – Ubezpieczyć można tylko samochody fabryczne. Czyli w tym wypadku koła i popielniczki.

– Przykro mi.

Pokiwał tylko głową, dotknął dłońmi twarzy i zrozpaczony popatrzył na wrak.

Coś błysnęło po drugiej stronie Strandvejen. Tamten zaniepokojony obywatel sfotografował ich z balkonu telefonem.

Lene skinęła na mężczyznę, do którego dołączyła nieco młodsza, rozneglizowana, ale równie poruszona kobieta.

Michael podążył za jej wzrokiem.

– Jako komisarz policji oraz funkcjonariuszka Komendy Głównej Policji niniejszym udzielam ci pełnomocnictwa do odstrzelenia tego idioty – oznajmiła. – I jego małżonki.

O dziwo nawet się uśmiechnął.

– Bardzo kuszące – mruknął.

Szarpnęła go za rękę, ale to było jak szarpać budynek.

– No chodź – ponaglała rozpaczliwie.

– A tobie nic nie jest? – spytał.

– Czuję się wspaniale. Chodźże, do cholery.

\* \* \*

Telefon.

Charlotte nie wiedziała, czy spała czy tylko leżała, kiedy przekłęty telefon zadzwonił na jej nocnej szafce. Nie czuła już różnicy między tymi stanami. Wszystko się zlewało.

Wyjęła poduszkę spod głowy i przycisnęła do twarzy. Była przyjemnie chłodna.

I prawie zagłuszyła dzwonek. A ciemność pod poduszką była głęboka i przyjazna.

Prawie zasnęła, kiedy jej mąż sięgnął ręką i potrząsnął nią tak, jak jeszcze miesiąc temu byłoby nie do pomyślenia.

Wiedziała, że to jej praca i styl życia zniszczyły ich związek, ale nie miała pojęcia, co z tą wiedzą zrobić. Zdjęła poduszkę, ale wciąż nie miała siły się odwrócić.

– No odbierz wreszcie – warknął wściekle Otto.

Taki ton również byłby nie do pomyślenia miesiąc temu.

Chciało jej się płakać, kiedy przerzuciła nogi przez krawędź łóżka, zapaliła lampkę i odebrała.

– Tak? – wymamrotała słabo.

– Mówi Lene. Charlotte, oni tu są.

– Lene? O czym...

Telefon zawibrował, kiedy przyszło kolejne połączenie. A po nim kolejne.

Miała ochotę krzyczeć.

– Co się dzieje? – spytała.

Rozdzwonił się telefon stacjonarny na dole w salonie.

Otto wstał z łóżka, owinął się kołdrą jak togą i przemaszerował ciężkim krokiem niczym rzymski senator idący do kielicha z cykutą.

– Idę do pokoju Gitte – zawołał w drzwiach. – To nienormalne, Charlotte! Słyszysz? To się zrobiło nienormalne! Tak się nie da żyć!

Mrużąc oczy, patrzyła na drzwi, które się za nim zatrzasnęły.

– Otto? – wymamrotała zrozpaczona.

– Co się dzieje? – spytała Lene.

Charlotte zamknęła oczy i wciągnęła głęboko powietrze. Jeszcze tylko jeden dzień. Jeden, ostatni dzień. Powtarzała sobie, że da radę. Że przecież nie ma wyjścia. Nie miała tego na kogo zrzucić. A potem pojedą do Paryża, tyle o tym rozmawiali. Zatrzymają się w hotelu Castille przy rue Cambon za Grand Palais, gdzie mieszkali podczas swojego miesiąca miodowego

prawie trzydzieści lat temu. Co wieczór będą jeść na mieście, będą spacerować po ogrodzie Luksemburskim, pić do upadłego w Crazy Horse... Zapomną o tym wszystkim i znów siebie odnajdą. Pamiętała, że w tamtym hotelu mieszkał niebieski kot.

– Lene, do diabła, to ja pytam, co się dzieje – warknęła i oprzytomniała. Jeszcze tylko jeden dzień.

– Miał miejsce... pewien incydent, na południe od Vedbæku – wyjaśniła Lene. – Pewnie zaraz o tym usłyszysz.

Charlotte spojrzała na listę przychodzących połączeń i ponownie przystawiła telefon do ucha.

– Zapewne – potwierdziła. – Połowa ludzkości próbuje się do mnie dozwonić. Incydent, powiadasz? Lene, jak brzmi twoja definicja tego słowa i kim są „oni”?

Charlotte słyszała w tle odgłosy z rzadka przejeżdżających samochodów i kroki więcej niż jednej pary stóp. Domyśliła się, że jest z nią Michael Sander. Liczyła, że on z nią jest. Ktoś rozsądny. Zawsze tak o nim myślała.

– Terroryci, Charlotte. Dwie osoby. Przypłynęli pontonem z polskiego kabotażowca o nazwie Kazimierz Pułaski i zostali tu odebrani przez kogoś, kto czekał na nich w białym wozie dostawczym.

– Czekaj.

Charlotte przysunęła sobie notes.

– Jak to się pisze?

Lene przeliterowała jej nazwę statku i podyktowała rejestrację furgonetki.

– I ty też tam byłaś? – zdziwiła się Charlotte. – Sama? Skąd wiedziałaś, że właśnie teraz do Vedbæku przybędą terroryci? I co to był za... incydent?

– Taktyczna konfrontacja.

Charlotte zmarszczyła czoło, wstała i zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem.

– Przełóż mi to, kurwa, na duński – warknęła.

– Wymiana ognia. Charlotte, oni mieli kałasznikowy. Ledwie zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, a już otworzyli ogień.

– A co chcieliście powiedzieć? Wracajcie do domu? Poddajcie się? No co?!

– Nie wiem. Ale teraz oni tu są. Musisz odwołać Berezowsky'ego i szczyt europejski. To zbyt niebezpieczne. Są świetnie uzbrojeni i na wolno-



ści. I się nie poddadzą.

Charlotte miała ochotę wykrzyknąć do słuchawki, że tu nie chodzi o zebranie rodziców w szkole, tylko spotkanie ministrów spraw zagranicznych, na którym mają omówić jedne z najbardziej palących kwestii polityki zagranicznej od czasów drugiej wojny światowej i które planowano od ponad roku. Ale postanowiła, że nie będzie się tłumaczyć.

– Mam tego świadomość – powiedziała tylko. – Ale nie rozumiem, dlaczego i jakim sposobem komisarz policji, którą osobiście Bóg wie ile razy prosiłam, aby od tej sprawy trzymała się z daleka, nagle znalazła się w środku strzelaniny z islamskimi terrorystami nocą na północy Zelandii. Myślałam, że pracujesz nad wyjaśnieniem śmierci Irene Adler, bo to właśnie stanowiło cel i ramę naszej umowy.

Lene zaczęła coś mówić, ale Charlotte jej przerwała.

– Dość! Ja *nie* chcę tego wiedzieć. Lene, kurwa, musisz przestać się wychylać! I tym razem *naprawdę* cię ostrzegam! Poprosiłam cię o pomoc w sprawie Irene Adler, a ty nadal mieszasz się w rzeczy, których nie rozumiesz. Terrorystami zajmuje się PET. Oni i nikt inny.

– Ale...

– Milcz! Wyjaśnij mi tylko jedno. Czyli oni uciekli, tak?

– Tak.

– Bez szwanku?

– Tak myślę, ale pewności nie mam.

– Okej. To teraz idź do domu i się z niego nie ruszaj, jasne? Najlepiej, gdybyś dokądś wyjechała, dopóki to się nie skończy. Na przykład na Alaskę.

– Charlotte? Ty mnie chyba nie zrozumiałaś... Na Boga, mamy w kraju oddział uzbrojonych terrorystów! Prawdopodobnie z tej samej organizacji, która przeprowadziła zamach w Tivoli. Bjarne miał rację.

– Kto?

– Mój informatyk Bjarne. Od początku uważał, że trzeba mieć na oku ten kabotażowiec. Że trzy dni przed zamachem w Tivoli również zboczył z międzynarodowego szlaku i zakotwiczył niedaleko Vedbæku. Przecież to mieliśmy sprawdzić, nie?

– Tak, i z tego, co pamiętam, sama odrzuciłaś jego teorię. – Głos Charlotte był surowy. – Ale oczywiście, kiedy tylko go spotkam, zadbam, aby otrzymał zarówno przeprosiny, jak i podwyżkę. Obiecuję. Do widzenia, Lene.

– Charlotte...

Przełączyła na następną rozmowę. Komendant okręgu Zelandii Północnej. Poruszony i wstrząśnięty.

A potem następni.

Minęło pół godziny, nim mogła zadzwonić do oficera dyżurnego w Komandzie Operacyjnym Marynarki Wojennej i nakazać mu pościg za polskim kabotażowcem zarówno na wodzie, jak i z powietrza. Mężczyzna był zdumiewająco chętny do współpracy, kompetentny i bystry. Pozycję statku Kazimierz Pułaski miał już namierzoną w systemie AIS i na radarze i zapewnił ją, że jednostka zostanie zatrzymana i przeszukana.

Założyła szlafrok i wyszła na korytarz. Słyszała chrapanie męża w dawnym pokoju ich córki. Zastanawiała się, czy zapukać, ale uznała, że lepiej nie. On też pilnie potrzebował snu. Młoda ministra doprowadzała go do szału i po raz pierwszy w karierze poważnie rozważał rezygnację ze stanowiska.

Może to zresztą nie byłby taki zły pomysł, pomyślała – i nagle to rozwiązanie wydało jej się najprostsze na świecie. Pieniądzy im nie brakowało. Poza tym mogliby sprzedać dom. I tak zrobił się dla nich o wiele za duży. Oboje mogliby rzucić pracę, po prostu. Poczwała, jak wypełnia ją przyjemne ciepło. Przecież była taka możliwość, prawda? Oczywiście, że tak! Oboje wystarczająco dużo lat poświęcili na dostarczanie wyników w zamian za chłodne podziękowania i krzyż kawalerski.

Zeszła do kuchni i zrobiła sobie kubek ciepłego kakao, które podkreśliła rumem. Przeszła z nim do salonu, gdzie zasiadła w fotelu i zapaliła papierosa, co robiła wyjątkowo rzadko.

Telefon w kieszeni szlafroka zawibrował, sygnalizując esemesa. Wyjęła go i zamyślona spojrzała na ekran. Wiadomość była tyleż krótka, co znacząca: „Zebra mówi EH. Żyją i nic im nie jest”.

Charlotte uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą.

Nadawcą był oczywiście Kim, a EH to oczywiście Ehud Berezowsky. A nie ministrowie w Eigtveds Pakhus. Dzięki Bogu! Kim nadal działał, a pułapka została zastawiona.

Postukała w spód stołu, żeby nie zapeszyć, i już miała z powrotem schować telefon do kieszeni, kiedy przyszła nowa wiadomość od tego samego nadawcy: „A jeśli zobaczę Lene Jensen, to ją zastrzelę na miejscu”.

Nie odpisała, pewnie nie oczekiwał, że to zrobi. Co do Lene rozumiała go doskonale. Ta kobieta była wyjątkowo uparta i irytująca. Z jego punktu

widzenia.

Charlotte miała nadzieję, że właśnie taka będzie.

W przeciwieństwie do tego, co sądzili niemal wszyscy, Charlotte Falster nie wychowała się w uprzywilejowanej rodzinie z klasy wyższej. Pochodziła z Amager, a w ich domu się nie przelewało. Dopiero później nauczyła się określonych kodów społecznych, najpierw na uniwersytecie, potem w kolejnych ministerstwach i na końcu tych, które obowiązywały w bogatej dzielnicy Zelandii Północnej, gdzie obecnie mieszkali.

Jej ojciec był rzemieślnikiem, miał niewielki warsztat introligatorski, a matka zajmowała się domem. Jednym ze wspomnień Charlotte z dzieciństwa było to, jak w każdą sobotę siadała z ojcem w małej, nieszczelnej przybudówce, którą on sam postawił, i oglądali mecze piłkarskie z Premier League, które można było obstawiać. Pamiętała je jako jeden długi ciąg meczów rozgrywanych w strugach deszczu i dość prymitywnych warunkach pomiędzy drużynami takimi jak Wolverhampton, Nottingham Forest, Norwich, Leeds, Sunderland i Stoke City. Mecze kończyły się zawsze wynikiem 0: 0 albo co najwyżej 1: 0. Charlotte oglądała je nie z miłości do futbolu, ale żeby pobyć z ojcem. Obstawiali zawsze, rzadko cokolwiek wygrali.

Jednak przy okazji ojciec nauczył ją czegoś ważnego: jeśli wynik meczu jest niepewny, warto obstawić podpórkę.

Tę lekcję zapamiętała na zawsze.

\* \* \*

Kim leżał w ubraniu na wąskim nieposłanym łóżku w swoim mieszkaniu w Vesterbro i patrzył w sufit. Potem obrócił się na bok i wbił wzrok w okno sypialni.

Zaczynało świtać.

Nic nie czuł. Za dużo czasu spędził w swoim prywatnym narożniku tej wojny. A ci, co nie wiedzieli, że trwa wojna, nic nie wiedzieli. Dotyczyło to większość polityków, dziennikarzy oraz jego przełożonych, którzy żyli w fotoszopie, la-la-landii wyprodukowanej przez Disneya, która w niczym nie przypominała jego własnej rzeczywistości. Mniej więcej siedemdziesięcioro młodych duńskich muzułmanów walczyło w Syrii po stronie zjednoczonej opozycji, we frakcjach, które się wywodziły z Al-Kaidy. Do kraju

wrócą zradykalizowani, pozbawieni zahamowań i doskonale wyszkoleni. Zacznie się jazda, ale już bez niego.

Na szafce nocnej stała opróżniona do połowy butelka wody mineralnej, a obok niej tykał zegarek. Obok stała butelka Johnniego Walkera – Black Label, również opróżniona do połowy. Na podłodze migiała ładowarka. Było do niej podłączonych kilka telefonów. Nie chciałby dziś zostać z rozładowanym telefonem. Obok telefonów leżał służbowy pistolet.

Pocił się, choć w pokoju było chłodno. Zdjął koszulę. Oczy go bolały z braku snu, ale do tego przywykł.

Nazeera przejęła chłopaków i żadnemu nic się nie stało, pomimo interwencji Jensen. To najważniejsze. To oraz potwierdzona już informacja, że celem dzisiejszego zamachu będzie Ehud Berezowsky. Należało się spodziewać, że Safar Khan wybierze wpływowego izraelskiego profesora. Szczyt europejski to mimo wszystko za duży kawałek tortu dla małej, choć śmiercionośnej komórki z Ammanu. Uśmiechnął się w ciemności.

Nazeera nie zawiodła. Wiedział, że nie zawiedzie. Była solidna jak szwajcarski zegarek i teraz sam się wstydził, że kiedykolwiek w nią zwątpił.

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka, postawił stopy na podłodze i potarł zarośnięte policzki.

Jeszcze się wyśpi. Kiedy skończy się ten dzień. Kiedy będzie po wszystkim, pójdą to uczcić z Christianem. Będą świętować, niewiele do siebie mówiąc. Pić z determinacją i uporem, dopóki się nie schlają i znów będą najlepszymi przyjaciółmi. Zawsze umieli się pogodzić, w taki czy inny sposób.

Pomyślał, że może powinien zaprosić Lene Jensen, aby się do nich przyłączyła. Razem ze swoim tajemniczym ochroniarzem. On w każdym razie na pewno nie będzie chował urazy.

Przeszedł przez pokój i spojrzał na białe podwójne drzwi prowadzące do drugiej sypialni. Za nimi znajdowała się przestrzeń, do której nie wolno było wkraczać. Jego dawne życie, nieoglądane od niemal siedmiu miesięcy. Dzień po tym, jak zginęła Anne i dziewczynki, wyniósł do tamtego pokoju wszystko. Ich ubrania, zabawki, plakaty, dziecięce rysunki, książki, DVD, kuchenne gadzety Anne, jej maszynę do szycia i tkaniny, meble, które przyniosła ze sobą jeszcze z akademika. Pokój był szczelnie wypełniony ich trójką.

Nie byłby w stanie tam wejść, ale Christian zaoferował się kiedyś, że uprzątnie ten pokój, kiedy on sam wyjedzie. Kim czuł, że jest na to gotowy. Kiedy skończy się ten dzień.

Odkręcił kran w kuchni, prawie zwymiotował z głodu i nerwów, ale opanował się i wypił dwie szklanki letniej wody.

Patrzył na swoją prawą dłoń i trzymaną w niej szklankę. Deszcz całą noc walił w szyby, lecz teraz ustał. Miasto wstrzymywało oddech. Szklanka drżała, odstawił ją i mocno ugryzł knykcie. Poczował słony smak krwi, za to dłoń przestała się trząść.

Jeden. Chcieli tylko jednego z tych chłopaków. I na krótko. Ehud Berzowsky podróżował w obstawie agentów Mossadu. Część z nich była oczywiście ochroniarzami, ale najważniejsi byli dwaj starsi panowie o dziobatych, beznamiętnych twarzach. Podobno jako śledczy byli tak skuteczni, że po pół godziny przesłuchania umieli sprawić, że ostryga przemówi w suahili, i nikt nie chciał wiedzieć, jak im się to udawało. Z Jerozolimą umówił się na jednego z młodych Arabów. Bez pytań. Bez protokołu.

Kim zastrzegł, że chce odstawić go do Jerozolimy, skąd osobiście będzie mógł obserwować likwidację szejka Ebrahima Safara Khana i jego organizacji. Mossad oraz Muchabarat Królestwa Jordanii wyślą do domu szejka swoich specjalistów. Najlepszych.

Tylko ta Jensen... Pokręcił głową. Nie sądził, że jest w stanie aż tak nienawidzić drugiego człowieka, chociaż w tych ostatnich dniach nienawiść przeszła w coś innego. Może nie dosłownie w podziw, a coś w rodzaju respektu. Ta kobieta była nieludzko uparta. Jak siły przyrody albo żywioły.

Zimny strumień prysznic bębnił mu w głowę. Stał pod lodowatą wodą, póki skóra zrobiła się sina i zaczął się trząść. Potem starannie przyczesał włosy, wyszorował zęby, aż z dziąseł poląła się krew, i ogolił się nową maszynką, z użyciem pianki.

Z opakowania wyjął nową białą koszulę, do niej założył swój najlepszy krawat i odebrany prosto z pralni ciemny garnitur. Pistolet schował do kabury przy pasku nad prawym biodrem i po raz pierwszy od siedmiu miesięcy wsunął obrączkę na palec. Potem założył czarne skarpetki i świeżo wypastowane buty. Porozdzielał po kieszeniach klucze, telefony, zapasowe magazynki i portfel i usiadł przy stole w kuchni z rękami na kolanach, chociaż Christian miał po niego przyjechać dopiero za półtorej godziny.

A co teraz robiła Nazeera? Odpoczywała? Przeglądała z dwójką zamachowców plany budynków przy Vor Frue Plads? Parzyła im herbatę? Mo-

dliła się? Sam przekazał jej pozbawiony smaku proszek z lekkim środkiem usypiającym, który mu doradziła Irene. Środek nie miał ich uspić, ale obniżyć zdolność orientacji i zwolnić czas reakcji. Nazeera miała mu przysłać esemesa, kiedy uda jej się unieszkodliwić pas szahida. Tyle godzin przechodzili procedury z ekspertami z USA, że umiała to zrobić z zawiązanymi oczami.

Hasło „zielony” oznaczało, że kamizelka jest nieaktywna, a „czerwony”, że nie miała okazji jej rozbroić i nadal istniało ryzyko wybuchu.

Gdzie mogli być? Jeździli po prostu po mieście, dopóki nie przyjdzie pora? A może za pośrednictwem swoich międzynarodowych kontaktów zrekrutowali kolejną nieświadomą niczego Ain, która im użyczą mieszkania? Tego Nazeerze nie udało się dowiedzieć, ale też nie było to istotne.

Liczyło się tylko to, by jednego z nich złapać żywego i by Safar Khan uwierzył, że akcja w Kopenhadze się powiodła. Nazeera miała go o tym powiadomić, kiedy Kim i Izraelczycy będą w powietrzu. Prasa potwierdzi jej informacje, w wersji zredagowanej i przekazanej dziennikarzom przez PET. Wówczas staruch przywoła do siebie swoich wyznawców. Będą świętować, obejmować się, a potem wspólnie z rodzinami tych chłopców obejrzą ich pożegnalne nagrania. Wiadomość rozprzestrzeni się jak pożar stepu po obozach dla uchodźców i slumsach od Bengazi po Homs, uruchamiając jak zwykle szereg demonstracji pod hasłem *Fuck USA*.

Kim usłyszał na ulicy klakson i wyjrzał przez okno kuchenne.

Przy krawężniku stało granatowe mondeo. Christian był punktualny.

Wstał i na chwilę zatrzymał się przed lustrem w przedpokoju. Wyglądał jak grabarz, adekwatnie do okazji. Zamknął za sobą drzwi na klucz i zastanawiał się, czy jeszcze je kiedyś otworzy.

Christian uśmiechnął się i otworzył drzwi samochodu.

– Spaleś coś? – spytał.

Sam wyglądał na w miarę wypoczętego. Mimo spuchniętych warg.

– Zrobiłem sobie zęby – wyjaśnił i wrzucił bieg. – Tymczasowe. Ta strzelanina w Vedbæku to była Lene Jensen?

– A kto inny – westchnął Kim. – Ale uciekli. Nic im nie jest.

– I gdzie są teraz?

– Nie wiem. Ale to nas nie interesuje. Wiemy, gdzie będą za sześć godzin.

– No tak.

– Kawy?

W uchwycie za dźwignią biegów stał parujący kubek.

– Nie, dzięki.

Jeśli bojownicy samobójcy mogli pościć, to on też mógł.

Kim przesunął się w fotelu, kiedy przyszedł esemes. Wyjął telefon, wciągnął powietrze i z zamkniętymi oczami otworzył wiadomość.

„Zielony. Powtarzam: zielony”.

Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby pokazać ekran Christianowi.

Jego kolega również się uśmiechnął zadowolony.

– Czyli to zrobiła?

Kim opadł w fotelu i splótł ręce na kolanach. Westchnął z głęboką ulgą.

– Tak. Zrobiła to. Lepiej być nie mogło. Chcesz też jechać do Jerolimy?

Christian spojrzał na niego z boku.

– A chcesz, żebym jechał?

– Jasne – zapewnił go Kim. – Kurwa, jasne, że chcę.

– Okej. To rozpierdolmy skurwieli. Mam na to wielką ochotę. Bo wiesz...

– Oni już są skończeni – powiedział Kim bez wahania. – Jeden z nich brał udział w akcji w Tivoli. Samir. Syryjczyk. Długie włosy, biała blizna na lewej skroni. To na nim mi zależy. Ten drugi jest nieważny. Jeśli go zobaczysz, to strzelaj. Tutaj. – Wskazał na węzeł swojego krawata. Zagłębienie między kośćmi obojczyka. Był to przyjęty, naukowo potwierdzony sposób na uśmiercenie zamachowcy samobójcy: kula przebija kręgosłup w odcinku szyjnym i odcina część rdzenia kręgowego, aktywując w całym ciele mięśnie prostowniki. Przynajmniej w teorii.

– Szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać – odparł Christian.

\* \* \*

Na Skodsborgvej minęło ich kilka wolnych taksówek, ale żadna nie miała ochoty ich zabrać. Na widok ręki Michaela machającej w deszczu samochodu zwalniały, ale rzut oka na ich oboje wystarczał, żeby wciskali gaz do dechy i odjeżdżali.

– Co im się w nas nie podoba? – spytał Michael, gdy kolejna taksówka ich zignorowała.

– Pewnie ty – stwierdziła Lene bez wahania.

Popatrzył na nią.

– Ale to ty jesteś blada jak śmierć, masz szkło w twarzy i wyglądasz, jakbyś się czołgała przez świeży grób masowy.

Dotknęła twarzy.

– Szkło? Naprawdę? Aż tak źle wyglądam?

– Tak, ale spokojnie, to *moja* krew. Znasz kogoś, kto może po nas przyjechać? – spytał i już miała zaprzeczyć, kiedy pomyślała o Bjarnem.

Przyjechał dwadzieścia minut później beżowym fiatem. Patrzył na Michaela z nabożnym szacunkiem i był wniebowzięty, że go włączyli do swojej operacji.

– Bjarne, mamy niewiele czasu. Możesz nas zawieźć do hotelu Admiral?

– Jasne. Tam mieszkacie?

– Tak.

Zmierzył ich wzrokiem i pomyślał to, co w takich sytuacjach myślą samotni mężczyźni.

– Razem?

– Tak.

Bjarne westchnął i otworzył im tylne drzwi.

Usiedli obok siebie. Michael próbował w tym małym samochodzie ułożyć chorą nogę w jak najmniej bolesnej pozycji, ale dał sobie spokój. Lene spojrzała na zegarek.

– Dochodzi szósta, Michael. Sześć godzin na tej planecie zostało Ehdowi Berezowsky'emu albo całemu zastępowi europejskich ministrów. Pora na jakiś sprytny plan. I skuteczny. I na podjęcie decyzji.

Wyjrzał przez okno.

– Wiem przecież!

– A co z twoim przyjacielem w Londynie? Czego kazałeś mu się dowiedzieć?

– Sandy miał sprawdzić powiązania. Ojciec Nazeery wykłada na Uniwersytecie Kopenhaskim, gdzie ma się odbyć wręczenie nagrody, i obstawiam, że Nazeera zna tam każdy kąt. Z kolei jej brat i siostra mieszkają i pracują w Londynie. On przy produkcji filmów, a ona jest doradczynią inwestycyjną. Można więc założyć, że rodzina ma powiązania z Anglią. Nie sądzisz?

– Pewnie tak, i co z tego?

Michael znowu złapał się oburącz za kolano i je przesunął.

Lene pomyślała, że to, co tu wyczyniali tej nocy, nie było zgodne z zaleceniami lekarzy.



– Zanim szejik Ebrahim Safar Khan został masowym mordercą, przez jakieś piętnaście lat był zwykłym profesorem studiów bliskowschodnich w London School of Economics. Pomyślałem po prostu, że te rodziny mogą być powiązane. Równoległe ścieżki kariery. Może Gamil i Safar Khan znali się w młodości?

– Ale, Michael, przecież ktoś już to sprawdził – zauważyła. – Londyńska przeszłość Safara Khana została pewnie prześwietlona ze sto razy przez Brytyjczyków, Mossad i CIA.

– Tak, jasne. Niemniej dotąd nie było powodu, żeby się koncentrować na Khalidzie Gamilu. On jest pewnie czysty jak świeży śnieg. Tak przynajmniej sędzę. To jego najstarsza córka ma szansę wkrótce stać się sławna.

Lene pokiwała głową. Wydało jej się to trochę naciągane. Jeśli Nazeera była agentką Thomsena, to on przecież nie wziął jej znikąd. Jej przeszłość też została zbadana w najdrobniejszych szczegółach i zatwierdzona przez służby.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

– Wywiad Wojskowy. To oni rekrutują i szkolą tajnych agentów, prawda?

– Prawda.

– Jeśli ona jest tym, kim myślimy, że jest, to Thomsen wziął ją od nich, co nie? I pewnie wraz z nią dostał kompletną teczkę akt. Michael, oni musieli ją sprawdzić z góry na dół.

– Oczywiście, że ją sprawdzili. Ale Lene, ona jest jedna na milion. Podobno mówi w sześciu językach. Jest czarująca, piękna i diablo inteligentna. Potrafi się w pełni swobodnie poruszać w najróżniejszych kręgach zarówno tu, jak i na Bliskim Wschodzie, i nikomu nie podpaść. To co z tego, że jej ojciec pracował w Londynie razem z Safarem Khanem? To za mało, żeby zdyskwalifikować taką kandydatkę. Londyn to piekielnie duże miasto. Sam, mieszkając tam przez dwanaście lat, poznałem setki ludzi. Połowa z nich mogłaby być międzynarodowymi terrorystami, a ja mogłem nie mieć o niczym pojęcia.

Lene opadła ciężko na swoim miejscu. Po spuszczonej barkach Bjarnego zorientowała się, że im się przysłuchiwał i czuł podobnie.

– Okej – mruknęła i mechanicznym ruchem wyjmowała odłamki szkła z włosów i upuszczała na podłogę. Spróbowała uśmiechnąć się do Bjarnego w tylnym lusterku, żeby go trochę uspokoić. – To kiedy się odezwie ten twój przyjaciel? Nie możesz do niego zadzwonić? Może dałby radę się trochę pośpieszyć? On wie, że to pilne?

Michael zaśmiał się cierpko.

– Sandy Huffington jest... inny. Tak naprawdę prawie nie przypomina człowieka. Gdybym spróbował go poganiać, nigdy więcej by się do mnie nie odezwał.

– Ale mu płacisz?

– Kurwa, i to po królewsku! Ale to nie o to chodzi.

Rozłożył ręce i dodał:

– Nie umiem tego wytłumaczyć. To by było tak, jak poprosić Daniela Barenboima, żeby zagrał drugą część czwartego koncertu fortepianowego Beethovena trochę szybciej. Tak się po prostu nie robi.

Michael przestał się zajmować swoją nogą i patrzył przez okno.

– Ale my *naprawdę* nie mamy czasu! Michael, widziałeś coś? Rozpoznałeś kogoś?

Zamknął oczy.

– Młody gość. Tuż po dwudziestce. Długie czarne włosy. Podobny do jakiegoś gwiazdora. Może Johnny'ego Deppa. Tylko silniejszy. Większy. Dziwna biała blizna w kształcie gwiazdy na lewej skroni. Lene, on był zimny. Uśmiechnął się do mnie i pokazał mi *fucka*.

– Tak, to widziałam – przytaknęła. – I masz rację. W każdym razie na pewno się nie bał.

Popatrzyli na siebie. Jego oczy uciekły.

– Ale poza tym nie widziałem nic, co mogłoby się przydać. A jego kolegi w ogóle nie dostrzegłem. Jak oni się tu u licha dostali? W sensie do Europy?

– Nie mam pojęcia. I tego, kto był w samochodzie, też nie widziałeś?

– Nie.

– Ten człowiek musiał tam być od początku.

– Oczywiście. Sprytni są.

Spojrzała w podłogę. Czują pieczenie pod powiekami.

– Michael, o czym myślałeś, kiedy wstałeś, w środku tej strzelaniny? Muszę wiedzieć. To było szalone. I odważne.

Ścisnął ją lekko za kolano i zaraz cofnął rękę.

– Później. Może. Okej?

– Okej.

Nigdy więcej do tego nie wrócimy, pomyślała. To niemożliwe.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Bjarne.

Zawrócił na pustej Toldbodgade i popatrzył na wejście do hotelu.

– Stokrotne dzięki, Bjarne – powiedziała Lene.  
– Nie ma za co. Zaczekać na was? I tak nie mam nic innego...  
– Wracaj do domu. Prześpij się. Zadzwoń do ciebie, gdy pojawi się coś nowego.

Odwrócił się w fotelu, żeby spojrzeć jej w twarz:

– Obiecujesz?

\* \* \*

Omawiali sprawę przy śniadaniu, które im przyniósł do pokoju zmięty, zaspany kelner, ale wciąż tkwili w miejscu. Lene czuła palącą potrzebę, żeby coś zrobić, cokolwiek. Chodziła niespokojnie po pokoju, jedząc jajecznicę oraz croissanty i popijając czarną kawą.

W recepcji stała młoda znajoma Michaela, konsjerżka wyszkolona w Szwajcarii. Zmierzyła Lene wzrokiem, z którego jasno wynikało, iż jej zdaniem Lene nie jest dla Michaela dość dobra, co wywołało w niej absurdałne i żenujące ukłucie zazdrości, z którym nie wiedziała, co ma począć.

Zmieniła Michaelowi opatrunek. Nabrała w tym niezłej wprawy. Całe swoje doświadczenie w pierwszej pomocy zdobyła na Michaelu. Miał niebywałą zdolność ulegania urazom. Za dwa lata może nic z niego nie zostanie.

Rany nie wyglądały ani lepiej, ani gorzej niż poprzedniego dnia.

Nie przyszedł żaden faks z Londynu, skrzynka mailowa też była pusta.

Michael wstał, pokuśtykał do drzwi balkonowych, otworzył je i zapalił pierwszego tego dnia papierosa.

– Lene, naprawdę nic nie możemy zrobić – przekonywał. – Kręcimy się w kółko, jesteśmy przemęczeni, a ja się czuję jak po lobotomii.

– U mnie to samo – przytaknęła i ziewnęła.

– Musimy... choć przyznaję to z trudem... mieć nadzieję, że PET kontroluje sytuację. Thomsen. Zabójca twojej psychiatrki. To zresztą niezły rollercoaster. Najpierw myślisz, że Irene to wcielenie szatana. Potem odkrywasz, że jest świętą, a na koniec musisz mieć nadzieję, że jej morderca będzie miał dziś naprawdę udany dzień. Czy to nie jest odrobinę trudne?

W tej sekundzie szczerze go nienawidziła. Ale zaraz do niej dotarło, że mówi co mu ślina przyniesie na język z czystej frustracji. Michael przywykł kontrolować sytuację. To, że został zredukowany do roli widza, było dla

niego tak samo nieznośne jak dla niej. Oboje przecież w głębi duszy ufali tylko sobie. Wszyscy inni byli albo nie dość staranni, albo nie dość zdolni.

– A jak myślisz? – odburknęła. – Jasne, że mam dylemat. Powiedz mi: czy liczyłeś kiedyś na kogoś innego?

Odwrócił się z papierosem wiszącym nonszalancko z kącika warg i przyglądał jej się długo i badawczo. Ale na koniec się uśmiechnął.

– Masz rację – przyznał. – Wybacz. Nie, nigdy na nikogo nie liczyłem. Nie na poważnie. Nie w sprawach istotnych. Myślę, że dlatego nadal żyję. Ale oczywiście również dlatego... ja... my oboje... kurwa.

– Co, Michael?

– Po prostu się przymknij, okej?

Nie zamierzała odpuścić.

– Ale oczywiście również dlatego my oboje co?

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Odrobiny szczerości.

– To idź do łazienki i przejrzyj się w lustrze – powiedział szorstko. – Nie wiem, czy jestem w stanie wyrazić to dosadniej niż to, co tam zobaczysz. I ty, i ja... Oboje... Czym się zajmuje twój były mąż?

– Jest księgowym.

– Oczywiście! – rozłożył ręce. – Księgowy. A moja żona wpada w ekstazę na widok pierwszego wydania powieści historycznych B.S. Ingemanna. To *ich* potrzebujemy, Lene. Normalsów. Oni oczywiście nic nie rozumieją, ale nauczyli się z tym żyć, a poza tym my *nie chcemy*, żeby nas ktokolwiek rozumiał, bo przecież uważamy, że jesteśmy zajebiście wyjątkowi! Ale gdyby takich dwoje ludzi jak my jednak się odnalazło... to byłby cholernie słaby fundament, co nie? Dwa świry. Nie mam racji?

Wstała i podeszła do łóżka. Miała na sobie tylko bieliznę i puchaty szlafrok. Oraz frotowe kapcie z logo hotelu.

– Muszę się położyć – oznajmiła.

– Dobra myśl. Mogę się położyć obok ciebie?

– To twoje łóżko.

Było szerokie i miało dwie kołdry co, zdaniem Lene, było korzystnym zbiegiem okoliczności, bo minimalizowało ryzyko dotyku. Zamknęła oczy i czuła za to jego zapach: Michael zawsze dobrze pachniał. Czymś, czego nie sprzedają w sprayu.

Łóżko się ugięło, kiedy się obrócił na bok. Stłumił jęk, gdy przekładał nogę. A potem zapadła cisza.

Lene też przewróciła się na bok i położyła policzek na łokciu. Była odwrócona plecami, ale świadoma jego fizycznej obecności.

Cisza trwała przez kilka minut, aż zaalarmowana otworzyła oczy: Michael przestał oddychać.

W myślach policzyła do dziesięciu i dopiero wtedy wciągnął powietrze w płuca z głośnym świstem, który ścisnął ją za serce. On nie był niezniszczalny. Miał swoją granicę. Oczywiście, że miał.

Odwróciła się do niego i popatrzyła na jego ciało częściowo zakryte kołdrą. Na szerokie plecy z przerażającymi bliznami i koszmarnym tatuażem z Homerem Simpsonem na łopatce. Miała ochotę czubkami palców obrysować każdą z blizn, jak dziecko, które śledzi na szybie kroplę deszczu. Miała ochotę je wszystkie wymazać.

Popatrzyła na zegarek. Wpół do ósmej. Do uroczystości na uniwersytecie zostało cztery i pół godziny. To jednocześnie bardzo krótko i bardzo długo, w zależności od tego, jak na to patrzeć.

W końcu nie mogła znieść tego leżenia. Wstała z łóżka i podeszła do drzwi balkonowych.

Patrzyła na port, kiedy usłyszała go za swoimi plecami. Z ich pokoju doskonale było widać Eigtveds Pakhus przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie odbywał się unijny szczyt.

– Michael?

– Mmm...

– Ja od tego zwariuję. Musimy coś zrobić, słyszysz?

Stanął obok niej.

– Chcesz spróbować ją znaleźć? – spytał.

– Tak! Gdzie ona na przykład mieszka?

– W mieszkaniu za grube miliony przy Grønningen z widokiem na Kastellet.

– Tam zaczniemy.

Znów spojrzała na zegarek.

– Za cztery godziny kończy mi się czas. Arne wciśnie alarm i stanę się podejrzana o zabójstwo. On jest bardzo punktualny. I nie żartuje. Zrobiłby tak, nawet gdyby chodziło o jego córkę.

– Więc na co czekamy?

\* \* \*

Z taksówki wysiedli kilkaset metrów od domu Nazeery Gamil. Kamienica przy Grønningen prezentowała się okazale i elegancko. Fasady wypięskowane i czyste, główne wejście lśniło polerowanym mosiądzem i ciemnym mahoniem. Mosiężna tabliczka przy domofonie informowała, że GAMIL mieszkała na trzecim piętrze nad firmą o nazwie Caspian Sea Trading Company, Ltd.

Mieszkanie Nazeery zajmowało całe piętro, podobnie jak firma.

Szybki w podwójnych drzwiach były jasnoszare i pięknie szlifowane. Dawały mglisty przedsmak foyer z marmurami i dywanami w kolorze królewskiego błękitu na schodach. Lene aż się zrobiło żal, kiedy Michael łokciem zbił jedną z szybek, wsunął przez nią rękę i otworzył drzwi.

Gdy weszli, drzwi od razu się za nimi zamknęły, a oni stali przez chwilę w holu cichym jak biblioteka. W takich miejscach odruchowo mówi się szeptem.

Michael popatrzył na nią.

– A co, jeśli ona jest na górze z nimi dwoma? Co, jeśli zaraz wszystko spierdolimy? Co, jeśli ona jest po naszej stronie?

Lene go wyminęła.

– Nie jest.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Ale wiem.

Weszli po schodach tak szybko, jak na to pozwalała chora noga Michaela. Dywan sprawiał, że ich kroki były bezgłośne. Drzwi mieszkania Nazeery były ozdobione w ten sam sposób co drzwi na dole. Stanęli przy nich i długo nasłuchiwali, ale ze środka nie dochodziły żadne dźwięki.

Michael przyklęknął na kokosowej wycieracze z napisem „Welcome, Bienvenue, Willkommen” i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął swoje wytrychy. Ostrożnie podniósł klapkę szpary na listy, ale zobaczył przez nią tylko wypolerowany parkiet w jodełkę francuską, stary perski dywan i nogę wieszaka na płaszcze. Przytknął do szpary ucho, ale nic nie usłyszał. Popatrzył na Lene i dał jej znać skinieniem. Wyjęła pistolet, odciągnęła zamek i zgodnie z regulaminem złapała broń oburącz. Potem na niego popatrzyła.

Możliwe, że od środka umieszczono łańcuch, ale główny zamek był starym zamkiem marki Rukolås, posłusznym jak glina w dłoniach Michaela. Odciągnął zapadkę i znów skinął na Lene, która wcisnęła dzwonek.

Przez nieskończenie długie pół minuty nie działo się nic. Lene już wyciągała rękę, żeby zadzwonić jeszcze raz, kiedy dostrzegła, że Michael po-

trząsa głową. Ostrożnie, jak w zwolnionym filmie opuścił klapkę szpary, kiedy usłyszeli kroki w wysokich obcasach. Michael wyjął swój pistolet, odbezpieczył go i cofnął się o krok.

Nazeera będzie myślała, że drzwi są zamknięte na klucz, tymczasem wystarczyło je pchnąć.

Kroki zatrzymały się przy drzwiach. Bez wizjera.

Kliknął zamek, który próbowała przekręcić, i w tym momencie Michael stanął na chorej nodze i z całej siły kopnął drzwi tuż nad klamką. Ciężkie drzwi odchyliły się na dobrze naoliwionych zawiasach, ale się zatrzymały, gdy uderzyły głucho w ciało i twarz kobiety.

Rozległ się ostry, jasny krzyk.

Równocześnie rzucili się do szpary, jak w komedii zaklinowali się w niej na moment, ale się uwolnili i Lene jako pierwsza wpadła do korytarza. Po jego obu stronach widać było białe drzwi, a na końcu wisiał duży pustynny pejzaż, który rozświetlał korytarz czerwienią, ochrą i odcieniami żółtego.

Przed nimi na podłodze wiła się młoda kobieta. Miała na sobie dzinsy, sandały na obcasie i białą jedwabną bluzkę, teraz poplamioną krwią. Wypięłognowanymi dłońmi zasłaniała twarz, a jej długie czarne włosy leżały rozrzucone na podłodze.

Zza dłoni dochodził bolesny skowyt.

Lene uklękła obok i siłą odsunęła kobiecie dłonie od twarzy. Szeroko otwarte brązowe oczy patrzyły w sufit. Były zszokowane i zamglone bólem. Dziewczyna miała złamany nos i czarną dziurę w miejscu jedynek. Lene wypuściła jej nadgarstki i wstała. Nieznajoma jęknęła i z powrotem ukryła twarz w dłoniach. Położyła się na boku, podwinęła nogi i kołysała się na obie strony.

– To nie ona – szepnęła Lene.

– Inaya?

Głos dochodził z drzwi, które właśnie się otwały i wpuściły na długi korytarz światło dzienne. Zaraz po nim usłyszeli biegnące kroki. Szczupły młody mężczyzna wybiegł zza rogu i zatrzymał się, jakby uderzył w szklaną ścianę. Michael odciągnął już zamek pistoletu i był o krok od pociągnięcia za spust. Gładkie czoło mężczyzny miał idealnie na środku celownika, ale Lene przytomnie położyła dłoń na jego broni i skierowała lufę do dołu.

Brązowe oczy mężczyzny zrobiły się okrągłe jak spodki. Krew odpłynęła mu z twarzy, a dłoń nadal leżała na futrynie drzwi, której się przytrzymał na

zakręcie. Był za wysoki, za bardzo zadbany, zbyt gładko ogolony i za dobrze ubrany. Należał do całkiem innej rasy niż tamci dwaj na parkingu.

Lene uniosła swoją legitymację na wysokość oczu mężczyzny, ale on nie był nią zainteresowany. Widział tylko dziewczynę, która kuliła się na podłodze i zakrwawiona nie mogła znaleźć pozycji uśmierzającej ostry ból.

Klęknął przy jej głowie.

– Inaya? To ja, Zaki. Co się stało? Skarbie, to ja.

Mówił mieszanką angielskiego i duńskiego bez śladu akcentu.

Usiadł na podłodze, podciągnął do siebie dziewczynę i położył sobie jej głowę na kolanach.

– Michael, przynieś jakiś ręcznik i trochę lodu – zarządziła Lene. – I rozejrzyj się, czy jest tu ktoś jeszcze.

Michael precyzyjnie przesunął się obok pary z uśmiechem zażenowania na twarzy i ruszył w głąb mieszkania.

Przystojny młody mężczyzna podniósł głowę i popatrzył na niego z nienawiścią.

\* \* \*

To nie jest dobry dzień na zawieranie przyjaźni, pomyślał Michael, kiedy przemierzał mieszkanie, wysokie, przestronne i wygodne. Stworzone do tego, żeby w nim mieszkać. Wystroju prawie by nie zmieniał, a widok na wały, cytadelę i wiatrak zachwycał. Przeszedł przez dwa duże pokoje z łazienkami, w jednej z nich przystanął, żeby podziwiać koszulkę FC Barcelony w niebiesko-czerwone pasy z numerem 10 na plecach i autografem Messiego, bez wątpienia wykonanym czarnym flamastrem przez samego boga futbolu. Koszulka była wyeksponowana za szkłem w ramie z mahoniem nad artystycznie zagraconym biurkiem. Obok biurka wisiała duża przeszklona szafka, a w niej stare aparaty Leica, pewnie warte fortunę.

Otworzył drzwi do dużej, rodzinnej kuchni i zamarł.

Ten pies. Rudolf. Parszywe bydlę, które go okaleczyło, leżało spokojnie w ogromnym koszu na środku eleganckiej marmurowej podłogi w czarno-czerwonej szachownicy.

I patrzyło na jego nogi spod przymkniętych powiek. W otwartym pysku widać było silne, białe zębiska. Nogę Michaela przeszył długi, bolesny skurcz. Od razu wyjął pistolet.

Nie. Nigdy więcej.



Dopiero teraz zaczął ponownie oddychać i uważniej przyjrzał się zdumiewająco biernemu monstrum. Michael pochylił się, lufą pistoletu ostrożnie trącił psa i szybko się wycofał.

Czarne wargi Rudolfa, wyglądające jak z gumy, ani drgnęły. Pies miał na szyi szeroką obrozę z kryształkami i połączanymi nitami, jakby miał występować w Las Vegas. Tylną część ciała zakrywał gruby koc z miękkiej szkockiej wełny. Nie ulegało wątpliwości, że zwierzę było kochane, choć teraz Rudolf biegał po wiekuiстых łowiskach, szukając innych ludzi, których będzie mógł chapnąć.

Na stole kuchennym stały dwie duże fiołki z lekami. Michael ostrożnie, żeby nie zatrzeć ewentualnych odcisków, podniósł jedną z nich. Było to niemal puste opakowanie środka usypiającego o nazwie nembutał, po którym pewnie nawet Rudolf zdołał zasnąć na zawsze. Gdy zauważył również strzykawkę i wyjątkowo grubą igłę, domyślił się, że środek wstrzyknięto psu w skórę na karku. Druga fiołka zawierała chlorek potasu w wysokim stężeniu, który pewnie wstrzyknięto nieprzytomnemu zwierzęciu prosto w serce, żeby je zatrzymać.

W ludzkim odruchu położył dłoń na głowie psa i zamknął zwierzęciu oczy. Poklepał jego potężną pierś, była zimna i twarda jak drzewo. Pies musiał nie żyć od kilku godzin.

– *Auf wiedersehen*, Rudolf – powiedział cicho.

\* \* \*

Lene razem z młodym człowiekiem zanieśli dziewczynę do pokoju i ułożyli ją na kanapie, kładąc ręcznik pomiędzy jej zakrwawioną głową a kolanami chłopaka. Dziewczyna była teraz w pełni przytomna i wodziła za Michaëlem wzrokiem osłupiałym i pełnym bólu. Mężczyzna patrzył na niego z odrazą.

Michael postawił na podłodze miskę z lodem, dwie garście lodu zawinął w ręcznik kuchenny i mocno uderzył nimi w podłogę. Dziewczyna wzdrygnęła się od huku i zbiełały knykcie jej dłoni zaciśniętej na ramieniu chłopaka.

– Lodu? – spytał Michael.

Dziewczyna pokiwała głową i ostrożnie przyłożyła zawiniątko do twarzy.

– Kim wy, kurwa, jesteście? – spytał wreszcie z wściekłością młody mężczyzna.

Michael widział wyraźnie podobieństwo między chłopakiem, dziewczyną a Nazeerą. Wycofał się, żeby oddać pole Lene, sam obserwował wszystko z miejsca przy oknie.

– Jestem komisarz Lene Jensen z Komendy Głównej Policji – powiedziała spokojnie. Siedziała na krawędzi krzesła przysuniętego do kanapy. – Mogę się ponownie wylegitymować, ale mamy bardzo mało czasu. Więc kim jesteście wy i co tu robicie?

Miała przyjazny wyraz twarzy, ale głos dobitny i surowy.

Dziewczyna popatrzyła na brata i skinęła głową.

– Ja jestem Zaki Gamil, a ta dziewczyna... ta, którą zmasakrowaliście, to moja młodsza siostra Inaya.

Lene wytrzymała jego wściekły wzrok.

– Jest nam niewymownie przykro z tego powodu. Naprawdę. Mieliśmy mocne przypuszczenia, że ukrywają się tu terroryści szykujący zamach.

– Zaki... o czym ona mówi? – wymamrotała dziewczyna i brat spojrzał na nią ze współczuciem. Pogłaskał jej gęste ciemnobrązowe włosy.

– Spokojnie, skarbie.

Podniósł wzrok na Lene.

– Terroryści? Aha. To gdzie są psy i śmigłowce? Czy może przyszłście ich zgarnąć we dwójkę? Wybacz, ale to brzmi trochę dziwnie. Nawet bardzo dziwnie.

Słuszne spostrzeżenie, pomyślał Michael, chociaż najchętniej podszedłby do chłopaka i roztrzaskał mu coś na twarzy. Gość był za ładny, jego koszula i buty były za bardzo ręcznie szyte i cały był o wiele za bardzo z siebie zadowolony.

Lene uśmiechnęła się niezrażona. Wychyliła się do przodu, ale łokcie nadal opierała na kolanach. Cała jej twarz promieniała empatią.

– Pies nie żyje – wtrącił się Michael. – Został uśmiercony w sposób humanitarny i delikatny, choć absolutnie na to nie zasłużył.

Lene uśmiechnęła się przepaszająco do dwójki rodzeństwa.

– Zapomnijcie na chwilę o moim koledze. – Spojrzała z boku wściekle na Michaela. – Cierpi ostatnio z powodu stresu...

– I pogryzienia przez psa – dodał Michael.

– I pogryzienia przez psa. Muszę jednak naprawdę dowiedzieć się, co tu robicie. Inayo, to ważne.

Dziewczyna popatrzyła na brata znad zakrwawionego ręcznika.

– Powiedz im, Zaki. Wszystko im powiedz.

Mężczyzna zacisnął wargi z surową nieugiętością i Michael odszedł od parapetu. Był więcej niż gotów wytłuc z niego informacje. Procedury i kodeksy były teraz bez znaczenia. Najważniejsza była Nazeera, która bez wątpienia sama uspiła swoje ukochane zwierzę. Bo już tu nie wróci.

Zaki spojrział w dół na siostrę i gdy jego twarz złagodniała, Michael wiedział, że chłopak będzie mówił. W jego oczach poza butą pojawiło się coś jeszcze.

Michael wrócił więc na swoje miejsce przy oknie.

– Zadzwoń do nas wczoraj rano – zaczął, wciąż patrząc siostrze w oczy. – My, Inaya i ja, pracujemy w Londynie, mieszkamy razem w Knightsbridge. Nazeera poprosiła, żebyśmy przylecieli do Kopenhagi. Powiedziała, że to ważne, bardzo ważne.

– I kiedy przylecicie? – spytał Michael i wyjrzał przez okno. Nad cytadelą właśnie lądował policyjny helikopter, szyby brzęczały od obrotów śmigła.

– Wczoraj wieczorem – wymamrotała dziewczyna. – Zatrzymaliśmy się w hotelu Admiral. Nazeera powiedziała, że możemy tu przyjść dopiero dziś po siódmej rano. Powiedziała to głosem bardzo stanowczym... i dziwnym. Wręcz patetycznym. Chociaż normalnie jest wesoła.

Michael i Lene spojrzeli po sobie. Hotel Admiral? Michael spojrział na zegarek. Nazeera była tu, w tym mieszkaniu przed niespełna dwiema godzinami. Gdyby zamiast do hotelu poprosili Bjarnego o podwiezienie bezpośrednio tu, to może zdążyliby ją znaleźć i unieszkodliwić. Tymczasem oni jedli croissanty, brali kąpiel i leżeli sobie na łóżku. Ta myśl była nie do zniesienia, więc ją porzucił.

– Nawet bardzo wesoła – dodał mężczyzna.

– Czego od was chciała? – spytała Lene.

Zaki spuścił wzrok i ze złością otarł łzę z kącika oka. Nie chciał podnieść głowy. Jeśli mieli się dowiedzieć czegokolwiek więcej, to tylko od jego siostry.

– Chciała się pożegnać – powiedziała Inaya cicho i z niedowierzaniem. – Tak myślę. Uspiła Rudolfa, Rudy’ego. To dlatego chciała, żebyśmy tu przyszli. Mieliśmy go zabrać i pochować. Wszystko zaplanowała. Kupiła nawet dwie łopaty i powiedziała, że ma zostać pochowany w swoim koszu.

– Rozmawiała z waszymi rodzicami? – wtrącił się Michael.

– Mama jest chora – odparł Zaki. – Bardzo. Ma białaczkę. Leży w hospicjum w Gentofte. Już stamtąd nie wyjdzie.

– Zaki!

– Przecież to prawda.

Chłopak popatrzył na Michaela i Lene.

– Nazeera, zdaje się, była u niej wczoraj po południu. I pewnie z nią rozmawiała, ale nie wiem, na ile mama rozumie, co się do niej mówi. Ojciec jest obecnie w Stanach, z gościnnymi wykładami.

Michael zawiesił wzrok na pękniętym naczynku w lewym oku dziewczyny. Krwiak się powiększał.

– Dała wam jakiś list, nagranie, cokolwiek? – spytała Lene.

– Nie. Powiedziała tylko, żebyśmy włączyli telewizor w południe.

– Mówiła coś o Ehudzie Berezowskim?

– O Berezowskim? On tu jest? – Widoczna część twarzy dziewczyny się rozpromieniła. – Wspaniała postać! To wspaniały człowiek, prawda, Zaki? Niesłychanie odważny. I cenny. W tej chwili to najcenniejszy człowiek na Bliskim Wschodzie.

Zaki potwierdził skinieniem.

– Najwyraźniej wszyscy są zgodni, że jest wprost cudowny – mruknął Michael. – Również ci, którzy nieustannie próbują go zabić.

Dwójka rodzeństwa popatrzyła na niego zaskoczona.

Helikopter ponownie wzniósł się spod siedziby Wywiadu Wojskowego.

– A przypadkiem nie mówiła wam, dokąd poszła? – Michael przekrzykiwał hałas.

– Czego od niej chcecie? – odpowiedziała pytaniem Inaya. – Co ona zrobiła?

– Wiecie w ogóle, czym ona się zajmuje? – spytał. – To znaczy z czego żyje?

– Jest kelnerką – odparła dziewczyna.

– Musi dostawać bajecznie wysokie napiwki. – Michael zatoczył ręką, wskazując na ceramiczny piec kaflowy, wysokie panele i stiuki na suficie. – Same leiki w tej szafce są warte majątek. Żadna kelnerka nie zarabia takich pieniędzy.

– To moje aparaty, a mieszkanie należy do nas wszystkich – wyjaśnił szorstko Zaki. – Używamy go na zmianę, kiedy jesteśmy w Kopenhadze. Każde z nas ma swój pokój. To inwestycja, jeśli wiesz, co to słowo znaczy.

– Zamierzała pojechać do magazynu za restauracją – powiedziała ze szczerą prostotą Inaya, wracając do tematu. – Miała tam czegoś dopilnować. Budynek jest chyba nieużywany. Nam tymczasem kazała zająć się Ru-

dolfem, a potem wracać do Londynu, jeśli nie dostaniemy od niej żadnej wiadomości.

Lene wstała z krzesła i ruszyła w stronę drzwi. Nawet nie spojrzała na dwójkę młodych ludzi na kanapie.

– Michael, no chodź!

– Chwila.

Popatrzył na dziewczynę.

– A poza tym powiedziała jeszcze coś szczególnego?

Inaya się zastanowiła.

– Nie. Nic... poza tym, że zaczęła nosić hidżab. To znaczy zakrywać włosy. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Uważała to za poniżające i średnio-wieczne. To chyba jest dziwne, prawda, Zaki?

– Tak.

– Michael!

Lene zawołała go z korytarza i musiała już otworzyć drzwi, bo jej głos odbił się echem na klatce schodowej.

– Kobiety! – Michael uśmiechnął się do Zakiego. – Są nieznośne, ale przecież nie będziemy do nich strzelać. Zaki, zawieź siostrę na ostry dyżur. I pośpiesz się, bo inaczej gwarantuję ci, że będziecie na końcu cholernie długiej kolejki.

I wtedy po raz pierwszy udało mu się dotrzeć do tego chłopaka. Zaki popatrzył na niego uważnie.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Zróbcie, jak powiedziała wasza siostra: włączcie telewizor w południe. Będziecie sławni. Wszyscy. Cała rodzina. Miłego dnia!

\* \* \*

– Hidżab – wymamrotała Lene, kiedy siedzieli na tylnej kanapie taksówki.

– Przynajmniej przestała się ukrywać. Tylko ciekawe, co będzie następne?

– Pas szahida – odparł Michael. – I pożegnalne nagranie na YouTube. – Pokręcił głową z rezygnacją. – Chciałbym odzyskać swój mózg – wyznał. – Dlaczego, u licha, nie spytałem ich o Safara Khana i Londyn? Czy przychodził do nich na kolację w każdy czwartek? Czy Inaya podskakiwała na kolanach arcyterrorysty? O stare, dobre czasy. Przecież oni przy tym byli, kurwa!

Lene na pociechę ścisnęła go za rękę.

– Michael, ja też o tym nie pomyślałam. Nie da się cały czas myśleć o wszystkim. Nawet ty nie jesteś w stanie.

– Palmy – powiedział do siebie.

– Słucham?

– Palmy. Miejsce, gdzie jest spokój. I mnóstwo palm. Oraz księżyc, gwiazdy i plaża. Kiedy to się skończy. I gdzie jest ciepło.

Pomyślał, że może wcale go nie słuchała. Albo nie miała serca mu przypominać, że mogą nie dożyć końca tego dnia.

Ale nagle się uśmiechnęła.

– Brzmi dobrze, Michael. Naprawdę. Cudownie.

Jej dłoń nadal leżała na jego dłoni. Zapomniana, ale ciepła.

Przypomniała sobie o niej, kiedy taksówka skręciła za rogiem w Østerbrogade. Cofnęła rękę, a on splótł dłonie na kolanach.

– Myślisz, że wiedziała, że zrobimy najazd na jej mieszkanie? – spytała.

– Jeśli jest choć w połowie tak bystra, jak mówią, to oczywiście wiedziała.

– Zatem wiedziała również, że oni nam powiedzą o tym magazynie.

– Zapewne. Nie mają pojęcia o jej podwójnym życiu.

– Czyli jedziemy prosto w pułapkę – skwitowała.

– Oczywiście.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w twarz.

– To co robimy?

– Damy się złapać. Mamy jakieś wyjście? Może masz jakąś genialną alternatywę? Mogłabyś na przykład zadzwonić do Charlotte Falster i poprosić ją, żeby połowę oddziałów szybkiego reagowania obstawiających teraz uniwersytet i ministerstwo przerzuciła do magazynu za Krokodylem, żeby nas osłaniali?

– Antyterroryści nie mieliby szans – stwierdziła Lene i uśmiechnęła się lekko. – Żaden nie uszedłby z życiem. Od razu wysadziliby wszystkich w powietrze. Dla nich to też byłoby jakieś zwycięstwo.

Uśmiechnął się szyderczo.

– Ale kiedy zobaczą nas, to tego nie zrobią?

– Jasne, że nie. My jesteśmy całkiem nieszkodliwi – odparła.

– Zatem robimy jak w Norwegii – podsumował. – Wchodzimy w pułapkę i dajemy do siebie strzelać.

– O ile pamiętam, ciebie nikt nie postrzelił. To ja oberwałam!

– Ach, niewielka, powierzchowna rana.

Prychnęła, ale nic nie powiedziała.

Michael wyjął pistolet zza paska i schylił się, żeby pod siedzeniem kierowcy sprawdzić magazynek, chociaż wiedział, że jest pełny.

To taki rytuał.

\* \* \*

Taksówka zatrzymała się sto metrów od magazynu. Michael zapłacił kartą.

Na ulicy nie było nikogo.

– Dziwny dzień – powiedział z zadumą kierowca. Był sikhem, a na desce rozdzielczej miał przyklejone zdjęcie żony i trójki dzieci na tle smutnego małego domku z cementu z płaskim dachem. Dalej wznosiły się niedostępne zaśnieżone górskie szczyty. Na pierwszym planie dwie chude kury skubały coś na skraju drogi. Zdjęcie mogło być zrobione w Pendżabie niedaleko Kaszmiru. Miejscu, w którym nikt nie miał powodu kochać ani Afganistanu, ani Pakistanu. Wprost przeciwnie.

Mężczyzna był wysoki i stateczny, a wzrok miał jasny i czujny. Michael zaczął kombinować.

– Tak, to dziwny dzień, ale Bóg pobłogosławił cię pięknymi zdrowymi dziećmi, *sahib* – powiedział uprzejmą angielszczyzną i wskazał na czarno-białe zdjęcie.

Wychylił się przyjacielsko między siedzeniami, a kierowca uśmiechnął się do niego złotymi zębami w lusterku wstecznym. W tych złotych zębach kryła się spora część rodzinnej fortuny. Lecz mimo uśmiechu nieufnie mrużył wąsko osadzone oczy.

Długim brązowym palcem wskazał na dzieci:

– Ballhaan, Iskander. Kashmiri – powiedział.

Kashmiri to była dziewczynka.

– Prawdziwa księżniczka – skomplementował Michael.

– Jest słońcem, które rozjaśni nam starość – przytaknął z dumą sikh. – Ale ci dwaj to diabły wcielone.

– Teraz tacy są. Ale pod twoim przewodnictwem staną się dobrymi, poważnymi mężczyznami – zapewnił go Michael.

– Jak Bóg da, *sahib*.

Michael zainteresował się wyblakłym niebieskim tatuażem na prawym nadgarstku kierowcy. Emblemata regimentu brytyjsko-indyjskiego. Było lepiej, o wiele, wiele lepiej, niż mógł sobie wymarzyć. Chyba.

Lene poruszyła się niespokojnie, ale żaden z mężczyzn nie zwracał na nią uwagi.

– Nie mamy czasu – powiedziała wreszcie, a Michael z kierowcą popatrzyli sobie w oczy.

Michael niemal wbił się całym korpusem między przednie fotele, żeby być jak najbliżej swojego nowego przyjaciela pachnącego ciecierzycą. Jednocześnie nie chciał urazić sikha dziecinną otwartością.

– Royal Indian Rifles? – spytał i wskazał na tatuaż.

Mężczyzna się wyprostował. Śnieżnobiały turban dotknął sufitu samochodu, a szczupłe arystokratyczne rysy twarzy napęczniały dumą.

– *Better to die...* – zaczął i pochwycił wzrok Michaela w lusterku.

– *...than to live like a coward* – dokończył Michael znane motto elitarniej jednostki.

– Michael...

Nie patrząc na nią, powiedział:

– Skarbie, wyjdź i poobserwuj drogę – powiedział i zamknął oczy, kiedy trzasnęła za sobą drzwiami.

Kierowca się wyszczerzył.

– Kiedy ostatni raz byłeś w domu? – spytał Michael.

Przez wąską twarz mężczyzny przesunął się cień. Długie ciemne dłonie uniosły się i zwróciły różowym wnętrzem ku niebu.

– Zbyt dawno temu. Pieniądze wysyłam co miesiąc i one do nich docierają, *sahib*. To prawda, ale beze mnie. Wiesz, jak to jest. Albo pieniądze, albo ja.

– Rozumiem – Michael pokiwał głową. I postanowił wykorzystać okazję.

W wewnętrznej kieszeni miał książeczkę czekową. Powoli ją wyjął, zżymając się w duszy, że nie ma czasu na bardziej subtelne negocjacje. Kierowca był człowiekiem dumnym, którego nie można było tak po prostu kupić. Jedno nieostrożne słowo mogło zerwać dialog.

– Nie chcę cię urazić – zaczął, nie patrząc na mężczyznę – ale potrzebuję twojej pomocy. I jestem gotów zapłacić ci za przysługę, która jest obciążona pewnym niebezpieczeństwem. Jak sam powiedziałeś, dziś jest dziwny dzień. To prawda, przyjacielu. Jest taki dlatego, że w powietrzu wisi śmierć. Czujesz to, bo jesteś wojownikiem.

Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Zawiesił wzrok na wargach Michaela w lusterku.



– Synowie powinni znać swojego ojca – powiedział Michael i oderwał kartkę z książeczki. Wpisał na niej pięć cyfr. – Ojciec nie powinien być dla nich obcym człowiekiem.

Wręczył kierowcy czek, a ten przeczytał kwotę.

– Angielskie funty – wyjaśnił Michael.

Błysnęły złote zęby.

– Za takie pieniądze podpaliłbym dom szwagra z nim w środku i naszczał na zgliszcza.

– Albo dom teściowej.

– Za połowę tego, *sahib*.

Kierowca zaśmiał się głośno, a Michael tymczasem dokończył wypisywać czek. Nazwisko kierowcy przepisał z legitymacji na desce rozdzielczej: Gurpal Singh. Na koniec złożył czek na pół i wręczył Gurpalowi, który go schował do kieszeni skórzanej kurtki.

– Gurpal, nie będziesz musiał nikogo zabijać, chyba że bardzo będziesz chciał.

Michael wskazał na magazyn po drugiej stronie ulicy.

– Za dokładnie czterdzieści pięć minut zapukasz do tych niebieskich drzwi w tym białym budynku. Mocno. I długo. Jeśli nikt nie otworzy, kopniakiem wyważysz drzwi, narobisz hałasu i uciekniesz. Ale jeśli ktoś otworzy, to będzie to uzbrojony dżihadysta. Święty, kurwa, bojownik islamu. Rozumiesz, Gurpal? Tylko że oni też będą ostrożni, ponieważ zamierzają dziś wysadzić w powietrze połowę tego miasta. Tyle że nie tutaj. Więc nie wykluczone, że będą mili.

– I wtedy co? Mam go zapytać, która godzina? Albo czy ktoś zamawiał taksówkę? Albo pizzę?

Michael prychnął. Wyciągnął rękę i poklepał kierowcę po kieszeni kurtki.

– To mnóstwo pieniędzy, *sahib*. Ale wiem, że na nie zarobisz. Zapytaj go, o co chcesz. Albo sobie pójdź. Albo mu przywal, jeśli tak będzie bezpiecznie.

Kierowca pokiwał głową.

\* \* \*

Lene popatrzyła na niego z niedowierzaniem, kiedy wysiadł z taksówki. Zgiął i rozprostował obolałą nogę.

- Poznajesz nowych ludzi? Teraz?
  - Nie sądzisz, że potrzebujemy przyjaciół?
- Za ich plecami kierowca wyłączył silnik.

Ruszyli w stronę magazynu i Lene się obejrzała. Kierowca siedział nieruchomo za kierownicą. Wydawało jej się, że za przyciemnianą szybą dostrzegła złoty uśmiech.

- Zapłaciłeś mu? – spytała.
  - Tak, kurwa. Majątek.
  - Za co?
  - Żeby zapukał do drzwi.
  - I skąd wiesz, że po prostu nie odjedzie?
- Michael zatrzymał się i na nią popatrzył.

– Lene, on nie jest taki jak my. To człowiek honoru. Służył w jednym z najbardziej poważanych pułków na świecie. Jako sikh nie darzy islamistów przesadnie wielką miłością. Sikhowie są indyjskimi żydami. Hindusi zniszczyli ich najważniejszą świątynię w Amritsarze w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym. Pakistańczycy też za nimi nie przepadają, a talibowie napadają na nich bez ustanku od dwa tysiące dziesiątego. To twarde, bez wątpienia.

Znajdowali się pięćdziesiąt metrów od czteropiętrowego magazynu, którego okna wychodzące na ulicę były zamalowane na białe.

Okna jak oczy z zaćmą, pomyślał. Było w tym budynku coś zakazanego i złowieszczonego.

- Co robimy? – spytała.
  - Ja pójde naokoło i wejde przez restaurację, tak jak zawsze – odparł Michael. – Drogę znam, a pies nie żyje. A ty idź od frontu. Za pięć minut?
- Pokiwała głową. Michael uśmiechnął się i położył dłoń na jej ramieniu.
- Błagam, nie mów nic – wymamrotała.
- Obejrzał się za siebie.
- Sikh wciąż tam jest.
  - Ekstra.
- Zaczął iść przed siebie, ale go zatrzymała.
- Michael?
  - Tak?
  - Tamta dziewczyna w ciąży... w Somalii.
  - Co z nią? – Oczy mu pociemniały i spuścił wzrok na chodnik.

- To nie była twoja wina. Nie mogłeś wiedzieć, a ona na pewno wezwałaby posiłki i już byś stamtąd nie wyszedł.
- Widzimy się w środku – powiedział.
- Oddalił się na dwa metry, kiedy znów go zawołała.
- Co?!
- Dlaczego to robisz? – spytała.
- Szczerze mówiąc, nie wiem. Okej?
- Ale co mam powiedzieć twojej żonie? Sarze? Jeśli... no, wiesz... jeśli coś się stanie?
- Niczego jej nie zabraknie.
- Ciebie jej zabraknie.
- Nie ma mnie w domu od jakichś pięciu lat. Myślę, że to jej nie zrobi większej różnicy.
- Idiota z ciebie, Michael.
- Wejdźmy tam i bądźmy najlepszymi ninja w klasie, dobra?
- Dobra.

\* \* \*

– MICHAEL!

Ostrzeżenie zabrzmiało głośno i wyraźnie w jej głowie, ale wydostało się w postaci stłumionego ryku przez taśmę, którą młody Arab o długich czarnych włosach i z białą blizną na skroni owinął jej dolną część twarzy. Łzy stanęły jej w oczach, kiedy uderzyła w podłogę. Przewróciła się na bok razem z krzesłem, do którego była przymocowana tą samą taśmą, gdy tylko usłyszała dźwięk po drugiej stronie ściany, na schodach i zrozumiała, że Michael wpadł w pułapkę.

Podobnie jak ona.

Drzwi od ulicy nie były zamknięte na klucz. Czekali na nią schowani w półmroku. Napastnika nie zobaczyła, dopóki nie wytrącił jej pistoletu z ręki, a zaraz potem została przyduszona od tyłu żelaznym uściskiem przedramienia. Gdy szukała palców napastnika, żeby je wyłamać, z ciemności wyłonił się drugi i kopnął ją w splot słoneczny. Dokładnie tam, gdzie tamtej nocy Thomsen uderzył ją kolaniem.

Pierwszy z napastników używał takich samych perfum jak ona.

Kiedy mogła już normalnie oddychać i mniej więcej zorientować w sytuacji, siedziała przywiązana do ciężkiego drewnianego krzesła na środku

podłogi i patrzyła na materac zakryty czerwoną narzutą.

Potem podniosła głowę i zobaczyła siebie.

Jak żywą. Dokładną kopię siebie samej, włącznie z butami o wytartych czubkach, spranymi lewisami, srebrnym pierścieniem w kształcie węża, który nosiła na lewym kciuku, odkąd jako siedemnastolatka kupiła go na targu w Turcji i teraz chyba już nie dało się go zdjąć, małymi srebrnymi delfinami w uszach, jej kucykiem, jej ruchami, jej spojrzeniem. I uśmiechem, w tej chwili lekko przepraszającym. Szminka. Zapach. Lene zamrugała, ale sobowtór nie zniknął. Stał na wprost niej, kiedy przystojny arabski chłopak unieruchamiał ją i krępował taśmą.

– Nazeera? – spytała osłupiała, a kopia z powagą pokiwała głową.

– Tak, skarbie. Ja jestem tobą, a ty mną. Ale tylko dziś, skarbie. To konieczne – dodała cicho i bez wrogości w głosie. – To dobry pomysł, nie sądzisz? Tylko dlatego uszłaś z życiem z tamtego parkingu wczoraj w nocy. Byłaś mi bardzo potrzebna.

Pochyliła się i czubkami palców podniosła brodę Lene, żeby mogły popatrzeć sobie w oczy.

– Lubię cię, Lene – powiedziała poważnym tonem. – Naprawdę. To znaczy... o ile nie zrobiliście nic mojemu bratu ani siostrze. Bo jeśli tak, to nie lubię cię aż tak bardzo. Mówiąc szczerze.

– Nic im nie zrobiliśmy.

Kobieta zmrużyła oczy.

– Na pewno?

– Tak. Ale twój pies nie żyje. – Lene patrzyła jej w oczy, licząc, że zobaczy w nich wściekłość albo smutek, ale nie było w nich nic. Tylko nieruchome źrenice w środku zielonych tęczywek, w takim samym odcieniu jak jej własne.

– Rudolf. – Nazeera pokiwała głową. – To był dobry pies. A to, że przyszliście tu sami, jest aktem dużej odwagi. Chociaż może nie mieliście wyjścia? Bo ty, zdaje się, jesteś poszukiwana za zabójstwo Irene.

Lene przeniosła wzrok na stół i skaner nasłuchowy. Zapewne nastawiony na policyjne częstotliwości, chociaż w tej chwili płynął z niego tylko eteryczny szum.

– Zabiłaś Ain – powiedziała cicho Lene.

Nazeera już miała odejść, ale zawróciła.

– Lene, ty nie rozumiesz. To nie jest takie proste. Tak! Tak. Ona nie żyje. Ja to zrobiłam. Możesz mnie aresztować! Ale to było konieczne.

– Czyli zginęła za sprawę?

Kobieta posłała Lene uśmiech tępego dziecka.

– Możemy to tak nazwać, skarbie.

– Ale ona była niewinna. Nie zgłosiła się do walki w waszej gównianej sprawie!

Nazeera była tak szybka, że Lene nie zorientowała się, kiedy padł cios. Poczuli za to, jakby armata wystrzeliła jej tuż przy uchu i niemal oderwała jej głowę. Arabka była nieludzko silna. Stała teraz z pianą na ustach i oczami zwięzonymi do dwóch ognistych zielonych szparek.

– Nie wiesz, czy tego nie zrobiła, Lene! A islam to nie jest... islam... nasza droga nie jest taka, jak ją określiłaś. Lubiłam Ain. Naprawdę. Ale nie było innego sposobu. Tam, gdzie jest teraz, jest szczęśliwsza, niż kiedykolwiek była tutaj!

– Zapewne. Tak sobie wmawiaj, ty chora suko. Jak ją do tego przekonałaś?

Nazeera zdołała się opanować, gniew zniknął z jej pięknej twarzy.

– Do czego?

– Do wszystkiego. Żeby wpuściła Nabila Marouna do Tivoli. Żeby użyła wam swojego mieszkania.

Nazeera zamruwała. A potem się uśmiechnęła.

– Naprawdę nie wiesz? Ona go w ogóle nie знаła. Opowiedziałam jej, że jest taki chłopak, biedny student, któremu przydałoby się trochę rozrywki, więc może się u niej pojawić, a może nie. Ot, taki trochę dziwny zaczytany w Koranie chłopak. Poprosiłam, żeby go wpuściła, jeśli przyjdzie, nie za dużo z nim rozmawiała, a potem o nim zapomniała.

– A mieszkanie?

Nazeera zerknęła przez ramię na pozostałych, zajętych przygotowaniami.

– We wrześnie przez kilka dni mieszkała u mnie, była mi za to wdzięczna. Kochała się we mnie. Cieszyła się, że może mnie mieć tylko dla siebie. To wszystko było bardzo proste.

Wsunęła rękę do wewnętrznej kieszeni kurtki Lene i wyjęła jej portfel. Legitymację Lene przełożyła do kieszeni własnej kurtki.

– Będzie mi potrzebna – wyjaśniła. – Dzięki, skarbie.

Lene zamknęła oczy. Nazeera była dokładną kopią jej samej, a z jej legitymacją mogła wejść wszędzie. To jakiś koszmar.

– Nazeero, dlaczego to robisz? Jeśli to przerwiesz, możemy jeszcze coś wymyślić. Obiecuję. Mogę porozmawiać z pewnymi ludźmi. Nie musisz w

to brnąć.

Nazeera się uśmiechnęła.

– Lene, ty nie masz pojęcia, o czym mówisz – oznajmiła spokojnym, zwyczajnym głosem. – Zrozum... ja tego chcę. Oni mnie stworzyli do tego zadania. Uwierzyłam, Lene!

– W co? W śmierć niewinnych?

Tamta uciekła wzrokiem.

– Dokładnie. Bo niewinni umierają setkami tysięcy. Od Damaszku po Tripolis i Benghazi. Od ostatnich stu lat. I będą umierać przez następnych sto lat. Ja ich widziałam, ty nie. W tym świecie, w którym żyję z moimi przyjaciółmi, rodzicami i rodzeństwem, nigdy nie było niczego, co bym naprawdę kochała. Tu rządził *rozsądek*. To był teatr. Wypowiadanie kwestii. W pierwszym akcie przejście od białego punktu na deskach sceny do czerwonej linii. A w akcie trzecim od punktu zielonego do niebieskiego i w nim właśnie się znajdujemy, Lene. Przykro mi. Siedziałam w Jordanii ze swoimi prawdziwymi braćmi i siostrami, nawet kiedy byłam tu, w Kopenhadze. Jak ktoś taki jak ty mógłby to zrozumieć? To niemożliwe. To nie twoja historia, nie twoja wiara, nie twoja droga, którą *musisz* pójść! To nie jest historia twojego ludu. Więc nawet nie próbuj.

– A Irene? – spytała cicho Lene.

– Tak, kochałam ją. I ona troszczyła się o twoją córkę – dodała Nazeera po namyśle. – Wiedziałaś o tym?

Lene potwierdziła skinieniem.

– Mimo to oskarżałaś ją o najgorsze świństwa, których nigdy nie zrobiła – przypomniała jej.

– Tak. Teraz żałuję.

– To było idiotyczne, to, co się stało z Irene. Kim jest idiotą. Nie potrafi jasno myśleć, wpadł w obsesję na twoim punkcie. Zrobił z ciebie kogoś większego i groźniejszego, niż jesteś. Za to tak naprawdę ja powinnam cię przeprosić. Jakoś to rozwiążę. Nie myśl o tym. Zabił Irene, bo nie myślał trzeźwo.

– I ja mam o tym nie myśleć?

– Tak – odparła stanowczo. – Zapomnij o nim. On jest historią, chociaż jeszcze o tym nie wie.

Lene za plecami Nazeery popatrzyła na wyższego z mężczyzn. Był teraz ubrany w białą marynarkę ze złotymi guzikami i epoletami i wyglądał jak

oficer marynarki. Do piersi miał przypiętą zieloną identyfikację. Poza tym nosił szary krawat, czarne spodnie i wypucowane czarne buty.

Firma cateringowa, pomyślała z rozpaczą. Ta, która ma serwować uroczysty obiad Ehadowi Berezowsky'emu i uniwersyteckim elitom. Chłopak prezentował się nienagannie, a wspólnie z Nazeerą w tych przebraniach będą skutecznymi jak śmierć.

Obaj młodzi ludzie krzżeli się bez pośpiechu i w milczeniu. Cała trójka przypominała lunatyków, ich ruchy były pewne, a oni sami zupełnie zdystansowani od otoczenia. Nazeery na przykład praktycznie nie dało się sprowokować. Lene uświadomiła sobie, że oni tak naprawdę już uważają siebie za martwych, przynależących już do tamtego świata.

Na końcu pokoju na statywie stała kamera, a na parapecie leżało coś, co wyglądało na czarną flagę z haftowanymi złotą nicią napisami. Swoje pożegnalne pozdrowienia pewnie już nagrali i przesłali do kraju.

Wyższy z mężczyzn zdjął teraz marynarkę i jego kolega nałożył mu ciasno przylegającą kamizelkę zapinaną na rzepy. Była ciemnozielona i uszyta z gładkiego materiału przypominającego neopren, jak kombinezony do nurkowania. Pod względem wykonania była bez porównania lepszej jakości niż nieporęczne, ręcznie szyte kamizelki płócienne, których Lene tyle się naoglądała na seminariach po Tivoli. Z przodu i z tyłu kamizelki znajdowały się rzędy szerokich kieszeni, które teraz, jedną po drugiej wypełniano czarnymi torebkami i plastikowymi woreczkami przejrzystych kulek.

– W życiu nie przejdziecie z tym przez wykrywacze metalu i stanowiska z psami – rzuciła desperacko.

– Tu nie ma żadnego metalu, skarbie – odparł jej sobowtór, nie patrząc na nią. – Przystawiliśmy zegarki na dwudziesty pierwszy wiek. Podobnie jak wy. Zamiast kabli, baterii i stalowych kulek mamy światłowody i kulki ze szkła hartowanego.

Mężczyzna nałożył marynarkę na kamizelkę i zapiął guziki. Nikt się nie zorientuje, zanim nie będzie za późno, pomyślała Lene i poczuła, że robi jej się niedobrze.

Instynktownie cofnęła głowę, kiedy Nazeera pochyliła się nad nią i ujęła jej głowę obiema silnymi rękami. Jej zielone oczy uśmiechały się kilka centymetrów od jej oczu, zanim złożyła na jej ustach długi pocałunek. Czubkiem języka próbowała rozsunąć wargi Lene, ale jej się nie udało.

Wreszcie odsunęła chłodne dłonie od jej twarzy i przyjrzała jej się z dziwną miną.

– Nie bądź taka – powiedziała. – Mogłoby być ciekawie, nie sądzisz? Jesteśmy bliźniaczkami! Nie czujesz tego? Twoje wargi smakują przyjemnie, cipkę pewnie też masz dobrą. Moim zdaniem to mogłoby być naprawdę przyjemne doświadczenie.

Lene zamknęła oczy. Gdyby była w stanie, bez wahania zastrzeliłaby Nazeerę tu i teraz.

Chłopak w kamizelce podszedł do nich i zaczął owijać taśmą dolną część twarzy Lene. Drugi z terrorystów, ten o bladej twarzy i nieprzeniknionych oczach, ostrzegawczo podniósł palec.

Nazeera figlarnie przyłożyła sobie palec do ust i uśmiechnęła się do Lene.

– Twój kolega jest na schodach. Fotokomórki na podczerwień. Świetne rozwiązanie, prawda? Pomyśli, że jestem tobą. Mam nadzieję!

Lene z rozpaczą patrzyła, jak Nazeera znika za drzwiami. Dwaj młodzi mężczyźni wyłączyli skaner policyjny i bezgłośnie zniknęli w półmroku.

\* \* \*

Restauracja była zamknięta, w przejściu pod budynkiem nie było słycać żadnego szmeru, a brama była otwarta na oścież, co samo w sobie było podejrzane.

Michael spojrział na zegarek. Została minuta. Okna magazynu były zamalowane, więc w tej chwili mogło w nich stać dwunastu terrorystów i mu się przyglądać, a on i tak by tego nie wiedział.

– No, chodźże... Gdzie jesteś, kobieto – wymamrotał pod nosem.

O ile wiedział, Lene nie miała wrodzonego talentu ślusarskiego i nie miał pojęcia, jak miałyby się dostać do tego budynku. Pewnie by zapukała, a potem improwizowała.

Z pistoletem.

A może powinien tam wejść już teraz. Przyjść jej z odsieczą, ściągnąć na siebie uwagę. Adrenalina tłumiała ból nogi, co było pewną ulgą. Sekundnik dotarł do dwunastej, Michael przeżegnał się i stawiając długie kroki, przeszedł przez bramę i podwórze, nie patrząc do góry. Zatrzymał się przyklejony plecami do budynku i zajrzał w dół schodów do piwnicy. Było ich pięć, po czym wejście zamykały spróchniałe drzwi bez okien. Schody były omszałe i chyba dawno nikt na nich nie stawał. Michael zszedł na dół i przyłożył ucho do drzwi. Tam też cisza.



Zdjął z twarzy lepką pajęczynę i spojrzał na zamek. Drzwi wyglądały, jakby ich nie otwierano od czasów przedpotopowych. Oparł się o drzwi, boleśnie świadom, że sekundy mijały, a Lene mogła być w tarapatkach po ich drugiej stronie. Drzwi ani drgnęły. Wciągnął głęboko powietrze, przytrzymał się oburącz futryny i kopnął drzwi do środka. Nie otwarły się na oścież, po trzydziestu centymetrach w coś uderzyły.

Michael precyzyjnie w ciemność z wyciągniętym przed sobą pistoletem. Po drugiej stronie drzwi stały opony ustawione jedna na drugiej. Zaczekał, aż oczy przywykną do ciemności, wiedział, że tu pośpiech byłby złym doradcą. Światło było szare i słabe. Słyszał cichy strumień wody, ale nie potrafił zlokalizować źródła tego dźwięku. Pod ścianą stały drewniane skrzynki, a w nich zeschnięte puszczające pędy cebule. I to było wszystko. Przeszedł do kolejnego pomieszczenia. Tam również nic nie było.

Dotarł do schodów. Wyślizgane betonowe stopnie prowadziły na wyższe kondygnacje. Wszedł na następną z plecami stale przyklejonymi do ściany, a za każdym rogiem w ślad za wzrokiem podążała dłoń z pistoletem.

Drzwi na ulicę były uchylone, Michael pozwolił sobie na rzut oka przez szparę. Taksówka stała dokładnie tam, gdzie Michael z niej wysiadł. Młoda kobieta z wózkiem minęła szparę, nawet go nie zauważając. Michael klęknął i obejrzał z bliska podłogę. Nic na niej nie było. Żadnych śladów wleczenia czy plam krwi.

Odciągnął zapadkę i zamknął drzwi z cichym kliknięciem. Potem znów je otworzył i znów zamknął. Jeśli jego nowy przyjaciel Gurpal wywiąże się z umowy, to będzie mógł otworzyć drzwi, nawet jeśli ten, kto ewentualnie stoi na czatach, będzie myślał, że są zamknięte. Ten prosty trik już raz się dziś sprawdził.

Powietrze na schodach było nieruchome. Drobne włoski na wierzchach dłoni Michaela również się nie poruszały. Szybko przeszedł przez wysokie opustoszałe pomieszczenia na parterze. Nie znalazł w nich niczego ciekawego. Pod oknem leżała pusta blaszka po wypalonej świeczce, która służyła za popielniczkę. Michael wyjął pet i go powąchał. Był w miarę świeży i ze słabym odciskiem czerwonej szminki na filtrze.

W jednym miejscu zdrapano z szyby cienką warstwę białej farby i przez to niewielkie okienko doskonale widać było całe podwórko. Gdy Michael opuszczał parter, jego telefon wydał pojedynczy sygnał, który zabrzmiał tak, jakby się znajdował w środku dzwonu katedralnego. Zaklął i natych-

miast się wycofał. Czekał na odgłos odbezpieczanych kałasznikowów, ciężkich buciorów i podnieconych okrzyków, ale żadnej reakcji nie było.

Wejście na piętro było czarną dziurą w brudnej otynkowanej ścianie. Michael zatrzymał się w pierwszym pomieszczeniu. Teraz włoski na dłoniach drgały w strumieniu powietrza, którego żadne inne zmysły nie potrafiły wyłapać. Ruszył w prawo. Panował tu taki sam zamglony półmrok jak w pozostałej części budynku.

Za pierwszym pustym pomieszczeniem wydawało mu się, że słyszy ciche elektryczne bzyczenie. Zamknął oczy i cały zamienił się w słuch.

Wyczuwał coś żywego w pobliżu. Po cichu przeszedł następnymi drzwiami, czubkami palców dotykając ściany, którą ledwie widział. Wyszedł zza rogu i zobaczył Lene. Jej sylwetka odznaczała się słabo na tle szarego światła zza wysokich zamalowanych okien. Stała nieruchomo, lewym ramieniem opierała się o ścianę, a kiedy podszedł bliżej, rozpoznał głębokie czerwone refleksy na jej włosach. Stała skupiona, z lufą pistoletu opartą o czoło. Michael zatrzymał się parę metrów od niej, ale bał się odezwać.

Na czym tak intensywnie skupiała uwagę? Co się kryło za tym drugim rogiem?

Michael sądził, że poruszał się bezszelestnie, ale ciało Lene nagle zeszywniało i wyciągnęła do tyłu rękę w powolnym geście, który mówił: „Czekaj! Nie ruszaj się!”.

Stała bokiem, ale zwróciła do niego skąpaną w cieniu twarz i dopiero teraz ręką przywołała go do siebie, za to palec drugiej ręki ostrzegawczo przytknęła do warg.

Michael zbliżał się do niej, sunąc wzdłuż ściany. Jeszcze pół metra i zobaczy to samo co ona. Znajdował się teraz tuż obok niej. Widział jej kształtne ucho, kiedy się do niego odwróciła. Na lewo od nich ciągnęła się długa wysoka sala. Wyciągnął głowę, żeby tam zajrzeć.

Kilka metrów od nich coś upadło z łoskotem i Michael prawie podskoczył. Zrobił duży krok w przód i wtedy pistolet Lene zaczął kreślić krótki, energiczny łuk w stronę jego głowy. Szok rozbłysnął równocześnie z pewnością, że coś było bardzo, bardzo nie tak.

I na tym się skończyło, bo rękojeść pistoletu głucho uderzyła go w skroń. Obraz się przechylił, kolana się pod nim ugięły. Było tak, jakby ktoś rozwalił mu czaszkę kulą do burzenia domów.

Kiedy kilka sekund później nieznacznie podniósł powieki, okazało się, że klęczy na czworaka i wpatruje się w swój pistolet, leżący kilka metrów da-

lej. Krew rytmicznie kapiała na jego dłoń. Podniósł wzrok i popatrzył na długie, rozstawione nogi Lene.

Gdzieś tam, na wysokościach wyczuwał szeroki uśmiech. Pokręcił głową jak ranne zwierzę i spróbował podpełznąć do pistoletu, kiedy jej but cofnął się i wolno, przerażająco wolno sunął przez powietrze. Jak wykolejony pociąg widmo z nocnego koszmaru. I znów wszystko zmieniło się w nicość i ciemność.

\* \* \*

Michael gwałtownie pochylił się w przód i zwymiotował. Młody mężczyzna z baby kałasznikowem i fryzurą na gwiazdę rocka w ostatniej chwili odsunął się w bok i uratował swoje skarpetki i buty.

Ciało Michaela w niekontrolowanych torsjach oczyszczało się w reakcji na wstrząs mózgu. Zamknął oczy, ale świat nie przestawał się poszerzać i kurczyć. Czuł się jak na bungee, tylko w poziomie. Sprawnie wykręcono mu ramiona za oparcie krzesła, sklejono taśmą i przymocowano do krzesła. Potem przyszła kolej na uda. Kiedy mieli mu przywiązać kostki do nóg krzesła, taśma się skończyła, więc stopy zostawili wolne.

Ślina kapiała mu na pierś i nienawidził się za swoją słabość.

Potem otworzył oczy i strzepał pot z włosów. Kiedy potrząsał głową, jego ciało zaprotestowało i poczuł, że znów zbiera mu się na wymioty, ale tym razem udało mu się powstrzymać.

Klon stał dwa metry od niego i przyglądał mu się beznamyślnie. Zerknął na Lene na krześle obok, a potem znów na kobietę przed sobą. Podobieństwo przyprawiało o ciarki. Nie był w stanie wskazać między nimi ani jednej różnicy. Przy kamerze błady młody mężczyzna ustawiał właśnie składany stół. Rozwinął czarny baner i powiesił na hakach w ścianie. Potem zajął się ustawianiem kamery. I cały czas spoglądał na zegarek. Wreszcie na stole położył coś, co wyglądało jak materiałowy worek z otworami, a obok niego kilka noży rzeźnickich, tasak i kabłąkową piłę do mięsa ze stali nierdzewnej. Rozkładał to wszystko uroczyście i z pietyzmem. Jakby przed meczem szykował dla przyjaciół czipsy i piwo i chciał, aby wszystko ładnie się prezentowało.

Kobieta przyglądała się Michaelowi z lekko przechyloną głową, jakby czegoś szukała w jego twarzy. Ale nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobi, postanowił, że niczego w niej nie znajdzie. Wytrzymał

jej wzrok bez mrugnięcia. Nagle minęły mu mdłości i w uszach czuł tylko nowy wyrzut adrenaliny. Nazeera Gamil patrzyła na niego, dopóki przy stojny młody mężczyzna w stroju kelnera nie szepnął jej czegoś na ucho. Wskazał na swój zegarek. Milcząco skinęła głową i podeszła do materaca z lubieżnie czerwoną narzutą. Tam młody mężczyzna pomógł jej założyć opiętą szarą kamizelkę z neoprenu. Zapiął rzepy w dole pleców i na barkach, powcisnął przezroczyste woreczki ze szklanymi kulkami do kieszeni z przodu i z tyłu kamizelki.

Michael pomyślał, że takie kulki z hartowanego szkła były najgorszym koszmarem każdej jednostki antyterrorystycznej. Z małej odległości były śmiertelnie groźne, nie mniej niż kulki stalowe czy ołowiane.

Nie widział żadnych kabli ani baterii, więc pewnie użyli światłowodów, żeby połączyć komory z ładunkami. W jego kręgach mówiono o możliwym wykorzystaniu takich kamizelek, ale wszyscy sądzili, że to pieśń przyszłości.

Tą swoją nieskończenie irytującą częścią świadomości, która zawsze pozostawała brutalnie trzeźwa i neutralna nawet teraz, gdy jego całą resztę dzieliło pięć minut od rytualnej dekapitacji, a dziesięć minut od zamieszczenia nagrania na YouTube, zastanawiał się, jaki mogli wybrać materiał wybuchowy. Pewnie też coś nowego. Jakiś specjalistyczny materiał przeznaczony wyłącznie do szczególnego rodzaju prac wydobywczych. Zapewne bezwonny i rozprzestrzeniający się w tempie czterech tysięcy metrów na sekundę. Policyjne labradory go nie rozpoznają i nikt przed nim nie ucieknie.

Nawet Usain Bolt.

Kobieta założyła na kamizelkę replikę starej skórzanej kurtki Lene i zapięła zamek.

Teraz przynajmniej wiedzieli, że to nie PET przetrząsnęło mieszkanie Lene na Frederiksbergu. Nazeera Gamil musiała tam zajrzeć, żeby zapoznać się z jej skromną garderobą. Michael w każdym razie nigdy nie widział, żeby Lene miała na sobie coś innego niż dżinsy, koszulki, białą męską koszulę i jedną z dwóch skórzanych kurtek. Zimą czasem nosiła granatową budrysówkę. I to tyle. Z obuwia posiadała hiszpańskie skórzane buty za kostkę na płaskim obcasie, które obie panie wybrały tego dnia, oraz tenisówki Freda Perry'ego. To wszystko.

– Kim ty właściwie jesteś? – spytała Nazeera.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Nie było to łatwe, ale się udało.

Ona z kolei wyglądała, jakby miała ochotę go uderzyć. Ostatecznie zerknęła przez ramię sprawdzić, jakie postępy w przygotowaniach poczynił jej arabski kolega. Na stole leżała teraz para czarnych skórzanych rękawiczek. Obok worka z otworami na oczy... i akcesoriów masarskich.

– Jerozolima?

– Blisko. Fåborg.

Nie uwierzyła.

– Takich jak ty nie produkują w Fåborgu.

Wzruszył ramionami.

– Macie niewiele czasu – przypomniał jej i pomyślał o małym zakurzonej domu w Pendżabie, z dwiema kurami i płaskim dachem, na którym zbierano deszczówkę, gdy znad świętego dorzecza wznosił się monsun i przerzucał wodne masy do himalajskich odnóg. Oraz o trójce dzieci o białych zębach: chłopcach Balhaanie i Iskanderze oraz dziewczynce Kashmiri, słońcu, które oświecili starość Gurpala.

– Pozdrów ode mnie Ehuda Berezowsky'ego – dodał.

W pokoju zapadła cisza. Nawet aspirujący rzeźnik przy stole przerwał pracę i podniósł głowę. Patrzył przed siebie rozkojarzony.

Nazeera Gamil dotknęła swojego serca i czoła i skłoniła się lekko, składając dłonie.

– *As salaam alaikum* – wymamrotała.

– *Ma assalam, fi aman Allah* – odpowiedział odruchowo i natychmiast pożałował.

Nazeera i ten w stroju kelnera zamienili spokojnie kilka słów z katem i zniknęli.

„Piękna z nich para”, pomyślał Michael.

Z oddali usłyszał, jak zatrzasną się drzwi na zewnątrz, i modlił się, żeby nie sprawdzali, czy zamek ponownie się za nimi zatrzasnął.

Spojrzał na Lene. Jej wzrok był nieobecny i smutny. Zawsze trzymała się prosto i była stale gotowa do walki, a teraz siedziała na krześle skulona. Wyglądała na zapatrzoną w głąb siebie, jakby całkowicie skupiała się na odtwarzaniu w pamięci najważniejszych obrazów ze swojego życia. Pewnie tych, w których była z córką, Josefine. Dzień po dniu. Rok po roku.

Ją zabrali pierwszą. Młody mężczyzna rozciął i zerwał taśmę wokół jej twarzy. Michael pomyślał, że zależało im, aby można ją było rozpoznać na nagraniach. Potem chłopak odchylił krzesło i pociągnął je po gładkiej po-

malowanej podłodze. Lene siedziała teraz przy stole i patrzyła na wiszący na ścianie baner.

Teraz chłopak wrócił do Michaela i odsunął do tyłu również jego krzesło. Coś pękło z trzaskiem, ale mebel wytrzymał transport.

Siedział przy stole pół metra od Lene, która nadal patrzyła w podłogę spod przymkniętych powiek. Chłopak stał chwilę między nimi, upewniał się, czy wszystko jest jak należy. Potem obszedł stół i przysunął oko do wizjera kamery. Mała lampka na kamerze zaczęła migać na zielono. Chłopak odwrócił nieznacznie urządzenie i wyregulował funkcję zbliżenia. Na koniec sprawdził połączenie kamery z leżącym u swoich stóp komputerem. Wyglądał na zadowolonego.

Zabrał ze stołu kaptur i nałożył sobie na głowę. Dopasował otwory na oczy. Potem czoło przewiązał ciasno czarną opaską z białym napisem i założył skórzane rękawiczki.

Nie starał się sadystycznie wydłużać procedur i nie obrzucał ich klątwami. Tak naprawdę ledwie ich dostrzegał. Starał się jedynie nie pominąć żadnego szczegółu i to było bardziej przerażające niż wszystko inne, co mógłby zrobić. Wrócił do kamery i popatrzył na nich przez wizjer. Zapaliła się lampka.

– Lene? ...Lene?! Lene, do diabła, spójrz na mnie!

Wolno podniosła głowę i skierowała ku niemu niezgłębione spojrzenie.

– Co?

– Spójrz na mnie.

– Nie mam czasu, Michael. Naprawdę nie mam.

– Zrób to dla mnie.

Zdążył zrobić trzy oddechy, zanim ponownie się odezwała:

– Niech ci będzie. Dla ciebie.

Błyszczące ciemne oczy w kapturze uważnie śledziły ich wymianę. Ostatecznie chłopak wzruszył ramionami i wziął do ręki długi nóż do mięsa. Spojrzał na niego krytycznie, odłożył i wybrał tasak. Ważył go w ręce. Lene nie odrywała oczu od Michaela, ale wciągnęła głęboko powietrze i zatrzymała je w płucach.

Chłopak zdążył się do nich zbliżyć na kilka kroków, kiedy budynkiem wstrząsnęły trzy donośne, metaliczne grzmoty. Michael z wszystkich sił próbował nie reagować na hałas. Twarz Lene również ani drgnęła. Możliwe, że nic nie usłyszała.

Chłopak usłyszał. Zastygł w pół kroku. I zaraz znów rozległ się ten dźwięk. Michael pamiętał, że drzwi wejściowe są ogromną, białą stalową płytą. Doskonale się nadawały do robienia hałasu.

Spod kaptura rozległa się głośna seria arabskich przekleństw.

Zakapturzony bojownik wyłączył kamerę, zdjął rękawiczki, opaskę i kaptur i z namaszczeniem odłożył wszystko na stół. Hałas się nasilił, jakby ktoś walił w drzwi średniowiecznym taranem.

Chłopak podszedł do okna. Widocznie nie wypatrzył na ulicy żadnego oczywistego zagrożenia w postaci policyjnej barykady, opancerzonych wozów, ubranych na czarno komandosów z celownikami laserowymi i maskami gazowymi, żadnych psów ani snajperów na dachach, bo między jego krzaczastymi brwiami pojawiła się głęboka, zatroskana zmarszczka. Wymamrotał coś niezrozumiale, odwrócił się i skierował na nich płonące oczy. Michael nie patrzył na niego, ale rozumiał jego dylemat. Czy powinien się pośpieszyć, włączyć kamerę, obciąć im głowy i raz-dwa odprawić rytuał, który potwierdzi wszechmoc Ebrahima Safara Khana, czy raczej odnaleźć źródło hałasu i je zlikwidować?

Życie jego i Lene wisiało na włosku.

Michael z trudem powstrzymał westchnienie ulgi, gdy chłopak wybrał to drugie. Złapał jeden z krótkich kałasznikowów i oddalił się w kierunku schodów.

Michaelowi prawie zrobiło się go żal.

\* \* \*

Postanowił jednak nie tracić czasu na współczucie terrorystom, którzy zamierzali odciąć mu głowę. Zamiast tego wstał i niczym żółw ze źle dopasowaną skorupą na plecach podreptał kilka metrów pod ostrzałem zdumionych oczu Lene. Rzucił się na ścianę, uderzając w nią najpierw krzesłem, które się połamało, a on sam upadł na plecy. Wyplątał związane ręce ze szczątków mebla. Wstał, pokuśtykał do stołu i wziął do ręki jeden z noży.

Na schodach panowała absolutna cisza. Michael uklęknął i na oślep, związanymi na plecach rękami, przeciął taśmę, która krępowała mu uda. Potem odwrócił nóż ostrzem do góry i rozciął taśmę wokół swoich przedramion.

Nie zareagował, gdy Lene coś do niego zawołała. Szybko przyskoczył do okna, z parapetu zabrał swój pistolet odłożony tam przez Nazeerę i pognał

w stronę schodów. Podczas biegu wróciło mu krążenie i czucie w nogach. Biegł swobodniej i pewniej.

Z samobójczą brawurą zbiegał po trzy stopnie na raz i w każdej sekundzie spodziewał się usłyszeć charczącą serię z kałasznikowa swojego kata.

Gdy dotarł na ostatnie półpiętro przed parterem, skręcił ostro za rogiem, trzymając pistolet na wysokości oczu, po czym zatrzymał się gwałtownie i opuścił broń.

W drzwiach stał sikh i patrzył na niego spokojnie z wysokości swojej postury. Śnieżnobiały turban przekrzywił się, a na ramieniu leżał metrowej długości spleciony pukiel włosów. Miał rozcięty policzek, krew kapała mu na skórzaną kurtkę. W jednej ręce trzymał obciętego kałasznikowa i w pełni kontrolował sytuację.

Michael popatrzył na chłopaka, który leżał pod ścianą zwinięty w kłębek. Wyglądał na martwego, ale nagle jęknął głośno i zamrugał. Michael wsunął sobie pistolet za pasek na plecach.

– Przyszedeś, wielki Gurpalu.

– Jak widzisz.

– A chłopak...

Wysoki, szczupły eksierżant wzruszył ramionami.

– ...jak to chłopak, *sahib*. Nie pomyślał, że w metalowe drzwi można walić kamieniem również od wewnątrz.

Michael uśmiechnął się i dotknął swojego policzka.

– Krwawisz – powiedział.

– Tak? – Mężczyzna popatrzył na wilgotne czubki własnych palców. – Zadrapanie. Chcesz, żebym go dla ciebie zabił? Chętnie to zrobię. Al-Ka-ida?

– W pewnym sensie. Ale nie, dziękuję – postanowił Michael. Po czym schylił się, złapał chłopaka za pasek od spodni i jednym ruchem przerzucił go sobie przez ramię. Był lekki jak piórko.

– Już mam u ciebie dług – wyznał Michael. – Ale możliwe, że mógłbyś dla nas zrobić coś jeszcze. Oczywiście za stosownym wynagrodzeniem. Potrafisz prowadzić, ale tak naprawdę?

Pytanie spotkało się z zimnym, ledwie dostrzegalnym skinieniem.

– Gurpal, czy możesz nas podwieźć? Bardzo, bardzo szybko. Szybciej niż wiatr?

– Być może... Wspomniałeś o wynagrodzeniu, *sahib*. Jak poprzednio?

Michael popatrzył na niego.



– Nie chcę *kupić* twojego samochodu razem z garażem, do cholery. Chcę go tylko pożyczyć na godzinę. Dam ci jedną trzecią tego co poprzednio. I to tylko dlatego, że jestem bezgranicznie szczodry.

– Mogę stracić prawo jazdy... – zaczął mężczyzna, patrząc w ziemię i zwieszając kąciki warg. Targowanie się miał w genach. – Co wtedy będzie z moją rodziną?

Michael miał ochotę mu przypomnieć, że za czek, który już mu wypisał, on i jego rodzina będą w Pendżabie żyli jak książęta przez następnych sto lat. Zamiast tego odburknął:

– Ukradłbyś miskę ślepemu żebrakowi. Połowa?

Kolejne krótkie skinienie.

– Poniosę karabin, chociaż jest ciężki, *sahib*. Wskaż drogę.

\* \* \*

Lene patrzyła na niego z wściekłością, kiedy wrócił i zrzucił chłopaka na materac.

– Zwiąż go. Bardzo, ale to bardzo mocno – poprosił Gurpala, zanim zajął się uwalnianiem Lene. Ostatnie fragmenty taśmy z kostek i nadgarstków oderwała sama, po czym wstała i prawie się przewróciła.

– Cholera, odczekaj chwilę – skarcił ją. – Krążenie musi ci wrócić.

Pokiwała głową i masowała przedramiona.

Michael poszedł po ich rzeczy, sprawdził magazynek w broni służbowej Lene i schował ją do jej kabury. Spojrzał na zegarek. Za dwadzieścia minut kelnerzy z firmy cateringowej zaczną wnosić półmiski na salę bankietową uniwersytetu, a gdy wkroczy do niej długowłosa terrorysta z blizną, wszyscy zginą. Bez przeszkód przejdzie przez wykrywacz metalu, a psy policyjne nawet na niego nie spojrzą.

Za jego plecami Gurpal skończył krępować drugiego z zamachowców. Związał mu z tyłu stopy razem z dłońmi i na wszelki wypadek powłókł go po podłodze. Stopy przywiązał do filara na środku pomieszczenia.

Strzepał kurz z dłoni i splunął na chłopaka, który zdążył odzyskać przytomność.

Lene kucnęła na próbę, a potem wstała i zrobiła kilka kroków. Poruszała się prawie normalnie.

– Michael, nie mamy więcej czasu – powiedziała.

W odpowiedzi popchnął ją przed sobą w kierunku drzwi.

- Gurpal, idziemy! – zawołał.
  - A co z nim? – spytała Lene. – Zostawimy go tu?
  - Jeśli będzie naprawdę źle, to może przyda nam się do negocjacji.
  - Zwariowałaś? Przecież oni go mają w dupie! Sami siebie uważają za zmarłych. Więc tak jakby nie mają nic do stracenia... rozumiesz?
- Wyminął ją i zaczął zbiegać po schodach. Lene prawie dorównywała mu kroku.
- On wie, gdzie jest Safar Khan – rzucił jej przez ramię. – A to akurat ma dla nich znaczenie.

\* \* \*

Choć na ulicach prawie nie było ruchu, Gurpal miał okazję pokazać, że w istocie potrafi prowadzić samochód. Michael natomiast miał wrażenie, że z każdą sekundą starzeje się o rok. Uważał, że on sam jeździ świetnie, a swój naturalny talent wyszlifował na kursach jazdy ofensywnej urządzanych na zamkniętych lotniskach południowej Anglii. Jego przyjaciel sikh był jednak geniuszem, którego miejsce było w Formule 1. Lene ani na moment nie otworzyła oczu.

- O ja pierdołę – wymamrotał i spojrzał na nią.
  - Co? – odparła, nie podnosząc powiek.
  - Mail z Londynu – odparł. – Zanim Safar Khan został ojcem chrzestnym terrorystów, był profesorem w London School of Economics.
  - Przecież już to wiedzieliśmy!
  - Tak, ale w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim stracił żonę. Poleciała do Libanu odwiedzić swoich rodziców. Lene, ona zginęła siedemnastego września.
  - Boże. Myślisz, że...
- Ze smutkiem pokiwał głową.
- Tak. Jej rodzina mieszkała wtedy w obozie dla uchodźców w Shatili. Bóg raczy wiedzieć, jak udało jej się tam przedostać oraz dlaczego. Wiadomo, że falangiści ścięli ją razem ze starymi rodzicami i młodszym bratem.
  - Niekończący się łańcuch – powiedziała cicho.
  - Co mówisz?
  - Taki jeden amerykański ekspert od terroryzmu miał w Komendzie Głównej wykład tamtego dnia, kiedy Ain... Nieważne.

– Ile lat ma Nazeera? – spytał Michael.

– Nie wiem. Może z trzydzieści dwa?

– Prawie – poprawił ją. – Urodziła się czternastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego w szpitalu Św. Marii w Londynie.

Wrzasnął bezgłośnie, kiedy Gurpal w absolutnie ostatnim ułamku sekundy wjechał ciężkim mercedesem na ścieżkę rowerową na Sølvgade, żeby nie uderzyć w nadjeżdżający autobus miejski, który z kolei wymijał roboty drogowe.

Michael odwrócił się i spojrzał w twarz przerażonego kierowcy autobusu. Jego usta były czarną dziurą. Mężczyzna wcisnął hamulce, cały autobus się zachybił, a Michael prawie słyszał, jak w środku niczym suche gałązki łamią się kości staruszków.

Potem rzucił okiem na twarz ich kierowcy, która była jak wyciosana w ciemnej gładkiej skale.

– Dobra, Michael. I co z tego?

– Co...? – Usta tamtego kierowcy autobusu były tak wielkie, że mogłyby do nich wpłynąć kontenerowiec. – Miała na imię Nazeera. Niezbyt popularne imię dla dziewczyny.

– Tak, wiem, jak ona ma na imię.

– Nie, kurwa! Żona! Żona Safara Khana!

– Więc twoim zdaniem...

– Dokładnie tak. Khan i Gamil pracowali razem na tym samym wydziale. Ich rodziny mieszkały o trzy numery od siebie od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego aż do końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy fundamentalizm islamski rozlał się na cały świat. Wtedy Safar Khan sprzedał dom, wyjechał ze świętą misją do Jordanu i zwariował. Z kolei jego sąsiad i kolega dał swojej córce imię po zamordowanej żonie Khana, a ten go uczynił swoją bronią, kretem w państwie koalicji europejskiej. To mogło być dowolne państwo, ale padło na Danię. Dziewczyna podczas swoich podróży do Ammanu była szkolona i indoktrynowana.

Lene przetwarzała te informacje, a Michael gorączkowo przewijał długiego maila od Sandy'ego.

– Ale skoro niemal od urodzenia należała do organizacji, a Safara Khana znała całe życie, to czy musiała jeszcze zabijać Ain? – spytała.

– Nie dla Khana, a dla Thomsena! Khan wiedział, że może jej ufać, ale Thomsen mógł zażądać, żeby udowodniła swoją wartość według kryteriów wymienionych w podręczniku PET o terrorystach z Bliskiego Wschodu.

Thomsen... wszyscy... oczekiwali zapewne, że ona pokaże, że się nadaje. I to dla nich zabiła Ain, nie dla Khana. Tamten miał to gdzieś, on wiedział, że Nazeera jest *halal*, a przy tym stanowi nieodpartą pokusę dla każdej służby wywiadowczej. Tak się złożyło, że trafiła do duńskiej. I to Khan, a nie Thomsen ją tam wprowadził.

Po jeszcze kilku bliskich spotkaniach ze śmiercią dotarli do Krystalgade, gdzie Gurpal zwolnił, a Lene otworzyła oczy.

– Michael! Dzwony biją, jest południe!

Gurpal zatrzymał samochód przy krawężniku na Nørregade. Droga była odgrodzona. Przy barierkach stali nieliczni gapie, niemający widocznie lepszego zajęcia, choć pewnie większość z nich nie wiedziała, dlaczego odgrodzono ulicę.

Taksówkarz odwrócił się do Michaela.

– *Sahib?*

Michael patrzył na katedrę jakieś sto metrów przed nimi. Jasna, wypia-skowana fasada wyglądała na ponadczasową i nieprzemijalną. Za jej wieżą można było dostrzec trzy ostre szczyty po obu stronach głównego wejścia do budynku uniwersytetu. Wiele godzin przesiedział na tamtych schodach, paląc fajki z kolegami ze studiów i rozmawiając o dziewczynach, przyszłości i kolokwiach.

Za wysokimi połączonymi barierkami w niewielkich grupkach stali ubrani na czarno funkcjonariusze sił szybkiego reagowania. Białe tymczasowe pawilony należały pewnie do firmy cateringowej, wszędzie kręciły się psy przeszkolone do wykrywania materiałów wybuchowych, ale nigdzie nie było widać długowłosych młodych mężczyzn w białych marynarkach.

– Michael, tu nie możemy zostać – powiedziała Lene i otworzyła drzwi. – Spróbujmy od strony Skindergade.

Biegając, wybrała numer w telefonie.

Ten, do kogo dzwoniła, najwyraźniej odebrał, bo Lene zatrzymała się gwałtownie i złapała Michaela za ramię, zatrzymując i jego.

– Charlotte? Dzięki Bogu! Charlotte, musisz mnie wysłuchać. To sprawa życia lub śmierci. Ja nie żartuję!

Głos jej szefowej brzmiał, jakby mówiła z wnętrza komory do nurkowania.

– Lene! Rany boskie, nie mam teraz czasu. Rozłącz się, natychmiast! W tej chwili wyłączam telefon!

– CZEKAJ!!! Charlotte, oni są w środku! Młody mężczyzna w uniformie kelnera. Długie czarne gładkie włosy. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu. Biała blizna na lewej skroni. Ma autentyczny identyfikator firmy cateringowej. Jest ubrany w jakąś nowoczesną, zaawansowaną kamizelkę wybuchową. Zabije was wszystkich, słyszysz? Jesteś tam teraz?

– ...rodku... wiem wszystko...

Lene schyliła się, osłoniła dłońmi telefon i skupiona zamknęła oczy. Michael ciągnął ją za sobą niczym opierającą się nastolatkę. Otworzyła oczy i zamachnęła się na niego, ale nie trafiła.

Za to głos Charlotte znów stał się wyraźny.

– Wiem, Lene! Od początku to wiedzieliśmy. Patrzę na niego w tej chwili. To Samir el-Shennawi z Homs w Syrii, dwadzieścia pięć lat. Wiem o nim wszystko! Wszyscy wiemy! Potem z tobą porozmawiam, okej? Rozłączam się w tej chwili. W ogóle nie wolno nam tu korzystać z telefonów.

Lene wyprostowała się i popatrzyła na aparat w swojej ręce, jakby właśnie ugryzł ją w ucho.

– Ale Berezowsky? Przecież go zabiją!

– Był tu wczoraj. O północy odebrał nagrodę i uścisnął rękę następcy tronu. A teraz jest z powrotem w Tel Awiwie. Rozmawiałam z nim pół godziny temu. Jest szczęśliwy, dumny i wdzięczny. I ma się znakomicie.

– Co?!

– Później, dobrze?

Lene tupnęła ze złością, a Michael patrzył na nią, jakby miał ochotę dać jej klapsa.

– Ty nie rozumiesz – Lene spróbowała raz jeszcze. – On ma na sobie materiał wybuchowy ze światłowodami i szklanymi kulkami. Psy go nie wyczują i może przejść przez wykrywacze.

– ...wiem. Bomba jest rozbrojona. Wszystko jest w porządku. Naprawdę!

– Rozbrojona? Przez kogo?

Lecz Charlotte się rozłączyła i wyłączyła telefon, bo gdy Lene wcisnęła powtórne wybieranie, włączyła się poczta.

– Co powiedziała? – chciał wiedzieć Michael.

Lene zamrugła i zmrużyła oczy, bo słońce niespodziewanie przebiło się przez chmury.

– Że panują nad sytuacją – wymamrotała skołowana. – Że już o nim wiedzą. To Samir El... El-Shennawi, ma dwadzieścia pięć lat i jest z Homs w Syrii. A Berezowsky'ego tam w ogóle nie ma. Michael, jego tam nie ma! Nagrodę dostał wczoraj wieczorem i od razu wrócił do siebie. Charlotte o nowoczesnej kamizelce też wiedziała i powiedziała, że jest niegroźna. Rozbrojona.

Fiolstræde od strony katedry była odgradzona. Tutaj również kręcili się policjanci z psami. Przy barierkach zebrało się trochę ludzi, ale było spokojnie. Lene pomyślała, że większość z nich chciała po prostu dotrzeć do stacji Nørreport, i teraz zastanawiała się nad alternatywnym dojściem. Michael pociągnął ją za sobą do ściany domu. Widzieli stąd wschodnią część starego budynku uniwersytetu ze schodami, popiersiami i dużymi miedzianymi zniczami po obu stronach wejścia, które zapalano przy specjalnych okazjach. Immatrykulacjach i tego typu uroczystościach.

Wskazał ręką i Lene dopiero teraz dostrzegła białe wozy dostawcze szwajcarskiej firmy cateringowej między pawilonami i okratowanymi policyjnymi transporterami. Wysokie gotyckie okna w budynku były ciemne.

Michael spytał ją o coś, ale Lene czuła, że nogi się pod nią uginają.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– *Kto* rozbroił bombę?

– Nie powiedziała.

– Obie bomby? Tę Nazeery też?

Lene pokręciła głową.

– Nie wiem.

Popatrzyła na Michaela i w tym momencie oboje pomyśleli to samo.

– Jeśli oni myślą, że to Nazeera rozbroiła bombę, to chyba czeka ich przejebanie wielka...

Ulica w jednej chwili przesunęła się w bok. Fala, która się zaczęła przy dawnych zabudowaniach uniwersytetu, szybko, pulsacyjnymi kręgami rozchodziła się we wszystkich kierunkach, jak tafla wody, w którą rzucono kamień. Michael prawie upadł. Lene dosłownie widziała, jak płyty chodnikowe uniosły się i z powrotem opadły na miejsce. Jakby głęboko pod ziemią zbudziło się ogromne zwierzę. Dopiero potem przyszedł dźwięk. Stłumiony głuchy huk na granicy najniższego słyszalnego rejestru.

Ludzie wokoło unieśli się, jakby byli w morzu, i zaraz ponownie wrócili na poziom chodnika. Starsza kobieta usiadła pod murem i rozglądała się bezradnie, a jakieś dziecko w przyczepce rowerowej zaczęło przeraźliwie krzyczeć. Zdawało się, że mury uniwersytetu na krótką chwilę rozszerzyły się i skurczyły ponownie, a popiersie Nielsa Bohra spadło z piedestału. Jego poważna, ale sympatyczna głowa potoczyła się po bruku i zatrzymała obok policyjnego psa, który przyklęknął z wrażenia. W końcu wstał, choć tylne łapy nadal mu drżały, i obsikał brązową głowę, jednocześnie ją obwąchując.

– ...niespodzianka – dokończył zdanie Michael.

Lene pociągnęła go za rękę w stronę barierek. Funkcjonariusze zwykłych oddziałów policji oraz ci z prewencji biegali na oślep po placu między katedrą a uniwersytetem. Barierek nikt już nie pilnował.

– Michael, musimy się dostać do środka!

Ale on nie ruszał się z miejsca.

– Coś jest nie tak – zauważył.

– W jakim sensie nie tak?! Oczywiście, że jest nie tak! Człowieku, właśnie wysadzili budynek w powietrze, z wszystkimi w środku!

Michael wskazał na ciemne okna w fasadzie.

– To dlaczego nie wywaliło okien? Wszystkie szyby są całe. To niemożliwe.

– I tak musimy się tam dostać. Chodź!

\* \* \*

– Samir, pamiętasz tamtą cykadę nad morzem? – spytała, kiedy siedzieli w wynajętym samochodzie. W formularzu wpisała własne nazwisko, i tak już go nie potrzebowała.

– Oczywiście – potwierdził cicho. – I bakterie. Turystę, który nie tonął. Unosił się na wodzie i czytał gazetę.

– Miałeś wtedy ochotę mnie pocałować – stwierdziła. – Kochać się ze mną.

– Zawsze miałem.

Łatwo mu przyszło to wyznanie. To i tak nie miało już znaczenia.

– Tam, w środku, musisz uważać na swoją twarz – przypomniała mu. – To znaczy musisz kontrolować jej wyraz.

– Oczywiście.

Popatrzyli na barierki przy Vor Frue Kirke.

– Niech cię Bóg prowadzi, Samirze – powiedziała i objęła go nieporadnie.

– I ciebie, Nazeero – odparł.

– Samirze, jesteś wybrańcem naszego ojca Safara Khana.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Mylisz się, siostrze. Ja być może jestem jego mieczem, ale ty na zawsze będziesz jego klejnotem. On cię kocha. Jesteś jego córką.

Otworzył drzwi.

– Powinieneś był to zrobić – powiedziała do swoich dłoni, trzymających kierownicę.

– Co?

– Pocałować mnie. Kochać się ze mną.

– Zabrakło mi odwagi.

\* \* \*

Nie obejrzał się za siebie. Szedł wyprostowany, ale nie sztywny. Uśmiechnął się do policjantki przy barierkach, pokazał identyfikator i rozłożył ręce, kiedy przesuwiała ręczny wykrywacz metalu o kilka centymetrów od jego ciała. Zaczął się tłumaczyć, że jest już spóźniony, ale kobieta już pokiwała głową i pozwoliła mu przejść.

Przeszedł kilka metrów i przykucnął, jakby wiązał sznurówkę. Dyskretnie spojrzał na policjantkę. Nie patrzyła na niego, ale stała zwrócona w jego kierunku i mówiła coś przez krótkofalówkę.

Teraz zaczęło być trudno. Był wycieńczony z głodu. Na plecach, między łopatkami koszula kleiła mu się do skóry. Dziewczyna przesunęła po nim



obojętnym wzrokiem. Była niezła. Naprawdę. Ale i tak się zorientował, że go rozpoznała.

Ustawił się w kolejce przy pierwszym wozie firmy cateringowej. Był to podłużny samochód dostawczy, w którym opuszczono boczne burty, żeby kucharze mogli sprawnie wkładać ciepłe półmiski w wyciągnięte ręce kelnerów albo kłaść je na ich barkach. W rzędzie przed nim stało kilku młodych mężczyzn, a jeszcze inni szli właśnie przez kościelny dziedziniec.

Przyszła jego kolej. Kucharz w wysokiej śnieżnobiałej czapce kucharskiej przesunął po ladzie srebrną tacę zasłoniętą srebrną kopułą pokrywy. Samir odebrał tacę, kucharz się uśmiechnął i ręką przywołał następnego.

Pięćdziesiąt metrów.

Samir odniósł wrażenie, że ci wszyscy wielcy uczeni przed uniwersyte-tem przyglądają mu się podejrzliwie z granitowych piedestałów. Jeden z labradorów pociągnął swojego pana w stronę Samira.

Teoretycznie wciąż mógł się wycofać. Mógł rzucić tacę, przebiec przez plac, wspiąć się na ogrodzenie i uciec. Tylko że jeden z guzików jego marynarki był minikamerą. Obraz z niej był przesyłany do smartfona Nazeery siedzącej w samochodzie dwieście metrów dalej. Wiedział, że gdyby zdjął marynarkę albo wykonał jakikolwiek ruch niezgodny z planem, Nazeera zdetonowałaby kamizelkę, bez względu na to, jak bardzo go lubiła. Od niego oczekiwaliby tego samego. Jemu zresztą nigdy nie przyszłoby do głowy oszukać ją i szejka.

Pies obwąchał kolana Samira i popatrzył na tacę.

– Po prostu jest głodny – wyjaśnił przeprasząco trzymający smycz policjant.

– No tak – odparł Samir.

Pies się ślinił i piszczał, gdy mężczyzna go odciągał.

Samir dotarł do wysokich otwartych podwójnych drzwi. Przed nim kroczyła drobna, wyprostowana kobieta w średnim wieku, w okularach i z siwymi włosami obciętymi na pazia. Była w mokasynach i szarej wiatrówce, która wybrzuszała się na wysokości lewego biodra, sugerując, że nosi broń. Odwróciła się, jakby się zorientowała, że jej się przygląda, i się uśmiechnęła.

– Zaraz za wejściem w prawo – wyjaśniła po angielsku i Samir też się uśmiechnął.

– Dziękuję – powiedział cicho.

Pozostali kelnerzy gdzieś zniknęli.

Wszedł do tunelu utworzonego z granatowych atłasowych kotar. Na podłodze leżały czarne gumowe maty. W tunelu nie było światła, a gdy skręcił za róg, zrobiło się niemal całkiem ciemno. Po dziesięciu metrach tunel kończył się kolejną kotarą, zza której dochodził szum kulturalnych rozmów, brzęk sztućców na porcelanie i dźwięk odkorkowywanych butelek wina. Od zapachu jedzenia zakręciło mu się w głowie.

Ktoś przejął mikrofon i przemawiał powoli, ale nienaganną angielszczyzną. Pozostałe głosy zamilkły. Samir dostrzegł dwóch młodych, obciętych krótko mężczyzn w dżinsach i skórzanych kurtkach. Na ramionach mieli przewieszane pistolety maszynowe.

Instynktownie ogarnął go strach, chociaż spodziewał się, że tu będą. Na kilometr było widać, że to antyterrorysty, ale spojrzeli na niego i bez słowa odsunęli kotarę, pozwalając mu przejść.

Minął ich i po kilku metrach dotarł do następnej zasłony. Głosy z sali słychać było teraz wyraźniej. Był na miejscu. Udało się.

Coś ciężkiego przesunęło się za jego plecami. Brzmiało to, jakby po gumowych matach ciągnięto duży wózek, ale Samir opanował odruch i się nie odwrócił.

Nagle, w jednej chwili rozsunięto wszystkie kotary i ręką przesłonił oczy, gdy ostre światło reflektorów przygoździło go do czarnej podłogi.

Głos przy mikrofonie zamilkł.

Samir zmrużył oczy i się rozejrzał. Wiele godzin poświęcił na studiowanie zdjęć i rysunków bogato zdobionej sali bankietowej uniwersytetu. Tymczasem zamiast w wysokim na dwanaście metrów pomieszczeniu z pokrytym ornamentami sufitem, galerią, wielkoformatowymi freskami i gęsto rzeźbionymi panelami z ciemnego drewna na ścianach, Samir znalazł się w czymś, co przypominało studio dźwiękowe. Sufit znajdował się góra cztery metry nad jego głową i stanowiły go ciężkie, ciemnoszare klocki w kształcie piramid oraz zawieszane na grubych stalowych linach duże osłony ognio- i wybuchoodporne. Ściany były wyłożone takimi samymi panelami z wypustkami w kształcie piramid na przemian z grubymi na metr warstwami worków z piaskiem. Za Samirem znajdowała się teraz ściana przesuwana, która wyglądała na dostatecznie mocną, aby zatrzymać czołg. W środku poza nim nie było żywej duszy. Tylko kamery za szybami z pleksi.

Był uwięziony w komorze wybuchowej, razem z magnetofonem na stoliku na kółkach i czterema głośnikami, z których przed chwilą odtwarzano nagranie oficjalnego przyjęcia.

Odłożył tacę na podłogę i z kieszeni marynarki wyjął telefon. Kciukiem wcisnął zielony guzik, dbając, aby wszystkie jego ruchy były widoczne. Podniósł ręce do góry i okręcił się wokół własnej osi, jakby czekał na oklaski.

Oklasków nie było. Panowała absolutna cisza.

Samir uśmiechnął się do swojej niewidocznej publiczności. A potem opuścił ręce. Klęknął i przycisnął czoło do gumowej podłogi. Cały czas z telefonem w ręce.

\* \* \*

– Christian, pozwól mi tam wejść – Kim poprosił kolegę, gdy ten złapał go za ramię. – Ufam Nazeerze. *Postanowiłem* jej ufać i chcę mu spojrzeć w oczy.

Christian spojrzał błagalnie na Charlotte Falster, która siedziała przy konsoli na wprost ekranów razem z informatykami policyjnymi i wojskowymi.

Pod ścianą stali dwaj panowie w średnim wieku, mocno opaleni i w źle skrojonych garniturach. Porozumiewali się ze sobą po hebrajsku. Byli nieuzbrojeni, uprzejmi i poruszali się oraz rozmawiali dyskretnie jak kamerdynerzy. Pułapka, jaką przygotowało PET, oraz dopracowane w najdrobniejszych szczegółach zabezpieczenia zrobiły na nich wrażenie albo wręcz wzbudziły ich respekt. Ci dwaj sympatyczni agenci Mossadu byli jedynymi członkami świty Ehuda Berezowsky’ego, którzy zostali w Kopenhadze.

Charlotte popatrzyła na Kima, ale nie potrafiła nawiązać z nim kontaktu wzrokowego.

– Kim, nie jestem przekonana, czy to taki świetny pomysł – powiedziała wreszcie. – Kiedy ostatni raz rozmawiałeś z Zebrą? Skąd masz pewność, że rzeczywiście zdążyła rozbroić tę kamizelkę? I gdzie ona właściwie jest?

Jego zaciśnięte mięśnie zuchwy wyglądały jak węzły pod o wiele za ciasną skórą twarzy.

– Rozbrojenie tego to bułka z masłem – zapewnił ją. – Wystarczyło podmienić telefon. Albo zagiąć na krawędzi stołu jeden z kabli. Są z włókna szklanego, nie mają żadnej wytrzymałości. To chyba żadna filozofia, prawda?

Charlotte westchnęła ciężko, wyraźnie zniecierpliwiona.

– Tylko gdzie ona jest?

Wreszcie skierował na nią swoje głęboko osadzone cierpiące oczy.

– Nie wiem, okej? Ale wiem, że jest gdzieś, gdzie może nam się przydać. Wskazał na szereg telewizorów, które pokazywały teraz zamachowca stojącego z rękoma wzdłuż ciała i ze zwieszoną głową.

Jakby czekał na wynik ich dyskusji. Na wyrok.

– Przecież on tu jest! Tu, na wyciągnięcie ręki! Dostarczyła go nam dokładnie tak, jak się umówiliśmy. Zrobiła dla nas wszystko! Przecież nie pozwolimy mu tam tak stać, prawda? Albo powiesić się na sznurówkach. Nie mam nic przeciwko temu, żeby Jerozolima go zabrała. Tak się zresztą umówiliśmy. A gdy będziemy mieli jego, będziemy mieli Safara Khana.

Słyszając nazwisko arcywroga, starszy z Izraelczyków skierował na Kima oczy jak ciemne paciorki.

– Więc pozwól *im* do niego pójść – teraz Christian skierował błagalny ton do przyjaciela. – To eksperci, Kim.

Ale agent PET uparcie potrząsał głową.

– Christian, to były *moje* dzieci i *moja* żona. Ten skurwysyn tam był. Zaplanował to. Kurwa, przez niego to wszystko. Pojmij to wreszcie!

Charlotte i Christian wymienili spojrzenia. W końcu Charlotte skinęła głową i przygryzła wargę.

– Dwie minuty, Kim – powiedziała. – Maksymalnie. I nie waż się go dotykać! Jeśli wykona jakikolwiek podejrzany ruch, zastrzel go.

Kim przytaknął i dał sygnał dwóm ludziom w kombinezonach przeciwybuchowych. Wyglądali jak nurkowie głębinowi. Ich twarze za szybami z hartowanego szkła grubości palca były niewyraźne i morskozielone. Odsunęli na bok jedną z osłon wybuchoodpornych i pozwolili mu przejść.

– Boże – jęknęła Charlotte, gdy zobaczyła na ekranie, jak Kim Thomsen wchodzi na klaustrofobiczną arenę. – Christian, to się źle skończy, zobaczysz.

Christian milczał. Wyglądał, jakby wstrzymywał oddech.

Dopiero teraz zauważyła, że nie miał już kucyka, tylko poważną, konserwatywną krótką fryzurę. Jakby chciał podkreślić powagę sytuacji, pomyślała.

\* \* \*

Samir podniósł głowę i zobaczył, jak idzie do niego szczupły starszy mężczyzna w ciemnym garniturze.

Mężczyzna, zachowując stosowny dystans, zatrzymał się trzy metry od niego, kiedy Samir znacząco pokazał mu telefon w swojej ręce.

– Jesteś absolutnie pewien? – spytał mężczyzna po angielsku poważnym tonem.

– Czego miałbym być pewien?

Ręką wskazał na zabezpieczenia.

– Kolego, nawet okien nie uda ci się tu wybić.

– Tak myślisz?

Mężczyzna wskazał na pierś Samira.

– Azotan izopropylu i szklane kulki – oznajmił. – Gdyby to był staroświecki semtex, tobym się martwił. Nawet bardzo. Wówczas cały budynek pofrunąłby na Marsa. Ale w twojej nowej, eleganckiej kamizelce prosto z Rosji to nie materiał wybuchowy jest najważniejszy, prawda?

Samirowi powieki niemal same się zamykały. Był śmiertelnie zmęczony. Myślał, czy nie skończyć tego od razu, ale w oczach policjanta płonął ogień. Samir nie miał wątpliwości, że ten człowiek cierpiał. Specjalnie na tę okazję ubrał się odświętnie i w jakimś sensie nieuprzejmością byłoby mu przerywać.

– Czyli co, kulki, tak?

– Dokładnie, Samirze. A to broń krótkiego rażenia, prawda?

– Skąd wiesz, jak mam na imię?

Mężczyzna spokojnie pokiwał głową. Przyszedł z pustymi rękami.

– Samir El-Shennawi. Homs. Syria. Oczekiwano cię tu, Samirze. A dziś wieczorem będziesz w Jerozolimie. Możesz mi wierzyć.

– Chyba ci jednak nie wierzę, obcy człowieku. Ale zamiast tego ty możesz pójść ze mną do raju. Kto wie, może cię wpuszczą, chociaż jesteś pogańskim psem. Samir zamknął oczy, podniósł telefon i wcisnął guzik do końca.

\* \* \*

I zaraz ponownie otworzył oczy. Nadal był na ziemi. Podobnie jak nieznanemu, którego znał tylko ze zdjęć. Ściany też stały, jak stały. I sufit. Wysoki Duńczyk o poważnej twarzy nawet nie mrugnął. Samir spojrzał na swój telefon i ponownie wcisnął guzik z zieloną słuchawką.

– Możesz go wciskać, aż ci kciuk odpadnie – powiedział spokojnie mężczyzna. – Nazeera cię wykiwała. Jest w tym dobra.

Samir patrzył na niego oniemiały. Przecież osobiście wszystko sprawdził. Nie raz, ale kilkanaście razy, testował wszystko na próbnym obiegu i za każdym razem lampka migiała na zielono, czyli obieg w kamizelce działał.

– Kim ty jesteś? – spytał oszołomiony.

– Jednym z tych, którym zniszczyłeś życie w Tivoli. Zabiłeś mi dzieci. I żonę.

Samir spojrział w podłogę. Nie był w stanie patrzeć tamtemu w oczy.

Jerozolima...

Mężczyzna podszedł bliżej. Był teraz na wyciągnięcie ręki.

Samir podniósł głowę i uśmiechnął się do niego.

– Zapomniałeś o czymś, policjancie. Zapomniałeś o najważniejszym.

Duńczyk zmarszczył czoło i przesunął dłoń w stronę pistoletu w kaburze naramiennej.

– O czym?

Samir wskazał na przedostatni guzik swojej białej marynarki.

– To nie jest guzik, przyjacielu. To kamera. Safar Khan nas widzi.

Mężczyzna się pochylił i oczy otworzyły mu się szerzej na widok małej lśniącej soczewki.

Dwieście metrów dalej Nazeera patrzyła na twarz Kima na ekranie swojego telefonu. Kiedy się pochylił, twarz zrobiła się większa.

– Samirze, pozdrów Irene – powiedziała cicho i zdalnie zdetonowała kamizelkę Samira El-Shennawiego.

Podniosła głowę. Ekran stał się czarny, a samochód zakołysał się na resorach, kiedy przeszła pod nim fala uderzeniowa.

W samochodzie za nią uruchomił się alarm antywłamaniowy.

\* \* \*

– Charlotte jest tam! – zawołał Michael.

Nikt ich nie zauważył ani nie zawołał, kiedy przeszli przez ogrodzenie. Ludzie biegali na oślep po placu. Jeden z psich opiekunów leżał na plecach i próbował się bronić, gdy jego własny pies opętany chwilową psychozą ślinił się i próbował przegryźć mu gardło.

Powietrze wypełnił piekielny zgiełk, gdy wszystkie samoloty monitorujące Kopenhagę zleciały się nad uniwersytet. Z bliska i daleka słychać było syreny, które pewnie czekały w stanie najwyższej gotowości, aż stanie się to, co się stało.

Komendant policji szła jak po rozżarzonych ogniach. Nienaturalnie sztywna, schodziła ostrożnie po jednym stopniu. Zobaczyła skierowane ku niebu oblicze Nielsa Bohra i zaraz potem usłyszała Lene.

Lene przybiegła do niej i położyła jej rękę na ramieniu.

– Jezu, nic ci nie jest? Charlotte, co tam się stało?!

Komendant spojrzała na nią zaskoczona, jakby widziała ją po raz pierwszy, po czym przeniosła wzrok na Michaela, którego rozsadzało ze zniecierpliwienia.

– To nie to... – zaczął, ale urwał, gdy dostrzegł wściekły wzrok Lene.

– Przymknij się na chwilę, Michael. Ona jest w szoku!

– Tak, ale...

– ...co? – wymamrotała Charlotte. Zamknęła oczy i widać było, że próbuje się uspokoić. Kiedy znów na nich spojrzała, za szklami okularów powoli pojawiało się życie.

– Przeliczyliśmy się – powiedziała. – Albo ich nie doceniliśmy. Kim za to zapłacił. Wszedł do niego.

– Boże, dokąd wszedł?!

Lene szarpała szefową za ramię, ale zorientowała się, że to może nie najlepszy pomysł, i przestała.

– No tak, bo przecież wiedzieliśmy, że on tu przyszedł. Zamachowiec. Dostaliśmy informację. Zmieniliśmy salę w komorę wybuchową. Uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie. Że go odizolujemy, zwabimy do środka, gdzie będziemy mieli sytuację pod kontrolą. Myśleliśmy, że jego kamizelka...

– Została rozbrojona przez Nazeerę Gamil – dokończył Michael.

Charlotte stała nieruchomo i patrzyła na niego, ale on zamiast dalszych wyjaśnień troskliwie zaprowadził obie kobiety w stronę Nørregade, modląc się, aby Gurpal wciąż tam był.

– Tak! – Teraz Charlotte przeniosła wzrok na Lene. – Skąd on wiedział, że...

Lene uśmiechnęła się łagodnie.

– Czy teraz masz czas nas wysłuchać, Charlotte?

Na policzkach komendant pojawiły się czerwone plamy.

– Oczywiście, że was słucham! Przestań mnie traktować jak upośledzone...

– Nazeera dostała imię po zmarłej żonie Ebrahima Safara Khana – wyjaśniła Lene. – Kobieta zginęła w Shatili w Libanie siedemnastego września

osiemdziesiątego drugiego roku. Zamordowali ją chrześcijańscy falangiści albo libańska armia. Rodziny Gamilów i Khanów mieszkały po sąsiedzku w Londynie. Safar Khan i ojciec Nazeery pracowali razem i blisko się przyjaźnili, zanim Khan się nie zradykalizował i przeprowadził do Jordanu, gdzie założył swoją komórkę. Znał Nazeerę od dziecka. On ją uformował. Wszystko, w co ona wierzy, zostało przez niego ukształtowane.

– Jesteś tego pewna?

Zbliżali się do barierki przy Nørregade. Michael widział teraz zielonego mercedesa Gurpala, stojącego wiernie tam, gdzie go opuścili.

– Całkowicie – zapewniła ją Lene. – Charlotte, Michael poświęcił na to mnóstwo czasu i pieniędzy. Nazeera to zgniłe jabłko. A skoro już mowa o zgniłych jabłkach, to Kim zamordował Irene Adler, żeby mnie za to przytknięto i żeby nie mogła zagrozić jego wielkim planom.

Charlotte pokiwała głową.

– Domyślałam się tego – powiedziała cicho. – To niepojęte. Niewybaczalne.

Popatrzyła na drzwi samochodu, które otworzył jej Michael.

Gurpal odwrócił się przez ramię zza kierownicy i posłał Charlotte złoty uśmiech. Michael zauważył, że poprawił sobie turban i schował pod nim pasmo włosów.

– Dokąd jedziemy? Dokąd wy jedziecie? Ja muszę tu zostać i wszystkim się zająć. Boże drogi! To koszmar!

– To prawda – potwierdził Michael spokojnie, kładąc dłoń na jej głowie i popychając ją delikatnie na tylne siedzenie. – Ale obawiam się, że to dopiero uwertura. Przystawka.

Lene ścisnęła dłoń szefowej, ale ta z irytacją cofnęła rękę.

– O czym wy mówicie?

– Gurpal, jedź, do diabła! Szybko jak...

– Błyskawica?

– Dokładnie. Do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po chodnikach. – Wskazał na Charlotte. – To komendant główna policji. Wszystko zostanie ci wybaczone.

Ciężki samochód ruszył z szarpnięciem i puszczając spod opon biały dym. Tym razem Gurpal najwyraźniej nie widział potrzeby korzystania z chodników. Za to wjechał pod prąd w jednokierunkową Nørregade, z wciśniętym klaksonem i włączonymi światłami awaryjnymi.

Michael odwrócił się do Charlotte.



– Zapnij pas i zamknij oczy. Dobrze ci radzę.

Charlotte zerknęła na Lene, która już miała zamknięte oczy, a knykie dłoni zaciśniętej na rączce nad drzwiami były białe.

– Dlaczego powiedziałeś, że to dopiero początek? – spytała trochę później przez zaciśnięte zęby, kiedy taksówką Gurpala zarzuciło na rogu i przecięli prywatny parking za ratuszem. W ostatniej chwili wyminęli wóz straży pożarnej, który wyjeżdżał z remizy na H.C. Andersens Boulevard. Gurpal uznał, że ruch w kierunku od centrum jest zbyt gęsty i przeniósł się na lewy pas.

– Nazeera – powiedział Michael. – Ucharakteryzowała się na Lene. Przyśięgam, są nie do odróżnienia. Nawet dziury w butach ma takie same. I ma legitymację Lene. Bo domyślam się, że nie wysłaliście za nią listu gończego w sprawie Irene, prawda?

– Arne znalazł kosmyk moich włosów w dłoni Irene – wyjaśniła Lene. – Ale te włosy pochodzą z tego worka, który mi nałożyli na głowę wtedy, w mieszkaniu Ain. Zanim mnie skopali.

– Nie wystawiliśmy za tobą listu – powiedziała stanowczym tonem Charlotte. – Nie przysłoby mi to do głowy, nawet gdyby trzydziestu trzeźwych reporterów widziało, jak to robisz i cię przy tym sfotografowało.

– Dzięki – powiedziała Lene z wdzięcznością.

Michael ponownie sprawdził pistolet. Tym razem nie krył się z tym pod siedzeniem. Odciągnął zamek, a kiedy nabój wyskoczył z komory, obejrzał go dokładnie z każdej strony. Pocałował go w powietrzu, wyjął magazynek i umieścił pocisk na swoim miejscu. Potem ponownie odciągnął zamek i zabezpieczył broń.

To był dobry pocisk. Był o tym przekonany.

– Oni mieli dwie z tych nowych niewykrywalnych kamizelek – wyjaśnił. – Jedną miał Samir, a drugą Nazeera.

– Dwie?!

Charlotte rozchyliła powieki, zobaczyła ciężarówkę tuż przed maską i zaraz z powrotem je zamknęła. Pośpiesznie przełykała ślinę.

– Nazeera ma drugą – powtórzył Michael. – Nie wierzę, że w desperacji pojedzie na błonia w Amager, żeby zdetonować to gówno i zabrać ze sobą w zaświaty paru zbrojców i garstkę śniętych mew. Moim zdaniem Khan od początku planował, że ona pojedzie do Eigtveds Pakhus. To był jego główny cel. A impreza na uniwersytecie i wręczenie nagrody Berezowsky'emu było tylko zasłoną dymną. Kamuflażem, odwróceniem uwagi...

Żeby Nazeera mogła spokojnie wykorzystać swoje podobieństwo do Lene. I po prostu tam, kurwa, wejść.

– Tak, rozumiem – zapewniła go Charlotte.

– Przez cały czas miała Lene na oku. Była w jej mieszkaniu, porobiła zdjęcia, przejrzała jej garderobę.

– Prawdą jest, że twoje ubrania są dość oczywiste – zauważyła kąśliwie Charlotte.

Lene zrobiła się czerwona na twarzy.

Michael patrzył na nie skonsternowany.

– Tak czy inaczej – wrócił do tematu – przebrana za Lene może niezacze-  
piana przez nikogo podejść aż pod mównicę, mijając wszystkie psy i wy-  
krywacze metalu. I kiedy wasi koledzy w tej chwili tłumnie zjeżdżają na  
uniwersytet, żeby sobie gratulować i klepać się po plecach, ona zabierze  
głos tylko na krótką chwilę i zmiecie z powierzchni ziemi wszystkich mini-  
strów spraw zagranicznych wraz z ich delegacjami. Dla czegoś takiego  
można nawet uśpić swojego psa. Dla czegoś takiego można zrobić  
wszystko.

Charlotte zaczęła szukać swojego telefonu, ale gdy go znalazła, Michael  
położył na nim dłoń.

– Muszę im kazać ją powstrzymać. Muszę ich ostrzec... – zaczęła.

– Charlotte, chyba nie do końca rozumiesz. Ona wygląda *dokładnie* jak  
Lene. Jeśli każesz ją zatrzymać i nagle my się pojawimy, ludzie będą skoło-  
wani. Mogą strzelić do niewłaściwej osoby. Takie rzeczy... Poza tym jeste-  
śmy na miejscu!

Taksówka zatrzymała się przed barierkami tam, gdzie Asiatisk Plads łą-  
czy się ze Strandgade.

– Szybko! – otworzył drzwi i zaczął biec.

\* \* \*

Życie ministrów uratowało słońce oraz bezwzględny prowadzący, pomyślał  
Michael, kiedy biegli przez plac przed pięknym, odnowionym czteropiętro-  
wym budynkiem Eigtveds Pakhus. Ten drugi przysłużył się tym, że co do  
minuty trzymał się programu, w którym właśnie wyznaczono piętnastomi-  
nutową przerwę na kawę i papierosa.

A słońce skusiło większość delegatów do wyjścia na świeże powietrze.

Michael spojrzął na zegarek. Była trzynasta dwanaście. Za trzy minuty ministrowie zostaną wezwani z powrotem do środka. Ponownie zajmą swoje miejsca w sali konferencyjnej na drugim piętrze, żeby przejść do omawiania następnego punktu programu, a była nim rosnąca liczba nielegalnych imigrantów z Afryki. W zeszłym tygodniu kolejnych trzech obywateli Angoli dosłownie spadło z nieba na północnych przedmieściach Londynu, kiedy samolot, w którego nadkolach się ukryli, opuścił podwozie przed lądowaniem na Heathrow. Jeden z zamarzniętych młodych mężczyzn roztrzaskał szklany dach w sali bankietowej, w której trwało wesele. Wśród gości było wielu członków brytyjskiej Izby Gmin. To się stawało nie do zniesienia.

Za chwilę pomieszczenie wypełni się po brzegi, a kamizelka Nazeery Gamil została zaprojektowana do właśnie takich akcji: zniszczenia i zabicia wszystkiego w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Przy barierkach powitali ich policjanci uzbrojeni w broń maszynową. Jedna z policjantek zdjęła hełm i potrząsnęła długimi włosami.

Lene stanęła jak wryta.

– Ja ją znam. Była na stacji Nørreport tamtego dnia, gdy zginęła Ain.

Dziewczyna podniosła wzrok, zauważyła ich i jej twarz znieruchomiała. Powoli zrobiła kilka kroków w ich stronę, a Lene w tym czasie szepnęła coś na ucho Charlotte, po czym komendant ręką przywołała do siebie policjantkę.

Lene uśmiechnęła się do młodej kobiety.

– Tak, to ja – potwierdziła. – Spotkałyśmy się w Nørreport. Sprawa Ain Ghazzawi Rasmussen.

Dziewczyna zmarszczyła czoło i obejrzała się za siebie.

– Ale... przecież dopiero co... To znaczy...

– Wiem, to dość dziwne. Rozumiem twoją konsternację, ale wszystko jest w porządku – zapewniła ją Charlotte. – Bądź tak miła i pozwól nam przejść. To bardzo ważne. Wręcz najważniejsze.

Policjantka skinęła w stronę swoich kolegów, którzy mieli miny, jakby zobaczyli ducha.

Lene pochwyciła wzrok dziewczyny.

– A w ogóle to kiedy tutaj byłam? To znaczy o której godzinie mnie wpuściłaś?

– Słucham?

Za plecami policjantki Michael dostrzegł duńskiego ministra spraw zagranicznych. Był to podstarzały, ale sympatyczny mężczyzna z burzą siwych włosów. Zabawiał swojego niemieckiego kolegę, który uprzejmie zaśmiał się z jego pointy.

Dziewczyna spojrzała pytająco na swoich kolegów.

– Jakież trzy minuty temu – odparł jeden z nich. – Góra cztery.

– Dziękuję.

Minęli szeroki trap wejścia do portu i świetnie zachowany trójmasztowy szkuner, który cumował przed budynkiem ministerstwa. Na takielunku łopotały flagi państw delegatów, a wszystkie drzwi budynku były otwarte, żeby wpuścić do środka wiosenne powietrze.

Michael przesunął po nich wzrokiem.

– Za dużo tych wejść – stwierdziła Lene. – Zobaczę od tyłu.

Michael popatrzył na nią bez przekonania. Wolał nie spuszczać jej z oczu. Spojrzał na Charlotte.

– Nie ma wyjścia, musimy się rozdzielić – zdecydowała komendant. – Tylko my troje znamy pełen obraz sytuacji. Zastrzel ją, jeśli ją znajdziesz.

Michael pokiwał głową. Za fasadą akademickiego stoicyzmu i poprawności pani komendant kryła się osoba zimna i bezwzględna.

Odwrócił się, żeby dać pozwolenie Lene, ale jej już nie było.

– Przekłęte, uparte babsk... – zaczął wściekle.

– A spróbuj z nią pracować czterdzieści godzin tygodniowo – zauważyła Charlotte.

– Nie rozumiem: dlaczego wciąż ją zatrudniasz?

– Bo jest najlepsza.

Młoda kobieta w ciemnym, przypominającym mundur spodniemie wyszła przed główne wejście, podniosła zabytkowy dzwon okrętowy i uderzając w niego, wezwała delegatów do środka.

Ministrowie, spin doktorzy, sekretarze i urzędnicy dopili kawy, zgasili papierosy, zakończyli swoje formalne i nieformalne rozmowy i tłumnie ruszyli w stronę budynku, korzystając z wszystkich wejść.

– Może powinniśmy ich ostrzec? – zastanawiał się Michael. – Poprosić, żeby zostali na zewnątrz, dopóki nie znajdziemy Nazeery?

Charlotte popatrzyła na budynek.

– Nie wiemy, czy ona nie obserwuje nas w tej chwili z któregoś okna. Wszyscy zbijają się w tłum. To nie są ludzie, którzy po prostu robią, co im się każe. Zażądają wyjaśnień albo ich urzędnicy ich zażądają. I kiedy my bę-

dziemy się produkowali, odkurzając swój szkolny angielski, francuski i niemiecki, ona po prostu przyjdzie tutaj i wszystkich zabije. Skutek będzie taki sam.

– Masz rację – przyznał. – Dobra. Ja się zajmę częścią zachodnią, a ty wschodnią. Okej?

Charlotte wmieszała się w grupę Włochów w pięknie skrojonych garniturach, którzy wchodzili właśnie łukowymi drzwiami. Szarmancko przepuścili ją przodem i zapewne skomentowali jej sylwetkę, kiedy ich mijają.

Na Michaela natomiast nikt nie zwrócił szczególnej uwagi, kiedy wchodził schodami. Jego mózg pracował na pełnych obrotach. Co on sam by zrobił na miejscu Nazeery? Odpowiedź była prosta. Zaczekałby w łazience, aż spotkanie rozkręci się na dobre i wszyscy poczują się swobodnie.

Minął delegację z Czech i próbował zrozumieć, co mogło skłonić Nazeerę, żeby to zrobić.

Miała wszystko. Silne więzi rodzinne, urodę, mózg, pieniądze. I postanowiła z tego wszystkiego zrezygnować – w imię czego? Być może nadmierne rozwiniętego poczucia sprawiedliwości. Bliski Wschód był wylęgarnią paradoksów i skrajnego fanatyzmu. Tak było od wieków... od tysiącleci. Syn człowieczy, Starzec z Gór i jego asasyni, Saladyn, Muhammad Atta.

Odepchnął czyjąś sekretarkę, która zaczęła coś do niego mówić. Jej kolega złapał Michaela za ramię i zaprotestował w imieniu kobiety. Michael powalił go na podłogę i pobiegł dalej. Za jego plecami zrobił się tumult. Bardzo dobrze. Pomyślał, czy nie uruchomić alarmu przeciwpożarowego, lecz wiedział, że to niewiele by zmieniło.

Nazeera nie zabiłaby wszystkich, ale cały tłum na schodach.

Wyjął pistolet, odbezpieczył i trzymając go przy nodze, wszedł na drugie piętro. Wszyscy ciągnęli w stronę drzwi na środku korytarza. To musiało być wejście do wielkiej sali na dwieście pięćdziesiąt osób.

Dlaczego nie organizują takich spotkań na odgrodzonych lotniskach wojskowych, myślał Michael gorączkowo. Idąc korytarzem, wypatrywał rudych włosów Lene i wysokiej, wyprostowanej sylwetki.

Pomyślał też o swojej żonie Sarze, ale poczuł tylko smutny dystans, więc ponownie wrócił do roztrząsania zagadki Nazeery Gamil i jej lojalności wobec starego, psychopatycznego szejka z Ammanu.

Gdzie ona była i dlaczego u licha nie poprosił Lene, żeby zdjęła pierścionek, inaczej zaczesła włosy, założyła kurtkę na lewą stronę? Zrobiła cokolwiek, co pozwoliłoby je odróżnić. Pot szczypał go w oczy, chociaż w gru-

bych murach ministerstwa panował chłód. Ostatni delegaci weszli już do sali i teraz wyszedł z niej pracownik ochrony ministerstwa w garniturze, rozejrzał się i uśmiechnął do Michaela.

– *We are closing now, sir.* – Automatycznie szukał wzrokiem błyszczącego identyfikatora ze zdjęciem, hologramem i gwiazdkami Unii Europejskiej na niebieskim tle, który powinien wisieć na szyi Michaela.

Nagle przestał się uśmiechać, a gdy Michael znalazł się tuż przy nim, z wewnętrznej kieszeni wyjął krótkofalówkę. Niemal całą siłą włożył w cios kantem dłoni, który wymierzył w szyję mężczyzny. Ochroniarz upadł jak ścięte drzewo. Michael zamierzał go właśnie ułożyć wygodnie na kamiennej podłodze, gdy ktoś złapał go za ramię.

To się robiło męczące.

Wypuścił mężczyznę, który tyłem głowy uderzył w podłogę, z groźnie brzmiącym odgłosem. Michael skierował pistolet w stronę nowego zagrożenia i zobaczył, że to Charlotte. Dłuższą chwilę trzymał pistolet przy jej twarzy, patrzył jej w oczy po obu stronach muszki. Kurek był napięty. Znajdowała się o jeden, bardzo delikatny ruch palca od wieczności. W końcu opuścił pistolet.

– Następnym razem, gdy będziesz się tak skradać, lepiej się odezwij – burknął. – Odchrząknij, zakasz albo coś.

– Będę pamiętać – obiecała.

Była blada jak ściana.

\* \* \*

Ministrowie zajmowali miejsca wokół ogromnego stołu konferencyjnego na środku sali. Stół był lakierowany i w kształcie podkowy. Mikrofony świeciły na czerwono, a projektory rzucały na kotarę na końcu pomieszczenia flagę UE. Tłumacze, urzędnicy i sekretarze oraz sekretarki się porozdzielali. Duński minister przeglądał swoje notatki, gotów zaprosić pozostałych na następną sesję.

Rozmowy ucichły, jakby pomieszczenie powoli zalewała woda. Nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na Michaela i Charlotte, którzy zostali w drzwiach. Charlotte trąciła go łokciem w bok i Michael zamknął drzwi i przekręcił w nich klucz. Z rezygnacją popatrzył na pozostałe drzwi prowadzące do sali. Było ich o wiele za dużo. Przeszedł na koniec, a Charlotte zo-

stała tam, gdzie stała. Minister wstał i odbył krótką przechadzkę do mównicy.

Ciężka niebieska kotara, która zasłaniała tylną ścianę, nieznacznie się poruszyła – albo tylko mu się wydawało. Michael zmarszczył czoło i wbił wzrok w Charlotte, zmuszając ją, by się do niego odwróciła. Wtedy wskazał na zasłonę i dwoma maszerującymi palcami zasygnalizował, że zamierza sprawdzić, co jest za nią.

Rozległ się głos ministra. Zaczął od krótkiej, przygotowanej na szybko informacji o udaremnionym zamachu na uniwersytecie, ale bez zbędnego dramatyzmu. Skupił się na ogólnych faktach, a na koniec złożył gratulacje policji.

\* \* \*

Michael lufą pistoletu odsunął ciężki aksamit. Za zasłoną było niemal pięć metrów wolnej przestrzeni do końcowej ściany i drzwi do zaplecza kuchennego. Stały tu stoły na kółkach z brudnymi talerzykami i filiżankami. Panował półmrok. Pachniało owocami, kawą i pieczywem.

Po raz drugi w ciągu kilku minut miał na muszce parę przerażonych oczu. Tym razem należały do kobiety w białej kelnerskiej marynarce, ciemnych spodniach, włosach związanych w ciasny kucyk i z drożdżówką w ręce. Ręka zastygła w połowie kęsa.

Michael opuścił pistolet.

– Jesteś sama?

Dziewczyna w milczeniu pokiwała głową.

– Widziałaś kogoś, kogo nie powinno tu być?

Zaprzeczyła, znów tylko ruchem głowy. Miała łzy w oczach.

– Uciekaj stąd i zabierz innych – powiedział Michael ponaglająco. – Ale musisz to zrobić natychmiast.

– Nie ma nikogo poza mną. Oni już jedli poprzednim razem. Więcej nie chcieli – wydukała.

– Świetnie. To zmykaj stąd, okej?

Dziewczyna stała jak słup soli przyklejony do podłogi. Jakby nie była w stanie się ruszyć. Miał ochotę dać jej w twarz na oprzytomnienie, ale ostatecznie po prostu pchnął ją mocno w stronę drzwi do kuchni.

– No już!

Zaskrzypiały gumowe uszczelki wahadłowych drzwi, za którymi zniknęła i Michaelowi mignęła opustoszała, pogrążona w półmroku kuchnia.

– Ja pierdolę...

Opuścił broń. Pot zalewał mu oczy, podłoga pod stopami dziwnie się ugięła. Gdy zamknął oczy, pod powiekami rozbłyskiwały dziwaczne wzory. Przełknął ślinę i stłumił mdłości. To tylko wstrząs mózgu, powtarzał sobie. To naturalne. Nic groźnego. W kuchni coś upadło i rozległ się wrzask przeżenienia. Michael pokręcił głową. Wystraszone dziewczę, uciekając, pewnie strąciło ze stołów połowę inwentarza.

Zrobił kilka kroków w kierunku sali, kiedy kolejny głuchy łoskot kazał zawrócić. Pchnął drzwi.

Kuchnia była o wiele większa, niż się spodziewał. Długie stoły ze stali nierdzewnej, kuchnie przemysłowe, rzędy zawieszonych na ścianach przyborów kuchennych, które zaburzały sterylny wygląd całości, i słabe światło wpadające przez matowe, wysoko osadzone okna. I ta dziewczyna, leżąca na plecach kilka metrów od niego. Częściowo opierała się o kuchnię, a pod nią szybko rosła kałuża krwi. Czerwona struga spływała na podłogę z białej koszuli, gdzie zbierała się wprost z dużej ciemnej rany pod brodą. Na podłodze leżał zakrwawiony nóż do filetowania, a obok dziewczyny klęczała Nazeera Gamil z pistoletem w ręce. Jej druga dłoń leżała na piersi dziewczyny i była tak samo czerwona jak wszystko wokół.

Michaelowi trzęsły się ręce. Muszka pistoletu skakała małymi łukami nad głową Nazeery, nad jej piersiami i szyją. Osobiście przysłał tu tę dziewczynę, prosto w ramiona zamachowczynie.

Ile mogła mieć? Dziewiętnaście? Góra dwadzieścia parę lat.

– Ty jebnięta pizdo, nie dotykaj jej, słyszysz?

Nazeera spojrzała na niego i uniosła brwi. Zaczynała wstawać, kiedy Michael strzelił.

\* \* \*

Zdażył pomyśleć, że był niewłaściwym człowiekiem w niewłaściwym czasie, kiedy zobaczył, że kula trafiła ją w lewy bark, o wiele za daleko od miejsca, w które celował: czyli między jej oczami.

Gurpal Singh odwróciłby się z odrazą.

Nazeera, którą szarpnęła siła strzału, ponownie odwróciła się do niego. Michael popatrzył na jej lśniące zielone oczy i poprawił cel. Jego dłonie na-



gle stały się nieruchome jak z kamienia i wiedział, że tym razem zabije ją na miejscu.

Choć była ranna, sama podniosła broń i pociągnęła za spust. Trafiła w pogryzioną nogę Michaela, którą odrzuciło w bok jak młotkiem i Michael powoli upadł do tyłu na stos maszyn kuchennych i metalowych półmisek. Słyszał tylko bicie własnego serca.

Czas stanął w miejscu. Tylko on nie przestawał upadać.

\* \* \*

Hałas był nie do opisania. Michael wymachiwał na oślep rękami, próbując wstać i się uwolnić, ale był całkowicie unieruchomiony pod ciężkimi półkami, mikserami i stelażami. W desperacji rozglądał się za swoim pistoletem, który zniknął gdzieś pod tym wszystkim.

W końcu spojrzał na Nazeerę i już wiedział, że popełnił straszliwy, niewybaczalny błąd. Spodziewał się zobaczyć na jej twarzy coś w rodzaju religijnego uniesienia. Albo co najmniej triumfu. Tymczasem malowała się na niej jedynie blada koncentracja.

A ona sama nawet na niego nie patrzyła.

To nie była ona. To była Lene, która całkowicie skupiała się nad tym, żeby przesunąć ważący pewnie tonę pistolet automatyczny kawałek dalej.

Gdy podążył za jej wzrokiem, zobaczył jej sobowtóra. Nazeera znajdowała się kilka metrów od niego, a za jej plecami powoli zamykały się ciężkie drzwi zamrażarki. Kobieta stała w lekkim rozkroku i w skupieniu wpisywała jakiś kod do telefonu. Potem szybko skierowała się do sali, jakby ich dwojga w ogóle tam nie było. Od stołu konferencyjnego dzieliło ją góra dwadzieścia metrów i Michael wiedział, że żadna siła na tym świecie nie zdoła ich ocalić.

Nazeera była w drzwiach, gdy pierwsza kula Lene trafiła ją w kręgosłup i nogi się pod nią ugięły.

Przez kilka sekund leżała nieruchomo i Michael właśnie zaczynał z ulgą wypuszczać powietrze, kiedy podniosła głowę i zaczęła się czołgać po gładkiej od krwi podłodze.

Kiedyś potrafił lisa i złamał mu kręgosłup. Wysiadł z samochodu i zobaczył taką samą scenę: umierającą istotę, której ślepy instynkt każe po prostu ruszać się dalej.

Wtedy następna kula Lene trafiła ją w tył głowy i jej twarz uderzyła w płytki. Telefon leżał tuż obok jej prawej dłoni. Jej palce rozprostowały się i zacisnęły.

\* \* \*

Oddech Lene był świszczący, krótki i poszarpany. Otworzyła dłoń i odpchnęła od siebie pistolet, jakby się go brzydziła. Potem znów położyła dłoń na piersi dziewczyny. Krwawienie z podłużnej rany na jej szyi ustało.

Michael zamknął oczy i otworzył je, dopiero gdy usłyszał z bliska głos Charlotte Falster.

\* \* \*

Chłopak otworzył oczy i się rozejrzał. Może spał, może coś mu się śniło. Zapadał zmierzch. Neon nad restauracją po drugiej stronie ulicy rzucał zielone i pomarańczowe światła na pustą podłogę. Usłyszał na schodach powolne kroki.

– Samir?

Wezbrała w nim fala nadziei i próbował usiąść, opierając się o kolumnę. Lecz zaraz ulgę zastąpiła rozpacz. Bo jeśli to Samir, to oczywiście znaczyło, że Samir żyje, a skoro on żyje, to ponieśli straszną porażkę.

Stracił czucie w dłoniach związanych taśmą.

– Samir? – Znów zawołał w ciemność.

Wpatrywał się w drzwi na schody, próbował przeniknąć wzrokiem ciemność samą siłą woli. Ciemność skupiła się i zmieniła w dwie... nie, trzy postacie. Zapalili latarki i snopy światła omiatały podłogę, aż znalazły go pod kolumną. Bezbronnego i przywiązanego.

Opuścili latarki i teraz chłopak widział buty mężczyzn: dwie pary znoszonych, poobijanych brązowych pantofli, które pewnie kiedyś sporo kosztowały. Szare skarpety i nogawki. Ich kanty już dawno straciły ostrość. Ostatnie stopy były obute w czarne buty do biegania. Bez skarpetek. Do tego dzinsy. Młody mężczyzna. Zapewne z duńskiego wywiadu.

Potem, gdy jeden z tych w znoszonych butach kucnął i podwinął rękawy marynarki, dostrzegł jeszcze zegarek z szarego metalu.

Mężczyzna miał pomarszczoną, ogorzałą twarz i był prawie łysy. Jego głowa była usiana ciemnymi plamami i piegami, ale twarz rozjaśniał szeroki, dobroduszny słowiański uśmiech. Małe, ciemne oczy niemal niknęły

w zmarszczkach mimicznych, kiedy patrzył na Adila jak na ukochanego syna. Pachniał suchością pustyni. Gdy Adil uświadomił sobie, kim byli ci ludzie, puścił mu pęcherz. Przerażony przyglądał się ciemnej plamie, która rozlewała się po jego udach.

Starszy z mężczyzn też musiał ją widzieć, ale przez uprzejmość nic nie powiedział.

– Kim wy jesteście i skąd się wzięliście? – spytał Adil, choć właściwie wolał nie słyszeć odpowiedzi.

Mężczyzna uśmiechnął się swoim najlepszym, pocieszającym uśmiechem.

– Z Jerozolimy. Wracasz do domu, mój chłopcze.

Adil zamknął oczy i dlatego nie widział strzykawki w lewej ręce mężczyzny.

Poczuł za to ukłucie w ramieniu i wtedy zaskoczony poderwał głowę, ale zaraz spowiła go ciemność.

\* \* \*

Dwaj Izraelczycy przyglądali się chłopakowi z góry, a Christian żałował, że nie zdążył wypić kawy. Głowa go bolała, kiedy miał za długą przerwę. Chociaż może ten ból głowy był następstwem wybuchu i widoku przyjaciela, który rozpadł się w czerwonej mgle.

– Ładny chłopak – powiedział po angielsku jeden z Izraelczyków jakby do siebie.

– Bardzo ładny – przytaknął drugi – ale lepiej nie swataj go ze swoją córką, Gabi.

Christian przestał ich słuchać. Podeszedł do okien i popatrzył na karetkę parkującą na dole. Kogut był wyłączony, a dwaj ratownicy stali spokojnie przy krawężniku i palili papierosy. Christian wyjął z kieszeni krótkofalówkę i dwukrotnie wcisnął przycisk nadawania. Jeden z ratowników podniósł głowę, spojrzął w okno i rzucił papierosa.

Chłopak zostanie wyniesiony na noszach i odwieziony od razu w pewien odosobniony, dyskretny zakamarek lotniska Kastrup, gdzie czekał już wojskowy challenger. Żadnych formalności.

Jeden z Izraelczyków był lekarzem wojskowym i miał się zatroszczyć o pacjenta podczas lotu do Jerozolimy.

Christian wyjął scyzoryk i rozciął taśmę. Na wszelki wypadek ułożyli chłopaka w pozycji bocznej ustalonej, ale słyszeli, że oddychał swobodnie i naturalnie. Nic mu nie było.

Christiana przez krótką sekundę kusiło, żeby po prostu podciąć mu gardło. Wiele by mu oszczędził tym gestem.

Ale potem zobaczył stół z nożami rzeźnickimi, kamerę i baner. Stół, przy którym siedzieli związani Michael Sander i Lene Jensen, przekonani, że to koniec.

Starszy z mężczyzn położył mu dłoń na ramieniu.

– Więc jak? Jedzie pan z nami? Namyślił się pan?

Christian pokiwał głową.

– To będzie dla mnie zaszczyt – odparł.

Cokolwiek zrobią temu chłopakowi, to i tak będzie za mało, stwierdził w myślach.

\* \* \*

Automat z kawą nie działał, kule mu się rozjechały i musiał czekać, aż jeden z odwiedzających w poczekalni ulitował się i mu je podniósł. Wszystkie głowy odwracały się, gdy w drzwiach bloku operacyjnego pojawiała się pielęgniarka albo lekarz w niebieskim kombinezonie.

Kula Lene zrobiła mu głęboką wyrwę w dużym mięśniu po zewnętrznej stronie uda. Ranę opatrzyła ta sama młoda lekarka, która oczyściła i opatrzyła rany po pogryzieniu. Nie zdołała się powstrzymać i zapytała, czy znów był figurantem podczas krajowych mistrzostw psów policyjnych. I czy teraz psy dostają broń. Rana nie była groźna. Wszystko się zrośnie. A on będzie miał kolejną ładną bliznę do swojej już i tak imponującej kolekcji. Poprosił o morfinę, ale dostał tylko małą torebkę leków bez recepty.

Otworzyły się drzwi oddziału ratunkowego i stanęła w nich Charlotte. Michael pokuśtykał do niej. Z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Wyjdźmy na zewnątrz – zaproponowała.

– Ale jak...

– Na zewnątrz.

Stanęli na parkingu. Charlotte zwróciła twarz ku słońcu.

– Masz papierosa? – spytała.

Michael jej przypalił.

Wypuściła długą cienką strużkę dymu i popatrzyła na niego, mrużąc oczy.

– Będzie dobrze – powiedziała. – Ale dostała nie tylko w bark. Pocisk uderzył w kość i przebił lewe płuco. Straciła mnóstwo krwi. Z tego, co zrozumiałam, zrobili jej drenaż opłucnej. Leży na intensywnej terapii, ale jest przytomna. W każdym razie mówią, że z tego wyjdzie.

– Mogę się z nią zobaczyć? Porozmawiać?

– Michael, ona nie chce cię widzieć.

– To znaczy?

– To znaczy że nie chce cię widzieć. Pod żadnym pozorem. Wyraziła się bardzo jasno. Bardzo.

Patrzył na nią oszołomiony. Noga bolała go bardziej niż kiedykolwiek.

Charlotte położyła dłoń na jego ramieniu.

– Ona nie rozumie, jak mogłeś się pomylić. Pewnie z czasem zrozumie.

– Ja pierdolę! Przecież one wyglądały jak dwie, kurwa, krople wody!

– Zgadza się. Masz rację.

Odrobina ciepła pozostała na jego skórze, gdy Charlotte cofnęła dłoń.

– Ona nie myśli racjonalnie. Daj jej trochę czasu.

– Czas nic nie zmienia – stwierdził cierpko Michael. – Nie w jej przypadku.

– Pewnie masz rację, ale prawdą jest, że uratowała ci życie. Nam wszystkim.

Wyprostował plecy i spojrzał w górę na fasadę szpitala.

– Tak. To prawda. Mam nadzieję, że własne też uratuje.

– Na pewno.

\* \* \*

Michael skierował się w stronę najbliższego wyjścia. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny.

Gdy wsiadł na tylną kanapę, taksówkarz przyjrzał mu się w lusterku wstecznym. Gurpal przez całe popołudnie cierpliwie czekał na niego na postoju taksówek pod Rigshospitalet.

– Jak poszło, *sahib*?

– Znakomicie, Gurpalu. Wprost fantastycznie. Zajebicie ekstra. Dzięki. Kabinę rozjaśniły złote zęby.

– Dokąd, *sahib*?

Michael nie odpowiadał.

Oczy go piekły i dwoma palcami mocno pocierał grzbiet nosa. Sikh nie spuszczał z niego oczu, ale milczał.

Michael odchylił się na siedzeniu.

– Gurpalu... palmy. Dobrze? Znajdź mi plażę i jakieś palmy – poprosił.

– Czekamy jeszcze na kogoś? Na kobietę z czerwonymi włosami?

– Nie.

– Ale ona żyje?

– Tak.

– To będzie długi kurs, *sahib*. Do tych palm.

– Im dłuższy, tym lepszy, Gurpalu.

# Epilog

## *Miesiąc później*

Charlotte zobaczyła go z daleka. Siedział tak, jak się umówili, przy stole piknikowym na wietrznym parkingu przy autostradzie. Był tam jedyną żywą istotą. Huśtawki skrzypiały smętnie na wietrze, który nadciągał tu znad okolicznych pól. Miał na sobie czarny płaszcz, ale wyglądał na zziębniętego. Patrzył na nią pustym wzrokiem, gdy się zbliżała. Pstryknięciem wyrzucił papierosa pod huśtawkę i zapalił następnego.

Za nim stał wynajęty opel.

Usiadła na ławce na wprost niego i oparła łokcie na stole, żeby mogli się słyszeć pomimo hałasu z autostrady. Uśmiechnęła się.

Popatrzył za jej plecami.

– Jak ona się czuje? – spytał.

– Dobrze. Zaczęła ćwiczyć i już nie pije. Wygląda dobrze, Michael. Jestem ci ogromnie wdzięczna. Wszyscy jesteśmy.

Postawił kołnierz.

– Obiecałam ci przekazać, że możesz otrzymać tytuł szlachecki, jeśli... to znaczy... wiesz, twoje prawdziwe nazwisko i tak dalej... Będą musieli się wszystkiego dowiedzieć.

Zdawał się jej nie słuchać. Jego twarz ani oczy nie zmieniły się ani trochę. Wyjął za to z wewnętrznej kieszeni płaszcza kopertę, otworzył ją i wręczył Charlotte dwie gęsto zapisane kartki.

– Na dole jest numer konta – powiedział.

Charlotte popatrzyła na rozliczenie i lekko rozchyliła wargi. Kwota przerosła jej najśmielsze wyobrażenia. Skąd u licha weźmie...

– Jakiś problem? – spytał spokojnie.

– Słucham? Nie... Tylko po prostu... Tu naprawdę jest napisane milion dwieście pięćdziesiąt trzy tysiące koron?

Wskazała na pozycję na środku listy.

– Podziurawili mi mercedesa robionego na zamówienie – powiedział oschle. – To nie było draśnięcie. Nie da się tego usunąć odrobiną wosku i mokrą szmatką, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

– No tak... ale...

– To jakiś problem? Mogą zaoszczędzić na tym tytule.

Charlotte złożyła kartki i wsunęła sobie do kieszeni kurtki.

– Nie, absolutnie nie ma żadnego problemu – zapewniła go z przekonaniem, którego nie czuła. – Te trochę ponad trzy miliony oczywiście w pełni ci się należą. Bez wątpienia. A trzysta tysięcy dla taksówkarza?

– To ty zatrudniłaś *mnie* – przypomniał jej. – To ty się do mnie zwróciłaś. Tak się składa, że prowadzę biznes. Mam dzieci i żonę. A Gurpal za marny grosz narażał swoje życie i dobrostan swojej rodziny. Czy ona wie, dlaczego... Lene wie o naszej umowie?

– Oczywiście, że nie wie. I nie zamierzam jej o tym mówić. Zatrudniłam cię jako ochroniarza, ponieważ nie można było wykluczyć, że ona coś wywęszyła, mimo że miała depresję i była do niczego. Ja sama jej nie wierzyłam, ale przecież miała rację co do Ain i Nazeery Gamil. Oraz Irene i PET.

– To prawda, miała – przyznał cicho. – Przypadkiem.

Wyciągnęła rękę. Uścisnął ją i zaraz wypuścił.

– Zimno mi – powiedział przed siebie. – Jest coraz gorzej. Chyba muszę... *Fuck*... Nieważne.

– Dokąd jedziesz? – spytała.

Popatrzył na nią martwym wzrokiem, jakby naprawdę nie miał pojęcia.

Potem przesunął wzrok dalej, na pola.

– Mam ją od ciebie pozdrowić? – spytała. – Powiedzieć, że u ciebie wszystko w porządku. Albo cokolwiek?

Nie odpowiedział. Wstał i ruszył do swojego samochodu.

Zauważyła, że nadal utykał.